

david baldacci



ZBAW NAS ODE ZŁEGO

Najbardziej porywający dreszczowiec 2010



david
baldacci

przełożył
Jerzy Malinowski

Z B A W N A S
O D E Z Ł E G O . . .



Warszawa, 2012

Tytuł oryginału:
Deliver us from Evil

Copyright © 2010 by Columbus Rose Ltd.

All rights reserved

Polish edition copyright © Buchmann Sp, z o.o., Warsaw, 2012

Copyright © for the Polish translation by Jerzy Malinowski

Projekt okładki: Krzysztof Kielbasiński Skład: TYPO 2

ISBN: 978-83-7670-277-3

www.fabrykasensacji.pl

Wydawca:
Buchmann Sp, z o.o.
ul. Wiktorska 65/14, 02-587 Warszawa
Tel./fax 22 6310742

www.buchmann.pl

Wydanie I

Druk: Zakład Graficzny COLONEL

Dla wspaniałych przyjaciół:
Ali i Anshu,
Catherine i Davida,
Marilyn i Boba,
Amy i Craiga.

1.

Dziewięćdziesięciosześcioletni staruszek siedział w wygodnym fotelu zajęty lekturą książki o Józefie Stalinie. Żaden poważny wydawca nie tknąłby nawet pełnego urojeń rękopisu, gdyż autor zdecydowanie pochlebnie wyrażał się o sadystycznym sowieckim przywódcy. Tymczasem starcowi pozytywna opinia o Stalinie, jaką znajdował w tej wydanej własnym sumptem książce, bardzo się podobała. Książkę kupił bezpośrednio od autora krótko przed tym, nim został on zamknięty w zakładzie psychiatrycznym.

Nad rozległą posiadłością starca nie było widać żadnych gwiazd; nad pobliskiego oceanu nadciągała ku lądowi burza. Choć był bogaty i żył w luksusie, jego osobiste potrzeby były raczej skromne. Nosił wytarty, liczący kilkadziesiąt lat sweter, kołnierzyk koszuli wpijał mu się w mięsistą, usianą naroślami szyję. Tanie, luźne spodnie skrywały wychudzone, bezużyteczne nogi. Kiedy rozległo się hipnotyzujące bębnienie deszczu o dach, rozsiadł się wygodniej w fotelu, z satysfakcją zgłębiając tajniki umysłu i kariery szaleńca, który zamordował dziesiątki milionów ludzi żyjących pod jego okrutnym panowaniem.

Z ust staruszka od czasu do czasu dobywał się śmiech, zwłaszcza gdy czytał te najbardziej przerażające fragmenty, i kiwał głową z uznaniem, kiedy zwolennicy Stalina tłumaczyli jego drastyczne metody niszczenia wszelkich swobód obywatelskich. Widział u sowieckiego dyktatora cechy przywódcze, potrzebne do poprowadzenia kraju ku potędze, a jednocześnie mające sprawić, że świat zadrży ze zgrozy. Zsunął okulary na czubek nosa i zerknął na zegarek. Dochodziła jedenasta. System alarmowy włączył się punktualnie o dziewiątej; wszystkie okna i drzwi były skrupulatnie monitorowane. Jego fortecy nic nie groziło.

Najpewniej grzmot sprawił, że zamigotały światła. Rozbłysły jeszcze dwukrotnie i zgasły. Ze znajdującej się piętro niżej sali monitoringu usunięto akumulatory zasilania awaryjnego, kiedy więc zgasło światło, system

alarmowy przestał funkcjonować. Czujniki we wszystkich drzwiach i oknach zostały w jednej chwili rozbrojone. Dziesięć sekund później zaskoczyły potężne generatory i przewodami znów popłynął prąd, przywracając działanie alarmu. Tymczasem w ciągu tej dziesięciosekundowej przerwy otworzyło się okno, wysunęła się przez nie czyjaś ręka i chwyciła podany z zewnątrz cyfrowy aparat fotograficzny. Okno zamknęło się sekundę przed ponownym uzbrojeniem alarmu.

Nieświadomy niczego starzec bezwiednie podrapał się po pokrytej strupami i plamami, zniszczonej przez słońce tysej głowie. Jego twarz zapadła się już wiele lat temu i stanowiła teraz bryłę obwisłej tkanki, a oczy, nos i usta układały się w nieustanny grymas. To, co pozostało z jego ciała, uległo podobnej degradacji. Teraz w wykonywaniu najprostszych czynności musiał zdawać się na pomoc innych. Ale przynajmniej wciąż jeszcze żył, podczas gdy tyłu jego towarzyszy broni, właściwie już wszyscy, odeszło, często w gwałtowny sposób. Doprowadzało go to do wściekłości. Historia pokazywała, że osobnicy o niższej pozycji nieustannie zazdrościli tym znajdującym się wyżej od nich.

W końcu odłożył książkę. W tym wieku potrzebował zaledwie trzech czy czterech godzin nieprzerwanego snu i właśnie teraz nadeszła jego pora. Nacisnął niebieski przycisk na małej obroży, którą stale nosił na szyi, wzywając w ten sposób służącą. Guziki były aż trzy - jeden wzywający służącą, jeden lekarza i jeden ochronę. Miał wrogów i cierpiał na różne dolegliwości, ale służącą miał głównie dla przyjemności.

W drzwiach pojawiła się kobieta. Barbara miała blond włosy, była ubrana w obciskającą biodra białą minispódniczkę i bluzkę bez rękawów. Kiedy pochylała się, żeby pomóc mu przesiąść się na wózek inwalidzki, mógł zobaczyć jej piersi. Wydekoltowany strój był warunkiem zatrudnienia. Bogaci, perwersyjni starcy mogli robić, na co mieli ochotę. Wtulił swoją pomarszczoną twarz w miękkie zagłębienie między piersiami. Kiedy jej silne ramiona opuszczały go na siedzisko wózka, wsunął dłoń pod jej spódnicę, przesunął palcami po jędrnych udach, aż dotarł do pośladków i każdy z nich mocno ścisnął. Wydał z siebie cichy jęk uznania. Barbara nie zareagowała; dobrze jej płacono za to, by znosiła jego obmacywanie.

Zawiozła go do windy i razem zjechali do sypialni. Pomogła mu zdjąć

ubranie, odwracając wzrok od zapadniętego ciała. Nawet fortuna, którą posiadał, nie potrafiła zmusić jej do patrzenia na jego nagość. Kilkadziesiąt lat wcześniej na pewno by na niego patrzyła, a nawet zrobiłaby dla niego o wiele więcej. Jeśli chciałaby przeżyć. Ale teraz pomagała mu włożyć piżamę, jak pomaga się dziecku. Rano będzie musiała go umyć i nakarmić - też jak dziecko, a nie jak mężczyznę. I tak krąg się zamykał. Od kołyski, ponownie do kołyski i potem do grobu.

- Usiądź przy mnie, Barbaro - polecił. - Chcę na ciebie popatrzeć. - Powiedział to wszystko po niemiecku. To był kolejny powód, dla którego ją zatrudnił; знаła jego język ojczysty. Niewiele już osób w jego otoczeniu go znało.

Usiadła, założyła nogę na nogę i położyła dłonie na podolku, uśmiechając się od czasu do czasu, bo za to również jej płacono. Uważał, że powinna być mu wdzięczna; mogła pracować dla niego w tym wielkim domu, gdzie zajęcia były nieskomplikowane, a wolnego czasu pod dostatkiem, albo iść się kurwić za grosze na ulicach nieodległego Buenos Aires.

Machnął w końcu ręką, na co Barbara szybko wstała i zamknęła za sobą drzwi. Położył głowę na poduszce. Pewnie teraz pójdzie do swojego pokoju, zdejmie ubranie, wskoczy pod prysznic i zacznie zmywać z siebie brud, który zostawił jego dotyk. Na myśl o tym cicho zachichotał. Nawet jako pomarszczony staruszek mógł w jakiś sposób wywierać wpływ na innych ludzi.

Doskonale pamiętał wspaniałe czasy, kiedy wchodził do pokoju, stukając obcasami oficerskich butów o betonową podłogę. Już sam odgłos jego kroków sprawiał, że cały obóz drżał ze strachu. To była siła. Każdego dnia mógł cieszyć się poczuciem niezwykłości. Wszystkie jego rozkazy wykonywano bez mrugnienia okiem. Jego ludzie ustawiali w szeregu całą tę hołotę w brudnych łachach. Choć więźniowie stali ze spuszczoneymi głowami, widzieli jego lśniące buty, element munduru oznaczającego władzę. Bawił się w Boga, decydował, kto umrze, a kto pozostanie przy życiu. Ale życie nie było lepsze od śmierci, ocalałym szykował piekło na ziemi, pełne bólu, rozpaczy i poniżenia.

Przesunął się na lewą stronę łóżka i wcisnął prostokątny panel na wezłowskiu. Drewniane drzwiczki odskoczyły i drżącą ręką wystukał kombina-

cję cyfr otwierających widoczny teraz sejf. Wsunął dłoń do jego wnętrza i wyjął fotografię. Opadł z powrotem na poduszkę i przyjrzał się zdjęciu. Policzył, że zostało zrobione sześćdziesiąt osiem lat temu. Choć własne ciało go zdradziło, to myślami wciąż tam był.

Na fotografii dobiegał trzydziestki, ale dzięki tęgiej głowie i bezwzględności pełnił bardzo odpowiedzialną funkcję. Był wysoki i szczupły, jasne blond włosy kontrastowały z opaloną skórą na twarzy o kwadratowej szczęce. Świetnie się prezentował w galowym mundurze z rzędem odznaczeń, choć musiał przyznać, że na żadne z nich nie zasłużył. Nigdy nie był na polu walki, bo nigdy nie zdobył się na odwagę.

Od strzelania i umierania w okopach była cała bezmyślna masa; on był ponad to dzięki swoim umiejętnościom. Na widok siebie z tamtych lat do jego oczu napłynęły łzy; obok niego na zdjęciu stał ten człowiek, we własnej osobie. Jego czarny wąsik tkwił nieporuszenie nad pełnymi ekspresji ustami.

Wypełniając cowieczorny rytuał, ucałował swoje młodsze wcielenie na fotografii, a potem zrobił to samo z policzkiem wspaniałego Führera. Schował fotografię do sejfu i zaczął rozmyślać o latach poprzedzających ucieczkę z Niemiec, którą podjął kilka miesięcy przed wkroczeniem alian-tów i kapitulacją Berlina. Zawczasu przygotował sobie to miejsce, bo wcześniej niż jego przełożeni zdał sobie sprawę z nieuniknionego wyniku wojny. Ukrywał się przez dziesiątki lat, ale raz jeszcze udało mu się wykorzystać swoje „talenty” do zbudowania imperium i dorobienia się majątku na eksporcie surowców mineralnych i drewna ze swojej nowej ojczyzny. Bezlitośnie przy tym miażdżył wszelką konkurencję. Mimo to tęsknił za tamtymi dawnymi czasami, kiedy w jego rękach było życie i śmierć drugiej istoty ludzkiej.

Tej nocy, jak każdej innej, miał zasnąć spokojnie, z jasnym umysłem.

Czuł, że powieki stają się ciężkie, kiedy nagle usłyszał odgłos otwieranych drzwi. Wbił spojrzenie w mrok pokoju. W ciemności dostrzegł zarys jej stojącej postaci.

- Barbara?

2.

Zamknęła za sobą drzwi i ruszyła w jego kierunku. Kiedy podeszła bliżej łóżka, zauważył, że ma na sobie tylko bawełniany szlafrok, rozchylony na piersiach i ledwie okrywający uda. Przez materiał szlafroka prześwitywała opalona skóra. I tylko odsłonięte biodra były bledsze.

Rozpuściła włosy, które opadły na ramiona. Była też bosa.

Wsunęła się obok niego do łóżka.

- Barbaro? - Jego serce zaczęło bić szybciej. - Co ty tu robisz?

- Wiem, że mnie pragniesz - odezwała się po niemiecku. - Widzę to w twoim spojrzeniu.

Jęknął, kiedy chwyciła jego dłoń i wsunęła ją w fałdy szlafroka, tuż przy piersiach.

- Jestem starcem, nie mogę cię zaspokoić. Ja... ja nie mogę.

- Pomogę ci. Zrobimy to delikatnie i powoli.

- A strażnik? Stoi za drzwiami. Nie chcę, żeby on...

Pogładziła go delikatnie po głowie.

- Powiedziałaś mu, że miałeś urodziny, a ja jestem prezentem dla ciebie. - Uśmiechnęła się. - Uprzedziłam go, żeby nam dał przynajmniej dwie godziny.

- Ale ja mam urodziny dopiero w przyszłym miesiącu.

- Nie mogłam się doczekać.

- Ja naprawdę nie mogę. Pragnę cię, Barbaro, ale jestem za stary.

Zbliżyła się i dotknęła go tam, gdzie od dziesiątków lat nikt go nie dotykał.

- Nie rób mi tego. - Jęknął. - Mówię ci, że to nic nie da.

- Jestem cierpliwa.

- Dlaczego miałabyś mnie pragnąć?

- Jesteś bogaty i masz władzę. I widzę, że musiałeś być kiedyś bardzo przystojny.

Uchwycił się tego twierdzenia.

- Byłem. O, tak, byłem. Mam zdjęcie.

- Pokaż mi - poprosiła. - Pokaż - wyjęczała, przesuwając jego dłonią

pod swoim szlafrokiem.

Nacisnął panel, wyjął fotografię i wręczył jej.

Błądziła wzrokiem po zdjęciu przedstawiającym go w towarzystwie Adolfa Hitlera.

- Wyglądasz tu jak bohater. Byłeś bohaterem?

- Wykonywałem swoje obowiązki - odparł posłusznie. - Robiłem to, co mi kazano.

- Jestem pewna, że byłeś dobry w tym, co robiłeś.

- Nigdy nikomu nie pokazywałem tego zdjęcia. Nikomu.

- Pochlebiasz mi. A teraz połóż się wygodnie.

Kiedy to zrobił, usiadła na nim okrakiem i rozchyliła szlafrok, by w pełni ocenił jej ciało. Zdjęła mu też z szyi urządzenie przywoławcze.

Zaczął protestować.

- Nie chcemy przecież przypadkowo nacisnąć któregoś guzika - rzekła, zabierając urządzenie z zasięgu jego ręki. Pochyliła się i jej piersi znalazły się na wysokości jego twarzy. - Nie chcemy, żeby ktoś nam przeszkadzał.

- Tak, masz rację. Żadnego przeszkadzania.

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej pigułkę.

- Przyniosłam to dla ciebie. Powinna pomóc w... tym. - Ruchem głowy wskazała jego krocze.

- Nie wiem, czy mogę. Inne leki mogą...

- Będziesz sprawny godzinami. - Jeszcze bardziej zniżyła głos. - Sprawisz, że będę krzyczeć.

- Boże, gdybym tylko mógł.

- Wystarczy to połknąć. - Podniosła tabletkę. - A potem mnie bierz.

- To naprawdę działa? - Z rozgorączkowania na jego ustach pojawiło się trochę śliny.

- Nigdy do tej pory nie zawiodła. Połknij.

Wręczyła mu tabletkę, napełniła szklankę wodą z karafki stojącej na nocnym stoliku i patrzyła, jak przełyka pigułkę, łapczywie popijając ją wodą.

- Czy już jest większy? - zapytał z niecierpliwym przejęciem.

- Cierpliwości. A tymczasem chciałabym ci coś pokazać. - Z kieszeni

szlafroka wyjęła płaski aparat fotograficzny. Ten sam, który odebrała przez okno, kiedy wysiadł prąd i rozbroił się system alarmowy.

- Dziwnie się czuję, Barbaro.
- Nie ma powodu do zmartwienia.
- Wezwij lekarza, niech tu przyjdzie. Naciśnij guzik. Natychmiast.
- Wszystko w porządku. To efekt działania pigułki.
- Ale ja nie czuję swojego ciała. A język...
- Powiększył się? O, mój Boże. Tabletkę musiała podzielać na twój język zamiast na tamto. Muszę złożyć skargę u producenta.

Starzec głośno charczał. Chciał wskazać dłonią na usta, ale ręce odmówiły mu posłuszeństwa.

- Naciśnij przycisk...

Odsunęła dalej elektroniczną obrozę i owinęła się ściślej szlafrokiem.

Usadowiła się obok niego.

- A to są zdjęcia, które chciałam ci pokazać.

Włączyła aparat. Na małym ekranie pojawiła się czarno-biała fotografia jakiejś twarzy.

- Ten chłopiec to David Rosenberg - wyjaśniła, wskazując młodzieńcą, wymizerowaną twarz; zapadnięte policzki i szkliste oczy wskazywały, że śmierć była bliska. - Nie doczekał swojej bar micwy. Wiedziałeś, że wcześniej skazałeś go na śmierć, pułkownika Huber? Właśnie ukończył trzynaście lat, ale oczywiście w obozach nie obchodzono uroczystości przejścia.

Starzec wpatrywał się przerażonym wzrokiem w zdjęcie, nie przestając cicho rzeźić.

Barbara nacisnęła przycisk i teraz na ekranie pojawiła się twarz młodej kobiety.

- To jest Frau Helen Koch. Zginęła od kuli karabinowej, kiedy strzeliłeś jej w brzuch tuż po wypaleniu pierwszego porannego papierosa. Podobno umierała przez trzy godziny, a twoi ludzie nie pozwalali, by żydowscy przyjaciele jej pomogli. W rzeczywistości tego ranka zabiłeś dwoje ludzi, bo Frau Koch była w ciąży.

Ciało starca pozostawało nieruchome i tylko jego palce kurczowo zaciskały się na kołdrze. Wzrok miał utkwiony w urządzenie przywoławcze,

ale choć leżało ono zaledwie pół metra dalej, nie mógł po nie sięgnąć. Barbara uchwyciła jego podbródek, zmuszając go, by patrzył na wyświetlacz aparatu.

- Musi się pan skupić, pułkowniku. Pamięta pan Frau Koch, prawda? Prawda? A Davida Rosenberga? Jego też?

W końcu mrugnął twierdząco.

- Mogłabym ci pokazać zdjęcia innych ludzi, których skazałeś na śmierć, ale są ich setki tysięcy, a tyle czasu nie mamy. - Z kieszeni szlafroka wyjęła fotografię. - Zabrałam ją z ramki na pianinie stojącym w twojej pięknej bibliotece. - Podsunęła mu zdjęcie pod nos. - Znaleźliśmy twojego syna i córkę, a także twoje wnuki i prawnuki. Wszystkich tych niewinnych ludzi. Spójrz na ich twarze. Są tacy sami jak David Rosenberg, Helen Koch i wszyscy pozostali. Gdybym miała czas, opowiedziałabym ci ze szczegółami, w jaki sposób każde z nich będzie dziś w nocy umierało. Prawdę mówiąc, siedmioro już zostało zaszlachtowanych tylko dlatego, że miało związek z tobą. Widzi pan, pułkowniku, chcieliśmy mieć pewność, że potwory nie będą się więcej rozmnażać.

Zaczął płakać, wydając z siebie ciche miauczenie.

- Doskonale, pułkowniku, rozumiem, to łyzy radości. Pewnie pomyślą, że to udany seks doprowadził pana do lez. A teraz pora zasnąć, ale proszę patrzeć na fotografię. Niech pan nie odwraca wzroku. W końcu to pańska rodzina. - Kiedy zamknęła oczy, uderzyła go w policzek, zmuszając do ich ponownego otwarcia. Pochyliła się i szepnęła mu do ucha coś w innym języku.

Otworzył szeroko oczy.

- Poznaje pan to, Herr Huber? To jidysz. Jestem pewna, że wielokrotnie słyszał pan to zdanie w obozie. Ale jeśli nie pan, co to znaczy, wyjaśniam: „Zgnij w piekle”.

Przyłożyła mu poduszkę do ust i nosa, nie zasłaniając oczu, tak by w chwili śmierci oglądał swoją skazaną na śmierć rodzinę. Z dużą siłą przycisnęła poduszkę. Starzec nie mógł nic zrobić.

- To znacznie łagodniejsza śmierć od tej, na którą zasługujesz - szepnęła, czując, jak jego płuca gwałtownie domagają się tlenu.

Kiedy jego pierś po raz ostatni uniosła się konwulsyjnie, zwolniła ucisk

i schowała do kieszeni szlafroka zdjęcie Hubera w mundurze i aparat fotograficzny. Nie zabili jego rodziny i nie zamierzali tego zrobić. Nie mordowali niewinnych ludzi. Chcieli tylko, by w chwili śmierci był przekonany, że przyczynił się do śmierci swoich najbliższych. Zdawali sobie sprawę, że jego śmierć nigdy nie dorówna potwornościom, których dopuszczano się z jego rozkazu, ale to najlepsze, co mogli zrobić.

Przeżegnała się i szepnęła:

- Oby Bóg zrozumiał, dlaczego to robię.

Później, wracając do swojego pokoju, minęła strażnika, pewnego siebie młodego Argentyńczyka. Zmierzył ją pożądlwym spojrzeniem. Uśmiechnęła się i swawolnie zakołysała biodrami, tak by mógł dojrzeć jej bladą skórę pod cienkim materiałem szlafroka.

- Upředź mnie, kiedy będą twoje urodziny - rzuciła.

- Jutro - odpowiedział szybko i wyciągnął ręce, by ją pochwycić, ale mu się wymknęła.

To dobrze, bo jutro już mnie tu nie będzie.

Skierowała się wprost do biblioteki i włożyła fotografię z powrotem w ramkę. Godzinę później światła w całym domu ponownie zamigotały i zgasły. I znów minęło dziesięć sekund, nim generatory podjęły pracę. Okno w pokoju Barbary otworzyło się i zamknęło. Ubrana cała na czarno, w czapce z dzianiny skrywającej włosy, zeszła po rynnie, wspięła na wysoki mur otaczający posiadłość i odjechała czekającym na nią samochodem. Nie było to specjalnie trudne, bo cały system bezpieczeństwa miał za zadanie przede wszystkim nie wpuszczać nikogo na teren posiadłości. Widać było, że Dominic, młody szczupły kierowca o ciemnych kręconych włosach i wielkich smutnych oczach, odczuł ulgę.

- Dobra robota, Dom. Bezbłędnie trafiłeś z czasem wyłączenia prądu - pochwaliła go Barbara.

- Meteorolodzy mieli rację w sprawie burzy. Zapewnili mojej sztuczce idealną osłonę. Co on powiedział?

- Jego oczy mówiły same za siebie. Wiedział.

- Gratuluję, Reggie, to już ostatni.

Regina Champion, dla najbliższych Reggie, usiadła wygodniej w fotelu i zdjęła czapkę, uwalniając farbowane na blond włosy.

- Mylisz się, on nie był ostatni.
- Co masz na myśli? Nie ma już więcej nazistów takich jak on. Huber był ostatnim z tych bydlaków.

Wyjęła z kieszeni fotografię przedstawiającą Hubera z Adolfem Hitlerem i zaczęła się jej przyglądać. W tym czasie samochód mknął po mrocznych drogach okolic Buenos Aires.

- Potwory będą zawsze. A my musimy wszystkie wyłapać.

3.

Shaw miał nadzieję, że mężczyzna spróbuje go zabić, i nie zawiódł się. Widząc, że nadchodzi kres wolności, a wraz z nim możliwa egzekucja, niektórzy ludzie stają się nerwowi. Chwilę później facet leżał nieprzytomny na podłodze, a na jego złamanej szczęce widać było odcisk knykci Shawa. Po minucie pojawiło się wsparcie i mężczyzna został zabrany do aresztu. Shaw w myślach skreślił z listy kolejnego bezdusznego fanatyka, który wykorzystywał niczego nieświadome dzieci do wysadzania w powietrze ludzi niewierzących w tego samego Boga co on.

Dziesięć minut później siedział już w samochodzie jadącym na lotnisko w Wiedniu. Obok miejsce zajął jego szef, Frank Wells. Frank sprawiał wrażenie wyjątkowo wrednego sukinsyna głównie dlatego, że nim rzeczywiście był. Miał klatkę piersiową jak mastyf i jak on warczał. Preferował tanie garnitury, które były nieustannie pomięte, i niemodne od kilkudziesięciu lat kapelusze z rondem o ostrej krawędzi. Shaw uważał, że Frank urodził się w niewłaściwej epoce. Dobrze by się sprawdzał w latach dwudziestych i trzydziestych, uganiając się z pistoletem maszynowym za takimi bandziorami jak Al Capone i John Dillinger i nie przejmując się nakazami rewizji czy odczytywaniem aresztowanym ich praw.

Był nieogolony i utworzył mu się drugi podbródek. Przekroczył pięćdziesiątkę, ale zatruty złością i żółcią wyglądał na starszego. Z Shawem łączyła go relacja miłości połączonej z nienawiścią, przy czym sądząc z jego obecnej paskudnej miny, tym razem przeważała nienawiść.

Shaw potrafił to do pewnego stopnia zrozumieć. Powodem, dla którego Frank nie zdejmował swojego kapelusza w samochodzie ani nawet we wnętrzach, nie była chęć zakrycia jajowatej tysej głowy. Skrywał pod kapeluszem zagłębienie w czaszce, pozostałość po kuli wystrzelonej przez Shawa. To nie był odpowiedni fundament do budowania przyjaznej relacji. Ale to właśnie z powodu tej śmiertelnej konfrontacji siedzieli teraz obok siebie.

- Niezbyt szybko zauważyłeś tam ruchy Benny'ego - rzucił Frank, .
zując niezapalone cygaro.

- Biorąc pod uwagę, że „Benny” Ibn Alamin zajmował trzecie miejsce na liście najbardziej poszukiwanych terrorystów, mogę sobie chyba pogratulować sukcesu.

- Nic dodać, nic ująć. Nie wiadomo, co będzie następnym razem.

Shaw nie odpowiedział, głównie dlatego, że czuł się zmęczony. Patrzył przez okno na piękne ulice Wiednia. Wiele razy był już w austriackiej stolicy, miejscu, skąd wywodziły się największe muzyczne talenty. Niestety, zawsze pojawiał się tu z powodu pracy, a jego najżywszym wspomnieniem z tego miasta nie był poruszający koncert, tylko widok pocisku dużego kalibru, który przemknął nieprzyjemnie blisko jego głowy.

Przeciągnął dłonią po włosach, które wreszcie odrosły. Przed kolejną misją będzie się musiał ostrzyć. Właśnie przekroczył czterdziestkę, miał metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu i muskulaturę jak skała, ale kiedy odrosły mu włosy, dostrzegł siwiznę na skroniach. Nawet dla kogoś takiego jak on ostatnie sześć miesięcy było bardzo trudnych.

- I co z tobą i Katie James? - Frank zdawał się czytać w jego myślach.

- Ona wróciła do dziennikarstwa, a ja do tego, co robię.

Frank uchylił okno, zapalił cygaro i wypuścił dym na zewnątrz.

- Tylko tyle?

- A dlaczego miałoby być coś więcej?

- Oboje dużo razem przeszliście. To zbliża ludzi.

- Cóż, nie zbliżyło.

- Wiesz, że do mnie dzwoniła?

- Kiedy?

- Jakiś czas temu. Powiedziała, że odszedłeś bez pożegnania. Ot tak, zniknąłeś.

- Nie wiedziałem, że to przestępstwo. Dlaczego po prostu do mnie nie zadzwoniła?

- Twierdzi, że próbowała, ale zmieniłeś numer.
- Okay, może i zmieniłem.
- A to dlaczego?
- Bo tak mi się podobało. Masz jeszcze jakieś osobiste pytania?
- Spaliście ze sobą?

Na te słowa Shaw wyraźnie zeszywniał. Frank, czując pewnie, że posunął się za daleko, wbił wzrok w trzymaną na kolanach teczkę i szybko rzucił:

- Za trzydzieści minut będziemy już w powietrzu. Na następną misję dotrzemy na skrzydłach.

- Świetnie - odparł głucho Shaw. Otworzył okno i wdychał poranne powietrze. Większość roboty wykonał w środku nocy; wiele jego „zajęć” kończyło się wczesnym rankiem.

Pracuję dla czegoś, co nazywa się potocznie agencją, a co oficjalnie nie istnieje, i na całym świecie robię rzeczy, o których nikt nigdy się nie dowie.

Polityka prowadzona przez agencję pozwalała jej agentom zbliżać się do granicy legalności, a nawet ją przekraczać. Kraje, które wspierały tę instytucję finansowo i logistycznie, były częścią dawnej grupy G 8, więc siłą rzeczy reprezentowały najbardziej „cywilizowane” społeczeństwa na świecie. Nigdy nie pozwoliłyby sobie na oficjalne przyzwolenie na tak brutalne i niebezpieczne metody działania. Obeszły więc ten problem, tworząc i żywiąc bestię, która była oceniana wyłącznie za osiągnięte wszelkimi możliwymi sposobami rezultaty. Nie liczyły się tu prawa człowieka ani żadne inne prawa Frank przyglądał mu się przez chwilę.

- Kazałem położyć kwiaty na grobie Anny.

Zaskoczony Shaw odwrócił się jego stronę.

- Dlaczego?

- Była wspaniałą kobietą. I z jakichś dziwnych powodów kochała cię.

To była jej jedyna wada, nie umiała właściwie oceniać mężczyzn.

Shaw odwrócił się z powrotem do okna.

- Nigdy już nie znajdziesz kogoś takiego.

- Dlatego nawet nie próbuję szukać, Frank.

- Kiedyś byłem żonaty.

Shaw zamknął okno i usiadł prosto.

- Co się stało?

- Ona nie żyje. Była podobna do Anny. Dla mnie stanowiło to awans społeczny. Coś takiego nie zdarza się dwa razy.

- Przynajmniej stanąłeś przed ołtarzem. Mnie się nie udało.

Frank sprawiał wrażenie, że chce powiedzieć coś jeszcze, ale zamilkł. Pozostałą część drogi na lotnisko przebyli w milczeniu.

4.

Gulfstream gładko wzbil się w powietrze. Kiedy pilot wyrównał lot, Frank wyciągnął typowe dokumenty: zdjęcia, wywiady środowiskowe, analizy i zalecane sposoby przeprowadzenia akcji.

- Evan Waller - zaczął Frank. - Kanadyjczyk. Sześćdziesiąt trzy lata.

Shaw jedną ręką wziął filiżankę czarnej kawy, drugą - fotografię. Patrzył na mężczyznę z głową ogoloną do gołej skóry. Sprawiał wrażenie wysportowanego i silnego, jego rysy twarzy były ostre, kanciaste, jak na ekranie dobrego telewizora HD. Nawet na zdjęciu biła z jego oczu siła. Długi nos jakby wyrastał ze środka czoła i łukiem sięgał górnej wargi. Te jego usta świadczą o okrucieństwie, jeśli to w ogóle możliwe, pomyślał Shaw. Ten człowiek musiał być okrutny, zły i niebezpieczny. Gdyby było inaczej, Shaw nie oglądałby jego zdjęcia. Nigdy nie uganiał się za świętymi, jego specjalnością byli okrutni grzesznicy.

- Dobrze wygląda na swoje lata - zauważył Shaw, rzucając fotografię na stolik.

- Co najmniej dwadzieścia ostatnich lat zajmował się tylko tym, co przynosi duże dochody. Na pierwszy rzut oka to kryształowa postać. Legalne interesy, nie rzuca się w oczy, wspiera organizacje charytatywne, pomaga krajom Trzeciego Świata w budowaniu własnej infrastruktury.

- Ale?

- Ale udało nam się odkryć, że jego ukryte bogactwo pochodzi z han-

dlu żywym towarem. Chodzi głównie o dzieciaki z Azji i Afryki, które ludzie Wallera porywają na masową skalę, a potem sprzedają do domów publicznych na północnej półkuli. To dlatego jest tak bardzo zainteresowany rozwojem Trzeciego Świata. Tam zdobywa potrzebny mu towar. A legalne interesy służą praniu pieniędzy z działalności przestępczej.

- Taka rekomendacja wystarczy, żebym mu złożył wizytę.

Frank wstał i przy niewielkim barku pod ścianą nalał sobie krwawą mary, wrzucając do szklaneczki lodyżkę selera naciowego. Wrócił na miejsce, mieszając lód.

- Waller dobrze się maskuje. Sporo czasu zajęło nam znalezienie czegoś na niego, a i to może nie starczyć, by postawić go przed sądem. To zły człowiek, co do tego nie ma żadnych wątpliwości, ale trzeba by mu to dowieść, a to zupełnie inna sprawa.

- Po co w takim razie za nim łazimy, skoro nie możemy go przytknąć? Wzbudzimy tylko jego czujność.

Frank potrząsnął głową.

- Tu nie chodzi o to, żeby go złapać i skazać. Trzeba go złapać i zmusić do gadania. Musimy go przekonać, że w jego najlepiej pojętym interesie jest oświecenie nas, na czym dokładnie polega jego nowy pomysł na biznes.

- To znaczy?

- Handel materiałami rozszczepialnymi z fundamentalistami muzułmańskimi podejrzewanymi o terroryzm. Jeśli ich wyda, zawrzemy z nim układ.

- Jaki układ?

- Po prostu będzie wolny,

- I dalej będzie porywał młode dziewczyny?

- Tu chodzi o zapobieżenie zagładzie atomowej, Shaw. Ci na szczytach władzy chcą takiego kompromisu. Przynajmniej na chwilę wyłączymy go z interesów, ale potem odzyska wolność i wszystkie pieniądze, które ukrył w różnych zakątkach świata.

- I wtedy wróci do gry. Wiesz co, chwilami jest mi głupio, że idziemy na układy z takim bydlakiem.

- Takich jak on jest więcej.

- No dobrze, jaki jest plan?
 - Dowiedzieliśmy się, że wybiera się na krótkie wakacje na południe Francji. Wynajął willę w Gordes. Byłeś tam kiedyś? - Shaw zaprzeczył ruchem głowy. - Obiło mi się o uszy, że tam jest naprawdę pięknie.
 - Podobnie jak w Wiedniu. Tak słyszałem. Niestety, ja zwykle widuję kanały ściekowe, sale szpitalne i kostnice.
 - Leci tam z silną obstawą.
 - To normalne. Jak mam go dopaść?
 - Oczywiście szybko i profesjonalnie. Ale Francuzi nie są w to wtajemniczeni. Nie możemy liczyć na ich pomoc. Jeśli zawalisz, będziesz zdany na siebie.
 - Jakoś mnie nie zaskoczyłeś.
 - Będziesz miał mało czasu.
 - Czyli jak zawsze.
 - To prawda - przyznał Frank.
 - A więc porwiemy go i przyciśniemy w nadziei, że się złamie?
 - Naszym zadaniem jest go dopaść. Łamać go będą inni.
 - Jasne. A potem go wypuszczą - zauważył zde gustowany Shaw. - Pamiętaj, że ostatnim razem we Francji sprawy przybrały zły obrót.
- Frank wzruszył ramionami.
- Przejdźmy zatem do szczegółów.
- Shaw dopił kawę.
- Szczegóły są najważniejsze, Frank. No i szczęście.

5.

Reggie Champion jechała swoim dziesięcioletnim, poobijanym smar-tem przez Leavesden, kierując się na północ. Po długim błędzeniu skręciła w gruntową drogę, na której dwa samochody by się nie minęły, i w końcu dotarła do omszałych kolumn bramy z nazwą posiadłości: Harrowsfield. Przyjrzała się krętej zwirowej drodze prowadzącą do starego, niszczonego budynku.

Są osoby, które twierdzą, że posiadłość dzierżawił kiedyś Rudyard Kipling. Reggie wątpiła w to, choć była pewna, że okolica podobałaby się autorowi wspaniałych powieści przygodowych. Budynek był wielki, przewizorycznie odnowiony, pełen ukrytych drzwi i tajemnych przejść.

Miał kamienne wieżyczki z zimnymi komnatami, wielką bibliotekę, korytarze, które kończyły się solidną ścianą, strych pełen cennych artefaktów o wartości muzealnej i zwyczajnych rupieci, labirynt zatęchłych piwnic pełnych nienadających się do picia win oraz staroświecką kuchnię z przeciekającym dachem i iskrzącą się instalacją elektryczną. Na terenie ponad stuhektarowej zapuszczonej posiadłości było też tyle budynków gospodarczych, że można by zakwaterować w nich kilka batalionów wojska. Całe to miejsce było stare, popadające w ruinę, cuchnące, w większej części nienadające się do zamieszkania, i urocze. Gdyby miała pieniądze, natychmiast kupiłaby tę posiadłość. Ale nigdy nie będzie jej na nią stać.

Zwykle zatrzymywała się tu na noc. Cierpiała na bezsenność i godzinami włóczyła się po mrocznym domu. W takich chwilach zdawało jej się, że czuje obecność osób, dla których Harrowsfield też było niegdyś domem, a których nie ma już wśród żywych. Najchętniej zostałaby w tym miejscu na stałe. Jej mieszkanie było małe, skromne, znajdowało się w nieciekawej części Londynu, a i tak ledwie było ją na nie stać. Aby związać koniec z końcem, musiała oszczędzać na wszystkim, nawet na jedzeniu czy ubraniu. Na pewno nie wybrała tej ścieżki kariery ze względu na dochody.

Zatrzymała samochód przed starą wozownią, w której obecnie mieściły się garaże i warsztat, i zauważyła, że kilka osób przyjechało tu przed nią. Własnym kluczem otworzyła drzwi do sieni i usłyszała ciche bicie zegara. Chwilę później z jednego z pomieszczeń wyłonił się barczysty, muskularny, wysoki mężczyzna po trzydziestce. W jednym ręku trzymał filiżankę herbaty, a w drugiej zmodyfikowany pistolet, którego lufa mierzyła w tej chwili prosto w pierś Reggie. Mężczyzna miał na sobie obcisłe sztruksowe spodnie, białą koszulę z wyłogami kołnierzyka przypiętymi guzikami i podwiniętymi rękawami i wąskie mokasyny z czarnej skóry. Mimo wilgoci i chłodu, jaki panował w Harrowsfield nawet w środku lata, nie nosił skarpetek. Groźnie wyglądające, ciemne brwi stykały się ze sobą, a na czoło spadała gęsta grzywka brązowych poskręcanych włosów.

Rozpoznawszy Reggie, wsunął pistolet do kabury pod pachą, uśmiechnął się szeroko i upił łyk herbaty.

- Ech, Reg, powinnaś dzwonić, kiedy dojeżdżasz do bramy - odezwał się Whit Beckham. - O mało cię nie zastrzeliłem. Gdybym to zrobił, tygodniami miałbym pietra. - Jego silny irlandzki akcent w ciągu ostatnich kilku lat zelżał i Regina mogła już bez tłumacza zrozumieć prawie wszystko, co mówił.

Zdjęła żakiet i powiesiła go na drewnianym wieszaku na ścianie. Miała na sobie sfatygowane džinsy, bordowy lekki sweter z wywiniętym golfem i czarne buty do kostek. Jej włosy odzyskały naturalny odcień ciemnego brązu i spięła je na karku szylkretową spinką. Nie umalowała się i kiedy stanęła w świetle wpadającym przez okna, można było zauważyć, że wokół wyrazistych oczu zaczęła pojawiać się siateczka drobnych zmarszczek, chociaż Regina miała zaledwie dwadzieścia osiem lat.

- Moja komórka nie chce w tej okolicy działać, Whit.
- W takim razie chyba trzeba sprawić sobie nową. Herbaty?
- Poproszę kawę, mocną. Podróż była długa, a ja niewiele spałam.
- Już się robi.
- Wspaniale, dziękuję. Dom jest tutaj? Nie widziałam jego motocykla.
- Pewnie zamknął go w garażu. Poza tym to nie jest motocykl.
- Tylko co?
- To prawdziwa rakietka. Wiesz, ile ma koni?
- Jasne, fajna męska zabawka.

Spojrzał na nią uważnie.

- Dobrze się czujesz?

Zmusiła się do uśmiechu.

- Fantastycznie. Jak nigdy dotąd. Za pierwszym razem jest trudno, potem już jakoś leci.

Zmarszczył twarz w uśmiechu.

- Pieprzysz głupoty i doskonale o tym wiesz.
- Naprawdę?
- Pamiętaj, że Huber zabił kilkaset tysięcy ludzi i przez ponad sześćdziesiąt lat pozostawał bezkarny.
- Czytałam te same dokumenty co ty, Whit.

Czuł, że go zbywa.

- Może powinnaś jakiś czas odpocząć. Naładować akumulatory.
- Są naładowane. To wina długiego lotu i kilku drinków. Pułkownik

Huber już został wymazany z mojej pamięci.

Whit uśmiechnął się szeroko.

- Na pewno nie jesteś na mnie zła?
- Nie. Ale miło, że zapytałeś. No więc, kogo tu mamy?
- Tych, co zwykle.

Zerknęła na zegarek.

- Zaczynamy wcześniej?
- Nowa robota, więc wszyscy się niecierpliwią.
- Ze mną włącznie.
- Jesteś pewna?
- Przestań głądzić. Lepiej zrób mi tę kawę.

6.

Po przejściu licznych korytarzy, w których unosił się zapach pleśni, Reggie dotarła do podwójnych drewnianych drzwi z misternie wyrzeźbionymi książkami na obu skrzydłach. Pociągnęła za klamkę i weszła do biblioteki. Regały na trzech ścianach wypełniały książki; na zmatowiałym, wytartym mosiężnym drążku wisiała przesuwana drabina, po której można było się dostać do najwyżej położonych półek. Czwartą ścianę obwieszono starymi fotografiami i portretami dawno już nieżyjących mężczyzn i kobiet. Całości dopełniał wysoki do sufitu kamienny kominek, jeden z nielicznych prawidłowo działających w tym domu. Choć nawet jemu nieraz się zdarzało buchnąć dymem do wnętrza biblioteki. Przez chwilę ogrzewała się w ciepłe płomieni, a następnie obróciła się i przyjrzała osobom siedzącym wokół znajdującego się pośrodku, hiszpańskiego w stylu stołu z toczonymi nogami.

Skinęła głową każdej osobie z osobna. Prócz Dominica, sprawiającego wrażenie wypoczętego, wszyscy pozostali byli od niej starsi. Na koniec jej

spojrzenie spoczęło na starszym mężczyźnie zajmującym eksponowane miejsce. Miles Mallory miał na sobie sztruksowe spodnie i marynarkę z łatami na łokciach, przekrzywioną muszkę, pogniecioną koszulę z jednym końcem kołnierzyka skierowanym w niebo, wygodne buty z szerokim czubem i skarpetki, które nie zasłaniały w pełni pulchnych, bezwłosych łydek. Wielką głowę wieńczyła obwódka posiwiałych włosów, które od miesiący nie widziały nożyczek fryzjera. Brodę z kolei miał starannie przystrzyżoną i tego samego koloru co włosy, prócz jednej jaśniejszej plamy wielkości grosza na policzku. Zielone oczy skrywały się za okularami w grubych czarnych oprawkach. Miał mocną szczękę, małe wydęte usta, a zęby idealnie równe, ale pokryte nikotynowym nalotem. W prawej ręce trzymał małą, zakrzywioną fajkę i pracowicie nabijał ją swoją najbardziej cuchnącą mieszanką tytoni, która za chwilę miała wypełnić całe pomieszczenie dymem, wypierając z niego tlen.

- Wygląda pan na przejętego, profesorze Mallory - zwróciła się do niego uprzejmie Reggie.

- Młodego Dominica już pochwaliłem, ale czy mogę pierwszy pogratulować ci doskonałej roboty w Argentynie?

- Mógłby pan, profesorze, gdyby nie to, że pana ubiegłem - odezwał się Whit, wchodząc do pokoju i wręczając Reggie filiżankę kawy tak gorącej, że wciąż jeszcze parowała, choć kuchnia była oddalona chyba o kilometr od biblioteki.

- No, cóż - odrzekł pogodnie Mallory - w takim razie pozwól, że będę drugi.

Reggie przełknęła łyk kawy. Nigdy nie czuła się dobrze, kiedy musiała rozmawiać o tym, co zrobiła, nawet z ludźmi, którzy jej pomagali. Mimo to zabicie kogoś, kto zamordował tylu ludzi, nie budziło zwyczajnych ludzkich uczuć. Dla niej i dla wszystkich siedzących przy stole ich cele poprzez swe haniebne czyny same pozbawiały się ludzkich praw. Równie dobrze mogli rozmawiać o zabijaniu wściekłych psów. Z drugiej strony, pomyślała Reggie, może to porównanie jest niesprawiedliwe.

Dla psów.

- Dziękuję. Niestety, jestem przekonana, że Herr Huber nadal będzie spoczywał w pokoju.

- Bardzo wątpię, żeby pułkownik w tej chwili spoczywał w pokoju - odparł chłodno Mallory. - Jestem pewny, że płomienie naprawdę parzą.

- Skoro pan tak twierdzi... Teologia nigdy nie była moją mocną stroną.
- Reggie usiadła na krześle. - Ale Huber to już historia. A my jedziemy dalej.

- Tak! - zawołał ochoczo Mallory. - Oczywiście. My jedziemy dalej.

Whit uśmiechnął się cierpko.

- W takim razie przekonajmy się, czy uda nam się jeszcze raz dosiąść tego potwora, tak żeby nie zostać stratowanym.

Mallory skinął na szczupłą, jasnowłosą kobietę siedzącą po jego prawej stronie.

- Czy byłabyś tak uprzejma, Lizo? - Liza rozdała wszystkim opasłe od kopii dokumentów teczkę spiętą krwistoczerwonymi gumkami.

- Wie pan co, profesorze? - zauważył Whit. - Wszystko to zmieściłoby się w przenośnej pamięci USB. Wystarczyłoby wetknąć wtyczkę do laptopa. To wygodniejsze niż taszczenie takiego tomiska do samochodu.

- Laptop można zgubić lub uszkodzić. Może nawet zostać skradziony. Można się też do niego włamać, zhakować, jeśli używam odpowiedniego terminu - odparł Mallory z lekkim oburzeniem, ale i z niepewnym wyglądem kogoś, dla kogo komputery pozostają zagadką.

Whit podniósł teczkę.

- Papiery też można łatwo buchnąć, zwłaszcza jeśli jest tego cholerstwa dziesięć kilo.

- Wróćmy do tematu. - Mallory zignorował uwagę Whita i szorstko uciął dyskusję. Uniósł fotografię mężczyzny po sześćdziesiątce z długim nosem, ogoloną głową i miną, która mogła wywoływać tylko jedną reakcję - strach.

- To jest Evan Waller - wyjaśnił Mallory. - Uważa się powszechnie, że urodził się w Kanadzie sześćdziesiąt trzy lata temu, ale to nieprawda. Cieszy się opinią uczciwego biznesmena. Ale...

- Kim jest w rzeczywistości? - przerwał mu Whit, wyjął z kabury pistolet i położył przed sobą na stole.

Jeśli nawet Mallory był zły, że Whit wszedł mu w słowo i wymachiwał bronią, to nie okazał tego. Przeciwnie, oczy mu błyszczały, kiedy mówił:

- W rzeczywistości Evan Waller nazywa się Fedir Kuczyn.

Rozejrzył się po pokoju, a kiedy nie dostrzegł żadnej reakcji zgromadzonych, błysk w oku zastąpiło rozczarowanie.

- Jest Ukraińcem, służył w wojsku, a potem w tajnej policji podporządkowanej bezpośrednio KGB. - Kiedy nawet te rewelacje nie wywołały żadnego komentarza, dodał groźnie: - Naprawdę nikt z was nie słyszał o Hołodomorze? - Spojrzył na przeciwną stronę stołu. - Dominicu, musieliście wam o tym wspominać na uniwersytecie - powiedział prawie błagalnym tonem.

Dominic ze zboląłą miną pokręcił przecząco głową; było mu przykro, że zawiódł starszego pana.

- Hołodomor to po ukraińsku Wielki Głód - wtrąciła Reggie. - Stalin na początku lat trzydziestych zgłodził blisko dziesięć milionów Ukraińców. W tym niemal jedną trzecią wszystkich ukraińskich dzieci.

- Jak mu się to udało? - zapytał oburzony Whit.

Odpowiedzi udzielił Mallory.

- Stalin posłał żołnierzy i funkcjonariuszy tajnej policji, którzy zabierali cały żywy inwentarz, drób, żywność, ziarno i narzędzia. Dotyczyło to szczególnie regionów położonych nad Dnieprem, zwanych od niepamiętnych czasów spichlerzem Europy. Następnie uszczelnił granice, tak że nikt nie mógł się z Ukrainy wydostać i uzupełnić zapasów ani nikt ze świata nie mógł przyjechać i przekonać się, co się dzieje. W tamtych czasach nie było Internetu. Z głodu umierała ludność całych miast; w ciągu niecałych dwóch lat zginęła niemal jedna czwarta wieśniaków.

- Stalin rywalizował z Hitlerem w okropnościach - zauważyła Liza Kent. Dobiała pięćdziesiątki i wyglądała staromodnie w swojej długiej spódnicy, brzydkich butach i białej bluzce z falbankami. Jasnobłond włosy przeplatane srebrnymi pasemkami sięgały ramion, ale spinała je z tyłu w ciasny kok. Jej twarz nie nosiła żadnych widocznych i godnych zapamiętania cech charakterystycznych, a para przenikliwych bursztynowych oczu skrywała się za grubymi szklami okularów w staroświeckich oprawkach. Świetnie mogłaby się wtopić niemal w każdy tłum. W rzeczywistości od dziesięcioleci pracowała dla brytyjskiego wywiadu, brała udział w operacjach kontrwywiadowczych na trzech kontynentach, i do tej pory niebez-

piecznie blisko kręgosłupa tkwił w jej ciele rumuński pocisk karabinowy. Ta rana zmusiła ją do wcześniejszego przejścia na skromną rządową rentę. Szybko jednak zmęczyło ją uprawianie niewielkiego ogródka i dołączyła do profesora.

- Dlaczego to zrobił? - zapytał Dominic.

- Pytasz, dlaczego Stalin zabijał? - warknął Mallory. - A dlaczego wąż kąsa? Albo dlaczego żarłacz pożera swoją ofiarę z tak niewyobrażalnym okrucieństwem? Tak właśnie zachowywał się Stalin; na skalę większą niż ktokolwiek przed nim czy po nim. Był szaleńcem.

- Tyle że szaleniec Stalin miał motyw - wtrąciła się Reggie i rozejrzała po pokoju. - Starał się zlikwidować ukraiński nacjonalizm. A także zniechęcić chłopów do oporu przeciwko kolektywizacji rolnictwa. Chyba nie ma dzisiaj Ukraińca, który nie straciłby w czasie Wielkiego Głodu któregoś z krewnych.

Mallory uśmiechnął się z wdzięcznością.

- Świetnie znasz historię, Reggie.

Reggie rzuciła mu zimne spojrzenie.

- Nie historię, profesorze. Horror.

Whit sprawiał wrażenie zagubionego.

- Czy ja coś przeoczyłem? Przecież to wszystko działo się w latach trzydziestych. Skoro ten Waller alias Fedir Kuczyn ma sześćdziesiąt trzy lata, to nie było go wtedy na świecie.

Mallory złożył dłonie jak do modlitwy.

- Wydaje ci się, że kiedy Stalin zmarł, to ludobójstwo się skończyło? Reżim komunistyczny trwał jeszcze całe dziesięciolecie, zanim wyzionął ducha.

- I tu pojawia się Fedir Kuczyn? - odezwała się cicho Reggie.

Mallory odchylił się w krześle i przytaknął.

- Wstąpił do wojska jako młody człowiek i stosunkowo szybko awansował. Ponieważ był nieprzeciętnie inteligentny i całkowicie pozbawiony zasad, trafił na szybką ścieżkę kariery w wywiadzie, a w końcu wylądował w tajnej policji, gdzie zdobył stanowisko zapewniające mu despotyczną władzę. Działo się to w czasach, kiedy Armia Czerwona trafiła na godnego siebie przeciwnika w Afganistanie. Na dodatek kraje satelickie jak Polska

zaczynały swój marsz ku wolności zakończony upadkiem komunizmu. Kuczyn bezpośrednio z Kremla otrzymywał rozkazy zdławienia za wszelką cenę opozycji. Kiedy jego przełożeni zbierali żniwo swoich poczynań, on stał się w gruncie rzeczy ich wysłannikiem, który miał utrzymać Kijów na wodzy. I prawie mu się to udało.

- Jak? - zapytał Whit.

W odpowiedzi Mallory otworzył swoją teczkę i gestem nakazał pozostałym zrobić to samo.

- Przeczytajcie pierwszy raport, a potem obejrzyjcie załączone do niego zdjęcia. Jeśli to was nie przekona, to obawiam się, że nic już nie zdoła.

Przez kilka długich minut w pokoju panowała cisza, jeśli nie liczyć cichych westchnień tych, którzy natrafili akurat na zdjęcia. W końcu Reggie lekko drżącymi rękami zamknęła teczkę. Spotkała już na swojej drodze wiele dwunożnych potworów, ale mimo to głębia tkwiącego w nich czystego zła zdumiewała ją i czasem wytrącała z równowagi. Obawiała się, że w dniu, w którym przestanie ją to zadziwiać, straci całe swoje człowieczeństwo. Zdarzały się dni, kiedy odnosiła wrażenie, że już ta chwila nadeszła.

- To Wielki Głód w jego wydaniu - zauważył Whit stłumionym głosem. - Tyle że on rozpylał trucizny z powietrza, zatruwał zbiorniki wody i spędzał tysiące ludzi do dołów, gdzie ich żywcem grzebano. Szalony bydlak.

- Kuczyn przeprowadził też sterylizację tysięcy młodych dziewcząt - dodała Reggie szeptem, a kiedy to mówiła, pajęczynka zmarszczek wokół jej oczu pogłębiła się jeszcze bardziej - żeby nie mogły rodzić chłopców, którzy stanęliby do walki z Rosjanami.

Mallory poklepał dłonią teczkę.

- To tylko jedna z setek różnych potworności. Jak często bywa z takimi szczywanymi lisami, Kuczyn dostrzegł zbliżający się upadek znacznie wcześniej niż jego przełożeni. Sfabrykował własny akt zgonu i uciekł do Azji, stamtąd do Australii, a potem do Kanady, gdzie na podstawie sfałszowanych dokumentów zyskał nową tożsamość i sławę, która zdołała ukryć jego prawdziwą sadystyczną naturę. Cały świat uważa go za uczciwego i odnoszącego sukcesy biznesmena, choć w rzeczywistości jest zbrodniarzem. Zgromadzenie tego materiału zajęło trzy lata.

- Gdzie on teraz jest? - zapytała Reggie, nie odrywając oczu od fotografii, którą wyciągnęła z teczki. Zdjęcie przedstawiało ludzkie szczątki wydobyte z grobu. Szkielety były małe, dziecięce.

Mallory pobudził do życia swoją fajkę i nad jego głową uniósł się obłoczek smrodliwego dymu.

- Tego lata wybiera się na wakacje do Prowansji, a konkretnie do wioski Gordes.

- Jestem ciekawa, jakie to uczucie - odezwała się Reggie, nie kierując pytania właściwie do nikogo.

- O jakim uczuciu mówisz, Reggie? - zapytał zaciekawiony Whit.

Spojrzała jeszcze raz na fotografię przedstawiającą małe kości.

- Tym, które towarzyszy umieraniu w tak pięknym miejscu jak Prowansja.

7.

Długie spotkanie dobiegło końca, poranek ustąpił miejsca zmrokowi, ale Reggie wciąż miała wiele do zrobienia. Wymknęła się z popadającego w ruinę domu i przez kilka chwil obserwowała w zapadających ciemnościach okolicę. Kiedy posiadłość stała się siedzibą organizacji Milesa Mallory'ego, zainteresowała się historią tego miejsca. W miejscu dzisiejszego domu stał niegdyś feudalny zamek. Okoliczne ziemie były lennem bogatego rycerza, który panował nad swoimi poddanymi zakuty w zbroję, gotów w jednej chwili każdemu rozłupać czaszkę swoim toporem.

Z biegiem czasu zamek podupadł i w jego miejsce pojawiła się ta posiadłość. Zależność lenna zniknęła, a dziedzice odłożyli zbroje i topory, a dłużników, którzy nie uiszczali opłat dzierżawnych, posyłali do więzienia. Posiadłość pozostawała w rękach tej samej rodziny przez wiele pokoleń, aż w końcu przypadła dalekiemu kuzynostwu pierwotnych właścicieli, których nie było już stać na jej utrzymanie. W czasie obu wojen światowych Harrowsfield - Reggie nigdy nie udało się ustalić pochodzenia tej nazwy - służyło jako szpital dla rannych żołnierzy. Następnie przez kilka dziesięcio-

leci stało opuszczone, aż do chwili gdy państwo zostało zmuszone do przejęcia go i dokonania drobnych remontów. Wreszcie odkrył je Mallory i załatwił sobie prawo użytkowania. Dla kogoś z zewnątrz pozostawało miejscem nieformalnych spotkań ekscentrycznych naukowców, których zajęcia było tyleż ezoteryczne, co nieszkodliwe.

Reggie minęła kolumny zaniedbanych bukszpanów i unoszący się nad nimi charakterystyczny zapach kociego moczu. Choć była już późna wiosna, wlokła się noga za nogą, czując na plecach podmuchy zimnego wiatru. Zapięła zamek wytartej skórzanej kurtki, która należała kiedyś do jej starszego brata. Choć umarł w wieku zaledwie dwunastu lat, to miał metr osiemdziesiąt wzrostu i teraz jego kurtka była na nią w sam raz. Wciąż jeszcze czuła się po jego śmierci słaba psychicznie, niczym pęknięta szyba, która przy najlżejszym uderzeniu może rozpaść się na kawałki.

Po przejściu czterystu metrów otworzyła drzwi tego, co pozostało z dawnej szklarni. Choć od dziesięcioleci nie było tu ogrodnika i nikt niczego nie uprawiał, jej nozdrza wciąż drażnił zapach torfu, obornika i gnijących roślin. Mijała zwisające z sufitu ramy, deptała potłuczone szkło. Zachodzące za sielski horyzont słońce rzucało cienie we wszystkich kierunkach. Chłodny powiew wiatru stał się jeszcze bardziej dokuczliwy, gdy przeciskał się przez małe otwory w oknach i ścianach, trzepotał pajęczynami i szeleścił w rozpadających się pozostałościach tego ogrodniczego raję.

Reggie dotarła do podwójnych drzwi w kącie budowli. Do masywnego zamka włożyła klucz, otworzyła drzwi i pociągnęła za łańcuszek przy zwisającej nagiej żarówce. Chwilę później rozświetlił się korytarz, do którego zeszła. Zapach wilgotnej ziemi przyprawiał ją o lekkie mdłości. Przeszła piętnaście kroków w dół po pochyłości nachylonej pod kątem dwudziestu stopni, aż wreszcie ziemia pod jej nogami się wyrównała. Nie miała pojęcia, kto i w jakim celu wydrążył ten tunel, ale teraz się przydawał. Dotarła do jego końca, gdzie stało na sztorc kilka materaców. Pomiędzy ścianami ziemianki stał mały stolik, a na nim leżała sterta kartek i mały wentylator zasilany na baterie. Wzięła pierwszą kartkę z góry i spinaczem przypięła ją do sznura zawieszzonego pomiędzy ścianami tunelu. Obok kartek na stole leżały ochraniacze na uszy i gogle. Powiesiła sobie słuchawki na szyi i nałożyła ochronne okulary.

Na kartce widniał wyblakły zarys męskiej postaci i kilka otaczających go kręgów. Odeszła na dziesięć metrów, odwróciła się, wyjęła z kabury przy pasie pistolet, sprawdziła, czy jest naładowany, założyła ochraniacze na uszy, przyjęła swoją ulubioną pozycję strzelecką, wycelowała i posłała w kierunku tarczy zawartość całego magazynka. Na dole była kiepska wentylacja i ostry swąd kordytu natychmiast wdarł się do jej nozdrzy. Na dół, przez szczeliny w szklarniowych taflach, które stanowiły sufit tunelu, spadały kawałki ziemi obruszone hukiem wystrzałów. Reggie zakaszłała, rozgoniła machnięciem dłoni dym i kurz i podeszła do tarczy, by sprawdzić wyniki. Po drodze przystanęła przy stoliku i włączyła wentylator, który zaczął się leniwie obracać. Minęło sporo czasu, nim powietrze stało się przejrzyste. Trzeba przyznać, że strzelnica była pierwszorzędna.

Siedem z jedenastu pocisków trafiło tam, gdzie chciała - w tułów. Gdyby cel był człowiekiem, wszystkie trafiłyby w najważniejsze narządy. Dwa pociski przeszły głowę. Tam także celowała. Jeden chybił celu o milimetr. Ostatni strzał był zupełnie niecelny.

Założyła nową tarczę, zmieniła magazynek i zaczęła strzelać na nowo. Dziesięć na jedenaście. Powtórzyła jeszcze raz. Jedenaście na jedenaście. Jeszcze jedna próba. Dziewięć na jedenaście. Mimo włączonego wentylatora powietrze było ciężkie od dymu i czuła, że palą ją płuca.

- Jasna cholera - warknęła, machając ręką, żeby przegonić dym. Chybiła kilka ostatnich razy, bo nie tylko nie mogła oddychać, ale i nie widziała celu. Wracala teraz tunelem, żalując, że nie ma on odpowie niej długości, ale było to jedyne miejsce, skąd odgłos strzałów nie mógł dotrzeć do uszu kogoś, kto zawiadomiłby miejscowy posterunek policji. W końcu zdzieciniali naukowcy nie powinni czuć upodobania do broni palnej. Zaskoczył ją widok Whita stojącego przy drzwiach prowadzących z powrotem do szklarni.

- Tak myślałem, że tu cię zastanę. Jak ci poszło? - zapytał.
- Fatalnie. - Zamknęła podwójne drzwi i przekręciła klucz w zamku.

Whit oparł się o przykrytą taflą szkła szafkę, która kiedyś służyła do przechowywania sadzonek. Robiło się coraz chłodniej i z jego ust wydobywały się małe obłoczki pary.

- Nie przejmuj się. Twoją bronią nie zawsze jest pistolet. Do ciebie

bardziej pasuje nóż i poduszka. To ja jestem mistrzem w strzelaniu z dziewiątki.

Wzruszyła ramionami na taką obcesowość.

- Czasami jesteś po prostu idiotą, Whit.
- Ja się nie wygłupiam. Nie spotkałem dotąd nikogo tak spiętego.
- W takim razie musisz więcej czasu przebywać między ludźmi. Tak się składa, że jestem zupełnie wyluzowana.

- A co sądzisz o tym Fedirze Kuczynie?

- Sądzę, że wkrótce złożymy mu wizytę w Prowansji.
- Jest mało czasu na zaplanowanie wszystkiego. Nie lubię działać w pośpiechu.

Wzruszyła ramionami.

- Jak mawia profesor, zmija nieczęsto wychodzi na otwartą przestrzeń. To może być nasza jedyna szansa.

- Musisz mieć pierwszorzędną przykrywkę. Ten facet dokładnie cię sprawdzi, ma możliwości.

- Wcześniej muszą tam przeniknąć nasi ludzie. - Umilkła, bo czuła, że Whit chce jeszcze coś powiedzieć.

- Chcę wziąć udział w tej akcji - rzucił szybko i zamilkł, obserwując jej reakcję. - Może byś się wstawiła za mną u profesora?

Reggie wsunęła pistolet do kabury przy pasie i wytarła dłonie w ścierekę leżącą na stole warsztatowym.

- Na razie to są tylko wstępne plany. Mamy jeszcze na to czas.

- Wiesz, jaki jest Mallory. Do prowadzenia operacji jak zwykle wybierze ciebie.

- Przecież tobie też zdarzało się dowodzić, Whit - odparła stanowczo.

- Tak, zanim ty się pojawiłaś. Nie zrozum mnie źle. O nic cię nie obwiniam. Jesteś świetna, po prostu niesamowita w tym fachu. Ponieważ polujemy zwykle na staruchów, dobrze jest, kiedy kobieta łązi za ich obstawą. Ale przecież ja nie jestem gorszy. Nie wziąłem tej roboty po to, żeby ciągle nosić za kimś torbę. Też chcę coś z tego mieć.

Zastanawiała się chwilę nad jego słowami.

- Porozmawiam z profesorem. W końcu Kuczyn to nie jest dziesięcioletni nazista, który da się podejść, gdy zobaczy ładną buzię i ka-

wałek uda.

Whit uśmiechnął się szeroko i podszedł bliżej, taksując ją wzrokiem.

- Nie bądź taka skromna, Reg. To działa na większość mężczyzn. Starych i młodych.

Uśmiechnęła się i klepnęła go lekko w policzek.

- Dzięki za propozycję, ale spływaj. - Zanim Whit zdołał zrobić kolejny krok w jej kierunku, Reggie ominęła go i ruszyła w stronę domu. Zatrzymała się jeszcze tylko raz - przy cmentarzyku, który znajdował się w przyzwoitej odległości od domu, za kępą brzoź i był otoczony żywopłotem z dorodnych angielskich cisów. Nagrobki pociemniały już ze starości. Wydawało się, że jest tu chłodniej, jakby to zmarli oziębiali powietrze.

Stała przed jednym z grobów i jak zawsze przeczytała wyryte w kamieniu słowa.

Laura R. Champion, urodzona 1779, zmarła 1804. Anioł posłany do nieba.

Nie miała pojęcia, czy jest krewną tej Laury R. Champion, ani czy jej drugie imię brzmiało Regina. Miała zaledwie dwadzieścia pięć lat, kiedy zmarła; w tamtych czasach nie było to niczym wyjątkowym. Pewnie umarła przy porodzie, jak tyle innych kobiet. Kiedy Reggie pewnego ranka podczas spaceru odkryła ten napis, postanowiła znaleźć innych Championów pochowanych w tym miejscu. I choć inne nazwiska powtarzały się, to drugiego grobu ze swoim nazwiskiem nie znalazła. Szukała Laury R. Champion w Internecie i w bibliotekach, ale bez powodzenia. Thomas Champion był poetą, urodził się w szesnastym wieku, a jeden z jego najbardziej znanych utworów nawiązywał do jakiejś Laury. Tyle że nie miało to związku z poszukiwaniami Reggie.

W drodze powrotnej do domu myślała o swojej rodzinie, a właściwie o swojej dawnej rodzinie: Z tego, co wiedziała, na świecie pozostała tylko ona. Jej drzewo genealogiczne było dość skomplikowane. I z tego właśnie powodu czuła pustkę w sercu. To była prawdziwa martwa strefa. Ilekroć próbowała zmierzyć się z tym, co popychało ją do wędrowania po świecie i zwalczania zła, ta martwa strefa odpychała ją, nie pozwalała się zbliżyć, nie pozwalała swobodnie oddychać.

Zabrała swoje rzeczy i ruszyła z powrotem do Londynu. Przyjdzie czas

na kolejne narady w Harrowsfield, szczegółowe sprawozdania z rozpoznania. W końcu narodzi się plan, który pozostanie dopracowywać, z którego trzeba będzie usunąć wszelkie możliwe błędy. Kiedy przygotowania zostaną zakończone, poleci do Prowansji i spróbuje zabić kolejnego potwora. I to przyniesie Reginie Champion pociechę.

8.

Shaw był w Paryżu i właśnie kończył dzień intensywnych przygotowań. Przebrał się w spodnie do kolan i luźny biały T-shirt i ruszył biegiem nad Sekwanę, mijając po drodze Jardin Des Tuileries, Musée de l'Orangerie i Grand Palais. Biegi Avenue de New York, przez most nad Sekwaną dzielącą Paryż na dwie części przedostał się na drugi brzeg i kilka minut później znalazł się pod wieżą Eiffla. W pełnym zieleni parku zwolnił nieco, a po chwili znów przyspieszył. Dotarł wreszcie do dzielnicy Saint-Germain na lewym brzegu, gdzie znajdował się jego mały hotelik. Kiedy przyjeżdżał do Paryża, wołał zatrzymać się w sąsiedniej dzielnicy łacińskiej, ale tym razem Frank zarządził inaczej.

Wziął prysznic, zmienił ubranie i spotkał się z Frankiem na kolacji nieopodal muzeum Orsay. Siedzieli w odległym kącie w ogródku restauracji, osłonięci od chodnika prostokątnymi żardynierami ustawionymi na wysokich żeliwnych stojakach. Przed wyjściem Frank wręczył mu kartkę papieru.

- Co to jest?
- Numer telefonu.
- Do kogo?
- Po prostu zadzwoń.

Frank zsunął kapelusz na czoło i odszedł. Shaw widział jeszcze, jak w wejściu zatrzymuje się na chwilę i zapala swoją ulubioną cygaretkę, a następnie znika szybko w tłumie ludzi na ulicy.

Shaw wracał do hotelu, próbując poprawić sobie nastrój i chłonąc magiczną atmosferę tego jednego z najbardziej zachwycających miast na

świecie, ale skutek był odwrotny. To w szpitalu w Paryżu, gdzie walczył o życie po tym, jak pewien neonazista o mało nie odrąbał mu ramienia, dowiedział się o śmierci Anny. Wcześniej poprosił ją o rękę, a ona przyjęła oświadczyzny. Była utalentowana poliglotką i swoje „tak” powiedziała w wielu językach. Shaw wybrał się nawet do małego miasteczka w Niemczech, gdzie mieszkali jej rodzice, żeby oficjalnie poprosić ojca o jej rękę.

Zaraz potem umarła.

Droga zaprowadziła Shawa nad rzekę. Mostem przeszedł na wyspę, gdzie stała katedra Notre Dame. Ostatnio oczyszczono jej mury; woda pod ciśnieniem zmyła wielowiekową warstwę brudu. Tymczasem Shawowi bardziej się podobała brudna. Zerknął na zegarek. Dochodziła dziewiąta, a świątynię zamykano w weekendy o szóstej czterdzieści pięć. Turyści wciąż jeszcze włóczyli się wokół, fotografując piękne mury i siebie na ich tle. Shaw nie był zbyt religijny i sam nie wiedział, dlaczego tu przyszedł.

Chciał się pomodlić? W takim razie nie miał szczęścia. Bóg najwyraźniej zamykał się na noc.

Wrócił do hotelu, otworzył drzwi swojego pokoju, usiadł na krześle przy małym stoliku i wyjął z kieszeni skrawek papieru. Sięgnął po swój telefon komórkowy i wybrał numer.

- Halo?

Shaw nie słyszał jej głosu od miesiąca. Nie był na to przygotowany i rozłączył się. *Niech cię szlag, Frank*. Shaw myślał wcześniej, że numer telefonu ma coś wspólnego z obecną misją.

Głos należał do Katie James.

Położył się na łóżku i wpatrywał w bładoniebieski sufit.

Ostatni dzień, który spędzili razem, nie wyglądał tak, jak sobie tego życzył. A może i wyglądał, ale o brzasku wyszedł z hotelu w Zurychu, gdzie się zatrzymali, złapał autobus na lotnisko i wsiadł do pierwszego odlatującego samolotu; nie zainteresował się nawet, dokąd leci. Katie obudziła się, zeszła na śniadanie, gdzie miała się z nim spotkać, i pewnie wpadła w szal, gdy się nie pojawił. Próbowwała się do niego dodzwonić, ale on nigdy nie oddzwonił. Zmienił numer telefonu. Właściwie nie wiedział, dlaczego tak postąpił. Nigdy wcześniej przed niczym ani przed nikim nie uciekał. Ale wtedy obudził się w chłodny poranek w Szwajcarii i zrozumiał, że musi

być sam.

I po prostu uciekłem.

Ponownie spojrzął na kartkę papieru. Powinien dać jej przynajmniej okazję, żeby go porządnie zrugowała za to, co zrobił. Minęła jednak godzina, a on się nie poruszył.

W końcu usiadł i wybrał jej numer.

- Witaj, Shaw - powiedziała.
- Skąd wiedziałas, że to ja?
- Dzwoniłeś godzinę temu i szybko się rozłączyłeś.
- Nie mogłaś tego wiedzieć. Mam zablokowaną identyfikację numeru.
- Mimo to wiedziałam, że to ty.
- Skąd? Nikt inny do ciebie nie dzwoni?
- Nie pod ten numer. Jedyłą osobą, której dałam ten numer, jest Frank, a on mógł przekazać go tobie.

- No dobrze - odrzekł powoli. - Dlaczego więc nie oddzwoniłaś? Wystarczyło wcisnąć ponowne wybieranie.

- Postanowiłam dać ci czas do namysłu. Jak się miewasz?
- Nie zamierzasz na mnie krzyknąć?
- Czy to by coś zmieniło?

To niepodobne do Katie, którą znał. Tamta kobieta nie kryła swych uczuć. Cechowała ją też impulsywność. Shawa drażniło to czasem, ale i podobało mu się, bo była jego zupełnym przeciwieństwem. A przynajmniej tak mu się wydawało, ponieważ w jej towarzystwie potrafił się zdobyć na spontaniczność.

Wstał i podszedł do okna wychodzącego na brukowane podwórko hotelu.

- U mnie wszystko w porządku. A u ciebie?
- Znów pracuję jako wolny strzelec. Miałam kilka ofert stałej pracy, ale żadna mnie nie zainteresowała.
- Same szmatławce?
- „New York Times”. „Der Spiegel” w Niemczech, a nawet „Rolling Stone”, jak sam widzisz, dno.
- Wydawało mi się, że chcesz wrócić do gry.
- Chyba się myliłam. Jak tam Frank?

- Po staremu.
- W takim razie przynajmniej ty wróciłeś do gry.
- Raczej tak - mruknął.
- Gdzie jesteś?
- W pracy.
- Ja jestem teraz w San Francisco. Kiedy zrobisz sobie przerwę?
- Nie jestem pewny.
- Nie jesteś pewny, czy uda ci się przeżyć następną robotę, tak?

Nie odpowiedział.

- Cóż, gdybyś chciał kiedyś porozmawiać, znasz mój numer.
- Katie?
- Tak? - Shaw słyszał jej nieco przyspieszony oddech.
- Miło cię było słyszeć.
- Uważaj na siebie. I pamiętaj, nie musisz robić wszystkiego, co każe ci Frank.

9.

Dominic odstawił szklanekę piwa i klepnął Reggie w ramię.

- Przepraszam, Dom, co mówiłeś? - zapytała z zakłopotaniem.

Siedzieli w restauracji kilka przecznic od jej londyńskiego mieszkania.

Dominic coś mówił, a jej myśli odpłynęły gdzieś daleko.

- Że wiem o twojej rozmowie z Whitem na temat tego, co się szykuje.
- Przyszedł do mnie na strzelnicę. Powiedział ci, że zamierza to zrobić?
- Prawdę mówiąc, to ja mu doradziłem, żeby do ciebie poszedł.
- Dlaczego do mnie? Mógł udać się wprost do profesora.
- Oni nie zawsze się zgadzają.

Reggie zmarszczyła brwi.

- Każdemu z nas zdarza się nie zgadzać z profesorem. To zupełnie naturalne.

Łyknęła herbaty i bawiła się leżącym na talerzu ciastkiem. Na zewnątrz

było szaro i dżdżysto, a wiatr smagał szyby w oknach, próbując się wdrzeć do środka. Naprzeciwko nich w okopconym kominku trzaskał słaby ogień. Reggie czuła, że jeśli taka pogoda utrzyma się przez całe lato, połowa Londynu popełni samobójstwo, a druga połowa zacznie poważnie rozważać taką ewentualność. W normalnych warunkach podróż do ciepłej, słonecznej Prowansji byłaby darem niebios. *W normalnych warunkach.*

- Wiedziałaś, że to on chciał zająć się Huberem, ale profesor odmówił?

Pochyliła się w jego stronę i zniżyła głos.

- To był Huber. Strzelający dookoła Whit niewiele by zdziałał. Stary hitlerowiec pragnął cycków i tyłka, a nie drażliwego Irlandczyka z tatuażami i glockiem.

Dominic uniósł brwi.

- Whit ma tatuaż?

Reggie westchnęła ze znużeniem.

- Daj mi spokój, Dom. Jestem zmęczona.

- Ale w operacji przeciwko Kuczynowi Whit mógłby wziąć udział?

- Obiecałam mu, że porozmawiam z Mallorym, więc to zrobię. - Zerknęła na niego znad filiżanki. - A co z tobą? Jaką rolę chcesz odegrać?

Dominic wzruszył ramionami.

- Po naszym pierwszym spotkaniu przeczytałem sobie o Wielkim Głodzie. Naprawdę chcę dopaść tego drania.

- Nie pozwól, żeby kierowały tobą emocje. Stracisz koncentrację, a wtedy łatwo o błąd.

- Jak ty to robisz, że niczego nie czujesz?

Przysunęła się jeszcze bliżej i uśmiechnęła uwodzicielsko.

- Powiem ci jak. Za każdym razem, kiedy Huber kładł dłoń na moim tyłku, wyobrażałam sobie, że to ty, Dom, i to mi poprawiało nastrój. Dzięki temu jakoś to przeżyłam. - Włożyła sobie do ust ciastko.

Speszony Dominic zamrugał, a jego policzki przybrały czerwoną barwę.

Reggie roześmiała się.

- Żartuję. Posłuchałam rady Whita, żeby się trochę rozchmurzyć. A poważnie, kiedy Huber to robił, nie dotykał mnie, tylko swojej niemieckiej laluni Barbary. Żeby go dopaść, musiałam odegrać swoją rolę. To była

tylko gra. Właśnie tak daję sobie z tym radę. Gdybym podchodziła do tego emocjonalnie, przegrałabym, a on nadal by żył.

Dominic dopiło piwo.

- Jak to było?

Spojrzała na niego wzrokiem bez wyrazu.

- Kiedy wkładał mi łapę pod sukienkę?

- Nie. Chodzi mi o... no, wiesz.

- Szczerze mówiąc, wcale o tym nie myślałam. Po prostu to zrobiłam.

- Nigdy jeszcze nie musiałem tego zrobić. Byłem ciekawy, jak to jest.

- Kiedy przyjdzie czas, dasz sobie radę, Dom. U każdego to wygląda inaczej, ale ty wykonasz zadanie. Nie mam żadnych wątpliwości.

Dominic milczał przez chwilę, a potem odezwał się cicho:

- Inni, kiedy polują na nazistów, oddają ich w ręce policji i stawiają przed sądem. Dlaczego my nie postępujemy tak samo?

Reggie pochyliła się i prawie wyszeptwała:

- O tych przypadkach czytasz w gazetach. Naprawdę myślisz, że nie ma grup, które oddają Niemców bezpośrednio Izraelczykom? I myślisz, że Żydzi stawiają ich przed sądem? Ludzi przestaje to obchodzić. Amerykanie mają w Departamencie Sprawiedliwości specjalny wydział, który zajmuje się nazistami. Obcięto mu fundusze i zatrudnienie, ponieważ wszystkim się wydaje, że starzy zwolennicy Hitlera już prawie wymarli. Tak jakby Trzecia Rzesza miała monopol na całe zło. W Afryce, Azji, Europie Wschodniej widziałam ludobójstwo, o jakim się nikomu nie śniło. W tym wypadku nie istnieją granice geograficzne. Każdy, kto myśli inaczej, jest niespełna rozumem.

Po dłuższej chwili milczenia Dominic zmienił temat.

- A jak idzie opracowywanie planu?

Spojrzała na niego surowo.

- Nie zamierzam na ten temat dyskutować w miejscu publicznym.

- Przepraszam. Jadę dziś wieczorem do Harrowsfield.

Reggie się rozluźniła.

- Ja też. Profesor chce zacząć wcześniej. A para, która mieszka nade mną, bez przerwy się rżnie. Słyszę tylko: „O Boże, O Boże, o tak, rób mi tak!”. Włączam radio na cały regulator, ale i tak doprowadza mnie to do

szafu. Chcesz jechać ze mną?

- Nie, jadę motocyklem.
 - Masz na myśli tę swoją raketę? - zapytała cierpko.
 - Co? Aha, widzę, że rozmawiałas z Whitem nie tylko o operacji.
 - Nie za mocno pada na jazdę na dwóch kółkach?
 - Mój sprzęt nadaje się na każdą pogodę - odparł i dodał ze smutkiem:
- W Harrowsfield podoba mi się bardziej niż w domu w Richmondzie.
- A ja się cieszę, że wreszcie porządnie się wyśpię.
 - W takim razie do zobaczenia na miejscu. Muszę jeszcze zatankować.
- Kiedy zbierali się do wyjścia, Reggie położyła dłoń na jego ramieniu.
- Gdy przyjdzie odpowiednia chwila, musisz się skoncentrować na tym, żeby sprawiedliwości stało się zadość. To wszystko. I dasz sobie radę. Gwarantuję.

10.

Następnego ranka Reggie wstała wcześniej. Siedziała w swojej sypialni na trzecim piętrze w Harrowsfield i drżała z zimna. Tej części domu nigdy nie ogrzewano. Wyrzała przez okno. Deszcz przestał padać i wydawało jej się nawet, że zza chmur zaczyna wyglądać słońce. Umyła twarz wodą z kranu, przebrała się w dres i tenisówki, wyszła z domu tylnymi drzwiami i zaczęła biec. Po przebiegnięciu ośmiu kilometrów, spocona i rozgrzana, wróciła do domu. Z kuchni dolatywał zapach parzonej kawy i jajeczniczy na bekonie. Umyła się szybko pod prysznicem, dzielnie znosząc splukiwanie zimną wodą przy akompaniamencie brzęczenia starych rur. Przebrała się w dżinsy, sweter z dekoltem w serek, włożyła buty na płaskim obcasie i zeszła na dół.

Zdarzało się, że Harrowsfield odwiedzało nawet dwadzieścia osób naraz, ale wiedziała, że dzisiaj będzie ich co najwyżej dziesięć. Część historyków pracowała w bibliotece i w znajdujących się na parterze i pierwszym piętrze gabinetach. Ich zadaniem było natrafienie na trop kolejnego potwora, którym organizacja mogłaby się zająć. Byli także filolodzy zajmujący

się językami, którymi mówiono na terenach, gdzie pojawiało się kolejne wcielone zło. Jeszcze inni ślęczeli nad starymi depeuszami, wykradzionymi dokumentami dyplomatycznymi i ręcznie spisаныmi relacjami o przeróżnych okrucieństwach, przemyconymi z krajów Trzeciego Świata. Zadanie stawało się coraz trudniejsze. Naziści bardzo skrupulatnie gromadzili wszelkie dokumenty. Sadyści, działający w innych częściach świata, nie zostawiali tyłu śladów swoich niegodziwości.

Mallory nadzwyczaj dokładnie sprawdzał wszystkich ludzi, którzy mieli dla niego pracować. Nie prowadzono, rzecz jasna, oficjalnej rekrutacji. Trudno zamieścić ogłoszenie w gazecie o poszukiwaniu szukających sprawiedliwości ochotników gotowych zabijać tych, którzy na śmierć zasłużyli.

Pewnego razu Mallory miał gościnne wykłady na uniwersytecie i tam znalazł Reggie. Po trwających miesiąc swojego rodzaju umizgach poruszył temat oddania w ręce sprawiedliwości nazistów, którym udało się opuścić Niemcy przed upadkiem Trzeciej Rzeszy. Kiedy zareagowała entuzjastycznie na ten pomysł, posunął się nieco dalej, kończąc na teoretycznej możliwości zaoszczędzenia światu wydatków na proces i wzięcia na siebie roli egzekutorów.

Minęło kilka miesięcy, w czasie których Mallory pozwalał, by się z tym pomysłem oswoiła. Kiedy sama zwracała się do niego z kolejnymi pytaniami, odpowiadał, ale nie wyjawiał wszystkiego. A gdy wyczuł, że zaangażowanie Reggie rośnie, pozwolił jej się spotkać z kilkoma innymi członkami organizacji. Jednym z nich był Whit, drugim Liza. Minął kolejny miesiąc i Mallory pokazał jej wycinki prasowe na temat starszego mężczyzny zamordowanego w Hongkongu. Choć ta informacja nigdy nie trafiła do opinii publicznej, Mallory powiedział jej, że mężczyzna został zidentyfikowany jako komendant jednego z obozów koncentracyjnych i prawa ręka Heinricha Himmlera. W nocy długo rozmawiali na temat aspektów etycznych takich operacji. Nie zostało to powiedziane wprost, ale Reggie podejrzewała, że za tym zabójstwem stoi profesor i ludzie, których dzięki niemu poznała. Od tej chwili zapragnęła przyłączyć się do nich.

Wtedy właśnie profesor zabrał ją do Harrowsfield. Przeszła wiele testów, podczas których badano, czy ma odpowiednie predyspozycje psychiczne do zostania członkiem organizacji. Przebrnęła przez nie bez trudu,

wykazując opanowanie, które nawet ją zaskoczyło. Następnie przyszła kolej na sprawność fizyczną. Trenowała lekkoatletykę, ale została poddana takiemu treningowi, że osiągnęła poziom siły i wytrzymałości, o jakie się nie podejrzewała. O mało nie wypluła płuc, kiedy zmuszała umęczone ciało do pokonywania zdradliwych terenów, które nie powinny występować na sielskiej prowincji w Anglii. O Whicie Beckhamie dobrze świadczył fakt, że poddawał się szkoleniu wraz z nią, choć wcześniej już przeszedł testy. Później przyszedł czas na szkolenie specjalistyczne: broń, walka wręcz i sztuka przetrwania w ekstremalnych warunkach.

W czasie zajęć teoretycznych uczyła się rozpracowywać ludzi, którzy mieli stać się celem, badać ich przeszłość i zdobywać na ich temat cenne informacje. Uczyła się języków obcych i kłamania bez mrugnięcia okiem, odgrywania różnych ról i rozpoznawania, że ktoś inny robi to samo. Musiała się nauczyć dyskretnie śledzić drugą osobę. Te i wiele innych umiejętności wpojono jej tak mocno, że wykorzystywała je automatycznie.

Kiedy szkolenie dobiegło końca, wzięła udział w trzech misjach w charakterze wsparcia. Dwiema operacjami dowodził Whit, a trzecią zakończył Richard Dyson, doświadczony pogromca nazistów, który wkrótce potem przeszedł na emeryturę. Pierwsza kierowana przez nią operacja była wymierzona przeciwko mieszkającemu w Azji staremu Austriakowi, który pomagał Hitlerowi zabijać setki tysięcy ludzi tylko dlatego, że modlili się do Jahwe. Wkraśla się w jego otoczenie jako niania dziecka jego młodej żony. Ten drań zenił się pięć razy. Majątek zdobyty dzięki kradzieżom dzieł sztuki w czasie wojny pozwalał mu bez przerwy się rozwodzić i ponownie zenić, a mimo to żyć w luksusie. Mieli tylko jedno dziecko, pięcioletniego chłopca, który przyszedł na świat dzięki sztucznej zapłodnieniu spermą dawcy. Reggie podejrzewała, że stary hitlerowiec wybierał dawcę, kierując się kolorem skóry i włosów oraz wzrostem, czyli zdecydował się na białego, wysokiego blondyna.

Pracowała u nich przez miesiąc i w tym czasie stary kilka razy próbował się do niej dobierać. Z tego, co pewnego wieczoru powiedział w alkoholowym otępieniu, wywnioskowała, że mogłaby z łatwością zostać jego szóstą żoną, gdyby tylko właściwie to rozegrała. Pewnej nocy, tak jak o to prosił, pojawiła się w jego sypialni - zgodnie z jego decyzją on i żona sypiali od-

dzielnie. Był pijany i Reggie z łatwością sobie z nim poradziła. Kiedy był już związany i zakneblowany, wyjęła i pokazała mu zdjęcia niektórych jego ofiar - taka była reguła wszystkich operacji. W ostatnich chwilach życia zbrodniarze musieli wiedzieć, że dosięgła ich w końcu ręka sprawiedliwości.

Początkowo strach, jaki się malował na jego twarzy, sprawiał Reggie zadowolenie. Ale zawahała się, kiedy należało kończyć. Nikomu o tym nie powiedziała. Ani Whitowi, ani tym bardziej profesorowi. Kiedy dodawała odwagi Dominicowi, pamiętała dobrze o tamtym zdarzeniu. Zbrodniarz patrzył na nią błagalnie. W trakcie szkolenia mówiono jej, że taki moment może nastąpić. Uprzedzano również, że żadne szkolenie w pełni jej na to nie przygotowuje.

Mieli rację.

Jej determinacja topniała z każdą kolejną łzą ronioną przez tego bezbronnego w tej chwili staruszka. Kiedy opuściła rękę trzymającą nóż, ujrzała w jego oczach ulgę. Mogła przecież powiedzieć, że została zdemaskowana i operacja się nie powiodła. Nikt by się nie dowiedział prawdy.

Nie doszło do takiego zakończenia z dwóch powodów. Pierwszym był szyderczy uśmiezek, jaki się pojawił na jego twarzy, gdy tylko zobaczył, że Reggie słabnie. Drugim było zdjęcie dwuletniego Daniela Abramowitza z dziurą po kuli w głowie. Fotografia pochodziła z prywatnego archiwum nazisty, gromadzonego przez niego w latach, kiedy był komendantem obozu.

Zatopiła nóż w jego piersi aż po rękojęść. Tak jak ją nauczono, szarpnęła ostrzem najpierw w górę, potem w dół, a potem powtórzyła ten sam ruch na boki, rozrywając tętnice i komory serca. Szyderstwo znikło z jego oczu. Przez długą ostatnią sekundę, w której tliło się jeszcze w nim życie, widziała na jego obliczu nienawiść, strach, złość, ponownie strach, a potem już tylko pozostało puste, szkliste spojrzenie śmierci.

- Oby Bóg zrozumiał, dlaczego to robię - wyszeptała słowa, które stały się jej mottem.

Reggie nigdy więcej już się nie zawahała.

11.

Reggie zabrała z kuchni kilka posmarowanych masłem tostów i położyła je na talerzu obok smażonej kielbaski i pokrojonego jabłka. Z filiżanką herbaty w drugiej ręce przeszła do biblioteki. Kiedy stanęła w progu, profesor Mallory podniósł wzrok znad grubej, napisanej po polsku książki, odłożył fajkę i uśmiechnął się.

- Wydawało mi się, że cię słyszałem wczoraj wieczorem. Twój samochód wydaje charakterystyczny dźwięk.

- To się nazywa przepalona rura wydechowa. - Usiadła obok niego, nałożyła kielbasę na kanapki, ugryzła i popiła herbatą. - Gdzie jest Whit?

- Chyba jeszcze nie dotarł. Ale spodziewamy się go wkrótce.

- Chciałam z panem porozmawiać na temat ekipy do operacji przeciwko Kucziniowi.

Mallory odłożył książkę. Muszkę miał znowu przekrzywioną, ale tego ranka przynajmniej kołnierzyk koszuli leżał jak należy, a poza tym profesor chyba niedawno się uczesał.

- Masz jakieś propozycje? - zapytał.

- Uważam, że znaczącą rolę powinien odegrać Whit.

- Czy prosił, żebyś ze mną rozmawiała?

- To za dużo powiedziane.

- Jesteś w trudnej sytuacji, rozumiem. On też.

- Co pan ma na myśli?

- Cóż, zajęłaś jego miejsce w dowodzeniu misjami, Regino. - Profesor był jedyną osobą w tym towarzystwie, która zwracała się do niej jej właściwym imieniem.

- Ja tak nie uważam.

- Ale tak właśnie się stało.

- Szczerze mówiąc, profesorze, mógłby pan okazać nieco więcej taktu.

Uśmiechnął się, słysząc lekki wyrzut w jej głosie.

- Jeśli próbujesz ukryć prawdę lub naciągać fakty, możesz dojść do

błędnych wniosków.

- Whit to nasz wielki skarb.

- W pełni się z tobą zgadzam. I gdybyśmy ścigali kobiety, moglibyśmy go pewnie lepiej wykorzystać. Niestety, nasze cele to zwykle mężczyźni; na dodatek heteroseksualni.

- Przecież Whit ścigał też mężczyzn. I to z sukcesem.

- Jeśli za sukces uznamy fakt dokonania egzekucji, to tak, z sukcesem.

Ale musimy w pełni panować nad naszą działalnością. Gdyby, na przykład, pozostały jakieś ślady tłumaczące, dlaczego zabiliśmy tych ludzi, i informacje te dotarłyby do opinii publicznej, wiesz, co by się stało?

- Pozostali by się ukryli. Ale przecież nie ma już więcej nazistów.

- To nie zmienia postaci rzeczy. I jedna poprawka. Nie ma więcej nazistów, o których wiemy. Dalsze badania mogą sprawić, że zostanie jeszcze wiele do zrobienia na tym polu. Weźmy takiego Kuczina. Jeśli go unieszkodliwimy, a cokolwiek przedostanie się do opinii publicznej, ostrzeżenia zostaną pozostali zbrodniarze z Europy Wschodniej, którzy prowadzą teraz nowe życie. A badamy obecnie życiorysy co najmniej tuzina takich ludzi.

- Ale przecież nie rozpowszechniamy wiadomości o motywach zabójstw. Nigdy nic nie wyciekło.

- To niejedyny sposób, żeby kogoś ostrzec.

- Nie rozumiem, co pan ma na myśli.

- Twoim pierwszym celem był pięciokrotnie żonaty Austriak. Związałaś go i zrobiłaś, co do ciebie należało, ale przetrząsnęłaś dom i popsulaś zamki, więc wyglądało to na rabunek. Poza tym nie czmychnęłaś od razu; przeciwnie, byłaś tam w trakcie śledztwa, więc nikt cię o nic nie podejrzewał. A teraz weźmy Whita. Zdarzyło się to, zanim do nas dołączyłaś. Kierował akcją, w której zabił byłego szefa gestapo, strzelając mu w genitalia. Miał mu wstrzyknąć truciznę, której po dwóch minutach już by nie wykryto. Twierdził, że ampułka z trucizną się stłukła. Nie trzeba być geniuszem, żeby dojść do wniosku, że strzelanie w miejsce intymne i pozostawienie ofiary, aż się wykrwawi, to akt zemsty. Takie działanie mogło utrudnić kolejne misje.

- Może ampułka rzeczywiście się rozbiła. Nie zawsze wszystko idzie gładko.

Z twarzy Mallory'ego zniknął dobrotliwy uśmiech.

- Ach, przepraszam, zapomniałem o jednej, najważniejszej sprawie. Whit namalował na czole gestapowca krwią swastykę i miał potem czelność zapytać mnie, czy moim zdaniem to nie było zbyt subtelne.

- Hmm... - Reggie lekko się uśmiechnęła.

- No właśnie, hmm. Prasa na całym świecie miała używanie, nam trudniej było potem pracować. Doszło z tego powodu do sporej awantury pomiędzy mną a panem Beckhamem.

- Nie wątpię.

- Jeśli chodzi o Hubera, uwierzono, że zmarł przy próbie odbycia stosunku z piękną Barbarą, która uciekła, bojąc się kary. Nikt tego nie kwestionuje, bo Huber miał dziewięćdziesiąt sześć lat i zmarł szczęśliwy. - Profesor nie mógł powstrzymać się od okazania wesołości, mówiąc ostatnie słowa.

- Ale w obecnej sprawie mamy pewną przewagę. Nikt na świecie nie ma pojęcia, że Evan Waller to Fedir Kuczyn. Nawet jeśli umrze w tajemniczych okolicznościach, inni żyjący pod przybranym nazwiskiem zbrodniarze tego nie zauważą.

Profesor potrząsnął głową.

- Nie, nie. Nie możemy na to liczyć. Jest prasa. Będzie śledztwo. Ktoś gdzieś może go rozpoznać. Skrywał swoją tożsamość przez całe dziesięciolecie. Nie widać go nawet na imprezach charytatywnych, które tak lubi organizować. Wszystko odbywa się przez pośredników. I dlatego nie możemy zwracać na siebie niepotrzebnie uwagi.

- Nie mogę udawać, że pragnę mężczyzny, którego mam za chwilę zabić, tak jak to było z Huberem. Są pewne granice. Może Kuczyn ma innych wrogów i na nich uda się skierować podejrzenia. Co wiemy o jego innych interesach?

Mallory wzruszył ramionami.

- Niewiele. Nasi ludzie mieli inne priorytety. Szukali Kuczyna, a nie nieuczciwego przedsiębiorcy. Niewykluczone, że prowadził jakieś inne interesy zgodne z jego zbrodniczą naturą, ale nic o nich nie wiem i nie mamy czasu już się tym zajmować.

Reggie usiadła wygodnie.

- Nadal uważam, że Whit powinien się tym zająć. Wygląda na to, że Kuczyn potrafi zadbać o swoje bezpieczeństwo. Sama nie dam mu rady.

Poza tym to powinien być zbiorowy wysiłek całego zespołu.

- To prawda, nasza zwierzyna jest młodsza i silniejsza. - Poglądził się bezwiednie po brodzie. - Całkowicie się z tobą zgadzam. W tym wypadku przyda się siła mięśni. A Whit, mimo swoich wad, ma mięśnie. Możesz mu powiedzieć, że się zgodziłem.

Reggie spojrzała na profesora z irytacją.

- Dlaczego sam pan mu nie powie?

Mallory wydawał się speszony.

- Nasze stosunki są nie najlepsze. A teraz omówmy jeszcze kilka szczegółów, nim rozpocznie się narada.

- Dlaczego pan to robi, profesorze? - zapytała niespodziewanie.

- Co? Masz na myśli palenie tej smrodliwej fajki?

- Nie jest pan Żydem. Nigdy nie wspomniał pan, żeby ktoś z pana bliższych ucierpiał z powodu tych ohydnych kreatur. Więc dlaczego?

Wpatrywał się w nią nieruchomym wzrokiem.

- Czy potrzebny jest powód, żeby upominać się o sprawiedliwość?

- Niech pan odpowie.

- Nie dzisiaj. Może innym razem. Ale powiem ci jedno. Spodoba ci się twoje mieszkanko w Prowansji.

- Naprawdę? Dlaczego?

- To pięciopiętrowa willa z niesamowitym widokiem na dolinę Luberon. Do Gordes będziesz miała pięć minut spacerem. Willa jest straszliwie droga, wynajęcie pokoju kosztuje więcej, niż zapłaciłem za cały swój domek. A na koniec najlepsze.

- To znaczy?

Mallory z zadowoleniem poruszył swoimi krzaczastymi brwiami.

- Willa znajduje się obok miejscy, gdzie zatrzyma się Fedir Kuczyn.

12.

Evan Waller usiadł w fotelu za biurkiem i piąty raz z rzędu czytał arkusz kalkulacyjny. Uwielbiał liczby; jego lotny umysł w mig sobie z nimi.

radził, wyciągając z danych liczbowych prawidłowe wnioski. Podjął decyzję, wstał, nalał sobie odrobinę macallana i wypił. Odstawił szklanę, wziął do ręki pistolet i wymierzył w przywiązanego do krzesła mężczyznę.

- Powiedz mi, co ja mam z tobą zrobić, Anwar? - Miał niski głos, niewolny od śladów słowiańskiego pochodzenia. Mówił tonem, jakiego używa niezadowolony ojciec wobec źle zachowującego się dziecka.

Anwar był niskim, dość tęgim mężczyzną. Miał okrągłą twarz i skórę, która zwykle była koloru jasnego brązu, ale teraz na policzkach, czole i szczęce widać było tylko żółte i czerwone siniaki. Przez jego lewy policzek po nozdrza biegła bruzda po nacięciu ostrzem noża. Krew na niej już zastygła i szerniała. Ciemne włosy, mokre od potu, przylegały ściśle do czaszki.

- Proszę, panie Waller, bardzo proszę. To już się nie powtórzy, przysięgam.

- Jak mogę ci zaufać? Powiedz mi. Chcę znaleźć jakieś rozwiązanie. Cenię sobie twoją pracę, ale muszę mieć pewność, że mogę ci zaufać.

- To przez nią. To ona mnie namówiła.

- Ona? Opowiedz mi o tym.

Zanim odpowiedział, z ust spłynęła mu kropla krwi i spadła na spódnie.

- Moja żona. Ta suka wydaje pieniądze jak szalona. Pan mi dobrze płaci, ale jej ciągle mało.

Waller usiadł na krześle naprzeciwko jeńca. Opuścił broń i wydawał się zaintrygowany.

- Więc namówiła cię do tego Gisele? Kazała ci kraść, żeby mogła wydawać pieniądze? - Klasnął w dłonie. Kłaśnięcie zabrzmiało jak wystrzał i Anwar się skulił. - Od samego początku miałem do niej zastrzeżenia. Mówiłem ci o tym, pamiętasz?

- Wiem, proszę pana, wiem. Jak zwykle miał pan rację. Gdyby nie ona, nigdy nie zrobiłbym tak okropnej rzeczy. Czuję się z tym paskudnie. Przecież był pan dla mnie taki dobry. Jak ojciec. Nawet lepszy niż ojciec.

- Przecież jesteś mężczyzną, Anwar. I muzułmaninem. Powinieneś panować nad swoją kobietą. To część waszej kultury. I religii.

- Ale ona jest Brazylijką! - wykrzyknął Anwar, jakby to tłumaczyło wszystko. - To diabeł w kobiecej postaci. Cholerna dziwka. Nikt nie potrafi jej ujarzmić. Próbowalem, ale ona mnie bije. Mnie! Swojego męża. Sam

pan widział ślady.

Waller przytaknął.

- No cóż, jest większa od ciebie. Ale jesteś przecież mężczyzną, a ja brzydę się słabością u mężczyzn.

- Poza tym zdradza mnie z innymi mężczyznami. I z kobietami!

- To odrażające - powiedział Waller obojętnym tonem. - Wiesz, gdzie ona teraz jest?

Anwar potrząsnął głową.

- Nie widziałem jej od tygodnia.

Waller usiadł wygodnie i rozłożył ręce.

- Jeśli ją znajdziemy, co proponujesz?

Anwar splunął na betonową posadzkę.

- Niech pan ją zabije, to proponuję.

- Więc jej życiem zapłacisz za swoje?

- Przysięgam, panie Waller, że nigdy nie przyszłoby mi do głowy pana zdradzić. To wszystko przez tę sukę. Ona mnie do tego zmusiła. Doprowadzała mnie do szału. Musi mi pan uwierzyć. Musi!

- Wierzę ci, Anwar, wierzę. - Waller wstał, podszedł bliżej, zacisnął pięść i uderzył z całych sił w spuchniętą już i tak twarz Anwara. Drobny człowieczek osunął się na bok i gdyby nie więzy, spadłby z krzesła.

Waller chwycił go za przyzłizane włosy. - Właśnie zostałeś odpowiednio ukarany. Jesteś dla mnie cenny. Bardzo cenny. Nie mogę sobie pozwolić, żeby cię stracić. Ale ostatni raz ci daruję, rozumiesz?

- Rozumiem - wymamrotał Anwar. Z ust kapłała mu krew. - Przepraszam. - Zaczął szlochać.

- Mężczyzna nie płacze. Przestań!

Anwar zdusił szloch i uniósł głowę. Prawe oko miał podpuchnięte, a lewe prawie zupełnie zamknięte.

Waller uśmiechnął się.

- Muszę ci coś wyznać. Na pewno cię to zainteresuje. Znaleźliśmy twoją żonę. Mamy Gisele.

- Macie ją? - zdziwił się Anwar.

- Zgadza się z tobą, to diaboliczna. Bóg stworzył ją po to, by doprowadzała mężczyzn do obłędu. Chcesz się z nią zobaczyć, powiedzieć jej, co o

niej myślisz, zanim ją zabijemy?

- To sprawi mi wielką przyjemność - wymamrotał bez entuzjazmu Anwar.

- A może ty zechcesz czynić honory? Kulka w łeb diablicy? To może ci dobrze zrobić. Katharsis. Wzmocni twój charakter.

Anwar się skulił.

- Jestem księgowym. Nie mam na to odwagi.

- Dobrze już, dobrze. - Waller zwrócił się do jednego ze swoich ludzi. - Pascal, przyprowadź ją tu. Niech stanie przed swoim skrzywdzonym mężem.

Pascal, niski, szczupły mężczyzna po trzydziestce, wyszedł z pokoju. Po chwili drzwi się ponownie otworzyły i Anwar ujrzał swoją żonę wyglądającą zza framugi. Zwykle miała skórę ciemniejszą od męża, ale teraz była przeraźliwie blada. W szeroko otwartych oczach czaił się strach.

- Ty żalosna dziwko. Ty diablico. Widzisz, co narobiłaś. Ty... ty... - Anwar o mało nie zemdleł, kiedy drzwi otworzyły się szerzej i do pokoju wszedł Pascal, trzymając za włosy odciętą głowę. Pascal nie uśmiechnął się, widząc przerażenie na twarzy męża Gisele. Uniósł głowę wyżej.

- O Boże, Boże! To niemożliwe! - Anwar spojrzał na Wallera, a potem znowu na głowę żony. - To niemożliwe.

- Możliwe, Anwar. Możliwe. A teraz wrócisz do pracy jako szczęśliwy człowiek.

Anwar szlochął jeszcze chwilę, aż w końcu uniósł głowę i wydał z siebie zbolale westchnienie ulgi.

- Dziękuję, panie Waller. Niech pana Allah błogosławi.

- Niepotrzebne mi błogosławieństwo twojego Allaha. - Waller uniósł pistolet i wymierzył w głowę mężczyzny, skupiając wzrok najpierw na metalowej muszce u wylotu lufy, a dopiero potem na celu.

Anwar rzucił się w tył.

- Przecież mówił pan...

- Kłamałem. - Pocisk przeszył mózg Anwara. Waller rozluźnił się i wystrzelił kolejny raz, trafiając na lewo od pierwszego otworu. Odłożył pistolet na stół i przez chwilę nalewał sobie kolejną porcję szkockiej. Popijając powoli, podszedł do drzwi, odwrócił się i spojrzał na dwóch pozostałych mężczyzn.

- Tylko tym razem pamiętajcie - zwrócił się do nich pouczającym to-

nem - że stukilogramowy mężczyzna pozostanie pod wodą, jeśli obciążycie go dwukrotnie większym ciężarem.

- Tak jest, panie Waller - nerwowo odpowiedział jeden z mężczyzn.
- I pozbadźcie się tej cholernej broni.
- Już się robi, proszę pana.
- A ty, Pascal, pozbadź się tego - dodał, wskazując na kobietą głowę.

Waller zniknął za drzwiami i wsiadł do czarnego opancerzonego hummera, który ruszył z piskiem opon w tej samej chwili, gdy zapiął pas bezpieczeństwa. Na czele kolumny jechał drugi hummer, a zamykał ją cadillac escalade.

Waller odkrył, że jego „zaufany” księgowy podkradał mu całkiem spore sumki. Kwoty te stanowiły zaledwie jedną dziesiątą procent jego obrotów i nie wywołały zapaści finansowej, ale takie działanie było niewybaczalne. Puszczanie go wolno stanowiłoby oznakę słabości. W biznesie, który prowadził Waller, konkurencja i pracujący dla niego ludzie wciąż szukali jakichkolwiek oznak słabości. Gdyby je znaleźli, prawdopodobieństwo nagłej śmierci rosło tysiąckrotnie. Znał dobrze te zasady, bo sam wiele lat temu w ten sposób zbudował swoje imperium. Jego mentor puścił płazem mniejszą zniewagę. Trzy miesiące później zjadły go wilki na Wybrzeżu Północno-Zachodnim, a interesy przejął Waller. Przez następne dwadzieścia lat zawsze wyciągał konsekwencje wobec tych, którzy go zdradzili. Nie miał ochoty zostać pożarty przez wilki.

Spojrzał na siedzącego obok niego mężczyznę. Alan Rice miał trzydzieści dziewięć lat i był absolwentem renomowanego angielskiego uniwersytetu, porzucił akademię, żeby pomagać Wallerowi w budowie jego imperium. Niektórzy ludzie przechodzili na ciemną stronę mocy, bo tylko tam dobrze się czuli.

Rice miał szczupłą sylwetkę i przedwcześnie osiwiiał. Choć był raczej delikatnej postury, to umysł miał tęgi. Ludzie tacy jak Rice rzadko zadawali się miejscem w drugim szeregu. Z drugiej strony pomógł Wallerowi w krótkim czasie potroić zyski, a Waller obciążył go dodatkowymi obowiązkami współmiernymi do wielkości jego talentu. Na razie Waller był niezastąpiony, ale zbliżał się moment, kiedy nie zdoła sobie bez Rice'a poradzić.

Waller zacisnął palce.

Rice zauważył ten ruch i zapytał:

- Za lekko trzymałeś pistolet?
- Nie. Myślałem tylko o tym, kiedy ostatnio kogoś zabiłem.
- To był Albert Clemens - odpowiedział od razu Rice. - Twój australijski zwiadowca.

- Zgadza się. Nie mogę się nadziwić. Płacę świetnie, a wciąż im mało.
- Masz tysiące, chcesz mieć setki tysięcy. Masz miliony, chcesz mieć dziesiątki milionów.
- Muszą być głupcami, skoro uważają, że pozwolę im zwać z moją forszą.

- Nie. Uważają się za sprytniejszych od ciebie.
- A ty, Alan? Myślisz, że jesteś sprytniejszy?

Rice spojrzal przez ramię na budynek, który właśnie mijali.

- Jestem inteligentniejszy od tych, których zabiłeś, choćby dlatego, że nie mam ochoty ginąć z twojej ręki. A zginąłbym, gdybym cię rozczarował.

Waller przytaknął, ale jego mina nie wyrażała pełnego przekonania.

Rice odchrząknął i mówił dalej:

- Prowansja musi być piękna o tej porze roku.
- Rzadko się zdarza, żeby Prowansja nie była piękna.
- Długo tam byłeś?
- Moja matka była Francuzką. Pochodziła z małego miasteczka Roussillon. W okolicy są największe na świecie złoża ochry. Wielu słynnych malarzy, jak Van Gogh, przyjeżdżało tam, żeby dołożyć tego pigmentu do swojej palety barw. I w przeciwieństwie do wielu innych miejscowości w Prowansji, domy tam nie są białe czy szare, tylko wściekle czerwone, pomarańczowe, brązowe i żółte. Gdybym był malarzem, zamieszkałbym w Roussillon i malował krajobrazy tylko w kolorach, które tam występują. Byliśmy tam z matką bardzo szczęśliwi.

- Wróciłeś tam, kiedy byłeś dorosły?
- Nie, do Roussillon nie.
- Dlaczego?
- Tam zmarł mój ojciec, kiedy miałem dwanaście lat.
- Co się stało?
- Spadł ze schodów i skręcił kark.

- Wypadek?
- Tak wszyscy uważają.

Rice wydawał się zaskoczony.

- Więc to nie był wypadek?
- Wszystko jest możliwe.
- A więc twoja matka...

Waller położył swoją dużą dłoń na szczupłym ramieniu Rice'a i lekko je uściśnął.

- Przecież nie powiedziałem, że to moja matka. Ona była kochana i dobra. Taki postępek byłby nie do pomyślenia dla jej czystej duszy.

- Tak, oczywiście, rozumiem.

Cienie pod oczami Wallera jeszcze bardziej pociemniały.

- Naprawdę rozumiesz, Alan? - Zdjął rękę z jego ramienia i wyciągnął z kieszeni kartkę. - Widzę, że willę w sąsiedztwie wynajmuje jakaś młoda Amerykanka.

- Właśnie się o tym dowiedzieliśmy. Wątpię, czy stanowi jakieś zagrożenie.

- Nie, nie, Alan. Na razie nie wiemy, czy stanowi zagrożenie. Już samo sąsiedztwo musi rodzić pytania, prawda?

- Masz rację. Dowiem się wszystkiego, co się da. Pojedziesz do tego Roussillion? To daleko?

- W Prowansji nic nie jest daleko.

- Więc pojedziesz?

- Być może.

- Tylko nie padnij ofiarą jakiegoś nieszczęśliwego wypadku.

- Nie martw się o mnie. Mój ojciec był nieostrożny i słaby. Jego syn taki nie jest.

13.

- **R**ozmawiałaś z nią, co? - zapytał Frank.

Shaw podniósł wzrok znad papierów, nad którymi ślęczał.

- Z kim?
- Nie udawaj. Z Katie!
- Skąd możesz to wiedzieć?
- Bo przez kilka ostatnich dni chodziłeś jak struty. Gdybym wiedział, że tak zareagujesz, nie dałbym ci tego cholernego numeru. Co u niej słychać?

- W porządku.
- O czym rozmawialiście?
- A co cię to, do cholery, obchodzi?
- Nic. Przepraszam, plotę bzdury. Wróćmy do Evana Wallera.
- Nie podoba mi się ten plan. Zbyt wiele w nim luk.

Ku jego zaskoczeniu Frank przytaknął.

- Zgadza się z tobą. Co proponujesz?
- Maksymalnie go uprościć. I tak na miejscu zwykle sprawy się komplikują. Lepiej zaczynać z prostym planem, bo wtedy, nawet jeśli coś pójdzie nie tak, można sobie jeszcze poradzić. A jak zaczniesz od początku sprawy komplikować, może się okazać, że zbyt wiele jest do naprawienia.

- Wiemy, gdzie mieszka w Montrealu, ale góra nigdy nie dała zgody, żeby go tam zgarnąć. Zbyt dużo ludzi, zbyt dużo możliwych przypadkowych ofiar, poza tym facet nigdy nie trzyma się schematów. Przemieszcza się jak duch, za każdym razem zmienia trasę i reguły.

- W takim razie musimy w Prowansji znaleźć taki moment, kiedy ściśle będzie się trzymał schematu. Tam ryzyko przypadkowych ofiar będzie mniejsze.

Obaj zaczęli studiować plan willi, w której miał się zatrzymać handlarz żywym towarem. Na ścianie wisiał plazmowy monitor, a na nim widniała reszta danych, w tym wszystkie drogi prowadzące do celu.

Frank wcisnął guzik na panelu kontrolnym i na ekranie pojawiły się cztery fotografie.

- Zawsze podróżuje z trzema ochroniarzami, prawdziwymi zbirami. I tyle wiemy. Może być ich w odwodzie więcej.

- Wyśle tam najpierw ludzi na rozpoznanie, a potem na miejscu się zabarykaduje i nie ruszy na krok - dodał Shaw, przyglądając się ochroniarzom.

- Do jakiego stopnia są wiarygodne informacje na temat jego podróży?

- Bardzo. Podśluch telefoniczny, monitorowanie skrzynki e-mailowej i transakcje firmowymi kartami kredytowymi.

- Amerykanie? - zapytał Shaw, podnosząc głowę. - Oni mają najlepszy sprzęt i oprogramowanie.

- Ujmę to w ten sposób: jestem winien szefom NSA i CIA dobrą kolację. Frank wyjął kilka dokumentów i zaczął je przeglądać.

- Mamy tu plan lotu. Swoim samolotem leci z Montrealu do Paryża. Tam zatankuje i poleci dalej do Awinionu. Zwykle jedzie w kolumnie złożonej z trzech samochodów. W Awinionie zarezerwował samochody w wypożyczalni.

Shaw nacisnął klawisz laptopa i na ekranie pojawiło się kolejne zdjęcie - widok ulicy w Awinionie, na której znajdowała się wypożyczalnia samochodów.

- Po sąsiedzku jest jakaś willa.

- Już wynajęta.

- Przez kogo?

- Sprawdziliśmy z grubsza. Osoba wydaje się czysta.

- I przypadkiem wynajęła willę obok?

- Gordes to bardzo popularne miejsce, a takie willę są w mig rozchwytywane. Nie mogliśmy w dyskretny sposób zapobiec jej wynajęciu. Ale to nieważne. Nie przeprowadzimy akcji w Gordes. Zbyt duże ryzyko przypadkowych ofiar.

Shaw zerknął na ekran innego komputera, gdzie znajdował się plan podróży Wallera. Wyprostował się na krześle.

- Skąd wiecie, że wybiera się do jaskiń w Les Baux-de-Provence?

- Musiał zdobyć specjalne pozwolenie, a my dotarliśmy do danych.

- Dlaczego? Jaskinie nie są dostępne dla zwiedzających?

- Pan Waller zażyczył sobie wyłączność na zwiedzanie. W tym czasie jaskinie będą zamknięte dla ogółu. Zapłacił za to ciężkie pieniądze. To miejsce jest w prywatnych rękach. Mogą robić, co chcą. Kiedy namierzylismy idący do nich przelew, włamaliśmy się do ich systemu komputerowego i znaleźliśmy plan wizyty. Dlatego wiemy, kiedy dokładnie tam będzie.

Shaw obrócił się w fotelu do komputera, którego twardy dysk zawierał tylko fabrycznie zainstalowane oprogramowanie i który służył im do łączenia się

z Internetem. Wcisnął kilka klawiszy i po chwili czytał wyniki wyszukiwania.

- Zgadza się, słyszałem o tym miejscu. To rodzaj galerii wyświetlającej fotografie na skalnych ścianach i takie tam. Każdego roku prezentują innego artystę. - Zastanawiał się nad uzyskanymi informacjami. - Chyba mamy odpowiednie miejsce na przeprowadzenie naszej akcji.

Obrócił laptop tak, by Frank mógł zobaczyć ekran. Były tam informacje na temat ekspozycji.

- Do jaskiń prowadzi jedno wejście, jest tam mnóstwo komnat i niewielu strażników, łatwo więc się zgubić. Odetniemy zasilanie, a na miejscu będzie już czekać oddział z noktowizorami i strzelbami ze środkiem usypiającym. Odseparujemy szefa od jego mięśniaków i gotowe.

- To pozwoli ograniczyć liczbę przypadkowych ofiar. Ale będziemy potrzebowali kogoś na miejscu, kto wcześniej potwierdzi jego wizytę w jaskiniach.

- Całkowicie się zgadzam. Czy nie najlepiej dopaść szczura w norze?

- Pamiętaj, że jeśli w jaskini nam nie wyjdzie, facet wsiądzie do samolotu i ucieknie z Francji.

- Może plan nie jest idealny, ale na pewno w tych okolicznościach najlepszy. Ta wyprawa do jaskiń... to wtedy będziemy dokładnie wiedzieli, gdzie się znajduje. Zresztą nie wyobrażam sobie, żeby miało nam się nie udać.

14.

Plan porwania Wallera był gotowy. Jaskinie zostały dokładnie rozpoznane przez współpracowników na miejscu. Shaw też zamierzał je odwiedzić, kiedy już tam się znajdzie. Tymczasem studiował plany wnętrza i okolic. Po pewnym czasie mógł je narysować z pamięci. Waller miał się pojawić w jaskiniach niecały tydzień po swoim przyjeździe. Zwiedzanie rozpocznie się punktualnie o dziesiątej rano.

Po każdym długim dniu pracy, wypełnionym dobieraniem sobie współpracowników i szkoleniem ich, wracał do hotelu, przebierał się, robił kilkukilometrową rundę biegiem i potem samotnie włóczył się po ulicach

Paryża do chwili, gdy zapadł zmrok, a on stracił siły. Pewnego wieczoru jadł samotnie w kafejce naprzeciwko Ogrodów Luksemburskich, ulubionym miejscu Anny Schmidt. Spacerowali wtedy po ogrodach, patrzyli, jak dzieci puszczają na wodę drewniane stateczki, a potem siadali i obserwowali mijających ich ludzi. Nie mógł tam pójść teraz; to była dla niego święta ziemia, na którą już nie miał wstępu. Ale przynajmniej zbliżył się do niej na tyle, by z daleka podziwiać kwiaty. To najlepsze, co mógł zrobić, bo potem poczuł ucisk w gardle i łzy napływające do oczu...

Zamówił posiłek, a potem rozejrzał się po sali, sprawdzając każdy stolik po kolei. Wpojony dziesiątki lat temu nawyk wydawał się tak naturalny jak oddychanie. Zaczepnął gwałtownie powietrza, kiedy zobaczył ją w przejściu z jednej sali do drugiej.

Katie nie wydawała się tak szczupła jak ostatnim razem, kiedy ją widział, ale to dobrze, bo potrzebowała kilku dodatkowych kilogramów. Jej naturalne jasne włosy, wcześniej nastroszone i ciemne, teraz urosły i prawie sięgały ramion. Miała na sobie białą spódnicę, buty na pięciocentymetrowych obcasach i ciemnoniebieską bluzkę z długimi rękawami. Na nogach nie miała rajstóp. Nigdy nie widział, żeby wkładała bluzkę bez rękawów, ze względu na ranę po kuli w lewym ramieniu. Kiedy się zbliżała, dostrzegł, że makijaż nie zdołał dokładnie zamaskować ciemnych kręgów pod oczami. Była piękną kobietą; wielu mężczyzn siedzących w restauracji obracało za nią głowy, wzbudzając tym wściekłość swoich partnerek. Ale najwidoczniej warto było podjąć ryzyko spojrzenia na kroczącą przez salę Katie James.

Katie nie czekała, aż Shaw wstanie i przywita się - po prostu usiadła naprzeciwko niego.

- Dobrze wyglądasz - rzuciła. Przyjrzała się jego włosom. - Odrobina siwizny?

- Odrobina. Za to ty się nie zmieniałaś. No, może przybyło ci parę kilogramów. Ale podobają mi się te włosy. - Zrobił krótką przerwę. - Skąd wiedziałaś, gdzie jestem? - I odpowiedział sam sobie. - Od Franka. Dlaczego on się wtrąca? Nigdy wcześniej nie interesował się moim życiem osobistym.

- Do chwili śmierci Anny.

- Mówił, że do niego dzwoniłaś.

- Nie musiałabym, gdybyś to ty do mnie oddzwonił.

- Przepraszam, że tak cię porzuciłem.
- Nic nas nie łączyło. Jesteś dużym chłopcem, ja też jestem dorosła. Martwiłam się tylko, czy żyjesz. Dlatego zadzwoniłam do Franka. Żeby się upewnić, że nic ci się nie stało.

Poczucie winy Shawa wzrosło jeszcze bardziej.

- Cóż, jak widzisz, nie. Wróciłem do pracy. Wszystko u mnie w porządku. Mówiłem ci o tym przez telefon.

- Chciałam się sama przekonać.

Shaw przeniósł spojrzenie na stół.

- Jadłaś kolację?

- Nie jestem głodna.

Z jego twarzy można było wyczytać, że poczuł się zaskoczony, kiedy odrzuciła jego zaproszenie do wspólnego posiłku.

- Katie...

Wstała. Ich spojrzenia spotkały się na chwilę.

- Powodzenia, Shaw.

Zawahała się przez chwilę dostatecznie długą, by zdążyć coś powiedzieć i spróbował ją zatrzymać. Ale Shaw milczał.

Odwróciła się i wyszła.

Siedział chwilę, tocząc ze sobą wewnętrzną walkę, w końcu rzucił na stół kilka euro i wybiegł z restauracji, rozglądając się na wszystkie strony.

Katie już jednak zniknęła.

15.

Minęła już północ, kiedy Reggie zakradła się do biblioteki. Krople deszczu uderzały w szyby okien, a w kominie hulał zimny wiatr, rozżarzając dogasający płomień. Zamknęła za sobą drzwi, usiadła przy podłużnym stole i sięgnęła po dokumenty. W świetle lampy stołowej śledziła po raz setny już chyba zbrodniczą karierę Fedira Kuczina. Liczba potworności, jakich się dopuścił, nie uległa zmianie, ale teraz lepiej zapadły jej w pamięć. Mogła bez zająknięcia recytować statystyki, miała przed oczami twa-

rze ofiar, całe mnóstwo twarzy. Obrazy masowych grobów, odkrytych długo po tym, jak Kuczyn już opuścił Ukrainę, wryły się jej głęboko w pamięć.

Wzięła do ręki ziarnistą fotografię - wszystkie zdjęcia były ziarniste, trudno fotografować śmierć w kolorze - i przyjrzała się znajdującej się na niej twarzy. Pułkownik Huber miał swojego Dawida Rosenberga i Frau Koche - ich zdjęcia Reggie pokazała mu w momencie jego śmierci. Teraz miała przed sobą świadectwo nieludzkiego okrucieństwa Fedira Kuczyna.

Fotografia przedstawiała mężczyznę o nazwisku niemożliwym do wymówienia. Nie był ani bogaty, ani wpływowy. Mieszkał prawie tysiąc kilometrów od Kijowa. Był prostym chłopem obciążonym liczną rodziną, którą utrzymywał ciężką pracą. Zbrodnia, jakiej się dopuścił, sprowadzała się do tego, że nie chciał wydać KGB, a konkretnie Fedirowi Kuczynowi, swoich przyjaciół. Za karę miał w obecności swojej żony i dzieci zostać obłany benzyną i podpalony. Kiedy płonął, oni musieli na to patrzeć i słuchać jego krzyków.

Sięgnęła po kolejny dokument. Oryginał był napisany po ukraińsku, ale dołączono do niego specjalnie dla niej wykonane tłumaczenie. To był rozkaz skazujący rolnika na śmierć w ogniu. Na dole strony widniał duży i wyraźny podpis Fedira Kuczyna, niepozostawiający wątpliwości, kto jest pomysłodawcą tego okrutnego morderstwa.

W końcu ostrożnie podniosła kolejną starą fotografię. To był sam Fedir Kuczyn. Trzymała zdjęcie za brzegi, jakby bała się dotknąć wizerunku mężczyzny. Miał na sobie mundur z rozpiętym kołnierzykiem. W jednej dłoni trzymał pistolet, w drugiej butelkę. Zdjęcie było z pewnością wyreżerowane. Kuczyn miał na nim jeszcze ciemne, zaczesane do tyłu włosy, ale pojawiły się już głębokie zakola. Jego twarz niewiele się zmieniła od tamtej pory. Uwagę patrzącego najbardziej przykuwały oczy. Reggie odniosła wrażenie, że jakaś mroczna ścieżka wiedzie ją w ich głąb, tam skąd ucieczka wydawała się niemożliwa. Poprawiła się niespokojnie na krześle i odłożyła fotografię, przykrywając ją stertą papierów.

Przez następne trzydzieści minut przeglądała dziesiątki innych zdjęć ofiar, zdjęć, na których Kuczyn pozostawił swoje krwawe odciski palców. Tekst dokumentów był nieco suchy; takim samym językiem pewnie formułowano zamówienia na sprzęt czy żywność. Tyle że w tym wypadku rozka-

zy, pisane w trzech egzemplarzach przez staromodną kalkę, dotyczyły mordowania ludzi. Śmierć przez rozstrzelanie. Śmierć przez spalenie. Śmierć przez zagazowanie. Śmierć przez ścięcie. Śmierć przez powieszenie. Wszystko starannie uporządkowane. Dzięki Bogu, że zachowały się te kalkowane kopie, pomyślała. Bez nich nigdy nie udałoby się na trafić na ślad Kuczina i wymierzyć mu sprawiedliwość.

- Dodatkowa lektura, moja droga?

Zaskoczona Reggie obejrzała się.

W drzwiach stał z książką w ręku profesor Mallory, ubrany w stary, zniszczony szlafrok.

- Nie słyszałam, jak pan wszedł - odezwała się zaniepokojona faktem, że starszemu panu udało się podejść tak blisko, a ona tego nie zauważyła.

- Cóż, mimo swojej tuszy i reumatyzmu potrafię się cicho poruszać, a ty byłaś bardzo zaabsorbowana tym, co robisz. - Podszedł bliżej i dociekliwie przyjrzał się papierom i zdjęciom.

- Nie mogłam zasnąć - wytłumaczyła się. - Często nie mogę zasnąć - dodała.

Profesor usiadł przy kominku w wytartym skórzanym fotelu.

- Jestem tu z tego samego powodu.

- Pan też cierpi na bezsenność?

- Nie, Regino, to nie bezsenność. - Skrzywił się z bólu, zagłębiając w fotelu. - Obawiam się, że to przerost prostaty. Gdybym miał wybierać, wolałbym bezsenność.

- Przykro mi.

Spojrzał na trzymane przez nią dokumenty.

- I co o tym myślisz? Jakież ciekawe spostrzeżenia?

- To człowiek pozbawiony sumienia. Podpisywał wyroki śmierci na tysiące ludzi, jakby to były rachunki w barze.

- Zgadza się z tobą, ale to już wiemy.

Podniósł się, dołożył do ognia spore bierwiono, usiadł z powrotem w fotelu i otworzył książkę.

- Co pan czyta? - zapytała Reggie.

- O takiej niespokojnej nocy jak ta. Agathę Christie, oczywiście. Nie

daje mi spokoju, czy i tym razem Herculesa Poirota nie zawiodą jego szare komórki. Taka lektura mnie inspiruje, niezależnie od tego, co dzieje się w umyśle małego Belga.

Reggie podniosła się i stanęła przed paleniskiem. Przed zejściem do biblioteki włożyła dzinsy i sweter, ale była boso i teraz poczuła chłód.

- Jedna rzecz nie daje mi spokoju, profesorze.

W szyby starych okien w ołowianych ramkach tłukły bezlitośnie strugi deszczu. Profesor podniósł wzrok znad książki. W kominie zawył przeraźliwie wiatr. Reggie cofnęła się na ten dźwięk i przysiadła na pufie obok fotela profesora.

- Jaka? - zapytał.

- Kuczyn jest religijny.

Mallory zamknął książkę i pokiwał głową. Wyjął z kieszeni fajkę i zaczął nabijać ją tytoniem.

- Przepraszam, profesorze, ale ten zapach przyprawia mnie o mdłości.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Dlaczego wcześniej o tym nie wspomniałaś?

- Nie chciałam ranić pańskich uczuć. - Roześmiała się nieszczerze. - Chyba po tym wszystkim zrobiłam się nieco dziwna.

- Czemu dziwna? - spytał z poważną miną. - Bo potrafisz tak bardzo współczuć? Sądzę, że ta właśnie cecha twojej osobowości pozwala ci robić to, co robisz.

- W każdym razie przeczytałam dokumenty - szybko zmieniła temat Reggie. - Napisano tam, że Kuczyn co niedziela chodzi do kościoła i przeznaczają spore sumy na cele religijne.

Mallory wsunął fajkę z powrotem do kieszeni.

- To prawda. Zaobserwowałem to już wcześniej u ludzi jego pokroju. Szukają odkupienia, pociechy, asekurują się. To oczywiście szaleństwo. Jak tacy ludzie mogą wierzyć, że jakikolwiek bóg zechce mieć z nimi do czynienia, gdy już umrą?

- Ma pan na myśli seryjnych zabójców?

Mallory natychmiast zorientował się, co miała na myśli.

- Ty nie masz absolutnie nic wspólnego z Fedirem Kuczynem, Regino.

- To zabawne, ale bywają dni, kiedy nie widzę między nami żadnych

różnic.

Mallory poderwał się z fotela tak szybko, że książka upadła na podłogę. Podeszedł do stołu, chwycił kartkę papieru, wrócił do Reggie i wcisnął ją jej w ręce. To była fotografia spalonego chłopca.

- Oto różnica, Regino. - Wziął do ręki jej dłoń, uściśnął mocno i spojrział jej prosto w oczy. - A teraz opowiedz mi o kościele.

16.

Siedzieli w samochodzie przed lotniskiem Charles'a de Gaulle'a. Za chwilę turbośmigłowiec miał zabrać Shawa do Awinionu. Miał przez kilka dni tam zostać, a następnie wyruszyć do oddalonego o niecałe pół godziny jazdy Gordes.

- Amy Crawford jest już w Prowansji - oznajmił Frank.
- Już kiedyś z nią pracowałem. To świetna agentka.
- Znasz plan na pamięć?
- W założeniach jest perfekcyjny. Zobaczymy, jak się sprawdzi w terenie.

Frank zamierzał zapalić swoją cygaretkę, ale Shaw go powstrzymał.

- Zaczekaj, aż będę wysoko nad ziemią. Teraz potrzebuję trochę tlenu.

Frank odłożył cygaretkę.

- Jesteś zdenerwowany? To do ciebie niepodobne.
- Wczoraj wieczorem widziałem się z Katie.
- A niech mnie! Gdzie?
- Tutaj, w Paryżu. Chcesz powiedzieć, że nic o tym nie wiedziałeś?
- Słowo skauta. Pierwsze słyszę.
- Daj spokój, Frank. Pojawiła się w restauracji, w której jadłem kolację. Jak twoim zdaniem tego dokonała?
- Zapomniałeś, że ta pani jest światowej sławy dziennikarką? Sama potrafi odnajdywać ślady.
- Jasne. - Shaw zupełnie w to nie wierzył.
- Czego chciała?

Shaw nie odpowiedział od razu, ponieważ nie miał gotowej odpowiedzi na takie pytanie. *Czego chciała? Rzeczywiście chciała tylko sprawdzić czy wszystko u niego w porządku? Przecież powiedziałem jej to przez telefon.*

- Shaw?

Zauważył, że Frank patrzy na niego z niezadowoloną miną.

- Odplynąłeś myślami. Wybierasz się na akcję przeciwko niebezpiecznemu facetowi i zatapiasz się w myślach? Niedobrze.

- Właściwie to nie powiedziała, o co jej chodziło. Poza tym rozmawialiśmy tylko przez minutę.

Frank uściśnął jego ramię.

- Chcesz powiedzieć, że nie zaprosiłeś jej na kolację? Przemierzyła taki kawał drogi, a ty...

- Skąd wiesz, że przyleciała z daleka?

Frank skrzywił się i opadł na fotel.

- Dlaczego to robisz?

- Co takiego? - odburknął Frank.

- Czasem zachowujesz się tak, jakby gówno cię obchodziło, czy ja żyję, czy nie. A czasem próbujesz się bawić w swata.

- Moja matka zachowywała się podobnie wobec mnie. To widocznie dziedziczne.

- My nie jesteśmy rodziną, Frank.

- Do diabła, w pewnym sensie jesteśmy sobie bliżsi niż rodzina. Masz kogoś prócz mnie?

Shaw patrzył gdzieś w dal, uderzając dokumentami podróży o udo. Kogo jeszcze miał? Tylko Franka? Boże, to przygnębiające.

- A twoim zdaniem po co przyszła się ze mną zobaczyć?

- To proste. Miała nadzieję, że poprosisz ją, żeby została.

- Wiesz to na pewno?

- To nie wymaga specjalnej dedukcji. Ale nie, nie powiedziała mi tego, jeśli o to ci chodzi.

- Między nią a mną nic nie będzie, Frank.

- A jednak już coś jest.

- Dopiero pochowałem Annę i...

- Nie o to chodzi. Myślisz, że taka bystra kobieta jak Katie nie zdaje

sobie sprawy, co czujesz do Anny? Dobrze wie, że nie wskoczysz jej od razu do łóżka. Wie, że być może nigdy tego nie zrobisz. Zresztą wątpię, czy w ogóle tego chce. Przynajmniej w tej chwili.

- Teraz bawisz się w psychoanalitka?
- Ja tylko dokonuję przemyślanych obserwacji.
- W takim razie o co jej właściwie chodzi?
- Dużo was łączy. Przeszliście razem piekło. Oboje wyszliście z tego emocjonalnie rozbici. Myślę, że ona chce być po prostu twoją przyjaciółką.
- I tu niespodzianka; charakter mojej pracy nie pozwala mi mieć przyjaciół.

Shaw zatrzasnął za sobą drzwi i ruszył w kierunku portu lotniczego.~

Frank patrzył za nim, dopóki jego wysoka sylwetka nie zniknęła w tłumie wchodzącym do budynku. Kazał kierowcy ruszać. Wyjął swoją cygaretkę, już miał ją zapalić, ale ponownie schował do kieszeni marynarki.

- Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jaki z ciebie szczęściarz, Shaw - mruknął.

17.

Fedir Kuczina okazał się bystrym człowiekiem, bystrzejszym, niż przypuszczali. Przechytrzył nie tylko profesora Mallory'ego, ale na miejscu, w Prowansji, wyprowadził też w pole Reggie i cały jej zespół. Kara za ten błąd okazała się surowa. Reggie patrzyła na ciała Whita i Dominica. Whitowi odcięto głowę, a z twarzy Dominica nic nie pozostało.

Kłęczała na środku chłodni, otoczona przez Kuczina i jego ludzi. Tym razem nie było żadnej drogi ucieczki. Spojrzała na pociągłą, okrutną twarz, kiedy gładził ją po policzku. Rzuciłaby się na niego, gdyby nie miała związanych rąk i nóg. Skupiła uwagę na ciałach kolegów, żeby nie czuć na swojej skórze dotyku potwora.

Kuczina zaczął się triumfalnie śmiać. Trwało to bardzo długo.

- Myślałaś, że to takie łatwe? - zapytał ją. - Naprawdę tak myślałaś? Pilnowałem się tyle lat, a tobie się wydawało, że możesz mnie tak po pro-

stu dopaść? Jesteś zwykłą amatorką, której zlecono profesjonalną robotę.

Głaskanie zastąpił siarczysty policzek, po którym Reggie upadła do tyłu, uderzając głową w betonową posadzkę. Natychmiast podniósł ją za włosy. Zbliżył swoją twarz do jej twarzy.

- Powiedz, jak się naprawdę nazywasz.
- Po co? - wymamrotała.
- Ponieważ lubię wiedzieć takie rzeczy.
- Nie powiem.

Uderzył ją pistoletem w usta, wybijając dwa zęby i łamiąc trzeci. Poczula krew i wypluła ją wraz z kawałkiem trzonowca.

- Nie.

Uderzył ponownie w brzuch i Reggie zgięła się wpół. Nadepnął na jej prawą dłoń, łamiąc dwa palce. Kolejnym uderzeniem roztrzaskał jej lewe kolano.

- Mów!
- Reggie - wymamrotała pełnymi krwi ustami.
- Reggie i jak dalej?
- Reggie Champion.
- No dobrze, Reggie Champion, teraz się dowiesz.
- Czego się dowiem?
- Jak się umiera w pięknej Prowansji.

Skinął na jednego ze swoich ludzi, który podszedł do niej z kanistrem. Chwilę później Reggie poczuła, jak benzyna zatyka jej nozdrza i szczypie ją w oczy.

Chciała być dzielna, ale słyszała własny krzyk: „Proszę, nie”. Krzyczała jak dziecko. Żałośnie. Słabo.

Kuczyn uśmiechnął się, wyjął z kieszeni zapalniczkę, potarł jedną o obcas buta i podsunął, tak by ją widziała.

- Nie, nie! - krzyczała.
- Myślałem, że będziesz godnym przeciwnikiem, Reggie - powiedział

Kuczyn.

- Proszę, nie zabijaj mnie!
- Tym razem zwycięży potwór - odpowiedział.

Rzucił zapalniczkę w kierunku jej głowy. Reggie stanęła w ogniu.

Z krzykiem stłumionym przez kołdrę Reggie rzuciła się na łóżku i spała na podłogę, wijąc się i wierzgając, jakby próbowała stłumić ogarniające ją płomienie. Kiedy doszła do siebie, leżała nieruchomo przez kilka minut. Doczołgała się do łazienki, zwymiotowała do muszli klozetowej i padła bez sił na plecy na zimne płytki podłogi.

Leżała, ciężko oddychając i czekając, aż minie fala mdłości. W końcu podniosła się z wysiłkiem, powlokła do okna i wyjrzała przez nie na teren Harrowsfield. Im bliżej było wyjazdu na misję, tym chętniej spędzała czas w swoim mieszkaniu zamiast w posiadłości. Jednak niewyżyta seksualnie para mieszkająca nad nią wciąż jeszcze nie zaspokoila swoich chuci. Dlatego przyjechała tutaj.

Kiedy wyjeżdżała z Londynu, poczuła lekkie ukłucie zazdrości. *Kiedy ostatnio się kochałam? To żalotne, nawet już nie pamiętam.*

Deszcz przestał padać, ale w powietrzu wciąż czuło się chłód. Reggie uniosła okno i kiedy bolesne skutki koszmaru już minęły, odetchnęła głęboko.

Ten facet już mi się śni po nocach, a jeszcze nawet go nie widziałam. Niedobrze, Reggie. Niedobrze.

Najgorszy był widok martwych Whita i Dominica. Nie mogą umrzeć z powodu ogarniających ją lęków. Musiała mieć jasny umysł.

Włożyła dzinsy, tenisówki, wyświechtaną bluzę z kapturem ozdobioną napisem „Oxford” i wyszła na zewnątrz kuchennymi drzwiami. Nie była pewna, czy Whit pojechał do domu, czy został. Nie chciała, żeby on czy ktoś inny widział ją w takim stanie. Po kilku minutach dotarła do starego cmentarza, gdzie mimo ciemności błyskawicznie odnalazła nagrobek Laury R. Campion. Stała przed nim z rękami w kieszeniach.

W zupełnie irracjonalny sposób, ponieważ nikt z jej rodziny nie żył, Reggie zaczęła odwiedzać grób tej kobiety w chwilach stresu i niepewności. Zdawała sobie sprawę, że szukanie ucieczki przed ogarniającym ją strachem na cmentarzu w środku nocy i wpatrywanie się w grób nieżyjącej od ponad dwustu lat obcej kobiety jest pozbawione sensu.

- Muszę być trochę stuknięta - odezwała się cicho - skoro robię to, co robię.

A z drugiej strony, pomyślała, strach przed takim człowiekiem jak Fedir

Kuczyn, bez mrugnięcia okiem palącym dzieci, jest całkowicie uzasadniony. Przed człowiekiem, który w bestialski sposób mordował tysiące ludzi naraz. Szaleństwem byłoby się nie bać.

Na drugim krańcu cmentarza znajdowała się mała prywatna kapliczka, która już dawno temu popadła w ruinę. Ściany z kamienia poczerniały ze starości, dach częściowo się zapadł, a grube, łukowate drewniane drzwi nadwątlili wilgoć i termity.

Reggie wślizgnęła się do środka i podeszła do ołtarza. Przychodziła tu czasem, żeby uciec przed wyzwaniem swojej pracy i żeby posłuchać ptaków, które znalazły schronienie w starych belkach sufitu. Nie było tu żadnych witraży, tylko zwykłe, dawno już stłuczone szyby, oprawione w ołowiane ramki. Przez te otwory dobiegały odgłosy z otaczających cmentarz drzew.

W przeciwieństwie do Fedira Kuczyna Reggie dawno już przestała myśleć o jakiejś sile wyższej kierującej działaniem ludzi. Powód był prosty. Wszechwiedzący, wszechpotężny dobrotliwy Bóg nigdy nie pozwoliłby takim potworom zamieszkiwać ziemi i zabijać innych ludzi. Skoro zaś ją zamieszkiwali, wykluczało to istnienie łagodnej istoty wyższej. Wiele osób mogłoby się z nią nie zgadzać, i faktycznie, wiele się nie zgadzało. Wysłuchiwała cierpliwie ich argumentacji, a następnie po prostu nie zgadzała się z wypływającymi z niej wnioskami.

Pozostały im jeszcze dwa dni na dopięcie wszystkiego na ostatni guzik; potem rusza do Prowansji. Nim to nastąpi, musiała jeszcze podjąć razem z profesorem ostateczną decyzję, jak wypełnić zadanie. Od ich właściwej decyzji będzie zależało, czy Fedir Kuczyn pozostanie żywy, czy umrze.

W końcu, mimo złych przeczuć, uklękła przed ołtarzem, złożyła dłonie i zaczęła modlić się o to, by dobro jeszcze raz zwyciężyło zło.

Uznała, że to nie zaszkodzi.

18.

Wynajem willi, w której Evan Waller miał mieszkać przez miesiąc, kosztował dwadzieścia tysięcy euro tygodniowo. Całą kwotę zapłacono z

góry, tak przynajmniej powiedziała Shawowi agentka nieruchomości. Dom stał nad urwiskiem, składał się z pięciu poziomów, a prowadziły do niego tylko jedne spiralne, wykonane z wapienia schody. W środku znajdowało się sześć sypialni, na tyłach był basen ze słoną wodą oraz pergola, gdzie można zjeść na świeżym powietrzu. Właściciel willi niedawno ją odnowił i wymienił wszystkie sprzęty, włącznie z kuchenką w obszernej kuchni.

Shaw dowiedział się tego wszystkiego od agentki nieruchomości z Gordes, którą odwiedził pod pretekstem wynajęcia willi w przyszłym roku. Agentka był uprzejma i sypała informacjami.

- Niech się pan długo nie zastanawia - ostrzegła go całkiem poprawną francuszczyzną, choć była z pochodzenia Brytyjką. - Wczoraj już był tu ktoś, kto chce wynająć willę w przyszłym roku.

- Naprawdę? - zdziwił się Shaw. - Któż taki?

Kobieta uniosła wysoko brwi.

- To poufne, ale to była młoda, całkiem miła Amerykanka. No i oczywiście dość zamożna. Te willę są najlepsze w całej okolicy, ale znajdują się poza zasięgiem większości ludzi. Willę obok odnawiała ta sama firma. Domy nie są identyczne w środku, ale mają sporo podobieństw, na przykład spiralne schody z wapienia łączące poszczególne kondygnacje.

I to tyle na temat poufności, pomyślał Shaw.

- Ale skoro willa jest, jak pani powiedziała, wynajęta, to gdzie lokator? Dom stoi pusty.

Kobieta była zakłopotana.

- Wynajął dom na miesiąc i zapłacił z góry.

- Więc to mężczyzna?

Zrobiło jej się głupio.

- Tak, ale jego nazwisko to tajemnica.

- Oczywiście.

- W każdym razie jeszcze nie przyjechał. To rzeczywiście dość niezwykle. Płacić tysiące euro za coś, z czego się nie korzysta? No, ale to nie moja sprawa. Bogaci ludzie są dosyć dziwni, prawda? Ale pan także musi być bogaty, skoro szuka pan takiej willi do wynajęcia.

- Dobrze sobie radzę w życiu - odparł skromnie Shaw. - Poza tym, jeśli pani woli, możemy rozmawiać po angielsku, choć pani francuski jest

znacznie lepszy niż mój.

Wydawała się zadowolona z tej propozycji, jej zachowanie i ton głosu uległy natychmiastowej zmianie, a brytyjski akcent brzmiał głośno i dźwięcznie.

- To miłe, że pan tak mówi. Przez miesiąc brałam lekcje, żeby to bulgotanie przeszło mi przez gardło, ale nie sądzę, żeby mi to rewelacyjnie wychodziło. A przecież ci Francuzi tak pięknie mówią, prawda? Mało nie zdarłam sobie gardła.

- Podobnie jak ja.

- Ponieważ dom stoi pusty, mogłabym go panu szybciotko pokazać, ale chyba nie chcemy tam wpaść i zastać pana Wallera w samej bieliznie, prawda?

- Więc to pan Waller?

Kobieta wydawała się rozgoryczona.

- No, niech pan zobaczy, co narobiłam. Okay, rzeczywiście tak się nazywa, ale niech pan tego nie rozgłasza. Nasza praca wymaga poufności.

- Oczywiście. Nie pisnę ani słowa. Dziękuję pani.

Wyszedł od niej i wrócił do małego hotelu ze spa, w którym się zatrzymał. Ze znajdujących się niżej willi do Gordes, położonego na szczycie urwiska płaskowyżu Vaucluse, najszybciej można było dotrzeć pieszo po schodach wykutych w skale. Samochodem trzeba było jechać naokoło krętą, pełną ostrych zakrętów drogą. Białe i szare budynki z kamienia przykleiły się do skał niczym pszczoły do plastra miodu. Nad wioską górowały dwie budowle - kościół ze strzelistą dzwonnica i średniowieczny zamek, w którym obecnie urzędowały władze miasta.

Zadzwoił do Franka i przekazał mu zdobyte informacje. Shaw, od chwili gdy się tu pojawił, metodycznie przeprowadzał rozpoznanie wszystkich godnych zainteresowania budynków. Znał już pewnie Gordes lepiej niż niejeden stały mieszkaniec. Amy Crawford miała się pojawić nazajutrz, ale Shaw komunikował się z nią od pierwszej chwili, gdy znalazł się w Prowansji.

W miasteczku odkrył sporo miejsc, w których można było coś zjeść, zabijał więc czas studiowaniem menu wydrukowanych na białym szeleszczącym papierze i wywieszonych na drzwiach restauracji. Zdecydował się

na L'Estaminet Cafe w pobliżu centrum. Zjadł, popijając kieliszkiem tak popularnego w tej okolicy bordeaux. Za to trudno tu było natrafić na włoskie wino, pomyślał z szerokim uśmiechem. Uśmiech znikł z jego twarzy, kiedy zobaczył ją, jak wchodzi do knajpki. Choć w środku roilo się od turystów, z jakiegoś powodu wiedział, że to na pewno ta Amerykanka, o której wspominała agentka nieruchomości - młoda, śliczna i dobrze sytuowana.

Dobiegająca trzydziestki kobieta o blond włosach z pasemkami. Jej opalona skóra miała migdałowy odcień, a na ramionach znajdowało się kilka znamion wielkości i koloru ziaren kawy. Ubrana była w letnią sukienkę na ramiączkach; na wąskich, długich stopach miała skórzane sandały. Kiedy szła do stolika, Shaw widział ją tylko z profilu, ale gdy kładła na krzesło obok siebie torebkę, na chwilę odwróciła się w jego stronę.

Wydawało się, że oczy i mózg Shawa działają bez żadnej synchronizacji, jakby umysł oczekiwał, że źrenice pokażą coś innego, niż widzą w rzeczywistości. Właściwie nie wiedział, czego się spodziewał. Nie miała wcale idealnej twarzy. Nos był odrobinę za długi i zbyt ostro zakrzywiony; oczy nieco za duże w stosunku do reszty twarzy, policzki za płaskie. Wszystko to razem sprawiało jednak, że łatwiej zapadała w pamięć, niż gdyby miała nieskazitelne rysy. Pięknych kobiet nie brakowało, szczególnie na południu Francji, ale naprawdę trudno było zapomnieć te, które nie do końca pasowały, do wzorca.

Miała wysportowane ciało; dobrze rozwinięte ramiona, nogi długie i kształtne, łydki umięśnione, jakby się przez całe życie wspinała. Ponieważ była szczupła, sprawiała wrażenie wyższej. Oceniał, że ma z metr sześćdziesiąt osiem, więc w porównaniu z nim była niewysoka. Tyle że każdy, kto nie był koszykarzem, wydawał mu się drobny.

Po dłuższym zastanowieniu zrozumiał wreszcie, co go w niej tak zaskoczyło. Choć była młoda, sprawiała wrażenie dużo starszej, oczywiście nie w sensie fizycznym.

Sprawia wrażenie osoby zbyt poważnej jak na swój wiek.

Wprawdzie skończył już posiłek, jednak ciekawość nakazała mu zostać i zamówić kawę i sorbet truskawkowy. Raz czy dwa zdawało mu się, że spojrzęła w jego stronę, ale to mogła być tylko gra wyobraźni. W końcu

zapłacił rachunek, wstał i wyszedł. Gdyby się w tym momencie odwrócił, zyskałby pewny dowód, że jednak zwróciła na niego uwagę, bo długo za nim patrzyła, kiedy zamknął już za sobą drzwi.

Wędrował nierównymi, brukowanymi ulicami, ale starał się nie spuszczać z oczu wejścia do restauracji. Dwadzieścia minut później kobieta stanęła w drzwiach, rozejrzała się wokół i ruszyła ścieżką, która mogła prowadzić do położonych niżej na zboczu willi. Wymagało to przejścia skrótem, kamiennymi schodkami, pozwalającymi zaoszczędzić minutę i uniknąć spaceru krętą ulicą.

Shaw ruszył za nią ciekawy, gdzie mieszka. Ku swojemu zaskoczeniu zobaczył, że otwiera drzwi willi sąsiadującej z domem, w którym miał pojawić się Waller. Na dodatek dowiadywała się o ten drugi dom u agentki. I choć Frank nic na nią nie znalazł, to kobieta wciąż tu węszyła. Shaw lubił niespodzianki, pod warunkiem że to nie on był nimi zaskakiwany.

19.

Następnego dnia, po przejechaniu piętnastu kilometrów, w ruinach starożytnego fortu ulokowanego ze względów strategicznych na szczycie wzgórza, Shaw spotkał się z Amy Crawford, drobną kobietą, ledwie sięgającą mu do piersi. Mimo to, jak wiedział, była biegłą w sztukach walki, biegała w maratonie i potrafiła zabić lub obezwładnić przeciwnika sami rękami czy nogami. Lecz to nie jej niezwykła sprawność fizyczna zwróciła uwagę Shawa, tylko opanowanie w czasie akcji, i dlatego wybrał ją do swojego zespołu.

Pojechali oddzielnie do starych kamieniołomów, gdzie znajdowały się jaskinie Les Baux i wybrali się na ich zwiedzanie. Shaw miał w koszuli miniaturową kamerę i wszystko filmował, żeby później przeanalizować nagranie.

Kiedy wracali z powrotem do samochodów, Crawford powiedziała:

- Cieszę się, że mogę znów z tobą pracować.
- Ja też.
- Sądząc z planu, porwanie powinno gładko przebiec. Facet nie mógł

wybrać lepszego miejsca.

- On też pewnie sobie z tego zdaje sprawę. Dlatego ochrona będzie w pełnej gotowości. Mamy dwie sekundy na zaskoczenie go. Ale też wyjątkowo rzadko dysponujemy tak szczegółowym rozpoznaniem. Musimy uderzyć w sposób perfekcyjny.

- Jasne.

Shaw wskazał jej, żeby usiadła za kierownicą swojego dwudrzwiowego audi, a sam zajął miejsce pasażera.

- A teraz w skrócie opowiedz wszystko. Upewnijmy się, że mamy takie same informacje.

Crawford zabębniła palcami o kierownicę.

- Prywatne zwiedzanie rozpoczyna się o dziesiątej zero zero. Z wcześniejszych doświadczeń wynika, że razem z nim będzie minimum czterech, a maksimum sześciu ochroniarzy uzbrojonymi w Glocki. Wchodzą. Przewodnik to nasz człowiek. W, identyfikatorze ma zainstalowany miniaturowy mikrofon i kamerę, więc będziemy widzieli ich ruchy w czasie rzeczywistym. Przewodnik postara się, żeby wycieczka poruszała się zgodnie z założonym planem. Wcześniej z miejsca ataku zostaną usunięci wszyscy strażnicy. Pięć minut na przeczytanie informacji o jaskini wywieszanej na ścianie plus pięć na wysłuchanie nagranego przywitania, to daje nam godzinę dziesiątą dziesięć. Pierwsza komnata to pięć minut. Druga dwie. Trzecia cztery. Mamy dwadzieścia jeden po dziesiątej. Czwarta komnata to miejsce akcji. Sześćdziesiąt na sześćdziesiąt metrów, dobre krycie od frontu i przy lewej bocznej ścianie. Ekipa jest już na pozycjach. Odcięcie zasilania sześćdziesiąt sekund po wejściu celu do komnaty. Siedmiu strzelców z kamerami światłowodowymi i karabinami ze środkiem usypiającym wyposażonymi w celowniki laserowe. Celują w szyję, ramię lub udo, gdyby włożył kamizelkę kuloodporną. Nasz człowiek w rozdzielni zaczyna odliczanie do pięciu w chwili, kiedy ostatni ochroniarz przekroczy próg czwartej komnaty. Lampka kodu „czerwonego” zapala się w naszych hełmach sekundę przed odcięciem zasilania. Strzelamy od razu, żeby zapobiec gwałtownej reakcji na zgaszenie światła. Ty zajmujesz się naszym głównym celem, ja stojącym najbliżej niego ochroniarzem. Pozostali strzelcy kładą ochroniarzy w swoich wyznaczonych sektorach. Wszyscy ochroniarze i główny cel leżą w ciągu dwóch se-

kund.

- Odwrót?

- Dwa korytarze rozdzielające się na wschód i na zachód od jaskini. Zachodni zatacza krąg i wraca do wejścia. Wschodni ma dwieście metrów długości i kończy się wyjściem awaryjnym po drugiej stronie kamieniołomów. Jest tam też droga, na której czeka śmigłowiec sanitarny. Wózek będzie czekał we wschodnim tunelu. Ładujemy cel na wózek; to zajmie nie więcej niż trzydzieści sekund. Tyle samo droga do wyjścia. Śmigłowiec odlatuje, kiedy tylko cel znajdzie się w środku. Cel i ekipa znajdują się poza obszarem powietrznym Francji, zanim ochroniarze obudzą się w mrocznej jaskini i zaczną się zastanawiać, co się stało.

Shaw kiwnął z aprobatą głową.

- A potem do następnej roboty.

- No właśnie. - Zawahała się, patrząc na niego.

- O co chodzi? - zapytał, widząc niepokój w jej oczach.

- To zwyczajne plotki, ale zawsze byłam ciekawa, czy to prawda.

Shaw spojrzał na nią pytająco.

- Jakie plotki?

- Naprawdę strzeliłeś panu Wellsowi w głowę?

- Mieliśmy drobną sprzeczkę.

Uśmiechnęła się.

- Podoba mi się twój styl.

- Właściwie Frank nie jest złym facetem, pod warunkiem że nie zwracasz uwagi na jego wady.

- Naprawdę?

- Nie.

20.

Następnego dnia Shaw z zainteresowaniem obserwował, jak tajemnicza dama robi zakupy w Gordes. Kiedy szła w kapeluszu chroniącym od słońca i spodnicy do kolan, którą co chwila podrywały podmuchy podstęp-

nego wiatru, oglądali się za nią wszyscy mężczyźni, starzy i młodzi. Po chwili zaczęli się nią interesować jeszcze bardziej. Kiedy zaczęła przystawać przy witrynach sklepów, Shaw widział, jak podchodzą i zagadują ją po francusku, włosku, grecku i angielsku. Oferowali pomoc w robieniu zakupów, w porozumieniu się, a pewnie także próbowali umówić się na randkę. Kobieta grzecznie odrzucała wszystkie oferty. Rzeczywiście, nie potrzebowała pomocy. Mówiła płynnie po francusku i знаła ceny towarów. Poza tym potrafiła się targować. Shaw obserwował, jak wyklóca się o cenę bluzki, dekoracyjnego niebiesko-żółtego talerzyka, butelki wina i tuzina cukierni, które zamierzała pewnie później usmażyć. Robiła to tak długo, aż sprzedawca przystał na jej cenę.

Wieczorem Shaw siedział w ogródku kawiarni i zastanawiał się, co zamówić na kolację, kiedy nieoczekiwanie podeszła do jego stolika.

- *Parlez-vous français?*

- *Oui, je parle français.* - Ale szybko dodał: - *Mais mon anglais est beaucoup meilleur.*

Uśmiechnęła się ciepło.

- Ja też lepiej mówię po angielsku niż po francusku. Czy mogę się przysiąść? Ostatnio jadałam samotnie i choć początkowo było to przyjemne, już mi się znudziło.

- Proszę. - Wskazał jej krzesło.

Zdjęła kapelusz, położyła go na krześle obok i sięgnęła po menu.

- Co wygląda smakowicie? - zapytała, unosząc okulary przeciwsłoneczne, choć zachodzące słońce rzucało swój blask wprost na nią.

- Kurczak z sosem puttanesca albo tradycyjny stek z frytkami i sałata.

- Zamówimy wino?

- Jesteśmy w Prowansji. Tu jest to chyba obowiązkowe.

Złożyli zamówienie u kelnera, który natychmiast przyniósł butelkę czerwonego wina i dwa kieliszki. Napełnił je i zniknął.

- Zdaję sobie sprawę, że wydałam się panu bezczelna, zaczepiając pana w ten sposób.

- Słowo „bezczelność” chyba już wyszło z obiegu, zarówno w odniesieniu do mężczyzn, jak i kobiet.

- Ale wszystko po kolei. Nazywam się Jane Collins. Dla przyjaciół Ja-

nie. - Wyciągnęła do niego rękę. Shaw uściśnął ją z rozbawioną miną.

- Bill.
- Amerykanin?

Przytaknęła.

- A ty?
- Mam taki sam paszport.
- Jestem z Dystryktu.
- A cóż ty robisz w naszej stolicy?

- Na tyle mało, ile się da. Byłem lobbystą, ale sprzedałem kancelarię i postanowiłem zobaczyć trochę świata.

- Masz rodzinę?
- Jestem dumnym ojcem. - Wyjął portfel i wręczył jej fotografię dwójki dzieci, chłopca i dziewczynki, w która zaopatrzył go Frank. - To Michael i Alli.

- Śliczne. - Oddała mu zdjęcie. - Żona nie przyjechała z tobą?
- Jesteśmy rozwiedzeni. - Wsunął fotografię do kieszeni koszuli. - Zdjęcie jest trochę stare. Teraz to są nastolatki.

- Musiałeś wcześniej zacząć, nie wyglądasz tak staro.

- Pij dalej to wino, podoba mi się jego działanie na twój wzrok. A ty?

Jaka jest twoja historia?

- Nic szczególnie emocjonującego. Mój tata dorobił się fortuny. Oboje z marną zmarli przedwcześnie, a ja byłam jedynaczką.

- Przykro mi to słyszeć. Pieniądze nie zrekompensują straty.

- Nigdy tak nie myślałam i jak się okazuje, miałam rację. Byłam młoda, kiedy umarli, a wciąż mi ich brakuje.

- Doskonale cię rozumiem.

- Ale życie toczy się dalej. - Odwróciła na chwilę wzrok, potem znów spojrzała na niego i zdobyła się na nikły uśmiech. - Jestem bogata, lubię podróżować, odwiedzać różne miejsca. Tu jest tak pięknie. Jak długo tu zostaniesz?

- Kilka dni.

- A potem?

- Włochy, następnie Grecja. - Ale nie spieszę się. Przez całe życie goniły mnie napięte terminy. Teraz trochę improwizuję.

- Gdzie się zatrzymałeś?

Shaw uniósł się zakłopotany na krześle.

- Może jednak słowo „bezczelność” nie wyszło tak zupełnie z użycia.

Jej policzki spurpurowiały.

- No dobrze, chyba sobie na to zasłużyłam. Zawsze zadaję za dużo pytań i za dużo opowiadam o sobie zupełnie obcym osobom.

- Muszę się z tobą zgodzić. O swoim bogactwie nie powinnaś chyba opowiadać na prawo i lewo. Na świecie pełno jest szumowin, które mogłyby wykorzystać taką informację.

- Obawiam się, że masz rację. - Wyglądała teraz jak zbesztana dziewczynka.

- Dlaczego jesteś tu sama? Nie masz przyjaciół, którzy chcieliby z tobą podróżować? Jestem pewny, że latasz pierwszą klasą.

- Przyjaciele pracują. To jest minus sytuacji, kiedy nie trzeba zarabiać na życie.

- Przypuszczam, że większość ludzi byłaby gotowa się z tobą zamienić - odparł uprzejmie.

- Ale my moglibyśmy razem spędzić czas.

- Nawet mnie nie znasz.

- Oczywiście, że znam. Ty jesteś... hmm...

- Bill - odpowiedział jej.

Szturchnęła go żartobliwie w ramię.

- Z Waszyngtonu. Były lobbysta, rozwiedziony, ojciec dwójki wspaniałych dzieciaków. Widzisz, mam niezłą pamięć.

- Okay, Jane...

- Dla przyjaciół Janie.

- Dobrze, Janie, ale nie spiesz się tak z zawieraniem przyjaźni.

- Mam prawie trzydzieści lat - powiedziała z zakłopotaniem. - Powinam sama to wiedzieć.

- Są ludzie, którzy nigdy się tego nie nauczą.

- Powiedz, gdzie nauczyłeś się mówić po francusku?

- Skąd wiesz, że umiem? Tych kilka słów, które wypowiedziałem, nie zapewni mi pracy w ONZ. Za to twój francuski brzmiał bardzo autentycznie. Jakim cudem?

- Przed przyjazdem tutaj uczyłam się intensywnie przez pół roku. Nie masz pojęcia, ile można każdego dnia zrobić, gdy się nie pracuje.

Shaw uniósł kieliszek z winem i stuknął nim o jej kieliszek.

- Chętnie się o tym przekonam.

Na stole pojawiły się ich dania. Kontynuowali rozmowę, jedząc. Podzieli się rachunkiem na pół i zapłacili gotówką. Następnie ruszyli przed siebie ulicą. O tej porze większość sklepów była zamknięta, ale wiał przyjemny ciepły wiatr, ulicą przechadzało się bez celu mnóstwo ludzi. Z baru w centrum miasteczka dobiegała muzyka.

Janie zmierzyła Shawa wzrokiem.

- Ile masz wzrostu?

- Około metra dziewięćdziesięciu pięciu.

- Chyba byłeś najwyższym lobbystą w Waszyngtonie.

- Nie, jest tam też kilku byłych koszykarzy. Jeden z nich ma dwa dziecięć. Biedaczek musi schylać się w drzwiach, kiedy wymienia uściski i wprasza się na kolację.

- No dobrze, ja idę tutaj - powiedziała.

- A ja tam. - Wskazał palcem za siebie.

- Może znów się na siebie natkniemy.

- Miasteczko jest małe, więc szanse duże.

Uśmiechnęła się.

- Następnym razem będę bardziej powściągliwa.

Odpowiedział jej uśmiechem.

- A ja mniej krytyczny.

Reggie Champion wróciła do swojej willi i zadzwoniła. Opowiedziała profesorowi Mallory'emu o swoim spotkaniu z Billem i dokładnie mu go opisała.

- Niech pan poszuka czegoś na jego temat. Jest w nim coś dziwnego.

- Dobrze, Regino. Ale to może być pomyłka.

- Ufam swojemu instynktowi. Coś na temat Wallera?

- Wszystko zgodnie z planem.

- Jeśli mam rację z tym facetem, będę musiała wyłączyć się z akcji.

Jest pan pewien, że moja przykrywka jest w porządku?

- Od dawna. Jeden z naszych dobroczyńców jest właścicielem firmy informatycznej i ma dostęp do wielu kluczowych baz danych. Zostawił

nam do nich otwartą furtkę i możemy tam robić, co chcemy. Wszystkie informacje, których nauczyłaś się na pamięć, znajdują się w miejscach, gdzie każdy może je sprawdzić. Numer ubezpieczenia, konta bankowe, wykształcenie, przyznane tytuły, historia życia rodziców i tym podobne. A jak ci się podoba twoja strona na Facebooku?

- Wspaniała. Mam fajnych znajomych. Muszę przyznać profesorze, że wie pan o komputerach więcej, niż mi się wydawało.

- Jestem tylko starym matolem. Z trudem powtarzam to, co mi powiedziano.

- Jasne.

- Nie przepracowuj się zbytnio.

- Tylko dzięki temu wciąż żyję.

Niecały kilometr dalej Shaw siedział na swoim łóżku i zdejmował wyraźne odciski palców z fotografii, którą wręczył Janie. Za pomocą przenośnego urządzenia zeskanował je, wysłał e-mailem do Franka, a następnie do niego zadzwonił.

- To musi być gorąca laska - stwierdził Frank, kiedy Shaw skończył opowiadać.

- Nie lubię, kiedy w czasie pracy pojawiają się nagle „gorące laski”, zwłaszcza gdy mieszkają po sąsiedzku z moim celem. Poza tym ona interesowała się domem Wallera.

- Ale z tego, co mówiłeś, to rodzaj słodkiej idiotki.

- Tego nie wiemy na pewno. Może to tylko gra.

- Mówiłem ci, że w czasie przygotowań nie stwierdziłiśmy żadnych zagrożeń. Zaczynasz wpadać w paranoję?

- Nie, Frank, już od dawna jestem paranoikiem.

21.

- **W**ierzysz w Boga? - zapytał Alana Rice'a Waller.

Dopiero co wysiedli po długiej podróży z samolotu Wallera. Teraz, sie-

dząc na tylnej kanapie wypożyczonego cadillaca escalade, jechali na spotkanie. Rice wpatrywał się w ekran laptopa, przez który przelatowały bez przerwy jakieś liczby. Jeśli zaskoczyło go pytanie pracodawcy, nie okazał tego.

- Naprawdę nie zastanawiałem się nad tym od czasów dzieciństwa.

Waller chciał wiedzieć więcej.

- A gdybyś teraz się nad tym zastanowił?

- Powiedziałbym, że warto się asekurować, ale muszę przyznać, że sam tego nie robiłem.

Waller wydawał się rozczarowany.

- Naprawdę?

- Z zastrzeżeniem, że każdy powinien podjąć wysiłek, aby osiągnąć w życiu to, czego chce, a nie tylko modlić się do istoty, której nie można ujrzeć.

Waller wydawał się zadowolony z tej odpowiedzi.

- Wydaje mi się, Evan, że nie jesteś zbyt religijny.

- Przeciwnie, modlę się rano i wieczorem i co tydzień chodzę do kościoła. Wierzę w Boga z całego serca, tak jak moja matka, a wcześniej matka mojej matki. Francuzi kochają wygodne życie, ale są bardzo pobożni.

- Nie rozumiem tylko...

Waller zbył go machnięciem ręki.

- Nie potępiam ludzi za to, że nie wierzą albo że się „asekurują”. W pewnej chwili i tak będą mieli do czynienia z Bogiem. - Spojrzał na Alana. - I ty będziesz miał z nim do czynienia.

Rice szybko odwrócił wzrok do komputera, zanim zdążył wypowiedzieć nierozważne słowa i wymownie spojrzeć na Wallera. *W takim razie ty również będziesz miał do czynienia z Bogiem. I nie wydaje mi się, żeby modlenie się dwa razy dziennie czy cotygodniowe wizyty w kościele mogły uchronić cię przed piekłem.* Te słowa mogły go kosztować życie.

- A więc dzisiaj? - zmienił temat.

Waller pokiwał niespiesznie głową i opuścił nieco szybą, wpuszczając do wnętrza świeże powietrze.

- Co za irytująca religia. Ludzie, z którymi mamy się spotkać, wierzą, że ci, których zabiją, będą im służyć po śmierci. Wierzą też, że w raju czekają na nich dziewice. Z drugiej strony dziwię się, że choćby z tego jednego powodu na islam nie przechodzi więcej mężczyzn.

- Pewnie przechodziliby, gdyby nie fakt, że są krótko trzymani przez żony.
- Jesteś dzisiaj w wyjątkowej formie, Alan.
- W przeciwieństwie do ciebie - odparł poważnym tonem Rice. - Współpraca z muzułmańskimi terrorystami?
 - A nie jesteś już zmęczony dziwkami z Azji? Ile ich potrzeba do zaspokojenia chuci zachodniej męskiej populacji?
 - Na pewno więcej, niż zdołamy zdobyć. Ale to daje kolosalne i stałe dochody. I pozwala finansować pozostałe przedsięwzięcia.
 - Każdy potrzebuje nowych wyzwań.
 - Ale wzbogacony uran? Do produkcji ładunków jądrowych? Przecież takie coś może zostać zdetonowane w Montrealu czy Nowym Jorku. Ja bym im nie dowierzał.
 - Nie wydaje ci się, że światem trzeba trochę potrząsnąć? Jest zbyt stacyczny. Zbyt przewidywalny. Ci na szczycie są tam już bardzo długo. Może zbyt długo.
 - Nie wiedziałem, że interesujesz się geopolityką.
 - Jeszcze wielu rzeczy o mnie nie wiesz. Ale chyba już jesteśmy na miejscu.

Rice wyrzwał przez okno i dostrzegł wylaniający się budynek. Ostatnie dwadzieścia minut lotu minęło im pod znakiem turbulencji, ponieważ lądowali w burzy, a pięćdziesięciokilometrowa podróż samochodem po prowincji nie pozwoliła uspokoić się jego żołądkowi. A teraz jeszcze ci ludzie, z którymi się umówili. Tymczasem jego szefowi nie zaszkodziła ani burza, ani zbliżające się spotkanie.

Każdy, kto szukał elementów potrzebnych do skonstruowania bomby atomowej, musiał być szaleńcem. Rice mógł się zgodzić, że jego pracodawca jest przynajmniej po części szalony, ale nauczył się, jak w jego towarzystwie przeżyć. Tymczasem ci ludzie stanowili dla niego zagadkę. Marzył o tym, żeby Waller nie kazał mu iść ze sobą.

Kiedy próbował odmówić, Waller zareagował stanowczo.

- Moja prawa ręka nie może wybierać sobie rozmówców. A człowiek o słabych nerwach nie może być moją prawą ręką. Niestety, Alan, nie mam pożytku z żadnej innej części twojego ciała oprócz głowy.

Słowa były żartobliwe, ale ton głosu już nie. Właśnie dlatego Rice

wsiadł do samolotu i przeleciał kilka stref czasowych, żeby pomóc swojemu szefowi wynegocjować śmierć tysięcy ludzi.

- W jaki sposób chcesz rozpocząć spotkanie? - zapytał Rice.

- Będziemy się witać i uśmiechać. Jeśli zechcą, żebyśmy jedli i pili, to będziemy jeść i pić. A potem rozpoczniemy negocjacje. A tak przy okazji, nie pokazuj im podeszew swoich butów. Dla nich to wielka zniewaga.

- Czy jeszcze coś powinienem wiedzieć?

- Tak.

Rice spojrział na Wallera wyczekująco.

- Jeśli trzeba będzie uciekać, uciekaj szybko.

Rice'a zamurowało.

- Myślisz, że może do tego dojść?

- Trudno powiedzieć. Ale jedno wiem, nie ufam Beduinom w chustach, którzy zamierzają wysadzić świat w powietrze.

- Co w takim razie tutaj robimy?

- Przecież mówiłem o potrzebie nowych wyzwań.

- Naprawdę sądzisz, że będziemy musieli uciekać?

- Być może. Jeśli tak się stanie, pamiętaj, że mam być cały czas przed tobą.

- A jeśli nie?

- To cię zastrzelę i przeskoczę nad twoim trupem.

22.

Dom był duży, nowy i znajdował się w odległości kilku kilometrów od innych zabudowań. Przy bramie powitał ich mężczyzna w ciemnym garniturze o brytyjskim kroju i z turbanem na głowie. Obszukał Wallera i Rice'a i zabrał Wallerowi broń.

- To robiony na zamówienie heckler and koch kalibru dziewięć milimetrów - odezwał się do Araba Waller. - Spodziewam się, że otrzymam go z powrotem w takim samym idealnym stanie.

Nawet jeśli mężczyzna zrozumiał jego słowa, nie dał tego po sobie po-

znać.

- A moi ludzie? - Waller wskazał za siebie na sześciu przysadzistych ochroniarzy z dłońmi na kolbach pistoletów. Zadał pytanie, choć znał odpowiedź. Arab łamaną angielszczyzną powiedział, że tamci mogą wejść do środka z bronią. Waller skrzywił się, ale nie zaprotestował.

Rice zadarł głowę i spojrzał na zaciemniony budynek.

- Wygląda na to, że nikogo nie ma w domu - rzekł z nadzieją.

- Och, są na pewno - odparł Waller, kiedy szli w stronę budynku. - Bez wątplenia zostaniemy serdecznie powitani.

- Dlaczego w twoim głosie brakuje pewności?

- Ależ skąd. To chyba tobie puszczają nerwy.

- Ciekawe dlaczego - mruknął pod nosem Rice.

Oświetlenie wewnątrz było tak słabe, że Rice musiał zmrużyć oczy, żeby dostrzec drugi koniec dużego pomieszczenia. Waller i Rice szli w głąb domu za mężczyzną w turbanie, a ich śladem kroczyli ochroniarze.

Ich przewodnik zatrzymał się przed dużymi podwójnymi drzwiami, które sprawiały wrażenie stalowych. Otworzył je i nakazał pozostałym wejść. Znaleźli się w pokoju, w którym przy okrągłym stole na środku siedział jeden człowiek. W całym pomieszczeniu paliła się tylko lampa stołowa. Mężczyzna był ubrany w luźną szatę nazywaną w świecie arabskim diszdaszą. Sprawiał wrażenie tęgiego, ale twarz miał wymizerowaną. Nosił krótko przyciętą brodę i nie miał nakrycia głowy.

- Siadać - powiedział, wskazując krzesła dookoła stołu.

Waller niespiesznie rozejrzał się po pokoju, wybierając najlepsze pozycje, a potem kazał swoim ludziom je zająć. Usiadł na krześle i przyglądał się mężczyźnie.

- Spodziewałem się więcej ludzi - odezwał się.

- Mam upoważnienie - odpowiedział mężczyzna czystą angielszczyzną.

Waller zwrócił uwagę na krople potu na jego twarzy i na sposób, w jaki jego oczy błędziły po pokoju. Nagle Arab zwrócił swoją uwagę z powrotem na Wallera i Rice'a.

- WWU - powiedział.

- Wysoko wzbogacony uran - rozszyfrował skrót Waller.

- Jak możecie go zdobyć?

Waller wydawał się zaskoczony.

- To już zostało wyjaśnione.

- Wyjaśnijcie jeszcze raz.

- W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku Rosja i Stany Zjednoczone zawarły umowę o sprzedaży wysoko wzbogaconego uranu - zaczął monotonnym głosem Waller, zupełnie jakby czytał wyuczoną lekcję. - Dla Rosjan jest to sposób na pozbycie się arsenału atomowego i przetworzenie go w uran, który można wykorzystywać w elektrowniach jądrowych. Mógłbym pana zanudzać takimi terminami jak sześćfluorek uranu, uran zubożony, blenda uranowa i tym podobne, ale chodzi przede wszystkim o to, że Rosjanie mają pięćset ton tego wysoko wzbogaconego pierwiastka, który zgodzili się sprzedać Amerykanom. Do tej pory jankesi otrzymali około czterystu ton, co daje średnio trzydzieści ton rocznie. Cały proces - oprócz wstępnego demontażu i wyciągania uranu z głowic - jest monitorowany przez obydwie strony. Rosjanie robią to sami. A dzięki temu pewne osoby z odpowiednimi kontaktami mogą uszczknąć nieco tego atomowego złota.

- I wy macie takie kontakty? - zapytał mężczyzna.

Waller znów poczuł się zakłopotany.

- Gdyby było inaczej, nie prowadziłbym z wami negocjacji. - Wziął do ręki telefon komórkowy. - Wystarczy jeden telefon, żeby to zweryfikować.

- O jakich ilościach rozmawiamy?

- Chodzi o broń czy wzbogacony uran?

- Uran.

Waller zwrócił uwagę, że mężczyzna zbyt gwałtownie pociera palcami. Zauważył spojrzenie Wallera i ręce zniknęły pod stołem.

- Pięćset ton wystarczyłoby do uzbrojenia trzydziestu tysięcy głowic, czyli tylu, ile Ruscy mieli w czasie zimnej wojny. Mój kontakt może przeszmuglować sto kilogramów wysoko wzbogaconego uranu. To ilość wystarczająca na uzbrojenie dwóch głowic, które zniszczą duże miasto, lub kilku mniejszych samodzielnie wykonanych ładunków.

- Więc jest to bardzo cenny materiał?

- Ujmijmy to w ten sposób. Iran wydaje miliardy dolarów na budowę

obiektów i stworzenie technologii, która zapewni mu taką samą ilość materiału, jaką ja chcę wam sprzedać. Bardziej cenny może być jedynie pluton, ale jego nie da się zdobyć.

Muzułmanin gwałtownie wyprostował się na krześle.

- A więc jaka jest cena?

Waller spojrział na Rice'a, a potem znów na mężczyznę.

- Twierdzi pan, że jest upoważniony do zawarcia umowy?
- Parafrazując pana słowa, nie siedziałbym tutaj, gdybym nie był.
- A pańskie nazwisko?
- To nieistotne. Cena.
- Dwieście milionów funtów brytyjskich przelewem na moje konto.

Waller już miał coś dodać, ale mężczyzna rzucił krótko:

- Zgoda.

Waller spojrział na brzuch muzułmanina i pociągnął dyskretnie nosem. Upuścił telefon na ziemię i schylił się, by go podnieść. W następnej chwili Rice przewrócił się z krzesłem na plecy, kiedy Waller poderwał stół i nakrył nim muzułmanina. Chwytał Rice'a za ramię i krzyknął do swoich ludzi:

- Uciekać!

Rice poczuł, że wylatuje przez okno. Wyszczerbiony kawałek szyby rozciął mu spodnie i wbił się w udo. Po chwili coś na nim wylądowało, pozbawiając go tchu. Następnie ktoś go podniósł i pociągnął za sobą.

Z trudem chwycił powietrze, a rozcięta noga mocno krwawiła.

Siła eksplozji wewnątrz budynku przewróciła go na ziemię. Czuł spadający gruz, choć osłonił go swoim ciałem Waller. Kiedy resztki cegieł, potłuczonego szkła, ram i mebli przestały spadać, Waller i Rice wolno się podnieśli.

- Co jest, do cholery... - zaczął Rice, ściskając kurczowo zranioną nogę.

Waller wstał i otrzepał się z kurzu.

- Ten idiota był zamachowcem-samobójcą.
- Skąd wiedziałeś?
- Diszdasza powinna być luźna, a jego ubranie było zbyt ciasne z powodu lasek dynamitu. Miał rozbiegane oczy i patrzył na nas tak, jakby nas

nie widział. Coś ukrywał, a ludzka natura jest taka, że jeśli na kogoś nie patrzysz, to wydaje ci się, że nie jesteś widziany. Ten sam odruch zaobserwujesz u psów.

- Rozbiegane oczy?

- Przed misją pewnie podali mu narkotyki, bo w końcu kto chciałby wysadzić się w powietrze, nawet dla dziewic w raję? No i ten zapach.

- Zapach?

- Dynamit znajduje się w nasączonych wodą laskach z mączki drzewnej, które wydzielają specyficzny zapach. Poczulem też woń metalu. To pewnie były owinięte w brezent stalowe kulki, które miały zadziałać jak szrapnel. Takie kulki robią prawdziwą jatkę. Upuściłem telefon, dzięki czemu mogłem zajrzeć pod stół. Obok niego leżała torba, a w niej baterie połączone przewodami z zapalnikiem, który miał odpalić ładunki umieszczone wokół pasa. Umieszczone w taki sposób, że nie mógł ich zdjąć. To dlatego trzymał ręce pod stołem; miał w nich zapalnik. Poza tym mężczyzna nie wstał na powitanie. To nietypowe dla muzułmanów. Cóż, dynamit jest ciężki, a on bał się, że możemy dostrzec coś podejrzanego, kiedy pokaże nam się w całej okazałości. - Waller z rezygnacją wzruszył ramionami. - Powinienem być zauważyć to wcześniej. Ale teraz obejrzyjmy twoją nogę.

Przykucnął, rozerwał nogawkę spodni Rice'a i uważnie przyjrzał się ranie.

- Przepraszam, że musiałem wypchnąć cię przez okno.

- Boże, Evan, uratowałeś mi życie.

- Rana krwawi, ale nie jest głęboka. Tętnica nienaruszona.

- Jesteś pewny?

- Widywałem już takie rany. Gdyby została przecięta tętnica, już dawno straciłbyś przytomność z upływu krwi. - Ze strzępów nogawki zrobił prowizoryczny opatrunek. - Zaraz zawieziemy cię do lekarza.

Spojrzał w stronę domu i zobaczył wlokącego się w ich stronę jednego ze swoich ludzi. Podbiegł i ujął go pod ramię.

- Pascal, jesteś ranny?

- Nie, tylko dzwoni mi w uszach.

Pascal był Grekiem; miał metr siedemdziesiąt wzrostu, ciemną karnację i jeszcze ciemniejsze kręcone włosy. Był żyłasty i pełen nieposkromionej

energii. Mógł biec przez cały dzień, świetnie strzelał i miał nerwy ze stali. Kiedy należało zachować ostrożność, nie działał pochopnie i poruszał się powoli, ale gdy sytuacja tego wymagała, działał błyskawicznie. Był najniższy z wszystkich ludzi Wallera, a zarazem najbardziej bezwzględny. Pascal od dziesiątego roku życia przebywał u Wallera, który przygotowywał go do objęcia najwyższych funkcji w systemie ochrony. Niestety, nie miał dość lotnego umysłu, by sprostać temu zadaniu, ale pozostał nieocenioną częścią zespołu.

- A co z pozostałymi?

- Tanner i Dimitrij nie żyją. Dimitrijowi urwało głowę, wylądowała na rabatkach. Reszta ekipy jest cała, zwykle potłuczenia i siniaki. Eksplozja zniszczyła też jeden z naszych samochodów.

Waller spojrział na dymiące zgliszcza przed drzwiami. Escalade wzięła na siebie główną siłę uderzenia, dzięki czemu ocalały pozostałe wozy. Z lewej strony dały się słyszeć jakieś krzyki. Waller razem z Pascalem zaczęli biec w tamtym kierunku. Z ciemności wyłoniły się trzy postacie - dwie osoby walczyły z jedną.

Zanim Waller i Pascal dotarli na miejsce, dwójka zwyciężyła. Przegranym był mężczyzna w eleganckim garniturze, który prowadził ich od bramy do drzwi wejściowych.

- Ten sukinsyn próbował zwiać, panie Waller - zameldował jeden z mężczyzn, wykręcając rękę swojemu przeciwnikowi.

Waller złapał pojmanego ze gardło.

- Mam go zastrzelić, panie Waller? - zapytał Pascal.

- Nie, Pascal. Najpierw muszę z nim porozmawiać.

Waller spojrział mężczyźnie w oczy.

- Jesteś płotką. A ten, który się wysadził w powietrze? On też był płotką, nie warto się nim zajmować, prawda? Ale ja zajmę się tobą. Muszę wiedzieć, kto to zlecił. Rozumiesz?

Mężczyzna potrząsnął głową i zaczął wyrzucać z siebie słowa w ojczystym języku.

Waller odpowiedział mu w jego ojczystej mowie. Widać było, że jest zadowolony, widząc w oczach pojmanego zdumienie. A potem kazał swoim ludziom zebrać szczątki Tannera i Dimitrija.

Kiedy wracali na lotnisko, Waller usiadł obok Rice'a.

- Na lotnisku czeka lekarz, opatry twoją nogę - powiedział.
- Dlaczego najpierw nas tu zaprosili, a potem próbowali wysadzić w powietrze?
- Jeszcze tego nie wiem. Ale dowiem się, a wtedy odpowiem jeszcze ostrzej.

Rice roześmiał się i pokręcił głową. Waller rzucił mu krótkie spojrzenie.

- Co jest?
- Właśnie sobie pomyślałem, że po tym wszystkim naprawdę będziesz potrzebował wypoczynku w Prowansji.

23.

Shaw wyciągnął się na szczycie płaskiej skały za wioską i spojrzął na zegarek. Była pierwsza w nocy. W dzień przyjeżdżały tu autokary i wypływały ze swoich wnętrz turystów, którzy stawali zwykle w tym miejscu, gdzie teraz leżał Shaw i robili zdjęcia zapierających dech w piersiach widoków. On również znalazł się w tym miejscu z powodu widoków, a właściwie widoku dwóch bliźniaczych willi - Wallera i Janie Collins. Noktowizor pokazywał ze szczegółami zarysy wszystkich obiektów materialnych, ludzi, samochodów czy donic z kwiatami, podczas gdy tło pozostawało przejrzyste zielone. W domu kobiety paliło się tylko jedno światło, a u Wallera było ciemno. Nic dziwnego, skoro jeszcze się tam nie pojawił.

Nie widział Janie Collins od kilku dni, ale jego zainteresowanie jej osobą rosło. Shaw przesunął nieco tułów, bo czuł, jak w ramię wpija mu się ostra krawędź skały. Nagle jego czujność obudził ruch w dole. Ustawił ostrość i dostrzegł ją, jak z rozświetlonego pomieszczenia przechodzi do drugiego, pogrążonego w mroku. Była bosa, okryta tylko płaszczem kąpielowym. Kiedy zsunęła go z ramion, ujrzał, że ma na sobie jednoczęściowy kostium. Założyła okulary pływackie, związała z tyłu włosy i skoczyła, przebijając wprawnie tafłę wody.

Silnymi uderzeniami ramion cięła powierzchnię wody. Dopłynęła do jednego krańca basenu, odbiła się i zaczęła płynąć w przeciwną stronę. Po pięciu nawrotach Shaw wiedział już, że Janie liczy swoje ruchy. Na niebie nie było księżyca, światło z domu nie docierało do basenu, więc nie mogła wiedzieć, gdzie trzeba wykonać nawrót. Przepląnęła kolejnych trzydzieści długości basenu, nie zmniejszając tempa. Shaw musiał przetrzeć oczy, bo jej metodyczne ruchy działały hipnotyzująco, zupełnie jak strzałka metronomu wychylająca się raz w prawo, raz w lewo.

Blask zapalanego światła kazał mu oderwać wzrok od kobiety i przenieść go na sąsiednią willę. Mężczyzna, który pojawił się w zasięgu wzroku, nie był Wallerem. Nie widział dokładnie jego rysów, ale facet na pewno był większy i bardziej zwalisty niż Waller. Przypuszczalnie była to jedna z osób przygotowujących wizytę szefa. Tak jak powiedział wcześniej Frankowi, przed przyjazdem Wallera jego ludzie sprawdzą dom, a potem zamkną go, wystawiając ewentualnie strażę. Secret Service w Stanach stosowała podobne procedury.

Shaw obserwował, jak przysadzisty, ubrany na czarno mężczyzna z pistoletem w dłoni wycelowanym w najciemniejsze zakamarki fachowo sprawdza teren wokół domu. Zauważył, jak mężczyzna wzdrygnął się i obejrzał przez ramię. W kilka sekund minął basen willi Wallera, dobiegł do ściany dzielącej posesję i wspiął się na nią, żeby zobaczyć, co się za nią dzieje.

Shaw przeniósł spojrzenie na Janie. Skończyła pływać i po drabince wychodziła z basenu. Zrzuciła z siebie mokry kostium kąpielowy, który opadł na posadzkę. Chwyliła ręcznik, wytarła się nim, a potem owinęła. Teraz Shaw spojrzał na mężczyznę. Nie widział dokładnie jego miny, ale był pewien, że musiał mu się podobać ten pokaz nagości. Na pewno przekaze Wallerowi pikantne szczegóły ze swojego rozpoznania. Janie nieumyślnie popełniła bardzo poważny błąd.

Po godzinie w willi Wallera zapadły ciemności, więc Shaw przeniósł wzrok na dom Janie. W pewnym momencie zeszytniał. Wydawało mu się, że w najciemniejszym zakamarku, tuż przy podcieniach, dostrzegł jakiś ruch. Czy to była Janie? Czy może któryś z ludzi Wallera przedostał się na teren sąsiedniej willi, a on tego nie zauważył?

Myślał gorączkowo. Czy Janie zamknęła za sobą szklane przesuwne drzwi? Uznał, że pewnie nie. Była zbyt ufna, zbyt skora do opowiadania o sobie. W tej chwili zapomniał o wszystkich podejrzeniach, jakie w nim wcześniej wzbudziła. Była pewnie młodą, naiwną dziedziczką fortuny, której przyszło spędzać wakacje tuż obok psychopaty sprzedającego młode kobiety do domów publicznych.

Shaw zerwał się na równe nogi i pobiegł. Przyjechał tu skuterem, ale teraz, w nocy, warkot małego silnika mógł tylko ściągnąć kłopoty. Pobiegł więc opustoszałymi o tej porze brukowanymi ulicami Gordes, minął rynek, wybrał skrót obok kościoła i zbiegł po wiekowych schodach, które pozwalały zaoszczędzić nieco drogi. Minawszy amfiteatr, w którym w ciepłe miesiące odbywały się koncerty, ruszył w dół kamiennymi schodkami, które kończyły się dziesięć metrów od obu willi. Wyjrzał zza rogu muru z kamieni, wznoszącego się nad urwistą przepaścią. Willa Janie znajdowała się po prawej stronie, a Wallera po lewej.

Na niewielkim parkingu przed domem Wallera stała srebrna furgonetka citroen. Tuż przy drzwiach willi Janie parkowało jej małe, dwudrzwiowe, szkarłatne renault. Widział wyraźnie, że w renault nie ma nikogo, w przeciwieństwie do citroena. Na przednich siedzeniach siedziało dwóch ludzi; jeden z nich mógł wcześniej przeprowadzać rekonesans. Szybko wyliczył, że w ich polu widzenia jest jeden martwy punkt. Krocząc powoli, sprawdzał, czy się nie pomylił. Obaj mężczyźni spokojnie siedzieli na swoich miejscach. Shaw skręcił za róg i znalazł się w miejscu, skąd mógł dostać się na tyły posiadłości Janie.

Mur miał niecałe dwa metry wysokości, ale w przeciwieństwie do pozostałych murów obu willi, tu na szczycie pionowo wmurowano podłużne kamienie, co podwyższało go o prawie pół metra. Pewnie dlatego, że sąsiedował z uliczką. Zerknięcie za mur było niemożliwe, a przeskoczenie go mogło się okazać bolesne. Shaw przekonał się o tym już po pierwszej próbie wspięcia się na przeszkodę. Zrezygnował, zeskoczył na ulicę, zdjął marynarkę, owinał nią podrapane dłonie i spróbował ponownie. W ułamku sekundy przeskoczył na drugą stronę, lądując bezgłośnie w miękkiej trawie. Przykucnął, próbując rozeznaczyć się w terenie. Znajdował się w bocznym ogrodzie, gdzie rosły róże i kwieciste bugenwille. Basen znajdował się

kilka stopni wyżej po lewej. Włożył z powrotem marynarkę, a noktowizor schował do kieszeni.

Starał się nie myśleć o tym, co powiedziała by Frank, gdyby go teraz zobaczył. Przebywanie w tym miejscu narażało na niepowodzenie całą misję. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Z drugiej strony nie mógł pozwolić, żeby jakiś oprych Wallera bezkarnie zakradał się do domu młodej kobiety. Przebiegł przez niewielki trawnik i wbiegł po kilku stopniach na górę.

Poczuł dotyk lufy milisekundę przedtem, nim usłyszał dźwięk odciągającego kurka.

24.

To był pierwszy błąd. Osoba trzymająca broń znajdowała się blisko - zaledwie kilka centymetrów od niego - co uniemożliwiało jej odparcie niespodziewanego kontrataku. Drugim błędem to, że nie pociągnęła za spust i go nie zastrzeliła. Shaw wetknął kciuk w kabłąk, blokując język spustowy. Pozostałe cztery palce zacisnął na lufie, kierując broń jednym szarpnięciem w dół. Ostatnim błędem było niewypuszczenie pistoletu z ręki. Shaw pociągnął z całych sił za lufę, pochylił się do przodu i jakaś postać przefrunęła nad nim, lądując twardo na trawniku. Wyszarpnął broń z ręki napastnika, usiadł na nim okrakiem i wycelował w głowę.

- Janie?

Leżała pod nim w przekrzywionym szlafroku i z włosami przyklepionymi do twarzy. Ciężko oddychała, zapewne z powodu upadku na ziemię. Miała na sobie tenisówki, szlafrok, szorty i granatowy top.

Uderzyła go kolanem w nerkę i dokuczliwy ból rozszedł się promieniście po jego plecach. Przewrócił się na bok i leżał teraz skulony na trawie obok niej. Oboje podnieśli się z wolna, licząc siniaki i zadrapania.

Shaw cały czas trzymał w ręku broń.

- Co tutaj robisz? - zapytała, podczas gdy jej wzrok wędrował od lufy pistoletu do jego twarzy.

- Zobaczyłem światła w sąsiedniej willi. Potem wydawało mi się, że

widzę, jak jakiś facet przeskakuje do twojego ogrodu.

Janie obejrzała się dookoła.

- Skąd to widziałeś?

Wskazał urwisko.

- Poszedłem na spacer. Stamtąd doskonale widać twój dom.

- A skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam?

Zmieszał się.

- No dobrze, przyznaję się, poszedłem za tobą tamtego wieczoru, kiedy jedliśmy razem kolację, ale tylko po to, żeby upewnić się, że dotarłaś cało do domu. Bogata kobieta wracająca samotnie, sama rozumiesz. Martwiłem się o ciebie. - Uniósł wyżej broń. - Jestem trochę zaskoczony tym, że masz coś takiego.

- Jak sam zauważyłeś, jestem bogata i podróżuję samotnie. A na to mam pozwolenie.

- Naprawdę? - Oddał jej pistolet. - Myślałem, że we Francji o to niełatwo.

- Pieniądze rozwiązują wiele problemów - odrzekła chłodno.

Shaw rozmasował sobie plecy.

- Niech zgadnę, prócz intensywnych lekcji francuskiego przeszłaś też kurs sztuk walki.

Janie zabezpieczyła broń i wsunęła ją do kieszeni szlafroka, którym mocno się otuliła.

- Usłyszałam jakiś hałas w tylnej części, ale nie widziałam nikogo przeskakującego przez mur. Chciałam powiedzieć nikogo oprócz ciebie.

- Ale musiałaś zobaczyć światła w sąsiedniej willi. Pod bramą stoi samochód, a w nim jest dwóch mężczyzn.

Spojrzała na mur rozdzielający obie posesje.

- Być może. Nie jestem pewna. - Spojrzała znowu na niego. - Więc widziałeś mój dom ze szczytu urwiska?

- Tak. Codziennie przyjeżdżają tam całe tabuny turystów, którzy robią sobie zdjęcia willi, doliny i gór. - Nie wiedzieć czemu, Shaw wyczuwał, że ona dobrze o tym wie. To i fakt, że miała broń, na nowo obudziły jego podejrzenia. - Tylko twój basen dobrze stamtąd widać. Basen sąsiedniej willi zasłaniają drzewa i garaż.

Przeniosła wzrok na pogrążoną w ciemnościach wodę.

- Basen? - Obrzuciła go oskarżycielskim spojrzeniem. - Więc widziałeś, jak pływam? I potem też?

- Widziałem tylko mężczyznę - odparł bez wahania. - Dlatego tu zszedłem; chciałem się upewnić, że nic ci się nie stało. Mogłem zapukać do drzwi, ale pod sąsiednim domem byli tamci ludzie i nie byłem pewny, co się dzieje. Poza tym jest po pierwszej w nocy.

- Zgadza się. I dziwię się, że jeszcze jesteś na nogach.

- Ja też byłem zaskoczony, gdy zobaczyłem ciebie. Chyba żyję jeszcze według amerykańskiego czasu. Na pewno nikogo nie widziałeś?

- Nikogo, a wszystkie drzwi są zamknięte. - Urwała. - Nie wiedziałam, że lobbyści potrafią tak dobrze się bronić i posługiwać bronią.

Roześmiał się z trudem.

- Miałem szczęście. Kiedy poczułem wylot lufy przy głowie, wkurzyłem się. Ostatnio strzelałem, kiedy miałem trzynaście lat. To był karabin kalibru dwadzieścia dwa, a cel stanowiły blaszane puszki ustawione na płocie. Ale gdzie ty nauczyłaś się tak podkraść? Nie usłyszałem cię.

Shaw myślał, że takie coś jest niemożliwe.

- Tańczyłam w balecie. Potrafię lekko stąpać.

Ponieważ nie powiedziała nic więcej, lekko dotknął jej ramienia.

- Cieszę się, że nic ci nie jest. Lepiej już pójść.

- Może najpierw sprawdzimy, czy tamci mężczyźni jeszcze tam są - zaproponowała, kierując się w stronę domu.

Bez słowa ruszył za nią, patrząc na płamę po trawie na jej szlafroku. W domu panowały ciemności, a Janie nie zapaliła światła. Miał wrażenie, że dziewczyna posługuje się noktowizorem. Dotarli do frontowego pokoju, skąd dębowe podwójne drzwi prowadziły na zewnątrz. Pokój miał beczkowe sklepienie, wsparte przez łukowate, drewniane kratownice, typowe dla starych domów w Europie. Ściany wewnętrzne były grube, zbudowane z kamienia. Mogły, w zależności od potrzeb, długo utrzymać chłód lub ciepło. Eklektycznych, drogich było tyle, że pomieszczenie, choć przytulne, wydawało się zagracone. Po lewej zauważył kręcone schody z wapienia prowadzące na pozostałych pięć poziomów. Olbrzymia przestrzeń jak na jedną osobę.

Zbliżyli się do drzwi i patrzył, jak Janie uchyla zasłonę w bocznym oknie. Zajrzał jej przez ramię. Bezgłośnie westchnął z ulgą, widząc, że Citroen wciąż stoi, a w środku poruszają się cienie dwóch mężczyzn.

Opuściła zasłonę, cofnęła się o krok i odwróciła do niego.

- Dziękuję za troskę, Bill.
- Polecam się. Wiesz, kto to może być?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Może powinniśmy zgłosić to na policję.

- Może i tak - odparł. Nie miał zamiaru nic takiego robić i coś kazało mu podejrzewać, że ona również nie zamierza niepokoić władz. - Lepiej już pójść. Nie masz nic przeciwko temu, żebym wyszedł tą samą drogą, którą tu przyszedłem? Ci faceci są zbyt nieprzyjemni jak na mój gust.

Skinęła z roztargnieniem głową, wpatrując się wciąż w jego twarz.

- Jestem pewna, że dałbyś sobie z nimi radę.

Przeszła razem z nim na tył domu. Wdrapując się na mur, ponownie użył marynarki do ochrony dłoni. Kiedy na chwilę przysiadł na szczycie, powiedziała:

- Może powinniśmy stworzyć duet?

- Myślę, że po dzisiejszym wieczorze połączyła nas jakaś więź.

- Też mi się tak wydaje - odpowiedziała z wymuszonym uśmiechem.

- Wiesz, jutro o dziewiątej rano zamierzam zrabować kawę i rogaliki w tej małej cukierni w miasteczku. Może tam się spotkamy?

Kiedy Shaw zniknął po drugiej stronie muru, Reggie zdjęła szlafrok, pod którym miała ciemne szorty i granatowy top bez ramiączek. Odczekała chwilę, wróciła do domu i z niższego poziomu wyszła na uliczkę. Zaczęła śledzić Shawa, który skróttem doszedł do miasteczka i wolno ruszył opustoszałymi uliczkami w stronę hotelu. Jeżeli zauważył, że jest śledzony, nie dał tego po sobie poznać.

Przestała go śledzić, kiedy wszedł do hotelu. Teraz przynajmniej wiedziała, gdzie mieszka. Wróciła z powrotem do willi, omijając mężczyzn w samochodzie. Odszukała szlafrok, który zostawiła na stole, ostrożnie wyjęła z jego kieszeni pistolet i przełożyła go do plastikowego woreczka. Na lufie były odciski palców Shawa.

Obeszła cały dom, zamykając wszystkie drzwi. Zadowolona z siebie

włożyła długi T-shirt, wskoczyła do łóżka i zadzwoniła.

Whit odebrał po drugim dzwonku. Nie miał zaspanego głosu. Razem z Dominikiem mieszkali w odludnej chacie niecałe piętnaście kilometrów od Gordes. Opowiedziała mu o wydarzeniach dzisiejszej nocy.

- Nie podoba mi się ten facet - stwierdził Whit.
- Przed domem było dwóch mężczyzn - powiedziała z naciskiem.
- Nadal nie wiesz, co to za gość. Chyba możemy śmiało przyjąć, że nie jest to żaden cholerny lobbysta ze Stanów. To może zagrozić naszej misji.
- Nie wydaje mi się, żeby pracował dla Wallera, jeśli do tego zmierzasz. Nie zwracałby mi uwagi na zwiadowców Wallera i na intruza.
- Skoro to nie człowiek Wallera, to kim jest?
- Nie wiem. Mam jego odciski palców na pistolecie. Prześlę ci go. Muszę wiedzieć, czy nie grozi nam atak z nieoczekiwanej strony.
- Okay, jutro je zdejmę. Ale posłuchaj, Reggie, wystarczy, że ugania-
my się za Kuczinem. Nie potrzeba nam więcej niespodzianek.

Odłożyła telefon i naciągnęła na siebie kołdrę. Nie mogła zasnąć. Wstała, podeszła do okna, otworzyła je i wyjrzała. Sypialnia znajdowała się na najwyższej kondygnacji i roztaczał się stąd wspaniały widok na Gordes. Gdzieś tam był wysoki mężczyzna, który ją sponiewierał. Mógł ją dzisiaj zabić, ale nie zrobił tego. Nigdy wcześniej nie spotkała nikogo, kto poru-
szałby się tak szybko, tak płynnie. Inaczej niż Dominic, Whit czy ona.

Kim on jest?

- Cholera - mruknęła, zamykając okno, i zwała się na łóżko z przeciągłym jękiem. Takiej komplikacji najmniej teraz potrzebowała. A jeśli z tego powodu nie dosięgną Kuczina? Minęła kolejna godzina, nim udało jej się zasnąć.

W swoim pokoju hotelowym Shaw właśnie skończył zdawać Frankowi relację z tego, co się wydarzyło. Rozebrał się do bielizny, ale nie mógł zasnąć. Kiedy leżał, miewał kłopoty z oddychaniem, a to za sprawą uszkodzenia tchawicy przez pewnego gościa o imieniu Caesar. Shaw miał mięś-
śnie jak postronki i był silniejszy, niż na to wyglądał, ale Caesar naprawdę robił wrażenie. Jednak Shaw otrzymał pomoc z nieoczekiwanego źródła. Miłość. Nienawiść. Złość. Głównie jednak nienawiść i złość. I dlatego on

żył, a Caesar nie.

Wstał i otworzył okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza. Nie było stąd widać willi na dole, ale potrafił je sobie wyobrazić.

Kim właściwie była ta kobieta i po co się tu zjawiała? Może rzeczywiście jest tym, za kogo się podaje. Ktoś bogaty i podróżujący samotnie może mieć broń. A potem przez myśl przemknął mu obraz, którego mimo wysiłków nie potrafił się pozbyć. Opadający kostium kąpielowy i opalone, gładkie, nagie ciało. Teraz z kolei przyszła fala poczucia winy. Wrócił do łóżka i wreszcie zasnął.

25.

Evan Waller zamknął oczy i pozwolił myślom cofnąć się o dwadzieścia, trzydzieści lat. Oczami wyobraźni widział, jak znika otoczka uczciwego kanadyjskiego biznesmena i on niczym wąż zmieniający skórę przeistacza się w Ukrainca Fedira Kuczina. Wzrokiem wędrował po ramieniu, szukając odpowiedniego miejsca. Napiął mięśnie i zacisnął na ramieniu gumową opaskę. Żyły na przedramieniu napęczniały. Wybrał jedną, wbił igłę i nacisnął tłoczek. Popłynęła specjalnie przygotowana mieszanina steroidów, oczyszczonych narkotyków i pewnego drogiego eliksiru z Dalekiego Wschodu. Mieszanka, którą sobie wstrzykiwał, była zupełnie wyjątkowa.

Wziął głęboki oddech, czekając, aż ogień rozprzestrzeni się po ciele. Uśmiechnął się, oparł wygodnie i nagle poczuł wyrzut adrenaliny. Podebrał się, zrobił kilka przysiadów, kilka wymachów ramion, znów przysiadł, a potem uchwycił drążek i podciągnął się szybko dziesięć razy.

Opadł z powrotem na matę, ciężko oddychając. Spojrzał w lustro. Jak na swoje sześćdziesiąt trzy lata był w znakomitej formie. Choć na bokach pojawiły się fałdy tłuszczu i zniknął kaloryferek, to brzuch miał płaski, a kiedy się napiął, mięśnie w głębi były twarde. Uda miał szczuplejsze niż kiedyś, ale ramiona i barki wciąż jeszcze muskularne. Pogładził się po łysinie, spojrział na siwe owłosienie klatki piersiowej. Nieważne, co sobie

wstrzykiwał, ile ćwiczył i biegał - starzał się. Czuł wdzięczność, że nikt do tej pory nie zdołał go zabić, ale starzał się i nie był z tego zadowolony.

Wziął prysznic i roztarł miejsce po ukłuciu igły. Owinął się szlafrokiem i przeszedł przez swój rozległy montrealski penthouse. Z okien z najwyższej jakości kuloodpornymi szybami rozciągał się wspaniały widok. A szyby były takie same jak w limuzynie prezydenta Stanów Zjednoczonych i w Białym Domu. Dodatkowo pokrywała je powłoka zniekształcająca obraz wnętrza. Stał teraz pośrodku pokoju, a przez okno widać było, że stoi o dwadzieścia centymetrów w prawo. Pięć minut później jego postać pojawiałaby się dwadzieścia centymetrów w lewo. Zmieniało się to bez przerwy, tak że nikt nie był w stanie w niego wycelować. Przynajmniej teoretycznie.

Patrzył na chłodną letnią noc za oknem, a potem spojrzął na swoją pierś, szukając czerwonej kropki celownika laserowego. Przecież mógł istnieć sposób na wzięcie poprawki na zniekształcające okno, tak jak mógł istnieć pocisk zdolny przebić barierę, jaką odgrodził się od wrogów. Nie cofnął się jednak do cienia. Jeśli tak bardzo chcą go dopaść, niech próbują. Lepiej, żeby położyli go pierwszym strzałem, bo na drugi nie da im szansy. W jego świecie przeżywali tylko najbardziej bezwzględni.

Muzułmanie wkrótce się o tym przekonają. Człowiek, którego pojmał, nie przeżył zbyt długo. Po trzydziestu minutach sam na sam z Wallerem i jego skrzynką z narzędziami facet wyśpiewał wszystko, co wiedział. No, prawie wszystko. Znał nazwiska ludzi, którzy wydali na niego wyrok śmierci i wiedział, gdzie się znajdują. Był jeszcze jeden człowiek, Abd al-Madżid. To z nim początkowo Waller nawiązał kontakt i to on o mało nie przywiódł go do zguby. Wallera niełatwo było oszukać, a jednak jemu się udało.

Muzułmanin nie powiedział tylko, dlaczego próbowali zabić Wallera, ponieważ nie wiedział. Tak przynajmniej przysięgał w swoich przedśmiertnych wrzaskach. I to pytanie wprawiało Wallera w największe zakłopotanie. Czy polował na niego ktoś jeszcze?

Przebrał się w ciemne spodnie i białą jedwabną koszulę, a następnie prywatną windą zjechał do garażu, gdzie czekali już jego ludzie. Do swojego apartamentu nie wpuszczał nikogo, nawet sprzątaczek. Nawet wiernego

Pascala. To było jego prywatne sanktuarium. Wsiedli do kolumny SUV-ów i wyjechali z podziemnego garażu.

Kierowali się na północ i wkrótce zostawili metropolię za sobą. Waller stuknął palcami w szybę, patrząc na mijane drzewa. Wydawało mu się, że niedaleko drogi zobaczył łosia. Na Ukrainie, gdzie dorastał, jego ojciec polował, żeby zdobyć pożywienie. A teraz jego syn polował na istoty ludzkie dla przyjemności i zysku. Temu celowi służyła ta wyprawa.

Budynek był wyziębiony i szalały w nim przeciągi. Z powodu złej izolacji para wodna pokryła szyby. Waller włożył ciepły płaszcz i wszedł do pokoju, który otworzył jeden z jego ludzi. Pomieszczenie było duże i przypominało magazyn. Strop opierał się na ginących w mroku dźwigarach. Na środku w jednym szeregu stało sześć postaci. Były ubrane w czarne dresy, a ich głowy zasłaniały kaptury. Nogi miały skute kajdankami, a ręce związane z tyłu. Najwyższa z nich ledwie sięgała Wallerowi do piersi.

- Jak noga? - zapytał szczupłego mężczyznę, który wyłonił się z cienia.

Alan Rice już wydobrzył, ale nadal był nieco blady i lekko utykał.

- Garść tabletek advilu wszystko wyleczy.

- Ile mamy dzisiaj?

Rice otworzył laptop; ekran rozżarzył się jasnym blaskiem.

- W tej dostawie dziewięćdziesiąt osiem. Sześćdziesiąt procent z Chin, dwadzieścia procent z Malezji, dziesięć z Wietnamu, cztery z Korei Południowej, a pozostałe z Tajlandii, Turkmenistanu, Kazachstanu i Singapuru.

- Ile teraz dostajemy za sztukę?

Rice wcisnęła kilka klawiszy.

- Dwadzieścia tysięcy dolarów amerykańskich. To o pięć procent więcej niż w ubiegłym roku. Tyle wynosi średnia. Za Malajki i Koreanki dostajemy więcej, za pozostałe mniej.

- Lubią egzotykę? - zapytał Waller, obchodząc dookoła postacie w kapturach. Pstryknął palcami i światło reflektora padło na grupkę osób. - Jakieś uprzedzenia wobec kobiet z dawnego Związku Radzieckiego? - dobiegł z dezaprobatą.

- Te, które stamtąd bierzemy, są strasznie wychudzone - zauważył Rice. - Poza tym, tak, egzotyka jest w cenie.

- A dla mnie najpiękniejsze są kobiety z Europy Wschodniej.

Waller obejrzał się na Pascala stojącego z dłońmi splecionymi przed sobą zamiast z tyłu, dzięki czemu szybciej mógł sięgnąć do kabury po broń. Widok Pascala zawsze napawał go radością, nie tylko dlatego, że był doskonałym obrońcą.

Pascal był jego synem.

Bękartem poczętym z poznaną podczas wakacji Greczynką. Pascal nie miał o tym, oczywiście, pojęcia. Waller nie czuł więzi emocjonalnej z młodym mężczyzną; nie było mowy o żadnej miłości czy uwielbieniu. Mimo to czuł pewien rodzaj zobowiązania, zwłaszcza że nie zrobił niczego, by pomóc jego matce. Umarła w skrajnej nędzy, pozostawiając po sobie tylko osieroconego syna. Stało się tak tylko dlatego, że przestała go interesować. Owszem, była śliczna, ale poza tym była prostą, niewykształconą wieśniaczką. Zabrał dziesięcioletniego Pascala do siebie, wyszkolił i chłopiec zamienił się w pracującego dla niego i chroniącego go walecznego wojownika. Tak, Pascal w pełni zasłużył sobie na swoją pozycję w prywatnej armii Wallera.

- Pascal - zwrócił się do niego. - A ty jakie kobiety lubisz? Europejki czy Azjatki?

Pascal nie wahał się ani chwili.

- Greczynki to najbardziej zmysłowe istoty, jakie kiedykolwiek stworzy! Bóg. Zdecydowanie wybieram Greczynki.

Waller uśmiechnął się, uniósł jeden z kapturew i spojrzał na dziewczynę, której rysy zdradzały chińskie pochodzenie. Miała zaledwie czternaście lat, zawiązane oczy i drżała zarówno z zimna, jak ze strachu. Taśma na ustach tłumiła jej kwilenia.

Waller szybko policzył w pamięci.

- Więc za tę dostawę otrzymamy milion dziewięćset sześćdziesiąt tysięcy?

- Zgadza się. Minus koszty. Netto i tak pozostanie grubo ponad milion sześćset. Oczywiście dolarów, bo wciąż ta waluta obowiązuje. Ale na wszelki wypadek część naszych rezerw umieściłem w chińskich juanach i indyjskich rupiach.

Waller obrócił się i spojrzał na niego.

- Zysk zmaleł. Dlaczego?
- Głównie z powodu kosztów paliwa. Nie podróżują „Queen Elizabeth II”. Żeby było taniej, transportujemy je w kontenerach, ale to też kosztuje. Poza tym jedna dostawa wymaga transportu dwoma okrętami - z powodów logistycznych i bezpieczeństwa. Już to podwaja koszty paliwa. Musimy im zapewnić jedzenie i wodę i opłacić marynarzy, żeby regularnie wpuszczali do kontenerów trochę tlenu. Naprawdę nie ma innego sposobu. Transport lotniczy jest zbyt kłopotliwy, a samochodem przez Pacyfik się nie przeprawisz. Ale i tak zysk jest niezły.

Waller pokiwał głową i zaczął znów obchodzić stojącą grupkę.

- Ile mamy dostaw?
- Trzy w miesiącu, w każdej mniej więcej tyle samo towaru. Wyliczyliśmy, że akurat tyle mieści się do kontenera. Straty z powodu wycieńczenia, odwodnienia i chorób to tylko dwa, trzy procent. To o wiele mniej niż przyjęte w handlu ludźmi standardy, które wynoszą dwanaście procent.

- Dlaczego wybrałeś tych sześć?

Rice wzruszył ramionami.

- Są najlepsze. I pod względem wyglądu, i zdrowia. Dalej sam wybieraj.

- Doceniam twoje wysiłki.

Rice podszedł bliżej.

- To lepsze niż interesy z maniakami w turbanach.
- Naprawdę? - zapytał rozbawiony Waller. - A dla mnie to było bardzo emocjonujące. No i mam teraz nowy cel w życiu. Wykończyć ich co do jednego.

Rice zniżył głos tak, że tylko Waller go słyszał.

- Myślisz, że to rozsądne, Evan? Ci ludzie to prawdziwi szaleńcy. Pozabijają nas wszystkich.

- To prawdziwe wyzwanie. Szczególnie zależy mi na tym, żeby dopaść Al-Madzida. On to firmował swoim nazwiskiem, a na miejscu go nie było. A to znaczy, że zdradził. Ta zdrada kosztowała mnie moich dwóch najlepszych ludzi, świec Panie nad ich duszami.

Rice był świadkiem, jak Dimitrij i Tanner mordują co najmniej sześciu ludzi, i wątpił, czy Bóg chce mieć z nimi cokolwiek wspólnego.

- Dlaczego to zrobili? Przecież miałeś to, czego chcieli.
- Zamierzam zadać to pytanie, kiedy znajdziemy Al-Madzida.

Zadzwęczał telefon i Pascal spojrzął na wyświetlacz swojego blackber-
ry.

Waller zauważył to.

- Co jest, Pascal?

Pascal podszedł i szepnął szefowi coś na ucho. Waller uśmiechnął się.

- No to muzułmanie muszą wypić to piwo, którego nawarzyli.
- Jakież postępy? - zapytał Rice.
- Na to wygląda - uciął Waller.

Waller przyjrzał się po kolei wszystkim swoim ludziom stojącym w milczeniu z rękami splecionymi przed sobą. Dobrał sobie współpracowników z różnych armii świata i wszyscy potrafili zachować dyscyplinę. Ponieważ sam kiedyś nosił mundur, podobało mu się to. Jego wzrok spoczął na Alanie.

- Byłbym bardzo zaskoczony, gdybym dowiedział się, że jeden z moich ludzi jest zdrajcą.

Mimo miążdżącego spojrzenia Wallera Rice ośmielił się odezwać:

- Nie patrz na mnie. Miałbym cię zdradzić, żeby samemu wylecieć w powietrze?

- To wystarczająca odpowiedź. Na razie.

Waller zdjął kaptury pozostałym dziewczętom, obejrzał je dokładnie, jakby uczestniczył w aukcji bydła, i wybrał w końcu jedną, najdrobniejszą. Chwycił ją za szczupłe ramię i pociągnął za sobą.

- Na górze jest dźwiękoszczelny pokój - powiedział Rice. - Nowe wykładziny i meble. Mam zdjąć kajdanki?

- Nie. Daj mi dwie godziny, a potem przyślij kogoś, żeby posprzątał.

Kiedy Waller znalazł się daleko, jeden z ochroniarzy podszedł do Rice'a i ściszym głosem zapytał:

- Pan Waller się nie boi?
- Czego? - odparł ostro Rice.

Wielkolud wyglądał na zmieszanego.

- AIDS, innych chorób?
- Te dziewczyny są dziewicami. W tym cała rzecz, Manuelu.

- Ale to Trzeci Świat. Cholera wie.

Rice spojrział na strome schody, po których wszedł jego szef z dziewczyną.

- On chyba nie uprawia z nimi seksu.
- To co w takim razie robi?
- Nie chcę wiedzieć.

26.

Reggie czekała na Shawa w cukierni. Na krzesłach ustawionych przed bistro wypili kawę i zjedli rogaliki. Reggie miała włosy zebrane pod czapkę baseballową Red Soxów. Ubrana była w dzinsowe szorty, bładoniebieski T-shirt i sportowe buty Saucony'ego. Shaw miał na sobie spodnie, mokasy-ny i białą koszulę z długimi rękawami.

Reggie wzięła łyk kawy, obrzuciła go spojrzeniem i odezwała się zartobliwie:

- Nawet tu w Prowansji ubierasz się jak lobbysta.

Shaw uśmiechnął się i rozsiadł wygodnie na niewielkim krzeselku. Za ich plecami robotnik splotkiwał ulicę strażackim węzem. Strumień wody spływał po brukowanej nawierzchni ulicy, po kamiennych stopniach schodów i w końcu małymi strumykami spadał w urwisko.

- Trudno wyzbyć się starych nawyków. - Odgryzł kawałek rogalika. - Ale marynarki i krawaty odłożyłem do szafy.

- Gdzie się zatrzymałeś? Teraz to już chyba wypada spytać, skoro ty wiesz, gdzie ja mieszkam.

Wskazał palcem za siebie.

- Tam, w hotelu ze spa. Chyba później zafunduję sobie masaż. - Dopił kawę, zmiął papier po rogaliku i wrzucił go do pobliskiego kosza. - Tamci faceci wciąż się kręcą?

- Citroen stał rano, ale w środku siedział tylko jeden człowiek. Czy byli tam całą noc, nie wiem. Chyba nie ma w tym nic tajemniczego - dodała niewinnie.

- Jak tam twoje plecy?
- Dobrze, a twoja lewa nerka?
- Właściwie to nie najlepiej. Dlatego pomyślałem o masażu.
- Na drugi raz uprzedź mnie telefonicznie, zanim zaczniesz wspinąć się na mur.

- To zabawne, zwykle te willę są zajęte przez cały sezon, tymczasem ta obok ciebie stoi pusta, odkąd tu przyjechałem.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Wścibski jesteś. Teraz masz obsesję na punkcie willi?

Sama jesteś wścibska - pomyślał, i dodał głośno:

- Jestem po prostu ciekawy. Myślałem o wynajęciu takiej willi, ale to dla mnie za drogo.

- Myślałam, że wszyscy lobbyści są bogaci.

- Gdyby nie rozwód, byłbym bardzo bogaty. Teraz też nieźle mi się wiedzie, ale tylko w połowie tak dobrze, jak by mogło.

- Chyba nigdy nie wyjdę za mąż.

- Dlaczego? Nie chcę, żeby zabrzmiało to prostacko, ale byłabyś świetną partią dla jakiegoś młodego faceta.

- Dlaczego młodego?

- Dlatego, że ty jesteś młoda. Większość pobiera się z osobami w podobnym wieku.

- A ile ty masz lat? - zapytała, uśmiechając się.

- Jestem dla ciebie za stary.

- Jednocześnie pochlebiasz sobie i dyskredytujesz się. Jestem pod wrażeniem.

- Doskonałą tę umiejętność od lat. Mam nadzieję, że pistolet trzymasz w bezpiecznym miejscu. Jak się na niego natknie sprzątaczką, będziesz musiała odpowiedzieć na kilka pytań miejscowej policji.

- Dzięki z troskę, ale jest w bardzo bezpiecznym miejscu.

- A więc jutro wieczorem kolacja?

- Jutro nie mogę. Może pojutrze?

- Zgoda. Tu, w mieście?

- Nie, niedaleko jest wioska, a w niej restauracja z widokiem na dolinę. Pływasz kajakiem?

Wyglądał na zaskoczonego nagłą zmianą tematu.

- Kiedyś mi się zdarzyło. Dlaczego pytasz?

- Mam na dziś zarezerwowany kajak w Isle-sur-la-Sorgue. Słyszałam, że rzeka tam jest wyjątkowo piękna. Zastanawiam się, czy nie miałbyś nic przeciwko temu, żeby mi towarzyszyć? Musielibyśmy wyjechać za godzinę.

Shaw dopił kawę, intensywnie myśląc.

- Zgoda, muszę tylko przebrać się w coś odpowiedniejszego.

- Wystarczą kąpielówki.

- O nie, moim celem jest pozostanie w kajaku. Założę się, że nawet latem woda jest zimna.

- Nigdy nie wiadomo, musisz być przygotowany na niespodzianki.

Kiedy się rozstali, Shaw obserwował Reggie idącą ulicą. Gdy dostrzegł kierującego się w jego stronę mężczyznę, skrył się w alejce. To był jeden ze zbirów, których widział ubiegłej nocy. Nie był pewien, czy mężczyzna śledzi Janie.

Musiał się poważnie zastanowić nad Reggie. Był zaniepokojony. Choć plan był dopracowany we wszystkich szczegółach, nie miał pojęcia, jak się sprawy potoczą. Odnosił wrażenie, że odsłonił swoją tylną flankę, i nie był pewien, co ma zrobić.

Tymczasem teraz wybierał się popływać kajakiem. Postanowił wziąć pod uwagę radę Reggie i być przygotowanym na nieoczekiwane.

27.

- **N**igdy nie widziałam tak przejrzystej wody - odezwała się Reggie, kiedy wiosłowali w kajaku.

Siedziała z przodu, a Shaw za nią. Przebrał się w długie spodenki kąpielowe i luźny T-shirt i nałożył kamizelkę ratunkową. Reggie miała pod kamizelką górę bikini w prążki i białą spódniczkę z tak cienkiej bawełny, że prześwitywał przez nią dół bikini. Na głowie miała tę samą czapkę Red Soxów, tyle że teraz włożoną na odwrót.

- Dobrze sobie radzisz - zauważył, patrząc na pracę jej mięśni ramion,

kiedy zanurzała i wynurzała wiosło. Zsynchronizował swoje ruchy z jej, tyle że w przeciwieństwie do niej musiał jeszcze na zakolach wartko płynącej rzeki używać wiosła jako steru. W czystej wodzie widoczna była bujna zielona i purpurowa roślinność i długie wstęgi czegoś, co przypominało krasnorosty. Czuł się jak w olbrzymim akwarium.

- Lubię wodę. Kiedy mieszkałam w Bostonie, korzystałam z każdej okazji, żeby popływać jako załogant na Charles River.

- W takim razie jesteś oszustką. Już mi nie jest tak głupio, że za tobą nie nadążam.

- Dajesz sobie radę.

Zanurzył dłoń w wodzie. Rzeczywiście była bardzo zimna. Definitywnie nie zamierzał opuszczać kajaka.

Cała ich grupa liczyła pięć kajaków, ale szybko uciekli wszystkim prócz jednego. W tym drugim kajaku Whit i Dominic, ubrani jak turyści i głośno rozmawiający po francusku, udawali, że bawi ich wiosłowanie. Dominic trzymał w ręku kamerę i udawał, że filmuje Whita, gdy tymczasem udało mu się nakręcić dwuminutowy film ze zbliżeniem twarzy Shawa.

Musieli zatrzymywać się przy różnych małych tamach, a przewodnicy pomagali im przenosić przez nie kajaki. Bez trudu dopłynęli do końca spływu, gdzie czekał samochód firmy wynajmującej kajaki, który miał ich zawieźć z powrotem na miejsce startu. Shaw i Reggie usiedli blisko kierowcy furgonetki, a Whit i Dominic z tyłu. Samochód zawrócił i potoczył się wyboistą, pełną wystających korzeni drogą, aż wreszcie dotarł do asfaltu. Reggie obejrzała się za siebie tylko raz i dała Whitowi sygnał, przymrużywszy prawe oko. Whit odpowiedział ściśnięciem dłonią torby, którą trzymał na kolanach. W środku znajdował się pistolet z odciskami palców Shawa. Jak wcześniej uzgodnili, wyjęli torbę z samochodu Reggie, kiedy wszyscy szykowali się do rozpoczęcia spływu.

Z firmowej furgonetki przesiedli się do renaulta Reggie. Shaw musiał zgiąć się w pałąk i podkurczyć nogi, żeby usadowić się w ciasnej kabinie.

- Europejskie samochody zdecydowanie nie nadają się dla wysokich ludzi - zauważyła ze współczuciem Reggie.

- Jakoś przeżyję.

Droga powrotna do Gordes zajęła im niecałe dwadzieścia minut.

- Możesz jechać prosto do swojej willi - powiedział Shaw. - Przejdę się do hotelu.

- A co byś powiedział na popływanie w basenie i lunch? - zaproponowała. - Strój masz na sobie.

Zawahał się, próbując sobie wyobrazić ewentualne skutki.

- Dobrze, jasne - odpowiedział w końcu.

Zatrzymali się pod domem. Zerknął na wejście do sąsiedniej willi.

- Nie widzę Citroëna.

- Nie było go już, kiedy po ciebie jechałam.

- To interesujące. Dziś rano widziałem na ulicy jednego z tych ludzi.

- Naprawdę? Rozmawiałeś z nim?

Spojrzał na nią dziwnie.

- O nie, wyglądał paskudnie. Jak jakiś gangster.

Reggie otworzyła drzwi, rozbroiła alarm i zaprowadziła Shawa na tył domu. Dała mu ręcznik i olejek do opalania, wskazując przedramię zaczerwienione już po kajakowej wyprawie.

- To wina tych lat spędzonych w murach - pożałił się.

Poszli nad basen. Reggie zdjęła szorty i zrzuciła tenisówki, a on T-shirt i sandały.

Zza szkieł okularów przeciwsłonecznych oceniał przez chwilę jej warunki fizyczne. Był pod wrażeniem. Nie miała ani grama zbędnego tłuszczu, jej mięśnie były smukłe i wyraźnie zarysowane, brzuch płaski i twardy, łydki wyrzeźbione jak u zawodowej biegaczki.

Wskoczyła do basenu i wprawnymi ruchami rąk i nóg zaczęła ciąć wodę. Wskazała brzeg na prawo od siebie.

- Tam jest najgłębiej. Cztery metry. Nie chcę, żebyś uderzył się w głowę, panie dwumetrowy.

Skoczył i podплыnął do niej.

- Zrobię kilka długości - odezwała się.

Przez następne dwadzieścia minut pływała tam i z powrotem, w odpowiednim momencie robiąc nawrót. Shaw przepłynął razem z nią kilka basenów, a potem wyszedł z wody, wytarł się ręcznikiem, położył pod pięknym prowansalskim słońcem i patrzył na nią.

Kiedy wyszła z wody, wycisnęła włosy, chwyciła ręcznik i spojrzała na

Shawa.

- Co ty wyprawiasz? - zapytała.

Shaw stał na stole z kamiennym blatem pod pergola sąsiadującą z murem dzielącym posesję. Mur był wysoki, ale stojąc na stole, przy swoim wzroście, z łatwością mógł zajrzeć na drugą stronę.

- Sprawdzam, co robią te oprychy po sąsiedzku.

Reggie zdecydowanym krokiem podeszła do stołu i ściągnęła go na ziemię.

- Coś nie tak? - udawał rozbawienie.

Miała zaczerwienioną twarz i ściągnięte gniewnie brwi.

- Nie rób tego więcej.

- Dlaczego, nie jesteś ciekawa?

- To ty widziałeś kreaturę, która mnie śledziła. Ty powiedziałeś, że facet, którego widziałeś rano, wyglądał jak bandzior. Nie chcę, żeby byli na mnie wściekli. Jestem tu na wakacjach.

- Dobrze, już dobrze. Masz rację. Co powiesz na lunch? Umieram z głodu.

Reggie opanowała się i wróciła do wycierania się ręcznikiem.

- Proponuję sałatkę z krewetek, pieczywo do maczania w oliwie z oliwek i butelkę białego wina. Kupiłam też trochę pomidorów, ogórków i karczochów.

- Brzmi wspaniale. Zagoń mnie do roboty. Dobrze sobie radzę jako szef kuchni. No, może nie do końca, ale warzywa mogę pokroić.

- Owszem, zagonię cię do roboty. - Włożyła szorty, ale góry bikini niczym nie osłoniła. Skręciła włosy i spięła je czerwoną spinką. Shaw stwierdził, że w kostiumie kąpielowym wygląda jeszcze ponętniej. A z drugiej strony nie zdała testu, jakiemu ją poddał. Stanął na stole - w miejscu, które nie było widoczne z sąsiedztwa, chyba że ktoś znajdowałby się na tyłach domu - tylko po to, by sprawdzić jej reakcję. To, co powiedziała, miało sens, było naturalną obawą przed wchodzeniem w drogę tym zbirom. Ale Shaw robił to już niejednym razem i instynkt podpowiadał mu, że jej słowom nie towarzyszyły odpowiednio silne emocje. Owszem, czegoś się bała, ale trudno było określić czego.

Pomógł jej przygotować lunch, który zjedli na zewnątrz. Prowadzili

niewinną pogawędkę, nie wspominając słowem o sąsiadach. Po lunchu Shaw wrócił do hotelu. Bezwzględnie sprawdził trzy pułapki, które zawsze zastawiał, żeby przekonać się, czy nikt nie grzebał w jego rzeczach.

Były one zlokalizowane w takich miejscach, że sprzątaczką podczas swojej rutynowej pracy nie mogła ich naruszyć - w szufladzie biurka, w szafie i na jednej z walizek.

Usiadł na łóżku. Z trzech pułapek dwie były naruszone. Kiedy on hasał z Janie na basenie, ktoś przeszukał jego pokój.

28.

Waller wziął prysznic i brzytwą ściął kilka niesfornych włosów. Nie był naturalnie łysy, ale zaczął golić głowę dla kamuflażu od chwili ucieczki z Ukrainy. Wiedział, że nic tak nie zmienia wyglądu człowieka jak włosy lub ich brak.

Wstrzyknął sobie kolejną porcję swojego eliksiru i podszedł do szafy wbudowanej w końcu korytarza. Kiedy w prawych drzwiach przekręcił gałkę w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, drewniana płytką odsunęła się na bok, ukazując klawiaturę. Wbił czterocyfrowy kod. Dał się słyszeć szczeł mechanizmu i front szafy wysunął się do przodu. Waller wszedł do środka i czujniki ruchu automatycznie zamknęły za nim przejście.

Penthouse Wallera zajmował ponad tysiąc metrów kwadratowych, nie licząc „ukrytych” przestrzeni znajdujących się w centralnej części apartamentu. To przede wszystkim dlatego nie wpuszczał nikogo do środka. Nie mógł pozwolić, żeby ktoś to odkrył. Pomieszczenie było gołym betonowym bunkrem i stanowiło część konstrukcji budynku. Skonstruował go lojalny wobec Wallera człowiek ukraińskiego pochodzenia, który już nie żył. Zmarł z powodów naturalnych. Waller rzadko, a właściwie nigdy nie zabijał swoich prawdziwych przyjaciół.

Swoje schronienie urządził sam. Skrzynie ze stali nierdzewnej z elektronicznymi zamkami dostarczyła zaufana firma kurierska, a Waller rozpa-

kował je już w sanktuarium samodzielnie. Stał teraz przed starą metalową szafką z tabliczką „Fedir Kuczin” na drzwiach. Wyjął swój paradny oficerski mundur. Wciąż dobrze na nim leżał, tylko gdzieniegdzie był przyciasny. Zapiął pas z kaburą, w której spoczywał stary rosyjski makarow PM-53. Przez czterdzieści lat, aż do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku, kiedy ostatecznie upadło radzieckie imperium, była to standardowa broń krótka wojskowych. Na głowę włożył jasnoniebieską czapkę ze złotymi wypustkami i czerwoną gwiazdą i obrócił się do wiszącego na ścianie lustra. Materiał munduru był szorstki i prawie nie przepuszczał powietrza, ale dla niego był niczym najdelikatniejszy jedwab.

Ubrany w pełny paradny strój oficera KGB, cofnął się do czasów, które już wtedy uważał za szczytowy punkt swojej egzystencji. Gładził dłonią medale, odznaczenia i baretki na lewej piersi. Trzy medale za nienaganną służbę w KGB, medal wyróżniającego się pracownika służby bezpieczeństwa, znaczek absolwenta uniwersytetu w Leningradzie i kolejny, świadczący o tym, że ukończył prestiżowy Instytut Czerwonego Sztandaru Andropowa. Miał także odznaczenia bojowe, które opłacił własną krwią między innymi w Afganistanie. Wrogowie mogli obdarzać go przeróżnymi epitetami, ale na pewno nie mogli zarzucić mu tchórzostwa.

Chociaż urodził się w małej wiosce rybackiej oddalonej o sześćset kilometrów od Kijowa, zawsze uważał się za obywatela radzieckiego, a nie Ukraińca. Jego mentorem w KGB był trzygwiazdkowy generał o przydomku „rzeźnik z Kijowa”. On też urodził się na Ukrainie, ale przysiągł posłuszeństwo Moskwie. To od niego Waller dowiedział się wszystkiego o kontrwywiadzie, tłumieniu buntów i wdrażaniu radzieckiego stylu życia. Waller zawiesił jego fotografię na ścianie obok czerwonej flagi z sierpem, młotem i gwiazdą oznaczającą kierowniczą rolę partii komunistycznej.

Wkroczył na środek pomieszczenia, stanął na baczność i zasalutował swojemu martwemu już, zastrzelonemu przez własną służbę, mentorowi. Poczuł się trochę głupio, oddając honory komuś, kto od dawna spoczywał w grobie, i usiadł przy pamiętającym lata pięćdziesiąte metalowym biurku, przy którym siedział, kiedy służył w KGB. Na biurku leżały starannie ułożone w sterty stare dokumenty i formularze, wszystkie sporządzone w

trzech kopiach przez kalkę. Pod ścianą stały obtłuczone metalowe szafy na dokumenty. Wewnątrz znajdowało się tyle dokumentów z jego wieloletniej służby, ile zdołał przeszmygnać za granicę. Przychodził tu od czasu do czasu i przeglądał te swoje „osiągnięcia”, wspominając lata chwały.

Szczerze mówiąc, niewiele dbał o obecne życie. Był bogaty, ale pieniądze nigdy nie stanowiły jego głównego celu. Urodził się biedny, dorastał w biedzie, a potem dołączył do tych, którzy bronili jego stylu życia. Ale nawet ci na szczytach władzy w partii mogli liczyć na takie „luksusy” jak mieszkanie z łazienką i samochód. Partia komunistyczna nie płaciła tak dobrze jak kapitaliści.

I oto kim się stałem. Kapitalistą. Przedstawicielem tych, z którymi przez całe życie walczyłem. Muszę przyznać, że Amerykanie chyba mieli rację.

Handel młodymi dziewczętami zmuszanymi do prostytucji nużył go. Wdał się z muzułmanami w negocjacje na temat sprzedaży materiałów rozszczepialnych głównie dlatego, że przypomniało mu to przeszłość, kiedy to, co robił, co nakazywał robić, miało wpływ na życie tysięcy ludzi. A teraz był tylko biznesmenem, takim jak wielu. Zarabiał mnóstwo pieniędzy, żył w luksusie, ale czy ktoś zauważyłby, gdyby jutro zniknął? Jego nazwisko nie znalazłoby się w żadnej książce historycznej. Jego zwierzchnicy z KGB zyskali na jego pracy znacznie więcej. Stali się nieśmiertelni. On przy nich był taki zwyczajny. Choć byli i tacy, którzy wiedzieli, co zrobił. To właśnie dlatego musiał uciekać, ukryć się w mysiej dziurze. Nie miał innego wyboru, jeśli chciał przeżyć. Widział, co stało się z towarzyszami, którzy nie byli dość przewidujący. Niektórych rozszarpały na strzępy hordy wściekłych ludzi, którzy spędzili swoje życie uwięzieni we własnej ojczyźnie. Doskonale rozumiał targające nimi emocje i nie zamierzał stać się ich ofiarą.

Otworzył kolejną szufladę, wyjął z niej starą książkę i zaczął ją kartkować w poszukiwaniu wykonanych własnoręcznie rysunków. Zawsze dobrze rysował, nauczyła go tego matka, która zarabiała jako uliczna portrecistka najpierw we Francji, a potem w Kijowie, nim wylądowała w wiosce rybackiej skutej przez pięć miesięcy w roku lodem, u boku mężczyzny, który jej nie kochał. Waller do tej pory nie znał całej historii tej pary i po-

wodów, dla których byli razem. Sportretował wielu ludzi, których zabił, naszkicował węglem, tuszem lub samym ołówkiem ich twarze, gdy byli martwi lub umierający. W tej książce nie było żadnych kolorów. Martwym kolory nie są potrzebne.

Kolejna książka, którą wydobył z biurka, mogła zaskoczyć tych, którzy znali dawnego Fedira Kuczina. W dłoni trzymał Biblię. Związek Radziecki zaciekle zwalczał wszelkie formy religii, „opium dla mas”, jak określił ją Marks. Ale matka Wallera była Francuzką i pobożną katoliczką. I choć było to niebezpieczne, wychowywała syna w duchu religii. Każdego wieczoru, kiedy ojciec, przeważnie pijany, już spał, czytała mu Biblię.

Waller w pierwszej kolejności zwrócił uwagę na ogrom przemocy, jaką zawierała książka, która rzekomo miała głosić pokój i miłość. Ludzie byli tam mordowani w sposób, jakiego nawet dorosły Fedir Kuczina nie stosował. Kiedy przed snem odmawiali razem Modlitwę Pańską, matka akcentowała szczególnie jeden wers, wymawiając go wolno i wyraźnie:

„I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego”.

Waller dobrze wiedział, jakie zło miała na myśli - swojego męża.

Jego biedna matka, do ostatnich chwil pełna dobra. To, czego ona nie wiedziała o złu, jej syn szybko pojął. Odpowiednia motywacja każdego uczyni zdolnym do przerażającego okrucieństwa, nieuzasadnionego barbarzyństwa, strasznej przemocy. Matka potrafi zabić, by chronić swoje dziecko. Żołnierz zabija w obronie ojczyzny. Waller zabijał, by bronić i matki, i ojczyzny. Był w tym dobry, przyjął odpowiedni sposób rozumowania. Nie był niewrażliwy na przemoc; szanował ją. Nie stosował jej niefrasobliwie. Ale kiedy już się to zdarzało, nie mógłby zaprzeczyć, że nie sprawiało mu to satysfakcji. Czy dlatego właśnie stał się zły? Być może. Czy matka uważała go za złego? Na pewno nie. Zabijał dla ojczyzny, dla matki i po to, żeby samemu przeżyć. Kiedy otrzymywał cios, odpowiadał ciosem. Czy to nie są uczciwe zasady? Był tym, kim był. Był wobec siebie szczerzy, podczas gdy większość ludzi kryje się za fasadą kłamstw. Uśmiechają się do przyjaciela po to tylko, żeby za chwilę wbić mu nóż w plecy. Kto więc był bardziej zły?

Lew, nim zaatakuje, ryczy, a wąż podpełza ukradkiem, zanim zatopi zę-

by jadowe w ciele ofiary.

Jestem jak lew. A przynajmniej byłem.

Z szafki wyjął stary projektor filmowy, postawił go na biurku i podłączył do prądu. Z szuflady biurka wyjął rolkę filmu, założył ją i skierował projektor na pustą betonową ścianę. Zgasił światło i włączył urządzenie. Na ścianie pojawiły się czarno-białe obrazy sprzed ponad trzydziestu lat. Na pierwszym planie stał młody Fedir Kuczyn w mundurze. Na widok swojego młodszego ja Kuczyn uśmiechnął się z dumą.

Młody Kuczyn kroczył w stronę środka obozu ogrodzonego wysokimi zasiekami z drutu kolczastego z widocznymi dokoła wieżami strażniczymi. Powiedział coś i uzbrojeni mężczyźni doprowadzili przed jego oblicze tuzin ludzi, kolbami karabinów zmuszając ich do ukłęknięcia. Było to czterech mężczyzn i trzy kobiety; resztę stanowiły dzieci. Kuczyn pochylał się i do każdej z osób coś mówił. Siedząc teraz za biurkiem, bezgłośnie powtarzał tamte słowa. To było jedno z jego ulubionych wspomnień. Następnie Kuczyn odciąga dzieci na bok, z dala od dorosłych. Z kieszeni wyjmuje cukierki i rozdaje wystraszonej dzieciakom w łachmanach. Jedną dziewczynkę gładzi nawet po główce. Dzisiejszy Waller z kieszeni munduru wyjmuje tabliczkę zeschniętej, liczącej kilkadziesiąt lat czekolady.

Kiedy wygłodniałe dzieci połykają żarłocznie słodkie, Kuczyn podchodzi do klęczących dorosłych i zabija ich po kolei strzałem w tył głowy. Dzieci z krzykiem rzucają się w stronę martwych rodziców, a wtedy Kuczyn także i je zabija. Ostatnia kula trafia w kręgosłup małej dziewczynki, tulącej w ramionach głowę nieżywej matki. Na ostatnim ujęciu Kuczyn wyjmuje nadgryziony cukierek z rąk leżącego w błocie chłopca i sam go zjada. Kiedy film się skończył i na ścianie pozostała tylko jasna plama, Waller rozsiadł się wygodnie na krześle z uczuciem dumy i satysfakcji. To była jego praca i wykonywał ją sumiennie. Nikt na Ukrainie nie robił tego lepiej.

Zdjął mundur i odwiesił go z pietyzmem do szafki, wygładzając drobne zmarszczki. Nim zgasił światło i wyszedł, spojrział jeszcze raz na flagę i fotografię swojego mentora.

Chcę znowu zrobić coś wartościowego. Coś naprawdę ważnego.

Zgasił światło, zabezpieczył drzwi i wrócił do tego życia, które mu pozostało. Wyjeżdżał na krótko do Francji. Może tam znajdzie coś, co przywróci jego życiu sens.

29.

Reggie usłyszała dochodzący z zewnątrz dźwięk klaksonu. Zerknęła na zegarek. Była spóźniona. Wyrzała przez okno na ulicę. Shaw siedział na skuterze przed drzwiami jej domu. Był ubrany w spodnie khaki i wyłożoną na wierzch białą bawełnianą koszulę. Na nogach miał mokasyny bez skarpetek. Zastukała w szybę i uniosła dwa palce.

Skończyła się w pośpiechu ubierać i założyła kolczyki. Poprawiła przed lustrem włosy, chociaż po jeździe na skuterze i tak będą w nieładzie. Wygładziła przód sukienki. Ze względu na środek transportu wybrała sukienkę przylegającą do ciała. Nie chciała, żeby w czasie rajdu po wiejskich drogach południowej Francji spódnica powiewała jej nad głową.

Szybko pomalowała usta i zbiegła po schodach. Zamknęła zewnętrzne drzwi i pomachała do Shawa.

- Wyglądasz wspaniale - zauważył.
- Taki sobie postawiłam cel - odparła. - A ty jesteś bardzo przystojny w niezobowiązującym stroju. Wcale nie przypominasz lobbyisty. Jestem pod dużym wrażeniem.

- To dobrze, bo taki był mój cel.

Usiadła z tyłu i włożyła kask, który jej podał.

- Śliczny skuter - powiedziała, gładząc jasnoniebieski metal.

- Najlepsza rzecz na przejażdżki po okolicy. Trzymaj się.

Objęła go w pasie i przylgnęła do jego pleców. Pod dotykiem jej ramion Shaw poczuł dreszcz i instynktownie się wzdrygnął.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

- Jasne. Jestem trochę obolały po tym wiosłowaniu. - Kopnął starter i ruszyli z prędkością dwudziestu kilometrów na godzinę. Kiedy dojechali do

głównej drogi, dwukrotnie zwiększył prędkość.

- No dobrze, dokąd jedziemy?! - zawołał przez ramię.

- Będę cię klepała w plecy z prawej albo lewej strony - odpowiedziała.

Na znak, że zrozumiał, pokiwał głową.

Kwadrans później wspinali się na strome zbocze przy jęczącym proteście studwudziestopięciocentymetrowego silniczka vespy. Shaw znalazł parking; zdjęli kaski i przymocował je do skutera. Piechotą dotarli do znajdującej się przecznicę dalej restauracji i usiedli na tarasie, skąd rozpościerał się widok na dolinę.

- Dobry wybór - zauważył Shaw, obserwując okolice.

- Jedzenie też jest wspaniałe - odparła.

Złożyli zamówienie i z nawyku oboje przez chwilę obserwowali sąsiednie stoliki.

- Więc jesteś rozwodnikiem z dwójką dzieci? Dzieci są z matką?

- Teraz tak, ale dzielimy się opieką nad nimi.

Oderwał kawałek chleba, umoczył go w oliwie, a potem napił się wina.

- A ty? Wiem tylko, że jesteś bogata.

Zmarszczyła nos.

- I niewiele poza tym. Angażuję się w działalność dobroczynną. Dużo podróżuję, szukając nie wiadomo czego. - Wypiła łyk wina i założyła włosy za ucho. Nie patrzyła na Shawa - wbiła wzrok gdzieś w dal. Z jakiegoś powodu trudno jej było odgrywać tę rolę.

- Nad czym się tak zastanawiasz? - zapytał. - Daj spokój, masz wakacje.

Przesunęła palcem po brzegu kieliszka.

- Kto twoim zdaniem wynajmuje willę obok mnie?

Wzruszył ramionami.

- Mam pewne przypuszczenia.

Pochyliła się lekko i patrzyła na niego wyczekująco.

Zauważył to i uśmiechnął się szeroko.

- To żadne rewelacje. Sprawdziłem w agencji nieruchomości w mieście, ale oni nie mają listy gości i nic nie wiedzą. - Nie zamierzał się przyznawać, że rozmawiał z agentką, która zajmowała się wynajmem willi.

- No i? - naciskała Reggie.
- Wydaje mi się, że może chodzić o jakiegoś polityka. Oni podróżują z całą światą. Wcześniej sprawdzają, czy okolica jest bezpieczna. Ciągle widywałem to w Waszyngtonie.

Wyprostowała się, starając nie okazywać rozczarowania.

- A może to jest po prostu ktoś bogaty, nawet bogatszy ode mnie.
- Możliwe. Jak Bill Gates czy Warren Buffett.
- Albo jakiś gangster. Mówiłeś, że jeden z tych ludzi wyglądał jak oprych.
- Cóż, nawet Bill Gates nie zatrudnia pewnie mięczakowatych ochroniarzy. Żeby odstraszać, trzeba odpowiednio wyglądać. Taka praca.
- Pewnie masz rację.
- Poczekamy, zobaczymy.

Pojawiło się ich jedzenie i rozmowa zesła na inne tematy. Dwie godziny później, kiedy słońce zaczęło na dobre zachodzić, ruszyli w drogę powrotną do Gordes. Kiedy skręcił w boczną uliczkę prowadzącą do willi Reggie, drogę zablokował im mężczyzna w czarnym garniturze i białym T-shirtcie. Shaw musiał zahamować tak gwałtownie, że Reggie uderzyła w niego całych sił i o mało nie spadła ze skutera.

Shaw uniósł osłonę kasku i spojrzał na mężczyznę. Był tylko o kilka centymetrów wyższy od Janie, ale nawet przez garnitur widać było, że jest doskonale umięśniony i nie ma ani grama zbędnego tłuszczu. Miał kręcone włosy, wystającą szczękę, badawcze, bystre spojrzenie i silne, zwinne dłoń. Shaw zauważył też, że marynarka ma lekkie wybrzuszenie pod lewą pachą, wynikało więc z tego, że mężczyzna jest praworęczny.

- A dokąd to? - zapytał uprzejmie Pascal.
- Odwożę tę panią do domu - odparł Shaw. - A ponieważ to jest droga publiczna, nie wiem, po co ta rozmowa.

Shaw poczuł, że Reggie lekko się skuliła za jego plecami. Poczuł też paznokcie wpijające się w jego bok.

Pascal obejrzał się i spojrzał na dwie sąsiadujące ze sobą willę.

- To pani wynajmuje tamtą willę? - Wskazał dom po prawej.
- Tak. - Reggie nie uniosła osłony kasku.

Mężczyzna zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

- Więc pani nazywa się Jane Collins?

Teraz Reggie podniosła osłonę.

- Skąd pan wie?

- Agentka nieruchomości była bardzo pomocna.

- To jest naruszenie prawa do prywatności.

- Nie - odparł spokojnie Pascal. - To część mojej pracy.

- A cóż to za praca? - zapytał Shaw.

- Powiedzmy, że zajmuję się kwestiami bezpieczeństwa.

- Możemy już jechać? - zapytała Reggie.

- Oczywiście. Sprawdzę tylko, czy bezpiecznie pani dotarła do domu.

- Ta pani nie potrzebuje pańskiej pomocy - zaprotestował Shaw.

- Nie, w porządku - odezwała się pośpiesznie Reggie.

Shaw podjechał klekoczącym skuterem pod dom, a za nimi podążał tajemniczy mężczyzna. Pod drugim domem stała już nie tylko furgonetka citroena, ale także dwa SUV-y tak duże, że cudem nie pourywały sobie bocznych lusterek w wąskim zaułku. W willi paliły się wszystkie światła. W jednym z okien Shaw widział poruszające się tam i z powrotem cienie.

Zsiedli z siedzenia skutera i Reggie otworzyła drzwi domu. Rozległo się pikanie systemu alarmowego.

Pascal zatrzymał się przy skuterze i skinął z uznaniem głową.

- To dobrze, że korzysta pani z alarmu. Ostrożności nigdy za wiele.

- Chcesz, żebym wszedł z tobą, Janie? - zapytał Shaw. Zawahała się i zerknęła na mężczyznę.

- Nie, w porządku. Jestem zmęczona. Dziękuję za kolację.

Zamknęła za sobą drzwi, a Shaw wrócił do skutera.

- Seksowna babka - zauważył Pascal.

Shaw znał wielu mężczyzn ze służb specjalnych na całym świecie, którzy wyglądali jak ten facet. Potrafili bez końca skakać dookoła lepiej umięśnionych wielkoludów. W tego rodzaju pracy nie liczy się siła ani nawet prędkość, tylko wytrzymałość. Ktoś ślamazarny jak zółw wygrywa. Ci faceci potrafią się świetnie bić, zastrzelić muchę z odległości czterystu metrów, zmieniać w ułamku sekundy plany, czytać najbardziej skomplikowane mapy, działać podstępnie i cicho, jeśli wymaga tego sytuacja, lub atakować brutalnie, jeśli podstęp się nie udał. Ale najważniejsza była sztu-

ka przeżycia. To dlatego Shaw nie podnosił ciężarów, a wołał biegać na bosaka z jednego wzgórza na drugie. Od wytrzymałości i stalowych nerwów zależało, czy wróci do domu bezpiecznie, czy wyląduje na wieczność w drewnianej skrzyni.

Odgonił te myśli, kiedy podszedł do niego Pascal, mówiąc:

- Potrzebuje pan coś jeszcze? Jeśli nie, będę wdzięczny, jeśli pan odjedzie. Muszę zabezpieczyć teren.

Żadnej wyraźnej groźby, bardzo profesjonalnie, pomyślał Shaw. Facet był w tym dobry. Nic dziwnego, w końcu Wallera stać na najlepszych.

Shaw wrócił do swojego pokoju i zadzwonił do Franka.

- Okay - rzucił Frank, kiedy opowiedział mu, co się wydarzyło. - Zaczynamy zabawę. Informuj mnie na bieżąco.

Shaw zmienił ubranie, odczekał trzy godziny i wrócił pieszo pod dom Reggie. Wcześniej z sejfu w swoim pokoju hotelowym zabrał noktowizor, który wyglądał jak zwyczajna kamera. Przeszedł ciemnymi uliczkami Gordes. W normalnych warunkach byłby zadowolony, że cel jest już zgodnie z planem w mieście. Przecież nie było stuprocentowej pewności, że Waller pojawi się w Prowansji, chociaż wynajął willę i wybierał się na wycieczkę do Les Baux. Tymczasem Shaw czuł niepokój. Cel był na miejscu, ale odpoczywała tu także Janie Collins. Shaw podejrzewał, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

30.

Zmywając wilgotną chusteczką makijaż z twarzy, Reggie zerknęła w lustro. Miała na sobie długi zielony T-shirt i białe majtki. Rozpuszczone włosy spadały jej na ramiona. Zgasiła światło i podeszła do okna wychodzącego na ulicę od frontu. Wciąż stała tam furgonetka i jeden SUV. Drugi odjechał dwadzieścia minut wcześniej; słyszała, jak rusza, ale nie zdążyła podbiec do okna i zobaczyć, kto jest w środku.

Przesłała profesorowi i Whitowi wiadomość, że był tu człowiek Kuczina. Informacja popłynęła bezpieczną linią, ale nawet gdyby ktoś ją prze-

chwycił, sprawiała zupełnie niewinne wrażenie: „Droga Carol, widoki tu są piękniejsze, niż się spodziewałam. Zamierzam wstać wcześniej i oglądać wschód słońca”.

Poszła do sypialni i otworzyła okno. Stąd widziała prawie całą tylną część sąsiedniej posiadłości. Ze zdziwieniem spostrzegła zarys sylwetki mężczyzny siedzącego przy basenie i palącego coś, co wyglądało na cygaro. Wokół basenu światła były pogaszone, ale jasno świecił księżyc.

To on. Fedir Kuczin.

Gdyby miała broń, mogłaby w tej chwili skrócić jego życie, ale oni nie załatwiali spraw w ten sposób.

Zauważyła, że mężczyzna się wzdrygnął. Czyżby ją dostrzegł? To było prawie niemożliwe. Nie znajdowała się w jego polu widzenia, a za jej plecami nie znajdowało się żadne źródło światła. Mimo to cofnęła się w głąb pokoju, pozostawiając otwarte okno. Doszła do wniosku, że kiedy spróbuje je zamknąć, mężczyzna zorientuje się, że był obserwowany.

Wzięła głęboki wdech, zdjęła T-shirt i majtki, włożyła bikini i zeszła po schodach. Otworzyła drzwi prowadzące na tył domu i znalazła się przy pogrążonym w ciemnościach basenie.

- No to do roboty - szepnęła cicho.

Wskoczyła do ciepłej wody i zaczęła pływać.

Shaw ze szczytu urwiska obserwował obie willę przez noktowizor. Widział Reggie stojącą w oknie i wychylającą się, żeby zobaczyć, co się dzieje u sąsiada. Przeniósł wzrok na mężczyznę na tyłach drugiego domu. Evan Waller siedział i palił cygaro. W pobliżu czuwało dwóch jego ludzi. Shaw przybliżył obraz jednego z nich. Noktowizor był pasywny i nie zostawiał żadnego śladu, więc nie przejmował się, że ktoś może go namierzyć. Nawet gdyby ludzie Wallera mieli noktowizory, Shaw obserwował dom przez szczelinę pomiędzy dwoma głazami. Ryzyko, że w tych warunkach ktoś go dostrzeże, było zbyt małe, żeby sobie nim zaprzętać głowę.

Waller poruszał się leniwie, niespiesznie. Rozmawiał przez telefon komórkowy. Minęło kilka minut i Shaw zamierzał już przerwać obserwację, kiedy nagle dostrzegł Reggie wychodzącą na basen w bikini i z ręcznikiem w ręce.

- No, nie - powiedział do siebie Shaw. - Przecież wiesz, że ta kreatura już cię szpiegowała.

Kiedy Waller usłyszał wychodzącą z domu Reggie, podniósł się z krzesła i podszedł do muru dzielącego obie posiadłości. Dołączył do niego jeden z jego ludzi, wskazując na willę Reggie. Shaw zrobił zbliżenie. To był ten sam mięśniak, który wcześniej ją podglądał. Teraz pewnie zdawał Wallerowi szczegółową relację z tamtych wydarzeń. Noktowizor miał dobrą rozdzielczość, ale niewystarczającą, by dostrzec czyjs uśmiech. I choć nie mógł tego zobaczyć, był pewien, że osilek na tamto wspomnienie szczerzy w uśmiechu zęby.

Wzdrygnął się, widząc, że ochroniarz pochyla się i składa dłonie w strzemię. Chwilę później Waller został podciągnięty w górę i zaglądał do sąsiedniego ogrodu. Shaw spojrział w kierunku, w którym patrzył Waller. Reggie wciąż pływała. Miał nadzieję, że nie przestanie, aż obaj mężczyźni wrócą do domu. Nadzieja była płonna, Reggie przestała płynąć, wyszła po drabince z basenu i chwyciła ręcznik.

Shaw przeniósł wzrok na Wallera, który wciąż zaglądał przez mur.

Sukinsyn pewnie się teraz ślinił. Albo zastanawiał się, czy dziewczyna nadawałaby się na prostytutkę.

Spojrzał na Reggie.

Nie rozbieraj się, Janie. Nie rób tego.

Wydawało się, że usłyszała jego myśli. Nie zdjęła kostiumu, wytarła się tylko, owinęła ręcznikiem i wróciła do domu. Nikt, kto ją obserwował, nie mógł dostrzec w jej prawym uchu wodoodpornej miniaturowej słuchawki, w której słyszała komunikaty Dominica. Tej nocy nie tylko Shaw obserwował willę ze szczytu urwiska.

Waller szybko zeskoczył na ziemię i obaj mężczyźni wrócili do domu. Shaw opuścił swój posterunek i poszedł do hotelu. Choć wieczór był chłodny, czuł pot pod pachami. Zadzwoił do Franka i przekazał mu, co widział. Jego szef nie przejął się tym ani trochę.

- Nie obchodzi mnie ta laska. Interesuje mnie tylko, żeby Waller pojawił się w Les Baux. - I dodał złowrogim tonem: - I lepiej, żeby ciebie też tylko to obchodziło.

Shaw powoli odłożył słuchawkę. Był zawodowcem, wiedział, co ma ro-

bić. Tylko raz zawalił sprawę, kiedy myślał o czymś innym, a nie o misji. A właściwie kiedy myślał o kimś.

31.

Ubrana w kostium kąpielowy i sandały, w jasnoniebieskiej chustce na głowie, Reggie otworzyła drzwi domu i o mało nie zderzyła się z nim w progu. Spojrzała na mężczyznę i przyznała w duchu, że w rzeczywistości wygląda jeszcze bardziej przerażająco niż na starych fotografiach. Miał na sobie białą koszulę z krótkimi rękawami wetkniętą w czarne spodnie, co podkreślało jego smukłą talię. Choć był już po sześćdziesiątce, wciąż miał muskulaturę młodego mężczyzny. Potem przykuły jej uwagę jego oczy.

Nieraz wytrzymała spojrzenie wielu zbrodniarzy, ale moc bijąca z oczu Fedira Kuczina była zupełnie wyjątkowa. Wydawało się, że potrafi przeniknąć każdą jej myśl, odgadnąć każdy sekret. W porównaniu z nim starzy naziści przypominali wystraszone dzieciaki.

- Wygląda na to, że jestem pani sąsiadem. - Wyciągnął w jej kierunku dłoń. - Evan Waller.

Jego ukraiński akcent znikł, zastąpiony przez prowincjonalną kanadyjską intonację.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Jane Collins.

Stał nieprzyjemnie blisko niej. Był o dziesięć centymetrów niższy od Shawa, ale i tak nad nią górował.

- Słyszałem, że wczoraj wieczorem doszło do pewnego nieporozumienia z jednym z moich ludzi. Wyłącznie z mojej winy. To się nie powtórzy, gwarantuję. Chciałbym to pani jakoś wynagrodzić. Może zjemy dziś razem kolację? U mnie albo w tym uroczym miasteczku na wzgórzach?

Kiedy się zastanawiała, jego wielkie ciało zdawało się na nią napierać. Spojrzała mu przez ramię i spostrzegła, że obserwuje ich dwóch jego ludzi. Jeden miał przyklejony do ust uśmiezek. To pewnie ten, który widział

mnie nagą na basenie, pomyślała. Był też ten drugi, mniejszy, poznany ubiegłego wieczoru. Z jakiegoś powodu jego obawiała się bardziej niż tego dużego.

- Cóż, to miło z pańskiej strony, ale...

Przerwał jej z rozbajającym uśmiechem.

- Nie, nie. Proszę się zastanowić, nim mi pani odmówi. Nawet nie pozwoliłem pani zamknąć drzwi. Proszę wybaczyć. Odpowie pani później. - Spojrzał na jej wiklinowy koszyk. - Widzę, że wybiera się pani na zakupy.

Skinęła głową.

- Dwa razy w tygodniu jest w centrum miasteczka targ. Mają tam wszystko, od ubrań po warzywa.

- W takim razie muszę go odwiedzić. Nie ma pani nic przeciwko temu, żebyśmy poszli razem? Jest piękny ranek i chętnie rozprostuję nogi.

- Pan dopiero co przyjechał?

Wziął ją pod ramię, zmuszając, by szła obok niego. Zrobił to delikatnie, wydawałoby się w sposób naturalny, ale Reggie nie miała szans mu się przeciwstawić bez wrywania na siłę ręki.

- Tak, to była długa podróż. Mieszkam w Kanadzie, to moja ojczyzna. Wcześniej mieszkalem w Hongkongu. Stamtąd byłoby jeszcze dalej. Była pani tam kiedyś?

Reggie potrząsnęła głową.

- To miasto, w którym kumuluje się więcej energii niż gdziekolwiek indziej. - Uśmiechnął się i dodał: - I miejsce, gdzie można dostać wszystko, czego się zapragnie. Ale pani jest Amerykanką, prawda? Dla pani to nic nadzwyczajnego.

- Dlaczego sądzi pan, że jestem Amerykanką? - zapytała, udając podejrzliwość.

- Wydedukowałem na podstawie pani akcentu i wyglądu. Czyżbym się mylił?

- Nie. Rzeczywiście jestem Amerykanką.

- A więc i w tym wypadku jesteśmy sąsiadami. Myślę o naszych ojczyznach. To chyba zrzędzenie opatrności.

- Kiedy wracałam wczoraj do domu, okazało się, że pański człowiek zna moje nazwisko.

Kuczyn machnął lekceważąco ręką.

- Standardowe procedury bezpieczeństwa. Widzi pani, jestem bardzo zamożny. Prowadzę nudny tryb życia i nie mam wrogów, których musiałbym się obawiać. Ale firma, której jestem prezesem, upiera się przy zachowaniu środków ostrożności. - Roześmiał się. - Jestem przede wszystkim Kanadyjczykiem, a Kanadyjczycy to ludzie pokojowo nastawieni i ciężko pracujący. - Poklepał ją po ręce. - Zapewniam, że nikt więcej nie pogwałci pani prywatności.

Czyżby, pomyślała Reggie. Czy dotyczy to także podglądania mnie, kiedy pływam? Nie miała noktowizora Shawa, ale kątem oka widziała, jak zeszłej nocy Kuczyn obserwował ją zza muru. Potwierdził to Dominic. Zaalarmowani informacją Shawa na temat podglądającego Reggie ochroniarza, ustanowili punkt obserwacyjny na szczycie urwiska niecałe pół kilometra od miejsca, gdzie usadowił się Shaw. Najzabawniejsze było to, że ani Dominic, ani Shaw nie mieli pojęcia o obecności tego drugiego.

- Jest pan pewien? - zapytała Reggie. - Pański człowiek wydawał się bardzo natarczywy.

Kuczyn promieniał, gładząc jej dłoń.

- Jestem absolutnie pewien. On pracuje dla mnie. A pani jest uroczą młodą kobietą, przy której mogę czuć się zupełnie bezpieczny.

Nie mogę się doczekać chwili, kiedy pokażę ci, jak bardzo się mylisz, Fedirze.

- Wiem też, że wczoraj towarzyszył pani jakiś mężczyzna. Proszę powiedzieć, że to tylko przypadkowy znajomy i będą mógł widywać panią czasem.

- Poznałam go niedawno.

- Wspaniale. Więc to nie jest mąż ani kawaler na stałe?

- Nie. - Spojrzała na niego z udawaną konsternacją.

Chyba zrozumiał jej spojrzenie, tak jak tego oczekiwała.

- Nie, nie. Jestem samotny, ale mógłbym mieć dzieci w pani wieku, moja droga. Proszę zaspokoić tylko pragnienie starego człowieka, który marzy o niewinnym towarzystwie pięknej młodej kobiety i o niczym więcej.

- Wcale nie wygląda pan tak staro - odparła kokietyrnie.

- To uroczne, co pani mówi.
 - I jest pan pewien, że nie pragnie niczego więcej?
 - Pani ze mnie żartuje, prawda?
 - Może odrobinę.
 - Świetnie. To dobry początek. Była już pani kiedyś w Prowansji?
 - Raz.
 - Ja często tu bywałem. Jeśli pani pozwoli, mógłbym podjąć się pokazania pani kilku pięknych miejsc. Palais des Papes, czyli pałac papieski w Awinionie, najpiękniejszy rzymski akwedukt Pont du Gard, jaskinie w Les Baux-de-Provence, piękne Roussillon i winnice na północy. Znam też kafejkę w Gigondes, gdzie same ciastka warte są wyprawy.
 - Mój Boże, widzę, że nie marnuje pan czasu, panie Waller.
 - Życie jest za krótkie, żeby marnować czas? Poza tym jest dla mnie zbyt cenne. Nie tracę czasu, ponieważ wiem, że pewnego dnia wszystko się skończy. I nieważne, ile się ma pieniędzy, jak piękny dom, wszystko to przepadnie wraz z ostatnim tchnieniem. I proszę mówić do mnie Evan. Zwracając się po nazwisku, wprawia mnie pani w zakłopotanie.
 - Dobrze, Evan, zacznijmy w takim razie od targu. Czy to ci odpowiada?
 - Jak najbardziej. - Uścisnął jej ramię w sposób, który wskazywał, że jego zapewnienia o „niczym więcej” były kłamstwem. - Chodźmy na targ.
- Reggie rozumiała już, co miał na myśli profesor, wspominając o uroku tego człowieka. Gdyby nie znała jego przeszłości, uznałaby go za osobę intrygującą, a nawet fascynującą. Ale ponieważ znała, nie zważała na osobisty urok, pamiętała tylko o jego okrucieństwie i o tym, że powinna przerwać jego linię życia.

32.

Shaw krążył w tłumie, który zgromadził się na targu. Były tu setki sprzedawców; część z koszami wyciągniętymi ze starych, ciasnych samochodów i ustawionymi na rozklekotanych stolikach, a część z całymi rzę-

dami towarów rozłożonych na profesjonalnych stoiskach. Spędził tu dla zabicia czasu już godzinę, wypił dwie filiżanki kawy, zjadł rożka z migdałami i już miał ruszyć w wąską uliczkę, gdzie przeniosła się część handlarzy, kiedy ujrzał, jak nadchodzą.

Pod wpływem nagłego impulsu skrył się za stoiskiem z damskimi sukienkami i kapeluszami. Przykucnął, udając, że przymierza skórzane buty, ale znad ciemnych okularów bacznie obserwował dwoje nowo przybyłych.

Janie Collins i Evan Waller szli pod rękę ulicą na prawo od niego. Janie trzymała koszyk, do którego zdążyła już włożyć jakieś zakupy. Dwa kroki za nimi podążali ochroniarze. Jeden z nich to było ten cherlak poznany poprzedniego wieczoru, za to drugi miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ważył ze sto czterdzieści kilogramów. Shaw przyjrzał się uważnie pozostałym ulicom, bramom, a nawet dachom domów w poszukiwaniu dodatkowych strażników. Nie dostrzegł ani jednego.

Co ona z nim tu robi? Facet nie marnuje ani chwili.

Ruszył za nimi, trzymając się daleko w tyle i kryjąc za ludźmi i wystawionymi na sprzedaż towarami. To była jedna z nielicznych chwil, kiedy wzrost mu przeszkadzał. Korzystając z osłony stoiska z pozytywkami i T-shirtami, zatrzymał się i dokładnie przyjrzał Evanowi Wallerowi. Jego kondycja fizyczna i pewność siebie zrobiły na nim duże wrażenie. Najwyraźniej zabawiał młodą damę anegdotami. Shaw czuł w żołądku dziwny skurcz za każdym razem, kiedy widział, jak Janie się śmieje.

Przez chwilę wydawało mu się, że Waller spojrział w jego kierunku, kiedy zatrzymał się przed stoiskiem ze skórzanymi marynarkami, ale to było złudzenie. Mężczyzna odwrócił wzrok i poprowadził dalej swoją towarzyszkę. Shaw patrzył, jak Waller kupuje jej ręcznie wykonany naszyjnik, a następnie zapina go, muskając palcami jej skórę. Dwadzieścia minut później koszyk Janie był pełny i para z towarzyszącą jej milczącą świtą ruszyła z powrotem w stronę willi. Shaw pozostał na miejscu, bezskutecznie próbując przeprowadzić skrótową analizę tego, co zobaczył.

Wrócił w pośpiechu do hotelu i zadzwonił do Franka.

- Ta dama igrza z ogniem i może się sparzyć - stwierdził Shaw. - Musi być jakiś sposób, by ochronić ją przed tym facetem.

- Hola, Show, nie tak prędko! Już to chyba przerabialiśmy. Nie posła-

liśmy cię do Prowansji, żebyś chronił jakąś bogatą cizią ze Stanów. Masz stamtąd przywieźć Wallera, to wszystko.

- Nie możemy pozwolić...

- Na co? Żeby ją bzyknął? - Frank zachichotał. - Jezu, trudno z tobą wytrzymać.

Shaw siedział na łóżku i z całych sił pocierał kciukiem o palec wskazujący.

- On może ją zabić. Albo porwać i zmusić do prostytucji.

- Jasne, masz rację. Zabije albo porwie bogatą młodą Amerykankę, mieszkającą w sąsiedztwie, po to, żeby natychmiast pojawiła się policja i wszczęła śledztwo? Nie sądzę. Zresztą po co miałyby to robić, skoro może mieć całe tabuny czternastoletnich sierotek z Azji? Ten facet przyjechał tu na wakacje. Zauważył, że obok mieszka niezła cizia, która kąpie się nago w basenie. Pewnie chce ją tylko przelecieć.

- I tobie to nie przeszkadza?

- To nie moja sprawa. Masz na ten temat inne zdanie?

Shaw zawahał się. Nie był pewien, co o tym myśleć. A może był, tylko bał się powiedzieć to na głos, przynajmniej Frankowi.

- A jeśli przez nią nie powiedzie się nasza operacja?

- Niby dlaczego?

- Nie wiem. Może zrezygnujemy?

- Oszalałeś? - warknął Frank. - Jeśli go teraz nie dopadniemy, może nie nadarzyć się kolejna okazja do czasu, kiedy nad Londynem czy Nowym Jorkiem pojawi się grzyb atomowy. Skup się na wykonaniu zadania i daj sobie spokój z całą resztą.

Shaw odłożył słuchawkę i cicho westchnął. Kiedy będzie po wszystkim, już nigdy nie wróci do Francji.

33.

Reggie pochyliła się nisko, żeby zrobić zdjęcie pszczoły siedzącej na łądźce lawendy. Wyprostowała się, schowała aparat do tylnej kiesze-

ni białych dżinsów i ruszyła w stronę Abbaye de Senenque. Opactwo założone w dwunastym wieku przez cystersów znajdowało się w odległości trzydziestu kilometrów od Gordes przy krętej górskiej drodze, rzekomo dwukierunkowej, choć mieszczącej na szerokość z trudem jeden samochód.

Podążała w kierunku starego gmaszyska, w którym przez całe stulecia zakonnicy zgłębiali tajemnice wiary. Obecnie mieściła się tam kaplica, księgarnia i sklep z pamiątkami. W dalszym ciągu mieszkali tu mnisi; wytwarzali różne towary na sprzedaż, między innymi miód i nalewki. Ziemię w okolicy pokrywał lawendowy dywan, z którego słynęła cała Prowansja, choć Reggie zauważyła po drodze równie urocze skupiska słoneczników. Nie przyjechała tu dla sztuki ogrodniczej opactwa; przybyła na spotkanie. Wybrała takie miejsce przede wszystkim dlatego, że nikt nie mógł jej niepostrzeżenie śledzić. Na tak wąskiej wiodącej przez góry drodze było to niemożliwe.

Szła z grupą turystów, a gdy ta skręciła do kaplicy, ona skierowała się w stronę sklepu z pamiątkami. Wewnątrz panowała duchota, a jedyny zawieszony pod sufitem wentylator tylko poruszał gorącym, stęchłym powietrzem. Automat w sieni oferował zarówno colę, jak i cappuccino. Skierowała się w stronę regałów z albumami o Prowansji. Na okładkach wielu z nich były - jakżeby inaczej - pola lawendy.

Przeglądała książkę na temat historii opactwa, kiedy zabrzączał dzwonek jej telefonu. Odczytała wiadomość: „godzina szósta”. Odłożyła książkę, sięgnęła po następną i odwróciła się od niechcenia.

Za nią stał Whit i oglądał drewnianą podobiznę opactwa za jedyne piętnaście euro. Miał na głowie czapkę baseballową i okulary przeciwsłoneczne, ubrany był w wytarte dżinsy, a jego twarzy pokrywał tygodniowy zarost. W uszy miał wetknięte słuchawki iPoda. Odłożył figurkę i wyszedł na zewnątrz. Minutę później w jego ślady ruszyła Reggie, płacąc najpierw za wybraną wcześniej książkę.

Spostrzegła go przy niskim murze z kamieni ciągnącym się wzdłuż budynku. Trzymał w ręku aparat i oglądał widoki przez soczewki obiektywu. Wreszcie ją zauważył.

- Czy mogłaby pani zrobić mi zdjęcie na tle opactwa? - poprosił.

Uśmiechnęła się.

- Pod warunkiem że pan też zrobi mi zdjęcie.

Sfotografowali się wzajemnie, a potem ruszyli razem przed siebie.

- Coś nowego o moim przyjacielu Billu? - zapytała ściszym głosem.
- Nic. Odcisków nie ma w bazie. Jego zdjęcie też nic nam nie dało.

Musi być grzecznym chłopcem. A jego pełne nazwisko brzmi William A. Young.

- Co oznacza litera A?
- Nie udało nam się tego ustalić.
- Jak sądzisz, zorientował się, że przeszukaliście jego pokój?
- Staraliśmy się wszystko odkładać na miejsce. Ma amerykański paszport, adres się zgadza. W Stanach jest wielu Williamów Youngów lobbyistów. Nie było czasu, żeby wszystkich sprawdzić. Zresztą to pewnie strata czasu. Nie widzę tutaj nic niepokojącego.

- Chyba że ma tak dobra przykrywkę jak ja.
- Chyba że facet jest tym, za kogo się podaje, Reg.
- Wspiął się na wysoki mur i mnie rozbroił. Lobbyista?

Whit wyglądał na zakłopotanego.

- Cóż, facet jest wielki. Ale rozumiem cię. Co proponujesz?
- Sama nie wiem. A co myśli o tym profesor?
- Spryciarz zdaje się na twoje doświadczenie.
- Znakomicie. W takim razie co ty myślisz?
- Uważam, że musimy załatwić Kuczina, a zmiana planów oparta na, chcąc nie chcąc, marnym rozpoznaniu może wszystko popsuć. Trzymajmy się pierwotnego planu, a jeśli pojawi się coś ważnego, wtedy się zastanowimy.

- Co u Doma?

- Drży z podniecenia, gotów do działania. A jak twoje wrażenia po pierwszym spotkaniu ze starym Fedirem?

- Takie same jak przed spotkaniem. Wypełnia sobą całą przestrzeń wokół siebie i jeszcze trochę wystaje.

Przyjrzał się jej sceptycznie.

- Nie powalił cię na kolana?
- Ten potwór? Żartujesz.

- Nie mówię teraz o Kuczynie.

Obrzuciła go ostrym spojrzeniem.

Whit uśmiechnął się złośliwie.

- Wysoki, tajemniczy, jednym skokiem pokonuje mury...

- Będę udawała, że tego nie słyszałam - odparła chłodno.

- Nie zamierzam cię pouczać...

- Więc nie rób tego, Whit.

- Po prostu uważaj na siebie.

- I kto to mówi.

- O co ci chodzi?

Spojrzała na niego z ukosa.

- Naprawdę namalowałeś swastykę na czole celu jego własną krwią po tym, jak odstrzeliłeś mu jądra?

- Cóż mam odpowiedzieć? Jestem artystą.

- Jasne. Wracam.

- Dziś wieczorem kolacja z naszym ukraińskim przyjacielem?

- Tak.

- Ciekawe, czy wysoki i tajemniczy będzie się kręcił w pobliżu.

- To małe miasteczko.

- Tylko nie wdawaj się w żaden trójkącik. To może spowodować spore zamieszanie. Zanim zapytasz, odpowiadam - tak, wiem to z własnego doświadczenia.

- Czasem dziwię się sobie, że jeszcze cię znoszę.

- To pewnie zasługa mojego uroku osobistego.

- Skąd wiesz, że go w ogóle masz?

Tym pytaniem poczuł się urażony.

- Jezu, kobieto, jestem Irlandczykiem. To kwestia genów.

34.

Reggie uparła się, żeby zjeść kolację w jednej z restauracji w Gordes, a nie w jego domu i Waller musiał w końcu się poddać.

- Jesteś nieustępliwa - powiedział z lekką przyganą.
- Nie. Po prostu zachowuję zdrowy rozsądek. Właściwie cię nie znam.

Rodzice nie życzyliby sobie, żebym przyszła sama do twojego domu, nawet tylko na kolację.

- Twoi rodzice są rozsądnymi ludźmi.
- Byli.
- Rozumiem. Przykro mi.
- Mnie też - odparła stanowczym tonem Reggie.

Poszli do miasteczka i zajęli stolik w ogródku otoczonym metrowej wysokości ogrodzeniem z kutego żelaza. Ludzie Wallera siedzieli, oczywiście, przy sąsiednim stoliku. Tym razem nie było jednak wśród nich Pascala.

- Czy oni zawsze ci towarzyszą? - zapytała Reggie, patrząc na ochroniarzy.

- To cena, jaką trzeba zapłacić za sukces - odparł Waller, rozkładając bezradnie ręce. Miał na sobie granatową marynarkę z białą chusteczką wystającą z kieszeni, spodnie khaki, białą jedwabną koszulę i szafirowe moka-syny, które ukazywały jego gołe blade kostki. Powietrze wciąż było gorące po całodziennym upale i na jego brwiach pojawił się pot. Reggie była pewna, że pod pachami też musiał być spocony. Włożyła bładoniebieską spódnicę, żółtą bluzkę i białe sandały, a na włosach miała pasującą do bluzki żółtą chustkę. Na jej twarzy nie było śladów potu.

- Trudno sobie wyobrazić, że ktoś mógłby w takim miejscu kogoś skrzywdzić - odezwała się, przełknąwszy ostatni kęs wołowiny.

Waller napił się wina i wpatrywał się w nią uważnie.

- Sielankowe miejsce. I piękne. - Uśmiechnął się. - Tak piękne jak ty.

Na znak dany przez Wallera kelner przyniósł drugą butelkę tego samego wina. Reggie uniosła pełny kieliszek i rozkołysała jego zawartość, nieobecny spojrzeniem sprawdzając kolor wina na tle płomienia świecy stojącej pośrodku stołu.

- Powiedziałeś, że mógłbyś mieć dzieci w moim wieku. A masz dzieci?

Machnął lekceważąco ręką.

- Nie, mówiłem tylko hipotetycznie. Nigdy nie miałem czasu na dzieci.

- A żona?
- Gdybym miał teraz, przyleciałaby tu ze mną.
- Gdybyś miał teraz? Więc byłeś żonaty?
- Tak.
- Umarła czy jesteście rozwiedzeni?
- Pytania, pytania... - rzucił zwyczajnym tonem, ale jego spojrzenie stało się srogie.

- Przepraszam - zmitygowała się Reggie. - Po prostu byłam ciekawa.
- Jedno i drugie.
- Nie rozumiem.
- Pierwsza żona zmarła, a druga rozwiodła się ze mną. - Poklepał ją po dłoni. - Przypominasz mi trochę moją pierwszą żonę. One też była piękna. I uparta.

- Jak miała na imię?

Waller już miał odpowiedzieć, ale powstrzymał się.

- To przeszłość. Ja nie żyję przeszłością. Żyję teraźniejszością i spoglądam w przyszłość. Dokończmy to znakomite bordeaux i chodźmy na spacer.

Wyszli na ulicę. Reggie jeszcze raz zerknęła na ochroniarzy. Waller podążył wzrokiem za jej spojrzeniem.

- To pewnie konieczne, ale ja nie chciałabym w ten sposób żyć - stwierdziła.

- Przecież tobie też się dobrze powodzi. Podróżujesz luksusowo, wynajmujesz luksusowe willę w najpiękniejszych miejscach na ziemi. Nie boisz się porwania? A nawet zabójstwa dla pieniędzy?

- Nie licząc kilku euro, nie mam przy sobie pieniędzy. Jeśli zechcą moich kart kredytowych, to przecież nie muszą mnie zabijać. Gdybym została porwana, nie byłoby komu zapłacić okupu. Jestem dla bandytów nieodpowiednim celem.

- Być może masz rację. Ale człowiek, z którym się spotykasz, wygląda jak prawdziwy ochroniarz.

- Bill wygląda jak ktoś, kto sam daje sobie dobrą radę.

- Więc ma na imię Bill. A nazwisko?

- Nie powiedział, jak się nazywa - odparła zgodnie z prawdą. To Whit

ustalił jego nazwisko.

Ta informacja jakby ucieszyła Wallera.

- W takim razie nie jesteście sobie aż tak bliscy. Jestem tu tak krótko, a moje nazwisko już znasz.

- Nie ma porównania, Evan.

- Oczywiście, że nie - odparł bez przekonania.

- Poza tym jesteś w takim wieku, że mógłbyś być moim ojcem. Sam to powiedziałeś.

- Prawdę mówiąc, mógłbym być nawet twoim dziadkiem. No, prawie.

- Puścił jej ramię i wskazał na kościół. - W każdej wiosce znajdziesz podobny.

- Kościół? Pewnie tak.

- Ludzie nadużywają religii, głównie do wytłumaczenia własnych braków.

- To dość niezwykła teoria.

- Całe książki napisano o ludziach, którzy nie chcą przejąć kontroli nad własnym życiem. Dlatego dla wytłumaczenia własnych pragnień szukają pomocy opatrności boskiej.

- Żeby ich prowadziła?

- Nie, żeby im wybaczyła. Ludzie, którzy coś robią ze swoim życiem, robią to tym. - Poklepał się po piersi. - Nie potrzebują mężczyzn w koloratkach, którzy podpowiedzą im, co myśleć i o co się modlić. I najważniejsze - komu oddawać pieniądze.

- Domyślam się, że nie chodzisz regularnie do kościoła.

Uśmiechnął się.

- Owszem, chodzę. Jestem w kościele co tydzień. I przekazuję na kościół dużo pieniędzy.

- Dlaczego, skoro twierdzisz, że to bzdety?

Ponownie wziął ją pod rękę.

- Robię to, ponieważ mam to w sercu. Ja wierzę. Wiara jest dobra. Bardzo dobra. Moja matka trafiłaby do klasztoru, gdyby inaczej ułożyło się jej życie. Na szczęście nie została zakonnica, gdyż nie byłoby wówczas mnie na świecie. Bardzo kochałem swoją matkę.

Reggie odwróciła się w jego kierunku. Patrzył na nią z uwagą.

- Wybieram się w tym tygodniu na prywatną wycieczkę do Les Baux. Słyszałaś o tym miejscu?

- Czytałam o nim.

- W tym roku wystawiają Goyę.

- Goyę? On nie podnosi na duchu.

- To prawda, że wiele jego dzieł jest ponurych, ale mają w sobie taką siłę, takie głębokie spojrzenie w głąb ludzkiej duszy.

- Przedstawiają zło - stwierdziła Reggie i odwróciła wzrok od człowieka, którego uważała za jedno z najgorszych wcieleń zła, jakie kiedykolwiek ścigała.

- Ale zło to spora część duszy. Zamieszkuje w każdym z nas.

- Nie wierzę w to - wyrzuciła z siebie jednym tchem Reggie. - Nie chcę w to wierzyć.

- Możesz nie wierzyć, jeśli nie chcesz, ale to nie oznacza, że masz rację. - Zrobił krótką przerwę. - Chciałbym, żebyś towarzyszyła mi w tym zwiedzaniu. Porozmawiamy o tym później.

Reggie nie odpowiedziała wprost.

- Zastanowię się i dam ci znać.

Uśmiechnął się przepaszająco, schylił głowę i ucałował jej dłoń.

- Było mi bardzo miło zjeść z tobą kolację, Janie. A teraz czekają na mnie obowiązki, więc życzę ci dobrej nocy.

Odwrócił się i odszedł, a za nim jego ludzie.

Reggie stała na środku ulicy, próbując bezskutecznie odgadnąć, co naprawdę mogło oznaczać jego ostatnie spojrzenie.

- Kłopoty?

Obróciła się.

Oparty plecami o kolumnę kościoła stał Shaw.

35.

Evan Waller wsiadł do czarnego SUV-a i kawalkada trzech pojazdów ruszyła z miejsca, wzniesając obłok kurzu, który otoczył parę starszych

ludzi wspinających się powoli do Ordes. Waller rozsiadł się wygodnie wpatrzony w wyświetlacz swojego telefonu. E-mail był krótki, tak jak lubił, i treściwy - co lubił najbardziej.

- Jak długo? - zapytał kierowcę.

- GPS wskazuje, że pięćdziesiąt minut, panie Waller. Drogi tu są gówniane.

- Skróć do czterdziestu.

Mężczyzna wcisnął pedał gazu i powiedział do mikrofonu:

- Zbierajcie się.

Pozostałe dwa samochody natychmiast przyspieszyły.

Trzydzieści dziewięć minut później wszystkie trzy pojazdy zjechały z drogi dwupasmowej w jednopasmową i w końcu zatrzymały się przed skrytym w kępie liściastych drzew niewielkim domem z kamieni. Podwórko było zaśmiecone, dach w oplakany stan, a mury kruszały. Najwyraźniej od dawna nikt tu nie mieszkał. W promieniu kilku kilometrów nie było innego domu.

Waller otworzył drzwi samochodu i wysiadł, odczekawszy kilka sekund, aż jego ludzie sprawdzą teren, mimo że już wcześniej warował tu jeden z ochroniarzy, który właśnie pojawił się w progu domu. Waller wszedł do środka, a za nim jego ludzie. Na zewnątrz zostało dwóch.

Pomieszczenie było małe, mroczne i cuchnęło fekaliami i stęchlizną. Ale Wallerowi to nie przeszkadzało. Doświadczał dużo gorszych rzeczy. Na środku stał wąski dwumetrowej długości stół, postawiony na sztorc tak, że prawie sięgał niskiego stropu. Dwie nogi miał odpiłowane i jego brzeg opierał się o podłogę. Pozostałe dwie nogi oparte były o ścianę. Do stołu przywiązany był z rozpostartymi kończynami nagi mężczyzna o ciemnych włosach i z brodą. Waller spojrzał na stojącego w ciemnym kącie Pascala, który nie spuszczał oka z więźnia.

- Dobrze się spisałeś ze zorganizowaniem jego porwania, Pascal.

- Próbował uciekać, ale nie wiedział jak.

Waller podszedł do pojmanego. W świetle rzucanym przez kilka zasilanych bateriami latarni widział na jego twarzy mieszane uczucia. To rozłóściło Wallera. Może się go bać albo nienawidzić, ale niech się na coś zdecyduje. Uderzył mężczyznę dłonią w zakrwawioną twarz.

- Nie śpisz, Al-Madżid? Wyglądasz, jakbyś duchem był gdzieś indziej.
- Nie śpię. Widzę cię. I co z tego? - Waller zdawał sobie sprawę, że takim swobodnym zachowaniem muzułmanin próbuje dodać sobie odwagi, a odebrać pewność siebie jemu, tak jakby to Waller był jeńcem. W rzeczywistości nie osiągnął swojego celu. Księgowy, gruby Anwar, był pod silnym wpływem Zachodu. Abd al-Madżid był twardszy, prawdziwy człowiek pustyni, dla którego skrajne ubóstwo to coś normalnego. Waller musiał go szanować, ale tylko do pewnego stopnia.

- Tęsknisz za Kandaharem? Czy bardziej podoba ci się Prowansja?
Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Podoba mi się ten pokój. Jest lepszy niż to, co miałem w Kandaharze. Ale co z tego?

Waller cofnął się o krok i uśmiechnął. Odwaga tego człowieka musiała budzić podziw.

- Nie lubię, kiedy ktoś mnie zdradza.

- W takim razie nie rozumiesz muzułmańskiego świata. To nie była zdrada. To były negocjacje. I ostrzeżenie. Islam został zdradzony przez Zachód wiele razy. Dlaczego ty miałbyś być inny?

- Jestem tu na wakacjach, a muszę odrywać się od przyjemności, ponieważ ty próbowałeś wypchnąć mnie z interesu.

- Biznes to biznes. Nie bierz tego do siebie.

- Wybacz, ale zawsze biorę do siebie fakt, że ktoś próbuje wysadzić mnie w powietrze.

- W takim razie jesteś przewrażliwiony.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Oszukałeś nas - odparł zwyczajnie Abd al-Madżid.

- W interesach nie oszukuję.

- Kanadyjczyk? - zadrwił muzułmanin. - Kanadyjczyk ma wzbogacony uran? Nie wydaje mi się. Pewnie jesteś szpiegiem. Dlatego próbowaliśmy cię zabić.

- Naprawdę mam wzbogacony uran. A to czyni zasadniczą różnicę. Jeśli mi nie wierzyliście, po co w ogóle zawracaliście sobie głowę rozmową ze mną?

- Chodzi o to, że ja ci nie wierzyłem. Inni owszem. Popelnili błąd, a ja

musiałem posprzątać ten bałagan.

- Tymczasem oni mieli rację, a ty się myliłeś.

- To ty tak twierdzisz. Twój kraj jest w rękach Amerykanów. Wszyscy o tym wiedzą. Kanada to satelita Wielkiego Szatana. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Waller odwrócił się do swoich ludzi i wskazał im ręką drzwi. Posłusznie wyszli i zamknęli je za sobą. Ostatni wychodził Pascal. Nim zamknął drzwi, wskazał leżącą na podłodze metalową skrzynkę. Wymienili z Wallerem porozumiewawcze spojrzenia.

Waller odwrócił się z powrotem do jeńca i chwycił go za brudne włosy.

- Więc to wszystko dlatego, że uważałeś mnie za Kanadyjczyka? Naprawdę jesteś taki głupi?

W oczach Al-Madžida po raz pierwszy pojawił się błysk zainteresowania.

- Uważałem za Kanadyjczyka? Chcesz powiedzieć, że nim nie jesteś?

- Nie, nie jestem Kanadyjczykiem. - Zdjął marynarkę i podwinął rękaw koszuli. Na wewnętrznej stronie ramienia, tam gdzie najtrudniej było go dostrzec, widniał jakiś znak. Podsunął ramię pod nos Araba.

- Widzisz to? Wiesz, co to znaczy?

Abd al-Madžid potrząsnął głową.

- Nie znam tych znaczków.

Waller wskazywał je jeden po drugim.

- To są litery alfabetu.

- To nie po angielsku - zauważył Abd al-Madžid. - Dobrze znam angielski. Nie wiem, co to jest.

- To po ukraińsku. Napisane cyrylicą. A znaczy: Piąty Zarząd Główny. Odpowiedzialny za bezpieczeństwo wewnętrzne i zwalczanie wrogów Związku Radzieckiego. Kochałem swoją pracę. Do tego stopnia, że kazałem to sobie wytatuować.

Abd al-Madžid patrzył na Wallera szeroko otwartymi oczami.

- Jesteś Ukraińcem?

Waller spuścił rękaw koszuli i włożył marynarkę.

- Właściwie zawsze uważałem się za obywatela radzieckiego. Ale to dzielenie włosa na czworo. Na terytorium Ukrainy znajdowało się mnóstwo

broni atomowej byłego Związku Radzieckiego. Rozumiesz, co to oznacza? Wciąż mam tam dobre kontakty.

- Dlaczego nam o tym nie powiedziałeś? - wyrzucił z siebie Abd al-Madżid.

Waller przysunął sobie krzesło i usiadł.

- Nie mam obowiązku opowiadać wam swojego życiorysu. Wystarczy, że wysoko wzbogacony uran może zmieść z powierzchni ziemi sporą część dużego amerykańskiego miasta. Czy ty właściwie wiesz, czym jest wysoko wzbogacony uran?

- To broń Allaha.

- Allah nie ma z tym nic wspólnego - odparł drwiąco Waller. - Uran to pierwiastek występujący w przyrodzie, znajdujący w śladowych ilościach na całym świecie. To Niemcy pod rządami Hitlera zdali sobie sprawę z jego szczególnych właściwości, polegających głównie na masowym niszczeniu ludności i mienia. Wiesz, że można wziąć do ręki wysoko wzbogacony uran i przez całe lata nie odczuwać żadnych skutków? Sam to zrobiłem. To było oczywiście nierozsądne, ale nie skorzystać z okazji? Pokusa była zbyt duża, a ja byłem młody i głupi. Pewnie z tego powodu umrę wcześniej, niż powinienem. Aby doszło do wybuchu, potrzeba pięćdziesięciu kilogramów, czyli prawie stu dziesięciu funtów uranu. Ale do zbudowania jednej bomby nisko wzbogaconego uranu potrzeba już prawie tonę, czyli dwadzieścia razy więcej. Plutonu wystarczy około dwudziestu funtów, czyli dziesięć kilogramów. W przeciwieństwie do wysoko wzbogaconego uranu pluton musi pochodzić z przetworzenia materiałów radioaktywnych w reaktorach jądrowych. Żadne państwo nie pozwoli, żeby terroryści wykorzystali pluton, ponieważ jego wyjątkowe cechy są niczym odciski palców, pozwalają określić, skąd dokładnie pochodzi.

- Obiecałeś dostarczyć ilości potrzebne do skonstruowania bomby walizkowej - zauważył Abd al-Madżid.

Waller z rozczarowaniem pokręcił głową.

- Jeśli chcesz zostać atomowym terrorystą, powinieneś poświęcić trochę czasu na naukę. Atomowe bomby walizkowe to bzdura, wymysł rodem z hollywoodzkich filmów. To tak jakbyś próbował skonstruować atomowy

samochód. Pamiętaj, że im mniejsze urządzenie, tym większe koszty jego wytworzenia. Musiałbyś znaleźć prawdziwego siłacza, który nosiłby walizkę wypchaną setkami kilogramów uranu. Ja obiecałem wam dostarczyć taką ilość wysoko wzbogaconego uranu uzyskanego dzięki wirówkom gazowym drugiej generacji, która pozwoli skonstruować bombę atomową. Jest to materiał zawierający ponad osiemdziesiąt pięć procent uranu 235, czyli przeznaczony do produkcji broni. Mogę wam też zaoferować, po niższej cenie, materiał, który można wykorzystać do produkcji broni, zawierający tylko dwadzieścia procent uranu 235. Wybuch będzie dużo słabszy, ale i tak pojawi się opad radioaktywny.

Waller wstał i zaczął krążyć po pokoju, ale ani na chwilę nie spuszczał wzroku z muzułmanina.

- Zapewniam też wsparcie techniczne. Na przykład osłonięcie materiału rozszczepialnego reflektorem neutronów, co pozwoli znacznie zmniejszyć masę krytyczną. To jest bardzo trudne. Jeśli izotopu U 238 będzie odrobinę za dużo, nie rozpocznie się reakcja łańcuchowa i nie dojdzie do wybuchu.

Abd al-Madżid po raz pierwszy chyba był pod wrażeniem słów Wallera.

- Sporo wiesz na ten temat.
- Tak, wiem dużo - zadrwił Waller. - Mieszkałem na Ukrainie, kiedy była jedną wielką głowicą jądrową czekającą na odpalenie. Pracowałem w ośrodku atomowym. - I dodał złowrogim tonem: - I torturowałem naukowców podejrzewanych o sprzedawanie naszych tajemnic Amerykanom i ich sojusznikom. To była dla mnie wyjątkowo wartościowa lekcja.

- W takim razie myliliśmy się co do ciebie. Możemy dalej rozmawiać.

Waller sprawiał wrażenie rozbawionego.

- Tak myślisz? Po tym, jak próbowaliście mnie zabić?
- Czemu nie? Przecież żyjesz. Wszystko zostało wyjaśnione. Zarobisz dużo pieniędzy.

- Nie zawsze chodzi tylko o pieniądze. I nie wszystko zostało wyjaśnione. Wiem, że to nie ty podjąłeś decyzję o tym, żeby mnie zabić; jesteś zbyt małym trybikiem w tej maszynie. Chcę znać nazwiska tych, którzy to zrobili.

Abd al-Madżid uśmiechnął się ponuro.

- Tego nie dowiesz się nigdy.

- Byłeś kiedyś torturowany? Wybacz, ale nie będę używał tego śmiesznego określenia „rozszerzone techniki przesłuchania”. Wolę jednoznaczne sformułowania.

- Brak snu, podtapianie, klucie ościeniem, głośna muzyka - wyliczał Afgańczyk znudzonym tonem.

- Nie, źle mnie zrozumiałeś. Pytałem, czy byłeś torturowany, a nie rozpieszczany przez to, co dzisiaj uważa się za tortury.

Waller odszedł na bok, otworzył metalową skrzynkę i zaczął z niej wyjmować różne narzędzia.

- Twierdzi się, że Niemcy wiedzieli, jak torturować ludzi. Faktycznie, byli w tym dobrzy. Dzisiaj ponoć najskuteczniej przesłuchują Izraelczycy, chociaż zarzekają się, że nie stosują tortur fizycznych, lecz używają sposobów psychologicznych. Co do mnie, uważam, że pod tym względem Rosjanie nie mieli sobie równych. Mieliśmy najlepszych snajperów i najlepszych śledczych. Ja jestem starej daty. Brak mi cierpliwości do tych wszystkich nowoczesnych gadżetów. Stosuję stare, wypróbowane metody przesłuchania, opierając się na jednym prostym fakcie.

- Na jakim fakcie? - zapytał głucho muzułmanin.

Waller spojrzał na niego przez ramię.

- Że każdy człowiek to miękkie gównno. Jesteś miękkim gównnem, Al-Madżidzie? Myślę, że dziś się tego dowiemy.

36.

- **D**laczego miałabym mieć kłopoty? - zapytała Reggie.

Nie zrobiła ani kroku w jego stronę, więc on podszedł do niej.

- Przepraszam, chyba mi się wydawało. Jak kolacja?

- Udana. Świetnie zna się na winach. I jest znakomitym kompanem do pogawędek.

- Nie wątpię.

- Coś jest nie tak?

- Mówiłem, że jeden z tych facetów cię śledził. A potem zablokowali ulicę, jakby należała do nich...

- Evan przeprosił za to - przerwała mu.

- Ach, więc ma na imię Evan?

- Tak, to jego imię. Powiedział też, jak ma na nazwisko. W przeciwieństwie do ciebie. Waller.

- Young. Bill Young. - Zrobił krótką przerwę. - W dniu, kiedy byliśmy na spływie kajakowym, ktoś przeszukał mój pokój.

Reggie wyglądała na autentycznie zaskoczoną tą wiadomością. Jednocześnie wzrósł jej szacunek dla Shawa i podejrzliwość wobec niego.

- Czy coś zginęło?

- Raczej nie.

- Po co ktoś miałby to robić?

Shaw wzruszył ramionami.

- Gordes okazuje się dużo ciekawszym miejscem, niż początkowo sądziłem.

Ruszyli przed siebie. W oddali, na centralnym placu miasteczka grupka nastolatków grała na gitarach i bębenkach. Przystawali przy niej turyści i wrzucali do koszyka monety.

- Pytał o ciebie - odezwała się Reggie.

- O mnie? Dlaczego?

Uśmiechnęła się.

- Chciał chyba wiedzieć, czy stanowisz dla niego poważną konkurencję.

- I co mu odpowiedziałaś?

- Że słabo cię znam. Co jest prawdą.

- Jego też nie znasz - zauważył.

- Wydaje się miły. Chociaż jest dla mnie o wiele za stary. - Kokieteryjnie klepnęła go w ramię. - Jest nawet starszy od ciebie.

- Gdy ma się do czynienia z takim facetem jak on, różnica wieku nie odgrywa większej roli.

- Decyzja i tak należy do mnie, nie do niego. I kiedy powiem, że ma sobie dać spokój, jestem pewna, że posłucha.

- Nie wygląda na osobę, która toleruje odmowę.

- Przecież go nie znasz. Ani razu się z nim nie spotkałeś.

- Powiedział ci, jak zarabia na życie?
- Jest biznesmenem.
- Pod tym może wiele się kryć.
- Na pewno wszystko będzie dobrze. W końcu jesteśmy w Prowansji.

Co miałyby zrobić?

Shaw odwrócił głowę, czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach.

- Dobrze się czujesz?
- Chyba zaszkoziła mi kolacja.
- Chcesz wrócić do hotelu? Pójdę do domu sama.
- Nie, odprowadzę cię.

Poszli skrótami i po kilku minutach dotarli pod drzwi jej willi.

- Wygląda na to, że chłopcy wybrali się na nocną eskapadę - powiedział, patrząc na puste miejsca parkingowe przed domem Wallera.
- Po kolacji dość szybko się pożegnał - zauważyła Reggie. - Mówił, że musi się zająć jakimś interesem.

- Zapracowany koleś.

Jej następne słowa sprawiły, że Shawowi ścierpła skóra.

- Wybiera się na wystawę prac Goi do Les Baux. Poprosił, żebym z nim pojechała.

- I co mu odpowiedziałas? - zapytał nieco za szybko.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Powiedziałam, że się zastanowię i dam mu znać.
- Nie musisz tego robić.
- Dlaczego?
- Ponieważ pojedziesz do les Baux ze mną. Jutro. Chciałem zobaczyć tę wystawę. Już wcześniej miałem cię zaprosić.

- Naprawdę? - zapytała z powątpiewaniem.

- Zrobimy sobie całodniową wycieczkę. Może zjemy lunch w Saint-Remy?

- Dlaczego to robisz? Traktujesz to jak zawody? Nie jestem główną wygraną.

- Wiem, że nie jesteś, Janie. Jeśli pojedziesz tam z nim, rozumiem, to. Chodzi o to, że...

- Że?

- Chciałbym spędzać z tobą więcej czasu. To wszystko. Nie zamierzam się inaczej tłumaczyć. Po prostu chcę być z tobą.

Rysy twarzy Reggie złagodniały. Musnęła ręką jego dłoń.

- Jak mogłabym ci odmówić, skoro tak ładnie prosisz? - Uśmiechnęła się.
- To już jest randka. A teraz bardzo istotne pytanie: skuter czy samochód?

- To trochę za daleko dla skutera; myślę, że renault będzie odpowiedniejsze. Powiedzmy o dziewiątej? Przyjdę pod twój dom.

- Nie, to ja przyjadę i zabiorę cię z hotelu.

Shaw spojrzał na nią z zaciekawionym wyrazem twarzy.

- Wydaje mi się, że tak byłoby prościej. Możemy wyjechać prosto na główną drogę.

- Chodzi ci o to, żeby Waller nic o tym nie wiedział?

- Właśnie.

- Ja go się nie obawiam.

- Jestem tego pewna, Bill. - Zrobiła krótką przerwę. - Ja też nie.

37.

Waller przykleił do szyi Al-Madžida gumową łatkę podłączoną do długiego cienkiego kabla. Drugi koniec przewodu połączył z małym zasilanym na baterie monitorem.

- Co to jest? - zapytał zaniepokojony Abd al-Madžid.

- Nie ma powodu do obaw. To urządzenie będzie mierzyć twój puls. W tej chacie nie ma prądu, więc nie mogę wytrząsnąć z ciebie prawdy za pomocą elektryczności. Na szczęście, mój drogi muzułmański przyjacielu, są inne sposoby. - Teraz Waller nałożył na ramię Afgańczyka rękaw, który również podłączył do monitora. - A to będzie mierzyło ciśnienie krwi.

- Do czego ci to potrzebne?

- Ponieważ muszę wiedzieć, kiedy przestać zadawać ci ból, żeby cię nie zabić. To chyba oczywiste.

Abd al-Madžid stęzał i zaczął śpiewnie recytować pod nosem.

- Więc twierdzisz, że twój Bóg jest wielki? - Waller tłumaczył jego

słowa. - Zobaczymy, czy jest wobec ciebie miłosierny.

Abd al-Madžid nie odpowiedział pogrążony w modlitwie. Waller odczytał na monitorze wyniki.

- Puls wynosi dziewięćdziesiąt osiem, a ciśnienie rośnie, chociaż jeszcze nie zacząłem. Oddychaj spokojnie i uspokój się, przyjacielu.

- Nie złamiesz mnie! - zawołał wyzywająco jeniec.

Waller wyjął ze skrzynki taśmę samoprzylepną i obwiązał nią kilkakrotnie dookoła czoło, policzki i ramiona muzułmanina. W rezultacie Abd al-Madžid nie mógł nawet na milimetr poruszyć głową i tułowiem.

- Wiesz, po co to robię? - zapytał Waller. - Żebyś nie zrobił sobie krzywdy, kiedy ból stanie się nie do zniesienia. Znałem ludzi, którzy rozbijali sobie czaszki, byleby nie czuć dłużej bólu. Tylko raz popełniłem ten błąd. Tortury są nieskuteczne, jeśli osoba torturowana nie czuje bólu.

Waller wyjął ze skrzynki jeszcze więcej przedmiotów, przełożył je do kieszeni i podszedł do stołu, do którego przywiązany był Afgańczyk.

- Mówi się, że ból przy kamicy nerkowej jest gorszy od bólów porodowych. Ja, oczywiście, nigdy nie rodziłem, ale miałem kamienie. Ból rzeczywiście był okrutny. - Nałożył lateksowe rękawiczki, rzucił okiem na genitalia jeńca i wziął do ręki cienką szklaną rurkę długości dwudziestu centymetrów.

- To posłuży za kamień nerkowy. A teraz weź głęboki wdech i rozluźnij się.

Zamiast tego oddech mężczyzny przyspieszył, a policzki się nadęły.

- Nie złamiesz mnie! - powtórzył z wrzaskiem.

Waller zaczął metodycznie wbijać rurkę w ujście cewki moczowej za pomocą gumowego młotka. Abd al-Madžid wrzeszczał z bólu, kiedy rurka wnikała milimetr po milimetrze w głąb jego ciała.

- To nic innego jak cewnik. Dopiero teraz zacnie boleć.

Wyjął z kieszeni szczypcę monterskie i zaczął im się przyglądać.

- Żądam tylko nazwisk.

- Idź do diabła! - krzyknął jeniec.

- Aleś wymyślił. - Waller ustawił odpowiedni nacisk szczypic, umieścił je w odpowiednim miejscu i ścisnął, rozkruszając szklaną rurkę wewnątrz penisa.

Tym razem wrzask był głośniejszy. Ludzie Wallera, którzy czekali na zewnątrz, spojrzeli po sobie i nerwowo odsunęli się od drzwi. Tylko Pascal pozostał niewzruszony na posterunku.

- Krwawisz tam, gdzie nie chciałbyś krwawić - odezwał się Waller, przyglądając się swojemu dziełu.

W odpowiedzi usłyszał wiązankę w ojczystym języku Al-Madzida.

- Tak, tak. Moja matka i ojciec już nie żyją, dziękuję ci - odparł Waller.

Po stężelej z bólu twarzy Afgańczyka płynęły łzy, drżała mu szczęka. Na napiętej do granic możliwości szyi uwidoczniły się wszystkie żyły i tętnice. Cierpiał tak strasznie, że gdyby Waller nie przywiązał go taśmą, rzeczywiście rozwaliby sobie głowę o drewniany blat stołu.

Niewzruszony Waller ciągnął dalej:

- Znam paszto i trochę dari. Nauczyłem się, kiedy wkroczyliśmy z Armią Czerwoną do twojego kraju. Nie są to łatwe języki, ale angielski jest dużo trudniejszy. Składa się w zasadzie z samych wyjątków, nie ma żadnych reguł. - Spojrzał na monitor. - Puls sto trzydzieści dziewięć. Widziałem wyższy. Kiedy biegam, dochodzę do stu czterdziestu, w wieku sześćdziesięciu trzech lat. Ty jesteś młodszy, więc co to dla ciebie. Ciśnienie sto pięćdziesiąt na dziewięćdziesiąt. Trochę za wysokie. No cóż, zobaczymy.

Zacisnął szczypce w drugim miejscu. Mężczyzna szarpnął się z całych sił i ponownie wrzasnął z bólu.

- Puls sto pięćdziesiąt siedem. Widzę, że wreszcie udało mi się przykuć twoją uwagę. Rozmawialiśmy o nazwiskach.

- Możesz mnie zabić, a i tak ci nie powiem - wydyszał.

- To już jakiś postęp. Świetnie. Nadchodzi czas negocjacji. A kiedy już mi powiesz, to chcesz, żebym cię puścił wolno? Jeśli to zrobię, ostrzeżesz tych, którzy mnie zdradzili. To nie jest dobry pomysł.

- Więc mam umrzeć?

- Tego nie powiedziałem.

Waller zmienił położenie szczypiec i ścisnął teraz szczególnie wrażliwą część genitaliów muzułmanina.

Krzyk Al-Madzida wypełnił każdy zakamarek pokoju. Wrzeszczał, że zabije Wallera, skróci go o głowę, wypatroszy, wyrznie wszystkich jego

bliskich.

- Rozumiem twoją złość, przyjacielu, ale to nas donikąd nie doprowadzi - rzekł Ukrainiec. - Coraz mocniej krwawisz, ale nie martw się, taki krwotok nie zagraża twojemu życiu.

Waller wrócił do skrzynki i wyjął z niej mały skalpel. Podsunął go muzułmaninowi pod nos.

- To jest nóż chirurgiczny, bardzo delikatny i wyjątkowo skuteczny. Zrobię dwa nacięcia, tutaj i tu. - Przyłożył ostrze do szyi Al-Madzida.

- Wykrwawisz się w ciągu kilku minut. Ale ponieważ mi na tym nie zależy, zrobię coś innego.

Chwilę później prawa źrenica Afgańczyka była rozplątana. Muzułmanin związał się z bólu i wrzeszczał wniebogłoso.

Waller wpatrywał się w ekran monitora.

- Puls sto dziewięćdziesiąt pięć. Jesteś nie zrównoważony, przyjacielu. Twoje ciśnienie również mnie niepokoi. Jeśli się natychmiast nie uspokoisz, dostaniesz wylewu. Martwię się o ciebie.

Przeniósł wzrok na szlochającego, na wpół oślepionego mężczyznę.

- Może chcesz, żebym cię teraz pozbawił snu albo włączył ci rap? - Zbliżył się do niego jeszcze bardziej. - Co mówisz? Błagasz mnie? O co? Żebym cię zabił, przyjacielu? Bez przesady. Nie jestem taki brutalny. Porządny ze mnie człowiek. Ja nie zabijam. Po prostu wykonuję swoją pracę systematycznie. - Wystarczyło jedno pociągnięcie nożem i część lewego ucha spadła na brudną podłogę.

Ponownie spojrzął na odczyty.

- Puls ponad dwieście i ciśnienie też niedobre, bardzo niedobre. Powtarzam ci, że masz się uspokoić, a ty mnie nie słuchasz. Jesteś zbyt uparty. - Odwrócił się od swojej ofiary. - Pozwolę ci chwilę odpocząć. A potem rozpocznie się prawdziwe przesłuchanie. Jeżeli wydawało ci się, że cierpiełaś, będziesz niemiłe zaskoczony. Mamy za sobą dopiero grę wstępna.

Waller wyjął ze skrzynki narzędzie, które przypominało wyglądem tarkę do sera, tyle że ostrza były dłuższe i mogły obracać się w różnych kierunkach.

- Wiem, że widzisz, co trzymam w rękach, choć pewnie nie masz pojęcia, co to takiego. Zaspokoję twoją ciekawość. To jest skóra. Tak, skóra

jest największym narządem naszego ciała. Wiele osób nie zdaje sobie z tego sprawy. Skóra dorosłego człowieka ma około dwóch metrów kwadratowych powierzchni i waży cztery kilogramy. Tak, cztery kilogramy. Dzięki temu urządzeniu mogę w niecałą godzinę zderzyć z ciebie całą skórę. Nie zostawię na tobie ani kawałka. Już to kiedyś robiłem. Potrzebna jest tylko siła w rękach i dobra technika. Zacznę od twarzy i będę się posuwał w dół. Skóra będzie schodzić długimi paskami, rozumiesz. Nie licząc oczywiście twarzy i rąk, bo tutaj sprawa jest trudniejsza i zajmuje więcej czasu. Kiedyś udało mi się zdjąć jeden, nieprzerwany pasek od tułowia aż po stopy. Niestety, czasem skóra urywa się na wysokości kolan. Kobiety mają bardzo kościste kolana. Byłem trochę niezadowolony, ale i dumny ze swojego osiągnięcia. Ponieważ nie mogę pozwolić, żebyś w czasie operacji się rzucał, wstrzyknę ci to. - Sięgnął do skrzynki i wyjął z niej małą butelkę z jakimś płynem i strzykawkę. - Wynaleziono to w Związku Radzieckim w latach siedemdziesiątych. Ta mikstura paraliżuje całe ciało, ale pozwala zachować pełną świadomość. Rozumiesz mnie? Nie będziesz niczego czuł, kiedy będę cię obierał ze skóry, ale za to będziesz wszystko widział. Tylko dlatego zostawiłem ci jedno oko. Nie stracisz ani sekundy z tego widowiska. A potem, cóż, ból stanie się bardzo intensywny.

- Proszę, proszę... - zawodził Abd al-Madżid.

Waller uśmiechnął się do niego.

- Więc wolisz, żeby nie obdzierać cię ze skóry? No dobrze. A wiesz, że jeśli się zrobi odpowiednie cięcie, to człowiek może godzinami trzymać w rękach swoje wnętrzności? Pewnie myślałeś, że się wykrwawi, ale to nieprawda. Umrzesz może z innego powodu, ale nie z upływu krwi, ponieważ wiem, jak to zrobić. Powiem ci, że potrafię też faszerować usta wnętrznościami. Wpycham ich tam tyle, ile się zmieści. Może mam zbyt miękkie serce, ale nie chcę, żeby umierający człowiek trudził się dźwiganiami własnych bebechów. Masz dwadzieścia sekund na zdecydowanie się, który sposób wybierasz, w przeciwnym razie podejmę decyzję za ciebie. A skoro już tak sobie otwarcie rozmawiamy, przyznam ci się, że najbardziej lubię obdzieranie ze skóry.

W końcu, z trudem łapiąc powietrze, Abd al-Madżid wyjąkał:

- Powiem wszystko, co chcesz wiedzieć.

Waller uśmiechnął się.

- Cóż za paradoks. Najpierw ja ci coś powiem. Wiem, kto kazał mnie zabić. Oni już nie żyją. Ciebie zostawiłem sobie na koniec.

- Dlaczego mi to zrobiłeś?! - zawołał muzułmanin.

- Bo mogłem. Praktyka czyni mistrza. Jeśli nie ćwiczysz, umiejętności zanikają. Powiedziałeś, że nie mogę cię złamać. A jednak mi się udało. - Waller porzucił obojętny ton. - Kiedy ktoś zada ci cios, musisz odpowiedzieć ciosem, w przeciwnym razie pomyśli, że jesteś słaby. A ja mam pewnie wiele wad, ale na pewno nie jestem słaby.

- W takim razie zabij mnie! - zawołał okaleczony mężczyzna. - Skończ już z tym.

Waller bez pośpiechu schował do skrzynki monitor i szczypce.

- Nie jesteś dla mnie na tyle ważny, żebym marnotrawił dłużej swój czas. Pozdrów ode mnie swojego Allaha. I powiedz mu, że zastanawiam się, co go powstrzymało przed przyjściem ci z pomocą. Może on, podobnie jak ja, ma ważniejsze rzeczy do zrobienia. - Jeszcze raz podniósł rękę uzbrojoną w skalpel. - To, co zamierzam teraz zrobić, jest aktem miłosierdzia. Wkrótce się o tym przekonasz. - Wbił ostrze w drugie oko Al-Madžida, oślepiając go do końca. - Byłoby niebywałym okrucieństwem pozwolić ci patrzeć na to, co nastąpi.

Krzyk przerażenia towarzyszył Wallerowi do drzwi. Kiedy pojawił się w progu chałupy, jego ludzie wyprężyli się na baczność.

- Skończyłem - obwieścił.

Pascal razem z drugim ochroniarzem podjechali pod dom jednym z SUV-ów. Otworzyli tylne drzwi i wyciągnęli ze środka dwa psy, krzepkie pitbule ze skórzanymi kagańcami na pyskach. Mężczyźni z trudem doprowadzili rzucające się wściekle zwierzęta do drzwi, zdjęli kagańce i wepchnęli psy do środka.

Waller siedział już w samochodzie, ale mimo dźwięku pracującego silnika słyszeć było warczenie atakujących psów i wrzaski Al-Madžida. Waller włożył do uszu słuchawki, wybrał w swoim iPodzie wesołą melodię zwrócił myślami do pięknej młodej kobiety, w której towarzystwie dopiero co zjadł kolację. Nie mógł się doczekać, kiedy znowu ją ujrzy.

Już wkrótce.

38.

Powietrze było chłodne, ale dziwnie ciężkie. Panowały ciemności, jakich Reggie jeszcze w życiu nie doświadczyła. Co kilka sekund zapalała miniaturową latarkę, żeby zorientować się, dokąd idzie. Dwukrotnie uderzyła w coś twardego, zdzierając sobie skórę na ramieniu i nabijając siniaka na nodze. Schodziła na dół, zatrzymując się co chwila i nasłuchując. Kiedy minęła próg drzwi, coś ją złapało.

- Jezu Chryste!
- Ciii. Obudziłabyś nieboszczyka.

Światło latarki oświetliło twarz stojącej obok osoby. Whit uśmiechał się szeroko.

- Co ty sobie wyobrażasz? Gdybym miała broń, zastrzeliłabym cię bez wahania.

Whit przesunął światło latarki.

- Przepraszam, Reg. To miejsce chyba tak na ciebie działa. Zachowujesz się jak szalona.

- Nie ma tu nikogo? - zapytała surowo, starając się uspokoić oddech.
- Na pewno nikogo żywego. Sama zobacz. - Omiótł latarką pomieszczenie. Reggie zorientowała się, gdzie jest.

To były krypty.

Znajdowali się w katakumbach kościoła w Gordes. Od chwili gdy Reggie przedstawiła profesorowi Mallory'emu swój plan, kościół został wyznaczony jako główne miejsce spotkań. Whit i Dominic dokładnie zbadali wnętrze i z radością stwierdzili, że jest tu wszystko, czego potrzeba do złapania w pułapkę ich ofiary.

- Ilu ich tu leży? - zapytała.
- Nie mam pojęcia. Nie chciało mi się liczyć. Ale na pewno dużo.
- Pokaż mi to przejście, które znaleźliście. To najważniejsza rzecz.

Poprowadził ją z powrotem drogą, która tu przysła, aż do skrzyżowania dwóch korytarzy: jednego prowadzącego do katakumb i drugiego biegnącego w lewo. Ruszyli długim tunelem słabo oświetlonym elektrycznymi lampami. Potem Whit poprowadził ją w lewo, schodami w dół. Przeszli

przez kolejne drzwi i w końcu znaleźli się w dole urwiska, po drugiej stronie Gordes, niedaleko Willi.

- To sprytne z twojej strony, żeby wykorzystać do naszych celów religię.
- To będzie sprytne, jeśli się uda. Gdzie jest Dom?
- Został w naszym pokoju. Świerzbią go ręce, żeby dopaść tego faceta.
- Twoim zadaniem jest go uspokoić. Już mu tłumaczyłam, że w ten sposób łatwo jest popełnić błąd. A przy Kuczynie nie możemy sobie na to pozwolić.

Wrócili do katakumb.

- A gdzie się podziewa Bill?
- Dlaczego pytasz?
- Widziałem, jak z nim wcześniej rozmawiałaś. Pytam przez ciekawość.

- Śledzisz mnie?
- Tylko osłaniam tyły. Partnerzy w ten sposób postępują, prawda?
- Dobrze, partnerze. Jutro jedziemy do Les Baux obejrzeć wystawę prac Goi.

- Myślisz, że to rozsądne?
- A dlaczego nie?
- Dlatego, że mogłabyś spożytkować ten czas na bliższe zaznajomienie się z Kuczynem.

To prawda, pomyślała Reggie. Ale mimo to chciała pojechać do Les Baux. A właściwie chciała pojechać tam z Billem.

Whit chyba czytał w jej myślach.

- Skoro pouczasz mnie, jak koncentrować się na zadaniu, to dlaczego nie robisz tego, co do ciebie należy? - zapytał.

Spojrzała na niego z wściekłością.

- Martwisz się o Doma i siebie? Przecież to ty spieprzyłeś misję, którą ostatnio dowodziłeś.

- Dlatego, że odstrzeliłem gestapowcowi jaja i namalowałem mu na czole swastykę? Już ci mówiłem, jestem artystą.

- Wcale nie jesteś artystą, utrudniłeś tylko wszystkim wykonanie zadania.

- Czyżbyś wierzyła w teorię profesora, że trzeba działać dyskretnie, bo

reszta bydlaków, zaalarmowana, ukryje się jeszcze lepiej?

- Nie traktuję tego tylko jako teorii.

- Pomyśl chwilę, skarbie. Myślisz, że nie ukryli się już tak głęboko, jak tylko zdołali? Z pewnością wiedzą, że na nich polujemy. Profesor życzy sobie dyskretne działanie? A mnie się wydaje, że cały świat już wie, co robimy. I chcę, żeby ci dranie zdawali sobie sprawę, że depczemy im po piętach. Chcę, żeby nie mogli wieczorem zasnąć, tylko zastanawiali się, jak makabryczna śmierć ich czeka. Chcę, żeby szczali zestrachu w gacie, tak jak to robiły ich ofiary. Dla mnie to rodzaj zabawy.

- To, co robimy, nie jest zabawą, Whit - odpowiedziała, choć jego słowa zapadły jej głęboko w pamięć i ją poruszyły.

- Może na tym głównie polega różnica pomiędzy tobą a mną.

Mierzyli się wzajemnie wzrokiem w półmroku, aż wreszcie Reggie spytała:

- Masz truciznę?

- Dość, żeby zabić Fedira Kuczina. - Rozejrzał się dookoła. - To będzie odpowiednie miejsce. Przywiąż go do tamtej płyty. Przypomnij mu jego życiorys, a potem kropla po kropli... Zdecydowałaś już, w jaki sposób przedstawiś mu jego zbrodnie? To przecież ostatni etap naszej roboty, prawda?

- A co dalej?

- Udawać, że nic się nie stało. - Whit oświetlił latarką kryptę. - Strop ledwie tu się trzyma. Będziemy musieli się z Domem napracować, ale damy radę. Zostaną tylko kości pod gruzami. Zrobiłem rozeznanie w miasteczku, nie korzystają już z katakumb. Wątpię, żeby go znaleźli, nim staną z niego same kości. Pasuje?

- Tak. Jestem pewna, że profesor też będzie zadowolony.

Ścisnęła go za ramię.

- Musimy ze sobą ściśle współpracować. Stawka jest wysoka.

Uwolnił się od jej uścisku.

- Mogę mieć swoje zdanie, ale kiedy przychodzi czas działania, wykonuję robotę najlepiej, jak potrafię. Czy to ci wystarczy?

- Tak.

- A na razie baw się dobrze ze swoim ślicznym w Les Baux.

Minęło zaledwie kilka sekund i Reggie została sama.

Odczekała kilka minut i wyszła na pograżoną w ciemnościach ulicę. Nawet po północy Gordes było urocze i sprawiało wrażenie bezpiecznego miasta. W drodze powrotnej do willi nie natknęła się na nikogo. Kiedy zbliżała się do domu Kuczina, była pewna, że jest obserwowana. Jego ludzie strzegli go dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie wiedziała tylko, że kiedy wychodziła z kościoła, obserwował ją ktoś jeszcze.

Tym razem nie był to Shaw.

39.

Z powodu różnicy szerokości geograficznej w Anglii było o godzinę wcześniej niż we Francji. Profesor Mallory siedział w ubraniu przy biurku znajdującym się w małym gabinecie, przylegającym do jego sypialni w Harrowsfield. Zamierzał pracować całą noc nad nowym projektem, który miał zostać wprowadzony w życie po skutecznym załatwieniu sprawy Fedira Kuczina. Pyknął z fajki, wypuszczając obłoczek dymu w kierunku pokrytego plamami sufitu. Kiedy w końcu odłożył notatnik, w którym robił zapiski, i usiadł zamyślony w fotelu, zaczął kropić lekki deszcz.

Usłyszał pukanie do drzwi.

- Tak?

- Miles, to ja - usłyszał głos Lizy.

Podniósł się z fotela, kiedy otworzyła drzwi. Miała na sobie długą koszulę nocną i beżowy wełniany szlafrok. Włosy spadały jej swobodnie na ramiona, a stopy skrywały kapcie.

- Wszystko w porządku? - zapytał profesor.

Usiadła naprzeciw niego na niewielkim, zdezelowanym skórzanym pufie.

- Przed chwilą rozmawiałam z Whitem. Potwierdzili z Reggie miejsce i wszystkie szczegóły ostatniego etapu misji.

- To świetnie. - Przyjrzał się jej uważnie. - Coś cię niepokoi?

- Głos Whita. Wydawał się przygnębiony. Dlatego zadzwoniłam do Reggie i porozmawiałam z nią. Ona też wydała mi się przybita, ale kiedy zaczęłam naciskać, nie chciała nic powiedzieć. Potem spróbowałam jeszcze

raz skontaktować się z Whitem, ale nie odbierał telefonu.

- Myślisz, że doszło między nimi do awantury?
- Na to wygląda. Nie mogli sobie wybrać gorszego momentu.

Mallory odłożył fajkę, podszedł do okna i wyjrzał przez pokrytą kroplami deszczu szybę.

- Kontaktowałeś się z Dominikiem?
- Nie. Mieszka razem z Whitem, więc bałam się, że nie będzie ze mną szczerzy. Poza tym nie chciałam potęgować napięcia.

Mallory splótł dłonie za plecami i wpatrywał się markotnie w ciemność.

- Powinienem to przewidzieć. Powinienem zatrzymać tu Whita, a posłać z Dominikiem Caldwellem i może Davida Hamisha. Najwyraźniej Whit czuje urazę.

- Nie obawiasz się, że to może mieć wpływ na wykonanie przez niego zadania?

- Gdybym wiedział, nie martwiłbym się tak bardzo.

Liza spojrzała na biurko.

- Pracujesz po nocach?
- Po zmroku lepiej mi się myśli.
- Jakieś nowe wieści na temat finansowania?

Odwrócił się w jej stronę zaskoczony.

- Dlaczego? Słyszałaś coś?

- Wiadomo, że utrzymanie takiego miejsca musi kosztować. Zgoda, nie robimy tego dla pieniędzy, ale ludziom trzeba płacić wynagrodzenie. No i dochodzą koszty utrzymania. Nie wspominając o wydatkach związanych z operacją. Na samo wynajęcie willi, w której mieszka Reggie, poszedł majątek. Jak to wszystko zsumować...

Mallory milczał dłuższą chwilę, a potem westchnął i usiadł z powrotem w fotelu.

- Nie przeczę, nie jest lekko. Z wynajmem willi jakoś sobie poradziliśmy. Wspomógł nas pewien dobrze sytuowany dżentelmen ukraińskiego pochodzenia. Są też widoki na dalsze finansowanie, pod warunkiem że zachowamy pełną dyskrecję.

- Oczywiście. - I dodała: - Kiedy ostatnio byłeś na wakacjach, Miles?
- Na wakacjach? - Zachichotał. - Gdybym powiedział, że tu jestem na

wakacjach, zabrzmiałoby to zbyt sielankowo, więc się powstrzymam.

- Pytam poważnie, Miles. Kiedy ostatnio miałeś urlop?

- Chyba jeszcze żyła wtedy Margaret. Wiosna w Rzymie. I we Florencji. Margaret uwielbiała *Dawida*. Mogła siedzieć i wpatrywać się w niego godzinami. Tak, moja żona była wielką fanką Michała Anioła. To był udany urlop. Wkrótce potem zachorowała. A pół roku później zmarła.

- Jeśli dobrze pamiętam, to było osiem lat temu.

- Tak, chyba tak. Czas leci, Lizo.

- Wszyscy tu żyjemy w napięciu, ale niektórzy w zbyt dużym. Jesteś naszym szefem. Nie możemy cię stracić.

- Dobrze się czuję. Jak na nieruchawego i lekko otyłego starego profesora. - Rozejrzał się dookoła. - Lubię to miejsce, te ruiny. Regina też lubi tu przebywać. Słyszę, jak włóczy się nocami po okolicy.

- Regularnie odwiedza cmentarz. Wiedziałeś o tym?

Mallory kiwnął potakująco głową.

- A szczególnie grób Laury R. Champion. Z tego, co wiem, to nie jest jej rodzina. A mimo to Reggie czuje jakąś więź z tą kobietą.

Liza obrzuciła profesora przenikliwym spojrzeniem.

- Czy był jakiś szczególny powód, dla którego zwerbowałeś Reggie?

Mallory odpowiedział jej twardym spojrzeniem.

- Taki sam jak w każdym innym wypadku. Pokonała wszystkie przeszkody. Ale najważniejsze jest pierwsze wrażenie. Regina Champion nie była w żadnym razie wyjątkowa.

Wpatrywała się w niego dłuższą chwilę, a potem odwróciła wzrok.

- A jeśli chodzi o tego Amerykanina... - zaczął Mallory.

- Bilia Younga.

- Właśnie. Niedobrze. Wszedł nam w paradę. Nie mamy na jego temat żadnych informacji. Byłego lobbyistę może udawać każdy.

Liza przeciągnęła dłonią po pasku od szlafroka.

- To prawda. Whit powiedział, że Reggie jedzie z nim jutro do Les Baux.

Mallory wyglądał na zaskoczonego.

- Do Les Baux? Po co?

- Whit nie wiedział po co. Uważał natomiast, że Reggie powinna zająć się raczej Kuczinem.

- Też tak sądzę. Zaraz do niej zadzwonię.
- Nie rób tego, Miles.
- Ale...
- Ona jest w silnym stresie, ale i tak ma najlepszy z nas wszystkich instynkt. Sądzę, że można jej zaufać. Chyba na to zasługuje, prawda?

Mallory milczał niezdecydowany, ale w końcu się odprężył.

- Zgoda. W zasadzie się z tobą zgadzam - dodał sztywno.

Liza wstała i jeszcze raz zerknęła w stronę biurka.

- Założę się, że pracujesz nad kolejną sprawą.
- Nie można tracić czasu.
- Módlmy się, żeby Reggie i cała reszta wrócili żywi, wtedy będą mogli zająć się następnym.

Cicho zamknęła za sobą drzwi.

Mallory patrzył za nią przez kilka minut, następnie wrócił do biurka, pogrzebał w szufladzie i wyjął zdjęcie otrzymane od Whita. Usiadł i zaczął przyglądać się podobiznie Bilia Younga.

Miał złe przeczucia. Coś podpowiadało mu, że mają one związek z tym mężczyzną. Ufał Reggie, ale zaufanie też ma swoje granice. Nic nie mogło zakłócić misji wymierzenia sprawiedliwości Kuczynowi. Sprawa była zbyt poważna. Zastanawiał się chwilę, aż wreszcie postanowił, co zrobi. Wyjął z kieszeni telefon komórkowy i wystukał na klawiaturze wiadomość tekstową. W dziedzinie najnowszych technologii wcale nie był takim ignorantem, za jakiego chciał uchodzić. Odłożył telefon i rozsiadł się wygodnie w fotelu. Miał nadzieję, że postąpił słusznie.

W tego rodzaju pracy trzeba czasem zdać się na instynkt. Jeśli przeczucie go nie myliło, wszystko pójdzie dobrze. A jeśli nie? Cóż, zdarza się, że giną niewinni ludzie.

40.

Droga do Les Baux wiodła przez góry i była pełna zakrętów. Krajobraz zmienił się, kiedy skierowali się na południowy zachód. W okolicy

pełno było kamieniołomów, gdzie wydobywano wapień. Shawowi przypominały się białe klify w Dover.

- To rzeczywiście niezwykle miejsce - stwierdziła Reggie, kiedy znaleźli się na miejscu i zobaczyła otaczające ich kamienne ściany. Byli na obrzeżach Les Baux-de-Provence, na szczycie pasma gór Alpilles, w dawnym kamieniołomie, skąd roztaczał się widok na Val d'Enfer, czyli Piekelną Dolinę. Miejsce było rzeczywiście niezwykle na wystawę malarstwa.

Na wszystkich ścianach wyświetlano wysokiej rozdzielczości zdjęcia najwspanialszych obrazów Francisco Jose de Goi y Lucientesa. Były tu typowe portrety hiszpańskiej rodziny królewskiej, ale także *Maja naga i Maja ubrana*, dwa obrazy, które wywołały powszechne zgorszenie i zostały później skonfiskowane przez hiszpańską inkwizycję z powodu ich obsceniczności.

Późne prace Hiszpana były wyświetlane także na ziemi. W pierwszej chwili deptanie po dziełach mistrza nieco irytowało, ale po kilku minutach wszyscy zwiedzający byli urzeczeni spektaklem. Z mrocznych przestrzeni płynęła muzyka, ale nie było żadnego słownego komentarza. Teksty informujące o życiu Goi wyświetlano na ścianach. Obrazy zmieniały się co chwila. W jednej chwili stali skąpani w jaskrawych kolorach, a zaraz potem przychodziło otrzeźwienie, kiedy barwy ciemniały. W pobliżu kręciło się kilku strażników, ale nie byli tu po to, by kierować zwiedzającymi, lecz by upominać osoby próbujące dotykać ścian.

Kiedy dotarli do tej części jaskini, gdzie pokazywano późniejsze, dużo mroczniejsze prace Goi, Reggie zamilkła. Shaw zajrzał do broszury, którą otrzymali przy wejściu. Niestety, była bardzo skrótowa i nie informowała, jakie obrazy są tu eksponowane.

- Strasznie tu ponuro - odezwał się, gdy ich uszu dobiegły smętne tony muzyki.

- To *Rozstrzelanie powstańców madryckich 3 maja 1808 roku* - odpowiedziała, wskazując obraz przedstawiający francuskich żołnierzy strzelających do bezbronnych Hiszpanów. - Upamiętnia opór Hiszpanów względem Napoleona.

- Skończyłaś historię sztuki?

Potrząsnęła głową.

- Nie. Tylko nią się interesuję.

Reggie przyglądała się mężczyźnie w białej koszuli stojącemu z uniesionymi rękami w geście poddania, a może raczej sprzeciwu. Przedstawiona sytuacja była tym bardziej dramatyczna, że miał przesłonięte oczy. On i pozostałe osoby stojące obok niego mieli za chwilę umrzeć.

- Kiedy powiedziałam Wallerowi, że Goya jako artysta raczej nie podnosi na duchu, odpowiedział coś dziwnego.

- Co takiego?

- Powiedział, że choć jego obrazy są ponure, to w doskonały sposób ukazują ludzką duszę. Dodał też coś, co przyprawiło mnie o prawdziwy dreszcz. - Zawahała się, jakby chciała zmienić temat.

- Co powiedział, Janie? - nalegał Shaw.

- Powiedział, że w każdym z nas czai się potencjalne zło. Nie dosłownie, ale o to mu chodziło. - Obróciła się do Shawa. - Odparłam, że w to nie wierzę. A ty?

Shaw nie odpowiedział od razu, więc kontynuowała:

- Nieważne. Jakie to ma znaczenie? - Wróciła do oglądania obrazów. - Ten obraz zainspirował później Maneta i Picassa. Ludzie mordujący innych ludzi. Cóż to za inspiracja. - Reggie objęła się ramionami i zadrżała. Od chwili gdy weszli do jaskiń nazywanych Cathedrale d'Images, temperatura spadła o dobre piętnaście stopni.

Następna część wystawy była poświęcona obrazom malowanym przez głuchego już Goyę, cierpiącego na chorobę, która stopniowo niszczyła jego umysł. „Czarne obrazy” były namalowane w konwencji koszmaru. Równie przerażające były malowane akwatintą „Okrucieństwa wojny”. Teraz przyszła kolej na *Saturna pożerającego jedno ze swoich dzieci*. Przedstawiał on potworną, zniekształconą istotę zjadającą bezgłowy, zakrwawiony tułów.

- Ciekawe, czy przy wyjściu podają darmową dawkę valium? - zażartował Shaw.

- To trzeba zobaczyć, Bill - odezwała się Reggie.

- Dlaczego?

- Bo w przeciwnym razie będziemy bez końca powtarzać te same błędy. Wojna, gwałtowna śmierć, cierpienie, a wszystko to z ręki człowieka. Przecież można się tego ustrzec.

- Rzeczywiście, wciąż popełniamy te same błędy.
- Służyłeś w wojsku? - zapytała nieoczekiwanie.
- Nie - odpowiedział z całkiem szczerą miną i dodał: - Z walką miałem do czynienia, kiedy graliśmy w koledżu w paintball.

- Szczęściarz.
- Owszem, szczęściarz.

Ostatni obraz nosił tytuł *Dziedziniec szaleńców*. Jak tłumaczyła Reggie, przedstawiał nieszczęśliwych chorych zamkniętych w siedemnastowiecznym szpitalu psychiatrycznym. Stała bez ruchu zapatrzona w postacie. Kiedy Shaw na nią zerknął, zauważył spływającą po policzku łzę.

- Może wrócimy na światło dzienne i zjemy lunch w Saint-Remy?

Wydawała się go nie słyszeć. Kiedy dotknął jej ramienia, podskoczyła i obróciła się w jego stronę. Miała wilgotne i zaczerwienione oczy.

Zwrócił się do niej, starannie dobierając słowa:

- Znasz kogoś - oczywiście nie w takim miejscu jak to - kto miał takie... problemy?

Nie odpowiedziała. Obróciła się i ruszyła przed siebie. Po chwili namysłu pośpieszył za nią. Zatrzymała się przed pierwszym obrazem na wystawie, *Mają nagą*. Rozebrana brunetka leżała na szezlongu z rękami pod głową.

- Muszę przyznać, że wolę takie malarstwo - stwierdził Shaw. - Bardziej niż potwora pożerającego ludzi.

- To niesamowite, jak udało im się wyświetlić te obrazy na ścianach. - Reggie miała już suche oczy i jej głos znów brzmiał normalnie.

- Pewnie użyli najzwyklejszych projektorów, może korzystali nawet z PowerPointa.

- To takie proste do zrobienia?

- Tak mi się wydaje, chociaż nie jestem ekspertem. - Uśmiechnął się. - Dlaczego pytasz? Planujesz własną ekspozycję?

Rzuciła mu zagadkowe spojrzenie.

- Nigdy nie wiadomo. - Ujęła go pod rękę. - I co z tym lunchem?

W drodze powrotnej minęli starą, wykutą w skale fortecę. Reggie wskazała ją palcem.

- To królewska forteca. Idealna do działań obronnych.

- A ty służyłaś w wojsku? - zapytał Shaw.
- Tylko dużo czytałam. A lekcje francuskiego obejmowały też historię Prowansji. Z fortu widoczna była cała Królewska Dolina. To tutaj znajdowała się siedziba lokalnych władców.

- Rządzący zawsze są na szczycie, a cała reszta na dole. Chodzi o odzielenie - tylko ono chroni przed anarchią lub demokracją, w zależności od tego, czy rządysz, czy jesteś rządzona.

- To bardzo filozoficzne podejście, Bill.

- Zdarzają mi się takie chwile.

Zjedli w ogródku małej kafejki w Saint-Remy. Później zwiedzili pałac papieski w Awinionie, a kiedy wracali do stojącego na podziemnym parkingu samochodu, złapał ich nieoczekiwany deszcz. Przemoknięci do suchej nitki ze śmiechem biegli po wybrukowanym placu. Shaw osłonił ich oboje przed strugami deszczu swoją marynarką.

- Już wiem, dlaczego lubię dobrze zbudowanych mężczyzn - powiedziała Reggie, spoglądając na wielką marynarkę nad swoją głową.

Nim dotarli do Gordes, jej włosy i ubranie były prawie suche. Kiedy podjeżdżali pod hotel Shawa, rozległ się sygnał dzwonka jej komórki, obwieszczający, że dostała wiadomość. Wyjęła telefon z kieszeni, spojrzała na wyświetlacz i bez słowa komentarza schowała go z powrotem.

- Niech zgadnę, Evan Waller chce wiedzieć, gdzie byłaś przez cały dzień - zagadnął Shaw.

- Chyba ktoś tu jest trochę zazdrosny?

- Nie, nie jestem typem posiadacza. Ale chyba nie można tego samego powiedzieć o nim.

- Już ci mówiłam, nawet go nie znasz.

- Znam mnóstwo takich jak on. Chyba już o tym rozmawialiśmy.

- Owszem. Ale dobrze jest wiedzieć, że się o mnie troszczysz.

Położył jej rękę na ramieniu.

- Mówię serio, Janie. Postępuj ostrożnie. Coś mi się w nim nie podoba.

- Będę uważała. Pójdziemy później razem na kolację?

- Nie masz mnie jeszcze dosyć? - zapytał z radosnym uśmiechem.

- Jeszcze nie - odpowiedziała szelmowsko.

- Zgoda. Tu w miasteczku czy gdzieś indziej?

- A co byś powiedział, gdybym sama coś ugotowała?

Wydawał się nieco zaskoczony.

- U ciebie? Jasne. Pod warunkiem że pozwolisz mi przynieść wino.

- Umowa stoi. Powiedzmy, o ósmej?

Shaw poszedł do swojego pokoju, otworzył drzwi i zamarł.

Patrzył na niego siedzący na krześle przy stole mężczyzna.

41.

Po podrzuceniu Shawa do hotelu Reggie nie wróciła do swojej willi. Wyjechała z Gordes, minęła swój dom i skręciła na główną drogę. Dwadzieścia minut później, upewniwszy się, że nikt jej nie śledzi, dotarła do celu.

Dominic widział, jak się zbliża, i powitał ją w progu.

Weszła do chałupy i obrzuciła spojrzeniem panujący w środku bałagan.

- Widzę, że Whit zadomowił się tu na dobre. A tak przy okazji, gdzie on jest?

- Pojechał do roboty. Mnie kazał siedzieć na miejscu.

- Dostałam SMS od profesora. Dlatego tu przyjechałam. Chciał wiedzieć, czy nie mamy jakichś problemów. A mamy?

Dominic nerwowo szarpał rękawy swetra.

- Chyba się pokłóciłaś z Whitem.

Reggie usiadła na skraju łóżka.

- Dlaczego tak sądzisz? Co ci powiedział Whit?

- Chcesz usłyszeć dosłowny cytat czy delikatniejszą wersję?

- Co powiedział?!

- Cytuję: „że straciłaś pieprzoną głowę dla tego koleśia i pewnie wszystko schrzanisz”. Tyle że nie użył słowa „schrzanisz”.

- Ty też tak myślisz?

- Pojechałaś z nim dzisiaj, prawda?

- Wieczorem znowu zamierzam się z nim spotkać.

- Posłuchaj, Reg... - zaczął.

Nie pozwoliła mu dokończyć.

- A wiesz dlaczego?
- Może mnie oświecisz? - zapytał z sarkazmem.
- Widzę, że zbyt długo przebywałeś w towarzystwie Whita. Ten ton do ciebie nie pasuje, Dom.
- Możesz się z nim nie zgadzać, ale ma dobry instynkt.
- Ma świetny instynkt. Ale ja też. I tym razem on się myli.
- Skąd ta pewność?

Obrócili się oboje i spojrzeli na Whita stojącego w drzwiach prowadzących do niewielkiej kuchni.

- Myślałam, że nie ma cię w domu - odezwała się Reggie.

Whit wszedł do pokoju i usiadł na sofie obok Dominica.

- Właśnie wróciłem. Mów dalej. To bardzo ciekawe.
- Tak przy okazji, Bill wie, że ktoś przeszukał jego pokój.
- Naprawdę? Facet jest lepszy, niż myślałem. Muszę to zapamiętać. -

Whit nie spuszczał Reggie z oczu.

- Nie zaszkodzi. Dla sukcesu przyszłych operacji.
- Wróćmy do tej operacji. Do twojego związku z małym Billym.
- Okay. Zaraz ci wszystko wyjaśnię. Mam mało czasu, żeby dopaść

Kuczina. Powodzenie całej operacji zależy od tego, czy w odpowiedniej chwili znajdzie się tam, gdzie chcę, żeby był.

Whit zdjął marynarkę i rzucił ją na stolik w narożniku pokoju.

- Przejdź do tego, czego nie wiemy, czyli do ciebie i tego cholernego Billa!

- Zazdrość - odpowiedziała jednym słowem Reggie. - Na to najłatwiej złapać faceta. Kiedy Kuczina stwierdzi, że spędzam za dużo czasu z Billem, robi się nerwowy. Już tak zareagował. Dzięki temu zyskuję przewagę. Będzie mnie atakował: „Janie, pojedźmy tam, zjedźmy kolację, napijmy się wina”. W końcu dojdzie do tego, że bez wahania pójdzie ze mną, dokąd zechcę. Dzięki Billowi mam ułatwione zadanie. Nie muszę się otwarcie rzucać w jego ramiona. I dobrze, bo taki człowiek jak Kuczina w dziewięciu na dziesięć przypadków potrafi przejrzeć tę grę. A kiedy myśli, że musi się za mną uganiać, traci instynkt obronny. - Przerwała na chwilę. - Ale jeśli wy dwaj, panowie eksperci, znacie lepszy sposób, to słucham.

Dominic zerknął na Whita, który uporczywie przyglądał się Reggie.

- Więc to ma związek z naszą operacją? - zapytał Whit.

- To zawsze miało związek z operacją, Whit. Wszystko, co robię w swoim cholernym życiu, ma związek z operacją. Zrozumiałbyś to, gdybyś zabrał mózg z krocza i umieścił go na swoim miejscu. A może źle zrozumiałam twoją ostatnią uwagę w Harrowsfield? O co ci chodziło?

- O widok ładnego uda i ślicznej buzi - powiedział ze znaczącym uśmiechem Whit.

- O czym wy mówicie? - zapytał Dominic, przyglądając się obojgu.

- O niczym, Dom - odparła Reggie.

- Macie romans?

Whit roześmiał się.

- Nie mówię, że nie próbowałem, ale siostra Reggie nie była zainteresowana. - Uśmiech na jego twarzy szybko zgasł. - Okay, Reggie, to, co mówisz, brzmi sensownie. Zazdrość.

- Zazdrość - powtórzyła, patrząc mu w oczy. - To działa na większość mężczyzn.

Whit uciekł wzrokiem w bok.

- Jestem głodny. Zjesz coś?

- Nie, ale mam prośbę.

- Wal.

- Potrzebuję trochę sprzętu.

Dominic spojrział na nią nieufnie.

- Jakiego sprzętu?

- Projektora do wyświetlania zdjęć na ścianie. Możesz to załatwić?

- Czemu nie - odparł Dom. - W Awinionie są sklepy z elektroniką.

- W takim razie kup go jak najszybciej.

Whit wyglądał na zaskoczonego.

- Co zamierzasz?

- Zobaczycie.

Kiedy podjeżdżała pod swój dom, na środku wąskiej uliczki stał z rozpostartymi szeroko ramionami w geście powitania Fedir Kuczyn.

Miała ochotę strzelić mu między oczy. Zamiast tego westchnęła, zmusiła się do uśmiechu i wysiadła z samochodu.

42.

Shaw zamknął drzwi i rzucił ze złością:

- Co ty tutaj, do diabła, robisz, Frank? Wiesz przecież, że w trakcie operacji nie możemy się bezpośrednio kontaktować.

Frank nie poruszył się na krześle; na jego twarzy malowało się lekkie napięcie.

- Pojechałeś dzisiaj do Les Baux-de-Provence.

- Pojechałem - warknął Shaw. - I co z tego?

- Dlaczego?

- Ponieważ Waller zaprosił Janie na zwiedzanie wystawy podczas zamkniętego pokazu, a ja nie mogłem do tego dopuścić. - Uniósł dłoń, uprzedzając Franka, który chciał coś powiedzieć. - Nie chodzi tu o nią osobiście. Mieliśmy problem logistyczny z porwaniem Waller a, gdyby była razem z nim.

- Okay, ale przynoszę złe wieści. Dlatego przyjechałem. Nie chciałem tego mówić przez telefon.

Shaw rzucił klucz na stół i usiadł na łóżku.

- Jakie złe wieści?

- Odwołują operację. Amy Crawford i oddział uderzeniowy już wyjechali z Francji.

Shaw zerwał się tak gwałtownie, że o mało nie uderzył głową w sufit.

- Co takiego?! Dlaczego?

- Sprawy przyjęły inny obrót.

- Inny obrót? Jak mogły przyjęć inny obrót? Waller zamierza sprzedać broń jądrową. Szaleńcy zamierzają ją kupić i wysadzić w powietrze kawał świata. Co miałyby się zmienić?

- Zmieniło się, bo on już nie próbuje sprzedać uranu. Prawdopodobnie zabił ludzi, którzy chcieli ubić z nim interes.

- Skąd to wiesz?

- W jeziorze znaleziono dwa ciała, które pasują do opisu fundamentalistów robiących interesy z Wallerem. Zwłoki noszą ślady okrutnych tortur. Mamy też nagrania z podsłuchów, z których wynika, że muzułmanie już nie współpracują z naszym kanadyjskim psycholem, a nawet zerwali z nim

wszelkie kontakty.

- Skąd wiadomo, że to on ich zabił?

- Nie jesteśmy w stu procentach pewni, ale wiemy też, że dom, w którym Waller miał się ponoć spotkać z jednym z terrorystów średniego szczebla, wyleciał w powietrze. Waller mógł stracić wielu swoich ludzi. W każdym razie jego świta tutaj składa się z innych ludzi niż zwykle. Podejrzewamy, że fundamentaliści próbowali go wystawić do wiatru i zabić, a on wziął na nich odwet. To co prawda tylko jedna z teorii, ale bardzo prawdopodobna. Nie sądzę, żeby facet załatwiał szaleńców, chcąc zbawić świat. Jego interesują tylko pieniądze.

- Ale nie możemy przecież zakładać, że nie spróbuje sprzedać uranu komuś innemu.

- Nie sądzę. Sprawa stała się zbyt głośna, a gość nie lubi rozgłosu. Jest zbyt sprytny, żeby w tej chwili coś kombinować. Na kilka lat wycofa się i wróci do interesu z handlem kobietami. A w tym czasie wyschnie źródło zaopatrzenia w uran. Podejrzewamy, że materiał pochodził z zapasów, które na podstawie umowy rozbrojeniowej Rosjanie likwidowali i wysyłali do Ameryki. Za kilka lat sprawa będzie nieaktualna i dlatego góra zdecydowała, że operacja nie ma już sensu.

- Mieliśmy go schwytać. Przecież mógł nas doprowadzić do siatki terrorystycznej.

- Już nie, bo ich pozabijał. A facet, który nas najbardziej interesował, niejaki Abd al-Madżid, zapadł się pod ziemię. Nasz wywiad podejrzewa, że jego Waller też dopadł. Tak więc nie został nikt, kogo mógłby nam wydać.

- Ale to gangster. Sam mówiłeś, że wróci do swojego proceduru.

Trzeba go powstrzymać.

Frank podniósł się z krzesła.

- To już nie nasze zmartwienie. - Wziął do ręki plik dokumentów.

- Mam dla ciebie nowe zadanie. Rano lecisz do Madrytu, a stamtąd do gorącego Rio. Po drodze poznasz szczegóły, ale już teraz powiem ci, że chodzi o powiązania Chińczyków z kilkoma dyktatorami na tamtej półkuli. Mój odpowiednik w Ameryce Południowej spotka się z tobą i wszystko ci wyjaśni. - Shaw nie wziął papierów do ręki, więc Frank rzucił je na stół.

Shaw pokręcił głową.

- Jutro rano? Za mało czasu, żeby zakończyć tu wszystkie sprawy. Frank, który już szedł w kierunku drzwi, zatrzymał się i obrócił.
 - Zakończyć? Co tu jest do końca?
 - Daj mi tydzień, Frank.
 - Tydzień? Zapomnij. W tych papierach są rozkazy dla ciebie. Lecisz jutro. Wszystko jest przygotowane.
 - A jeśli tego nie zrobię?
- Frank podszedł bliżej.
- Ty naprawdę chcesz tam pójść?
 - Chyba będę musiał.
 - Z jej powodu? O ile sobie przypominam, mówiłeś, że to nic poważnego.
 - Powiedziałem, że to nic romantycznego. Ale nie mogę jej zostawić samej z Wallerem. To tak jakbym podpisał na nią wyrok śmierci.
 - Daj spokój. Już na ten temat rozmawialiśmy. Facet niczego jej nie zrobi. To jest Prowansja. A ta pani to nie mała dziewczynka porwana ze swojej lepianki w prowincji Guangdong, o której wszyscy zapomnieli. Nic jej z jego strony nie grozi.
 - Jeśli będzie miał na nią ochotę, nic go nie powstrzyma. Tego jestem pewny. A ochotę na nią ma. Może jednak pogadasz z tymi na górze i załatwisz mi trochę czasu.
- Frank już go nie słuchał.
- Jutro bądź na lotnisku, Shaw. I przestań bawić się w anioła stróża. To do ciebie nie pasuje.
- Shaw z hukiem zatrzaskał za Frankiem drzwi.

43.

- **B**rakowało mi ciebie, Janie. - Waller uściskał jej dłoń.
 - Na pewno byłeś bardzo zajęty.
 - Czy mogę zapytać, gdzie dzisiaj byłeś?
- Reggie zaczerpnęła powietrza i powiedziała:

- Pojechałam do Les Baux-de-Provence na wystawę Goi.

Uśmiech zniknął z twarzy Wallera.

- To się bardzo niedobrze składa. Miałem nadzieję, że to ja cię tam zabiorę.

- Przykro mi - odparła szorstko.

- Pojechałaś sama?

- Evan...

- Rozumiem. Jestem pewien, że miło spędziliście czas - wyrzucił z siebie z nutką goryczy.

- Posłuchaj, przykro mi. Podjęłam decyzję pod wpływem impulsu. W okolicy jest mnóstwo innych miejsc, które możemy odwiedzić.

Te słowa podniosły go na duchu.

- Masz rację. Czy w takim razie zjesz dzisiaj ze mną kolację? U mnie w domu? Będę zaszczycony. Zatrudniłem miejscowego szefa kuchni.

- Mam już plany na wieczór. Przychodzi Bill i zamierzam przyrzędzić mu kolację.

- Przychodzi Bill. Rozumiem. I jak sądzę, nie zamierzasz tego odwołać?

- Nie, ale za to nie mam żadnych planów na jutro i pojutrze.

- W takim razie pozwól, że już zarezerwuję ten czas i każdy inny w kolejnych dniach. Rano moglibyśmy pojechać do Roussillon.

Reggie udawała, że się zastanawia.

- Czemu nie, ale na razie zaplanujmy jeden dzień.

- Doskonale. - Pochylił się i ucałował jej dłoń.

Reggie obróciła się, widząc szczupłego mężczyznę wychodzącego z willi Kuczina i kierującego się w ich stronę. Zauważyła, że lekko utyka. Był ubrany w niebieskie spodnie, białą koszulę i żółtą kamizelkę.

Kuczin się wyprostował.

- Alan, pozwól, że przedstawię cię tej młodej damie. Alan Rice, Jane Collins.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Alan jest moim wspólnikiem w interesach. Bez przerwy pracuje, ale udało mi się namówić go do przyjazdu tutaj na krótką chwilę.

- To dobra decyzja, Alanie - zauważyła Reggie. - Niewiele miejsc mo-

że się równać z Prowansją.

- To samo mówił Evan.
- W takim razie baw się dobrze.
- Tak zamierzam.

Nieco później Reggie siedziała na swoim łóżku ze wzrokiem wbitym w podłogę. Za kilka dni będzie po wszystkim. Ale na razie nie wolno jej popełnić żadnego błędu, musi się perfekcyjnie przygotować. Była pewna, że uda jej się zaciągnąć Fedira Kuczina, dokąd zechce, ale pracowała w tym fachu wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że nie zawsze wszystko przebiega zgodnie z planem. Nie miała wątpliwości, że Kuczin to szczwany lis i nie da się całkowicie omamić. W całkiem uroczy sposób grał rolę podstarzałego adoratora, ale to była tylko gra.

Ukryła twarz w dłoniach. Wybrała sobie nielekki zawód. Nie mogła nikomu ufać. Poza tym chodziła jej po głowie inna myśl.

W każdym z nas czai się potencjalne zło.

Choć nie zgadzała się ze słowami Kuczina, to znajdowała w nich ziarno prawdy. Faktycznie, to, co robiła, w pewnym sensie było złe. Była w jednej osobie sędzią, ławą przysięgłych i katem. Kto dał jej prawo do podejmowania takich decyzji? No i jeszcze powód, dla którego wybrała taką drogę życiową. Przez myśl przemknął jej obraz martwego brata. Miał tylko dwaście lat i był taki niewinny. Tragiczna strata.

Pobiegła do łazienki, odkręciła kran i zmoczyła twarz wodą. Musi przestać o tym myśleć. Musi się skoncentrować na zadaniu.

Grała Billem przeciwko Kuczinowi dla dobra operacji. Cały czas spędzany z jednym bądź drugim mężczyzną służył misji, powiedziała do siebie. Bill Young był w tej grze zaledwie pionkiem, niczym więcej.

W jej toku rozumowania pojawiło się chwilowe zakłócenie, podobne do tego, które w telewizorze wywołuje uderzenie pioruna. Kiedy wszystko wróciło do normy, nieoczekiwane odkrycie sprawiło, że zrobiło jej się słabo.

Jeśli Kuczin uważa, że jestem naprawdę zainteresowana Billem, to może...

Starła się chłodno kalkulować. Czasem zdarzały się przypadkowe ofiary, ale takie poświęcenie mogło być konieczne dla powodzenia akcji. Z

drugiej strony czuła odrazę na myśl o tym, że niewinna osoba może zginąć tylko dlatego, iż ona chce osiągnąć swój cel. Było to dla niej typowym przykładem zła, z którym starała się walczyć.

Musisz się z tym pogodzić, Reggie.

Przecież operacja była w toku. Jak miałyby ją zatrzymać?

44.

Reggie zdjęła ubranie i weszła pod prysznic. Szorowała się tak mocno, jakby chciała zderzyć z siebie skórę. Przebrała się w dżinsy i T-shirt, zesłała po schodach, odnalazła koszyk na zakupy i ruszyła do miasteczka. Aby nie natrafić na swojego sąsiada, wyslizgnęła się z domu tylnymi drzwiami wychodzącymi na brukowaną ścieżkę.

Godzinę później wróciła z koszykiem pełnym produktów niezbędnych do przyrządzenia kolacji. Skończyła przygotowania w kuchni, odświeżyła się i przebrała w białą spódnicę i jasnoniebieską bluzkę bez ramiączek. Pozostała boso, chciała czuć pod stopami chłód terakoty na podłodze. Bez pośpiechu zajęła się włosami i twarzą przed lustrem w łazience. Dobrze pięć minut zastanawiała się nad wyborem odpowiedniego naszyjnika i kolczyków.

W pewnej chwili zamarła bez ruchu, patrząc na swoją umalowaną twarz i zarys oczu podkreślony kredką i tuszem.

To tylko zazdrość. Granie jednym przeciwko drugiemu. Nic więcej.

Słowa Whita nie dawały jej spokoju. Więc chodziło tylko o wykonanie zadania?

Z uporem wpatrywała się w swoje odbicie.

Zawsze chodzi tylko o wykonanie zadania. O kolejnego potwora skreślonego z listy. Tylko tego pragnęła. Metody nie miały żadnego znaczenia.

Na dźwięk dzwonka do drzwi o mało nie zemdląła. Spojrzała na zegarek. Była punktualnie ósma. Skończyła się stroić i zbiegła spiralnymi schodami. Otworzyła drzwi; w progu stał Shaw z dwiema butelkami wina w rękach.

- Sprzedawca w miasteczku zarzekał się, że to najlepsze czerwone wino, jeśli zamierzam zrobić wrażenie na wytwornej damie.

Reggie wzięła do ręki jedną butelkę i przyjrzała się etykiecie.

- Nie kłamał. Musiało cię kosztować fortunę, nawet tutaj, w Prowansji.

- Nigdy nie wydawałem pieniędzy dla przyjemności. Jako lobbysta potrafię negocjować cenę.

Stała na palcach i pocałowała go w policzek. Poszedł za nią do kuchni ze wzrokiem utkwionym w jej kołyszących się biodrach.

- Nie tęsknisz za pracą? - zapytała.

- Zupełnie nie. Płacono mi kolosalne pieniądze za to, żebym zarabiał jeszcze większe dla ludzi, którzy już mieli ich za dużo.

- Wszystko jest przygotowane. Narzędzia czekają na ciebie. - Wskazała na ząbkowany nóż i deskę do krojenia leżące obok sterty pomidorów i innych warzyw.

- Świetnie, ale najpierw ugaśmy pragnienie. - Wziął ze stołu korkociąg, otworzył butelkę, nalał wina do kieliszków i jeden podał Reggie.

Stuknęli się szkłem. Po chwili odstawił kieliszek i wziął do ręki nóż.

- Co będziemy jeść? - zapytał, biorąc się do krojenia.

- Główne danie to kurczak duszony z warzywami z dodatkiem kilku przypraw, które stanowią moją pilnie strzeżoną tajemnicę. A wcześniej na przekąskę deska serów i krakersów z nadziewanymi oliwkami. Do tego wszystkiego sałata, pieczywo, oliwa z oliwek i deser śmietankowy, który kupiłam w cukierni, ponieważ nie potrafię piec ciast. Kawa będzie oczywiście z francuskiego ekspresu.

- Brzmi wspaniale.

- Muszę ci powiedzieć, że choć Goya może wpędzić człowieka w depresję, uważam, że to był bardzo udany dzień.

- Dla mnie też. - Przyglądał się, jak miesza w garnku składniki. - Z powodu towarzystwa.

Reggie się zachmurzyła.

- Żeby nie było żadnych tajemnic, Evan zaprosił mnie jutro na wycieczkę do Roussillon.

Shaw skończył kroić pomidory i zajął się selerem.

- Jedziesz?
- Powiedziałam mu, że tak, ale chyba pojedę swoim samochodem.
- Okay.
- Widać po tobie, że nie jest okay.
- Gdyby to ode mnie zależało, nie miałabyś z tym facetem nic wspólnego.

- Ale to nie zależy od ciebie.
- Doskonale o tym wiem.
- Naprawdę uważasz, że to zły człowiek?
- Ujmę to tak: nie chcę, byś się na sobie przekonała, że miałem rację.

Uśmiechnęła się.

- Pocięłam się myślą, że będziesz tu, żeby mnie bronić.

Zaczął kroić warzywa z takim zapamiętaniem, że zapytała:

- Coś nie w porządku?

Odłożył nóż i wytarł ręce w ręcznik.

- Byłem zmuszony zmienić plany. Muszę... muszę jutro wyjechać.

Wrócić do domu.

- Wyjechać? Dlaczego? - Krew odpłynęła jej z twarzy.
- Chodzi o mojego syna.
- O Boże, tak mi przykro. Czy to coś poważnego?
- Nie jest chory. To bardziej kwestia emocji, a nie zdrowia fizycznego, ale jestem w końcu jego ojcem i to wystarczająco ważny powód, żeby skrócić cudowny pobyt tutaj.

- Teraz wiem, dlaczego cię lubię. Potrafisz właściwie ustalić priorytety.

Shaw uciekł wzrokiem, zawstydzony tą niezasłużoną pochwałą.

- Tak więc nie będzie mnie tutaj i nie będę mógł cię chronić.
- Ja tylko żartowałam. Nie masz obowiązku mnie chronić.

Kiedy spojrzał na nią ponownie, była już zajęta potrawą. Shaw dostrzegł na jej twarzy coś jeszcze. Czyżby ulgę? Więc była zadowolona, że wyjeżdża?

Przy kolacji rozmawiali o sprawach nieistotnych, a potem pospiesznie wypili kawę i zjedli deser.

- Mam nadzieję, że z twoim synem wszystko będzie w porządku -

odezwała się, kiedy sprząтали ze stołu.

- Mam nadzieję, że z tobą również.
- Przestań się martwić. Nic mi się nie stanie.

Shaw nie wiedział, że myślała: I tobie też.

Po kolacji, już przy drzwiach, Reggie powiedziała:

- Cóż, to by było na tyle.
- Uważaj na siebie. - Zrobił pauzę i dodał: - Czas, który razem spędzi-
liśmy, znaczyl dla mnie więcej, niż możesz sobie wyobrazić.

- Nie byłabym taka pewna, mam bardzo bogatą wyobraźnię.

Shaw myślał, że to już koniec pożegnania, ale wtedy Reggie go objęła. Wydawało mu się, że jej uścisk trwał nieco za długo i był zbyt mocny. Choć ona pewnie to samo pomyślała o jego uścisku.

Pocałowała go w okolicy ust. Shaw poczuł, że tak przekręca głowę, że-
by przy następnej próbie sięgnąć jej warg. Nagle usłyszeli kasznięcie, a
kiedy się obejrżeli, ujrzeli przyglądającego się im jednego z ludzi Wallera.

- Szkoda, że jutro wyjeżdżasz, Bill - odezwała się Reggie na tyle gło-
sno, by ochroniarz usłyszał jej słowa. - Szczęśliwej podróży do Ameryki.

Zamknęła drzwi. Shaw przez długą chwilę wpatrywał się w mosiężną
kołatkę w kształcie lwiej głowy. Dlaczego ona to powiedziała? Obejrzał się
i dostrzegł na twarzy mięśniaka triumfalny uśmiech. Wiadomość o niespo-
dziewanym wyjeździe Shawa bez wątpienia zostanie szybko przekazana
szefowi.

- Ładny wieczór - zagaił ochroniarz.

Shaw ruszył spowitą mrokiem ścieżką do Gordes. Pokonywał kamienne
stare schody, wskakując po dwa stopnie. Samolot odlatywał z Awinionu o
ósmej rano. Do Awinionu jechało się około pięćdziesięciu minut, więc z
Gordes mógł wyruszyć wczesnym rankiem. A w tym czasie Janie Collins
będzie jechała do Roussillion z człowiekiem, który zbił fortunę na sprze-
dawaniu kobiet do domów publicznych i chciał przehandlować terrorystom
wzboagacony uran.

Mógł nie lecieć, ale wtedy przyszliby po niego ludzie Franka i musiałby
uciekać, więc i tak nie pomógłby Janie. Nie potrafił znaleźć rozwiązania
tego dylematu. Z drugiej strony, jak zauważył Frank, Shaw nie był przeciez
jej ochroniarzem. Przyjechał tu, aby wykonać zadanie. Operacja została

odwołana, a jego wysyłano gdzie indziej. Wcześniej odwrócił się od Katie James, która ryzykowała dla niego życie. Cóż więc kazałoby mu tu zostać i bronić honoru, a może nawet życia kobiety, której prawie nie znał? Takie zachowanie byłoby zupełnie irracjonalne, a Shaw zawsze kierował się logiką. Nie mógł jednak ignorować tego, co czuł.

I nagle wszystko stało się dla niego jasne. Sąsiednia willa, broń, cios w nerki, pływanie w basenie mimo świadomości, że jest obserwowana. A w końcu napuszczanie go na Wallera. Shaw zrozumiał, co Janie robi - z jakichś powodów próbuje tego faceta usidlić. Z drugiej strony postarała się, żeby ludzie Wallera dowiedzieli się o wyjeździe Shawa. Tylko jedno wytłumaczenie przychodziło mu do głowy: nie chciała, żeby osiłki Wallera zrobiły mu krzywdę. To ona chroniła jego.

Shaw był tak pochłonięty myślami, że nie zdążył zablokować spadającego na niego ciosu. Został trafiony dokładnie w tył głowy. Ugięty się pod nim nogi i runął na chodnik, rozcinając na ostrych kamieniach kolana i łokcie. Próbował się podnieść, ale kolejny cios go powalił. Czuł, jak ktoś go związuje, unosi i wrzuca do jakiegoś małego pomieszczenia.

W następnej chwili stracił przytomność.

45.

Reggie wstała wcześniej; nocne niebo dopiero zaczynało rozświetlać się blaskiem poranka. Otworzyła okno w sypialni i wyjrzała. Z przyzwyczajenia zerknęła w kierunku sąsiedniej willi, ale nie zauważyła tam żadnego ruchu. Mimo to była pewna, że ludzie Wallera czuwają na zewnątrz. Bała się dzisiejszego wyjazdu do Roussillion i wieczornej kolacji, choć wiedziała, że pomoże jej to w załatwieniu Kuczina. Z uporem odliczała minuty, jakie temu człowiekowi pozostały do życia. Nie mogła się już doczekać tej chwili.

Wzięła prysznic, ubrała się i wyszła z domu bocznymi drzwiami. Chciała jeszcze coś zrobić. A właściwie musiała. Poszła do Gordes. Było tam już trochę ludzi, między innymi mężczyzna, który polewał ulice wodą z węża

strażackiego. Kiedy go mijają, skinął jej głową. Przeszła przez rynek i pokonała zakręt ulicy. Hotel mieścił się po lewej stronie.

Otworzyła podwójne oszklone drzwi i zbudziła recepcjonistę.

- Czy może pan zadzwonić do pokoju Bilia Younga? - poprosiła po francusku. - Proszę mu powiedzieć, że przyszła Jane Collins.

Recepcjonista, starszy, szczupły mężczyzna z gęstwiną siwych włosów i zwiotczalymi policzkami, spojrzął na nią niechętnie, a nawet nieco podejrzliwie.

- Jest bardzo wcześnie, młoda damo. Wątpię, czy już wstał.
- Oczekuje mnie - skłamała.
- O tej porze?
- Mamy razem zjeść śniadanie.

Recepcjonista nie wyglądał na przekonanego, ale zadzwonił.

- Nikt nie odpowiada - powiedział, odkładając słuchawkę.
- Może jest pod prysznicem.
- Niewykluczone - odrzekł niechętnie recepcjonista.
- Mógłby pan do niego zadzwonić jeszcze raz za kilka minut?
- Zadzwonię, jeśli trzeba.
- Trzeba - odpowiedziała grzecznie, lecz stanowczo.

Pięć minut później recepcjonista spróbował jeszcze raz.

- Nadal nie odpowiada - oznajmił tonem wskazującym, że więcej dzwonić nie będzie.

- Widział pan, jak wychodzi?
- Nie.

Nagle Reggie do głowy przyszła pewna myśl.

- Ale nie wymeldował się, prawda?
- Dłaczego miałby to robić, skoro umówił się z panią na śniadanie?
- Ludzie czasem zmieniają plany.
- Nie wymeldował się; przynajmniej nie na mojej zmianie.
- A mógłby pan sprawdzić w księdze?

Mężczyzna westchnął, ale spełnił jej prośbę.

- Nie wymeldował się.
- Czy mógłby pan w takim razie pójść do jego pokoju?
- Po co?

- Żeby sprawdzić, czy coś mu się nie stało. Może jest chory albo upadł.

- Mam poważne wątpliwości, czy...

- To jest Amerykanin. Oni pozywają do sądu o odszkodowanie za byle co. Jeśli jest chory albo ranny, a pan tego nie sprawdzi, mimo że pana prosiłam, hotel może zapłacić olbrzymie odszkodowanie.

Jej słowa przyniosły spodziewany efekt. Mężczyzna wziął klucz i ruszył schodami na górę. Reggie podążyła za nim.

- A dokąd pani się wybiera? - zapytał.

- Mam przeszkolenie medyczne. Jeśli jest ranny, potrafię udzielić pomocy.

Wbiegli na piętro. Recepcjonista zapukał, następnie zawołał i jeszcze raz zapukał.

- Niech pan otworzy drzwi!

- To niezgodne z zasadami panującymi w naszym hotelu.

- Na miłość boską! - Zabrała mu klucz, odepchnęła go od drzwi i otworzyła. Weszła do środka, a za nią recepcjonista. Wystarczyła jej chwila, żeby stwierdzić, że pokój jest pusty, choć wszystkie rzeczy są na miejscu.

- Na tym łóżku nikt nie spał - zauważyła, patrząc oskarżycielsko na recepcjonistę.

- Nie odpowiadam za to, czy wszyscy goście są w swoich pokojach - odparł z oburzeniem.

Reggie zaczęła szybko myśleć. Recepcjonista zaczął zmianę o północy, a Bill wyszedł od niej około jedenastej. Spacer mógł zająć mu pięć minut. A jeśli w ogóle nie dotarł do hotelu? Przecież zrobiła wszystko, żeby człowiek Wallera usłyszał, że Shaw wyjeżdża. Nie było żadnego powodu, żeby...

- Można? - odezwał się recepcjonista.

Wyrwana z zamyślenia Reggie zobaczyła jego rękę wyciągniętą po klucz. Oddała mu go.

- Powinien pan to zgłosić na policję - doradziła.

- Nie sądzę. Mógł nie wrócić na noc do hotelu, bo miał coś lepszego do roboty. - Spojrzał na nią znacząco. - W końcu to jest Prowansja.

- Mogę w takim razie obejrzeć jego pokój, żeby dowiedzieć się, dokąd mógł pójść?

- Jeśli pani spróbuje, może być pani pewna, że zawiadomię policję.
Zirytowana Reggie minęła go i zbiegła po schodach.

Wyszła z hotelu i popędziła do swojej willi. Nagle usłyszała za plecami pisk opon. Obróciła się i zobaczyła zatrzymujący się przed hotelem samochód. Skryła się w cieniu i obserwowała, jak trzech mężczyzn, jeden w staromodnym kapeluszu, wyskakuje z wozu i wbiega do hotelu. Nie podeszła bliżej, ponieważ kierowca pozostał w pojeździe.

Kilka minut później mężczyźni wyszli z hotelu, a jeden z nich niósł coś w ręce. Reggie natychmiast rozpoznała walizkę, która leżała w pokoju Billa. Kiedy samochód mijał jej kryjówkę, przyjrzała się mężczyźnie w kapeluszu. Rozmawiał przez telefon, wyrzucał z siebie szybko jakieś słowa i wcale nie wyglądał na zadowolonego.

Reggie pędem wróciła do hotelu. Recepcjonista siedział milcząco za kontuarem.

- Widziałam wchodzących tu mężczyzn - zaczęła Reggie.
- To chyba najgorszy poranek w moim życiu - wyjęczał starszy pan.
- Czego oni chcieli?

Recepcjonista podniósł się z krzesła.

- Czego chcieli? Czego chcieli? Tego samego co pani. Kim jest ten człowiek, którego wszyscy tak szukają?

- Powiedzieli coś panu?
- Nic.
- To dlaczego pozwolił pan im zabrać rzeczy?
- Bo mieli broń - odrzekł drżącym głosem mężczyzna. - A teraz niech się pani wynosi!

46.

Shaw powoli dochodził do siebie i nagle stężał. Miał już kiedyś pękniętą czaszkę, a teraz czuł się podobnie. Zgiął ręce i nogi, ale więzy były

założone profesjonalnie. Im bardziej za nie ciągnął, tym mocniej się zaciękały. W końcu usiadł nieruchomo.

Jego oczy w końcu przywykły do ciemności i wyczuł, że w tym małym pomieszczeniu jest sam. Brakowało tu okien, więc musiała to być piwnica albo jakiś stary budynek magazynowy. Podłogę stanowiła betonowa wylewka. Jedyne promienie światła przesączały się przez szparę pod znajdującymi się na wprost niego drzwiami.

Każdemu uderzeniu serca towarzyszyło pulsowanie w głowie. Zasłużył sobie na to, skoro dał się tak łatwo podejść. Stracił czujność, ponieważ rozmyślał o sprawach, którymi nie powinien sobie zaprzętać głowy.

Evan Waller mógł mieć dwa powody, żeby go porwać. Był zazdrosny i chciał wyeliminować rywala lub odkrył, kim jest naprawdę. Pierwszy powód nie wydawał się przekonujący, zwłaszcza kiedy Janie obwieściła, że on wycofuje się z pola walki. *Ale jeśli Waller odkrył, kim jestem naprawdę, dlaczego jeszcze mnie nie zabił?* Może chciał najpierw nacieszyć się swoim triumfem? A może chciał go torturować, tak jak terrorystów, nim ich zabił.

Kiedy otworzyły się drzwi i w progu pojawił się jakiś mężczyzna, Shaw lekko uniósł głowę. W ciemności rozległ się głos:

- Obudziłeś się?
- Tak.
- Chcesz jeść albo pić?
- Tak.

Shaw pomyślał, że kiedy go rozwiążą do posiłku, może nadarzy się okazja do ucieczki. Mężczyzna podszedł bliżej. Shaw nie rozpoznał w nim żadnego z ludzi Wallera. W jednej ręce trzymał butelkę wody, a w drugiej jakiś przedmiot. Odkręcił butelkę, ale nie rozwiązał Shawa.

Przyłożył mu tylko szyjkę do ust i pozwolił się napić.

- Żebyś nie miał żadnych wątpliwości, trzymamy cię na muszce.

Shaw zerknął mężczyźnie przez ramię i wyczuł, że w ciemnościach kryje się ktoś jeszcze.

Mężczyzna odstawił butelkę i przysunął do ust Shawa kawałek chleba.

- Chleb i woda? - zapytał Shaw.
- Lepsze to niż nic.
- Możesz mnie oświecić, dlaczego rozbiliście mi głowę i mnie porwaliście?

- Przede wszystkim dla twojego własnego dobra.
- Jakoś trudno mi w to uwierzyć.
- Guzik mnie obchodzi, w co wierzysz.
- Okay, i co dalej?
- Teraz będziesz tu siedział, póki nie ochłoniesz. Będziemy cię dobrze traktować; jedzenie, picie, cokolwiek zapragniesz.

- Kiedyś będę musiał tę wodę wysikać.

Mężczyzna wskazał ręką na lewo od siebie. Shaw dostrzegł w mroku toaletę.

- Wystarczy, że dasz znać.
- Tak po prostu?
- Już powiedziałem, ochłoń trochę, a wkrótce stąd wyjdiesz.
- Gdzie jest Waller? - zapytał ostro Shaw.
- Kto?
- I znów ci nie wierzę.

Mężczyzna zamknął za sobą drzwi, zostawiając go głowiącego się nad tą zagadką. Odchylił się w krzesło w przód i w tył i szybko zrozumiał, że jest ono przykręcone do podłogi. Ci kolesie byli pomysłowi. Zastanawiał się, jak daleko znalazł się od Gordes. Nie miał pojęcia, jak długo pozostawał nieprzytomny. Może nawet nie znajdował się już we Francji.

Skoro ci ludzie nie reprezentowali Wallera, kim byli? Nie, to oczywiste, że musieli dla niego pracować, choć porywacz udawał, że nic nie wie. Zastanawiał się też, co pomyśli sobie Frank. Kiedy nie pojawił się na lotnisku, pewnie przyjechali po niego do hotelu. A potem Frank pomyślał, że Shaw wystawił go do wiatru i zwiął.

Usiadł wygodniej na krzesło i wziął głęboki wdech. Nie przychodził mu do głowy żaden pomysł. A Janie była teraz pewnie z Wallerem. Albo już nie żyła.

47.

- **S**prawiasz wrażenie zmartwionej.

Szli ulicami Roussillion i Reggie co chwila spoglądała na Wallera.

Przyjechali tu oddzielnie, ona swoim samochodem jechała za kolumną wozów Wallera. Roussillion miało w sobie urok typowej prowansalskiej wioski, wzmocniony jeszcze barwą ochry większości budynków.

- Jestem zmęczona. Krótco spałam tej nocy.
- Mam nadzieję, że nie masz żadnych kłopotów, które nie pozwalają ci spać.

Waller miał na sobie wyprasowane dżinsy, białą bawełnianą koszulę wypuszczoną na spodnie i skórzane sandały. Łysinę chronił przed słońcem panamą. Kapelusz nadawał mu lekko zawadiacki wygląd, czego Reggie zdawała się nie zauważać.

- To pewnie opóźniony skutek zmiany czasu. To miasteczko jest naprawdę piękne. Tu są zupełnie inne kolory niż gdziekolwiek indziej.
- Moja matka urodziła się tutaj - odparł z dumą. - Pamiętam te barwy z dzieciństwa.

Reggie zatrzymała się przed oknem wystawowym, udając, że podziwia umieszczony tam obraz, ale w rzeczywistości myślała o czymś innym. Zastanawiała się, jak Fedirowi Kuczynowi udało się przedrzeć przez żelazną kurtynę i przyjechać tutaj w dzieciństwie, a właściwie jak udało się to jego rodzicom. W tamtych czasach podróżowanie było surowo zakazane. Jego ojciec musiał być szcęgą we władzach partii komunistycznej, skoro pozwolono mu na taką eskapadę. Zastanawiała się też, jakim cudem Francuzka z prowincjonalnego miasteczka w Prowansji poślubiła ukraińskiego komunistę. Może to, co jej mówił Kuczyn, było po prostu kłamstwem.

- Podoba ci się obraz? - zapytał.

Reggie nie odrywała oczu od scenki przedstawiającej spokojną przystań.

- Jest znacznie miłszy dla oka niż dzieła Goi.
- Zgoda, ale ten malarz nigdy nie zdobędzie takiej sławy jak Goya. Goya bardzo się przysłużył światu.

Obróciła się w jego stronę.

- Jak to?
- Żył w trudnych czasach. Wojna, ubóstwo, okrucieństwo. Dlatego malował koszmarnie wizje. Jak już mówiłem, farbą olejną na płótnie przypominał światu o istnieniu zła. To ważna lekcja, której nie wolno nam za-

pomnieć, choć niestety czasem nam się to zdarza.

- Ty doświadczyłeś czegoś takiego?
- Czytałem o tym i dlatego trzeba się tego wystrzeżać.
- Ale niekiedy jest to niemożliwe.
- Jesteś Amerykanką, więc możesz tak uważać. Jesteście supermocarstwem, możecie robić, co chcecie.

Reggie nie była pewna, ale chyba dostrzegła w jego oczach cień tęsknoty. Waller wziął ją pod rękę.

- Słyszałem, że drogi Bill nas opuścił.

Reggie o mało nie wyrwała mu ręki.

- Musiał wracać do domu. Jakieś sprawy rodzinne.
- Postaram się zapełnić tę pustkę.

Rzuciła mu badawcze spojrzenie i zmusiła się do uśmiechu.

- Nie obiecuj, jeśli nie możesz dotrzymać słowa.
- Nigdy tak nie postępuję.
- Gdzie mieszkała twoja rodzina, kiedy się tu zjawiliście?
- Pokażę ci.

Przeszli przez centrum miasteczka. Čwierć kilometra dalej Waller poprowadził ją jakimiś zrujnowanymi schodami i zatrzymali się przy niewielkim domku z drewnianymi drzwiami i dwoma oknami.

- Tutaj.
- Jak tu uroczy - zachwyciła się Reggie.
- W tym domu zmarł mój ojciec.
- Boże, przykro mi.

Ponownie wziął ją pod rękę.

- Teraz pora na lunch. Tędy. Wszystko jest gotowe. Lunch będzie lekki, bo kolacja sżykuje się obfita.

- Widzę, że lubisz mieć wszystko pod kontrolą.
- Świat dzieli się na liderów i naśladowców. To naturalny porządek.

Chciałabyś, żeby naśladowca prowadził, a lider szedł za nim?

- To chyba zależy, dokąd zmierzają.
- Jesteś dziwną kobietą.
- Słyszałam już o sobie gorsze rzeczy.
- Uważałem to za komplement.

Ścisnął mocniej jej ramię. Reggie martwiła się o Billa Younga. Czy Kuczyn zrobił mu krzywdę? Jeśli tak, zabicie drania to za mało. Nie darowałyby sobie, gdyby z jej powodu zginął niewinny człowiek.

48.

- **M**uszę skorzystać z kibla! - zawołał Shaw. - I to szybko.

Minęła minuta i myślał już, że nikt nie zareaguje. Wtedy otworzyły się drzwi i pojawił się ten sam mężczyzna co wcześniej.

- Pokazałem ci przecież toaletę w rogu.
- Z tej odległości nie trafię. Rusz głową.

Mężczyzna podszedł bliżej.

- W takim razie będę cię musiał rozwiązać.
- Też mi się tak wydaje.
- Trzymamy cię na muszce - przypomniał mu porywacz.
- Pamiętam.

Shaw nie spuszczał z oczu zbliżającego się mężczyzny. Naprężył mięśnie i gorączkowo rozważał wszelkie możliwe scenariusze ataku na cele numer jeden i dwa. Zasłonił się pierwszym mężczyzną przed strzałem i w ten sposób ucieknie. Plan był kiepski, ale w tych okolicznościach jedyny.

Niestety, nie miał okazji wprowadzić go w życie.

Mężczyzna wbił mu w ramię, przez koszulę, igłę strzykawki.

Kiedy Shaw odzyskał świadomość, leżał na podłodze z rękami pod tułowiem. Powoli wstał i poruszał kończynami, przywracając w nich krążenie. Skorzystał z toalety i rozejrzał się dookoła. W pomieszczeniu nie było niczego prócz przykręconego do podłogi krzesła, leżącego w kącie materaca i muszli klozetowej. Odmierzył krokami pomieszczenie. Dwa i pół na dwa i pół metra. Sufit niewiele ponad jego głowę. Kamienne ściany wyglądały solidnie; w zaprawie nie było żadnych pęknięć i szczelin. Uniósł rękę. Sufit był jednolitą betonową płytą.

Brzęknięcie za plecami kazało mu się odwrócić i dostrzegł tacę z jedzeniem, wsuniętą przez kłapkę u dołu drzwi, której wcześniej nie zauważył.

Podniósł tacę i położył ją obok materaca. Usiadł i zjadł, a butelkę wody opróżnił kilkoma długimi łykami. Przyjrzał się temu, co pozostało. Żadnych sztućców, żadnych ostrych krawędzi. Tacka ze styropianu, butelka plastikowa.

Kilka minut później usłyszał głos:

- Wsuń tacę.

Wstał i przecisnął tacę przez otwór w drzwiach, który miał niecałe dziesięć centymetrów wysokości, więc butelkę po wodzie musiał położyć. Wrócił do oględzin swojego więzienia, sprawdzając każdy centymetr kwadratowy. Jego wzrok spoczął na toalecie. Podniósł pokrywę rezerwuaru i zanurzył w nim rękę. Chwilę później wyjął długi kawałek metalu. Podeszedł do drzwi i przyjrzał się zamkowi.

Zasuwka. Trudna sprawa, choć nie niemożliwa.

Siadł na krześle i zaczął nadawać kawałkowi metalu kształt narzędzia, które pozwoliłoby powalczyć z zamkiem. A właściwie, dwóch narzędzi, skoro to była zasuwka. Nie miał pojęcia, która jest godzina ani nawet jaka pora dnia. Zabrali mu zegarek. Zaczął więc odliczać sekundy. Przyjął założenie, że posiłek, który dostał, był lunchem albo obiadem. Ta metoda nie była dokładna, ale lepsze to niż nic.

Kiedy udało mu się przełamać metalowy kawałek na dwie części i nadać im odpowiedni kształt, podkradł się cicho pod drzwi. Przyłożywszy ucho do grubych drewnianych drzwi, chwilę nasłuchiwał. Zawiasy znajdowały się po zewnętrznej stronie, nie mógł więc nic z nimi zrobić. Pozostał tylko zamek.

Na czworakach delikatnie uchylił kłapkę w drzwiach. Nasłuchiwał dźwięków oddechu, ruchu czy szybko bijącego serca.

Doczekał się. Szuranie nóg o podłogę. Nie przerywając odliczania sekund, wrócił na krzesło. Musiał się stąd wydostać, i to szybko.

Powoli, nie spiesz się. W pośpiechu popełnia się błędy.

Ale dręczyło go przypuszczenie, że Janie nie pozostało wiele czasu. Nawet jeśli to nie Waller kazał go porwać, to mógł teraz zrobić z nią, co zechce. Do szału doprowadzała go myśl, czego tamten pewnie pragnął, kiedy patrzył na młodą kobietę.

Cierpliwości, Shaw, cierpliwości.

Gładził palcami kawałki metalu i wytrwale liczył sekundy.

49.

- **O**d dawna współpracujesz z Evanem? - zapytała Reggie.

Stała na tarasie willi Wallera, przyglądając się zachodzącemu słońcu. Obok stał Alan Rice, ubrany w spodnie khaki i obszerną koszulę. Na szyi miał zawiązaną czerwoną apaszkę. Pomyślała, że jeśli chciał sprawić wrażenie wytwornego, to mu się nie udało. Alan popijał wino, a Reggie wodę sodową. Na wieczór przebrała się w spódnicę do kolan, bluzkę i buty na niskim obcasie. Wilgotne włosy spadały jej swobodnie na ramiona. Wyprowadzenie do Roussillion przebiegło spokojnie, Waller był czarujący jako przewodnik i traktował ją jak księżniczkę. Zrozumiała, jak łatwo mógł podejść niczego niepodejrzewającą kobietę. Ale kiedy na niego patrzyła, przed oczami miała obraz niewinnych ofiar jego chorego umysłu. Mimo to uśmiechała się, zachowywała kokieteryjnie, a nawet prowokowała - bo tak było trzeba.

- Blisko cztery lata - odparł Rice, odstawiając kieliszek na stół i opierając się o zbudowaną z kamieni barierkę tarasu. - To wspaniały biznesmen.

- Wydaje się znakomity we wszystkim. Jest bardzo zaradny.

- Tak, to odpowiednie słowo, zaradny.

- Jak się poznaliście?

- Pracowałem w pewnej firmie w Nowym Jorku. Pojawił się tam w sprawie interesów. Poznaliśmy się. Oczarował mnie, tak jak umie oczarować każdego. No i zacząłem pracować u niego.

- To pewnie wielkie wyzwanie.

- Owszem. Pan Waller nie cierpi głupców. Praca jest stresująca, ale można się wiele nauczyć.

- W takim razie potrzebowałaś krótkiego odpoczynku. Widzę, że lekko utykasz. Zraniłeś się?

- Upadłem pod prysznicem i rozbiłem sobie kolano. Ale szybko się

goi.

Chwilę później pojawił się Waller i Alan Rice błyskawicznie zniknął w głębi domu.

- Mam nadzieję, że Alan był miły jako towarzysz - powiedział Waller, popijając koktajl.

- Oczywiście. On naprawdę lubi pracę u ciebie.

Waller usiadł na sofie i gestem zaprosił Reggie, by zajęła miejsce obok niego.

- Mam szczęście, że jest u mnie.

Usiadła obok niego; ich kolana prawie się stykały.

- Czym się zajmujesz?

- Tym, co daje pieniądze.

- Widzę, że motywuje cię chęć zysku - zauważyła chłodno.

- Tak, dla kogoś, kto dorastał bez pieniędzy, zysk może być siłą motywującą.

- Przecież przyjechałeś do Prowansji jako dziecko. Nie mogłeś mieć aż tak rozpaczliwej sytuacji. Podróż z Kanady nie była tania, nawet wtedy.

Obrzucił ją zagadkowym spojrzeniem. Reggie przez krótką chwilę miała wrażenie, że posunęła się za daleko.

- Cóż, nie powinno mnie to obchodzić - dodała pośpiesznie.

- Nie, nie, w porządku. Jak już wspomniałem, moja matka była Francuzką. Nie musieliśmy płacić za pobyt. Mieliśmy nasz rodzinny dom. Poza tym przyłynęliśmy statkiem, trzecią klasą. Potem jechaliśmy pociągiem, też trzecią klasą. Podróż może nie była komfortowa, ale na pewno tania.

- No tak.

- A kiedy przybyliśmy do Prowansji, czy można było pozostać obojętnym na jej uroki? - Wstał i zapatrzył się na zapierający dech w piersiach widok doliny Luberon. - Tu jest cudownie.

Reggie podeszła do niego. -

- To prawda. Moja matka mawiała, że Bóg był w dobrym nastroju, kiedy tworzył Prowansję.

- Twoja matka była osobą religijną, jak widzę.

- Była dobrą katoliczką, tak jak ja.

- Na łożu śmierci matka powiedziała do mnie: „Nigdy nie porzucaj

wiary w Boga. Bóg wesprze cię w dobrym czasie, a przede wszystkim w złym”. Była mądrą kobietą.

- I rzeczywiście Bóg wspiera cię w dobrych i złych chwilach?
- Nie ma życia bez bólu. Teraz jestem bogaty, kiedyś nie byłem. Kiedyś... - Uśmiechnął się. - Myślę, że kolacja jest gotowa. Usiądziesz obok mnie. Alan też zje z nami. Powinnaś go zapytać o jego opinię na temat francuskich i kalifornijskich win. Jest bardzo interesująca. Myli się, oczywiście, ale mimo to warto go posłuchać. - Zaprowadził ją do jadalni.

Po posiłku pili drinki i zjedli deser na dolnym patio, przy basenie. Rice towarzyszył im przez kilka minut, a potem nagle zniknął. Reggie nie wiedziała, czy zrobił to na znak swojego pracodawcy, czy z własnej woli. Waller wpatrywał się markotnie w wodę.

- W twojej willi też jest basen, prawda?

Reggie przytaknęła.

- Często pływam. Po takim posiłku powinnam przepłynąć kilka kilometrów, żeby spalić kalorie.

Waller machnął lekceważąco ręką.

- Bzdura. Masz idealną figurę.
- Ty też nie obrosteś tłuszczem.
- Robię, co mogę - odpowiedział skromnie. - Amerykanie jedzą za dużo fast foodów, ale tobie, jak widać, to nie zaszkodziło.
- Bogactwo daje mi przewagę nad wieloma Amerykanami. Mogę sobie pozwolić na dobre jedzenie i mam czas na ćwiczenia.

- Nieprawda. Kmiotki mogą pójść do supermarketu i kupić świeże składniki za kilka euro. A droga do sklepu to forma ćwiczeń. - Urwał i po chwili dodał: - Ale nie zamierzam nikogo osądzać.

Reggie poczuła, że na te słowa jej twarz mimowolnie purpurowieje.

Na szczęście Waller nie patrzył na nią. *Za to osądzałeś i skazywałeś setki tysięcy ludzi na śmierć.*

Podniosła się.

- Dziękuję za uroczy dzień.
- Chyba nie zamierzasz wyjść? - powiedział.

Wzdrygnęła się, słysząc jego ton.

- To był długi dzień.

- Jest jeszcze wcześniej.
- Może dla ciebie.
- Bardzo bym pragnął, żebyś jeszcze została.
- Jestem pewna, że wkrótce znów się zobaczymy. A nie wszystkie pragnienia mogą być spełnione.

Waller również wstał.

- Nie zmienisz zdania? Chciałbym cię lepiej poznać.
- Muszę popływać.
- Możesz to zrobić tutaj.
- Dobranoc, Evan. Sama trafię do wyjścia.
- Niewiele jest osób, które ośmieliłyby się mi przeciwstawić.
- Ja ci się nie przeciwstawiam.
- Ale...

Wspięła się na palce i cmoknęła go w policzek.

- Wszystko w swoim czasie.

Kiedy znalazła się już, bezpieczna, za zamkniętymi drzwiami swojej willi, splunęła na podłogę i wytarła usta.

50.

- **T**ak, Whit, doskonale zdaję sobie sprawę z sytuacji, może nawet lepiej niż ty.

Profesor Mallory siedział przy biurku w swoim gabinecie w Harrowsfield i próbował zapalić fajkę, przyciskając jednocześnie lewą ręką słuchawkę do ucha.

- Podjąłem działania, które wydawały mi się najrozsądniejsze. - Mallory przerwał, słysząc potok słów wyraźnie przygnębionego Irlandczyka.

Profesorowi w końcu udało się zapalić fajkę i chwilę zajęło mu rozżalenie tytoniu. Zgasił zapałkę i rzucił ją na biurko, gdzie jeszcze moment się tliła.

- Nie rozumiem, kto miałby cię pozbawić niezbędnych zasobów ludzkich, ale jeśli potrzebujesz wsparcia, to jutro je otrzymasz. Tak, ja też po-

trafię liczyć. Masz cztery osoby z zewnątrz i jest wasza trójka. Skoro uważasz, że to za mało... - Przerwał i słuchał dalszych wywodów Whita. - Tak, rozmawiałem z Reginą, ona nic na ten temat nie wie. O co właściwie chodzi? Rozumiem. Projektor? - Znowu słuchał. - Tak, przypuszczam, że to się może przydać. Dobrze. Tak, informuj mnie.

Mallory odłożył słuchawkę i pyknął z fajki. Podniósł wzrok i spojrzał na stojącą w drzwiach Lizę.

- Problemy? - zapytała.

Mallory odchrząknął.

- Nic, z czym nie można by sobie poradzić. Whit jest nieco obrażony, ale przejdzie mu.

Liza zmarszczyła brwi.

- Chwila ataku jest zbyt bliska, żeby ktoś z jakiegoś powodu się obrażał, nie sądzisz?

- Wszystko będzie dobrze, Lizo, nie martw się.

- Chcesz powiedzieć, że ty się nie martwisz?

- Zawsze się martwię, póki moi ludzie nie wrócą bezpiecznie do domu. Ale wszystko jest pod kontrolą, a plan starannie opracowaliśmy. Poza tym Regina wymyśliła coś nowego, co może się świetnie sprawdzić.

- Twój plan ma jedną wadę - zauważyła Liza.

- Nie istnieją plany idealne, a ten musieliśmy układać w pośpiechu.

- Oni nie są świadomi potencjalnego niebezpieczeństwa. Pamiętasz, że nie zgadzałam się z tobą.

- W przeciwnym razie nie moglibyśmy dopaść Kuczina.

- Zgoda, ale może być kłopot z tym bezpiecznym powrotem twoich ludzi.

- Zdaję sobie sprawę z ryzyka - odparł Mallory z lekkim oburzeniem.

- Ty tak, ale oni nie, a przynajmniej nie w pełni.

- To, co robimy, jest nieodłącznie związane z ryzykiem.

- Czasem się nad tym zastanawiam.

- Nad czym?

- My sobie tu siedzimy w przytulnym, starym domu na angielskiej wsi i planujemy różne rzeczy, a potem wysyłamy ich, żeby te plany wprowadzali w życie.

- Oni też uczestniczą w opracowywaniu planów.
- Dobranoc, profesorze.

Zostawiła Mallory'ego, który ze złością pyknął kilka razy z fajki, a potem wytrząsnął resztkę tytoniu, schował fajkę do kieszeni marynarki i siedział z ponurą miną w swoim starym skórzanym fotelu.

Whit utkwił wzrok w telefonie. Czasami nie rozumiał Mallory'ego. Nie, to nie tak. Prawie nigdy go nie rozumiał. W krytycznym momencie operacji profesor obarczył go dodatkowym zadaniem. Whita wcale to nie ucieszyło. Nie planował opiekowania się Billem Youngiem. Schował telefon do kieszeni i ruszył korytarzem.

- Daj mi klucz, Niles - powiedział do stojącego tam mężczyzny.

Niles Jansen zapukał do drzwi i zawołał:

- Odsuń się! - Następnie wyjął broń i wycelował ją w drzwi, które otwierał Whit.

Shaw tkwił pod ścianą naprzeciwko i wpatrywał się w stojącego w progu mężczyznę.

- Zamierzasz mnie wypuścić?
- Siadaj!

Shaw spojrzał na wycelowaną w niego broń, powoli podszedł do krzesła i usiadł. Whit zbliżył się do niego.

- Wiesz co, wyglądasz mi znajomo - odezwał się Shaw.
- Wyglądam jak wielu innych facetów.
- Co mogę dla ciebie zrobić?
- Możesz powiedzieć, co naprawdę robisz we Francji.
- Jestem na wakacjach. A co ty tu robisz?

Whit oparł się o ścianę.

- Lobbyista z Waszyngtonu, który potrafi wspinać się na mury i obezwładniać ludzi? Myślisz, że w to uwierzę?

Shaw przez dłuższą chwilę milczał.

- Jestem lobbyistą na emeryturze. I miałem wrócić do Stanów, do syna. Ale ty oczywiście wiesz lepiej.

- Wyglądasz zbyt młodo jak na emeryta.
- Zarobiłem swoje i postanowiłem odejść. Czy to przestępstwo? To dlatego rozbiliście mi głowę i trzymacie mnie w zamknięciu?

- Już mówiłem, ochłoń trochę, a wszystko będzie dobrze.
- Jasne. A co z Janie Collins?
- Z kim?

Shaw skrzyżował ręce na piersiach i wpatrywał się w mężczyznę naprzeciwko.

- Co planujecie?
- Nie wiem, o czym mówisz.
- Pracujecie razem.

Whit powoli pokręcił głową.

- Nadal nie wiem, o czym mówisz.

- Oczywiście, że wiesz. Mówiłem Janie, że jestem lobbystą na emeryturze. Przeskoczyłem przez mur i odebrałem jej broń. Nikt inny o tym nie wiedział.

- Nietrudno się tego dowiedzieć.
- Mylisz się. A zresztą dlaczego miałoby cię to interesować?
- Więc nie zamierzasz mi powiedzieć, co tu robisz?
- Ty pierwszy.
- W takim razie gnij tu dalej. - Whit odwrócił się do wyjścia.

Shaw się zawahał.

- Uważaj na Wallera, on nie jest tym, za kogo go bierzecie.

Whit powoli się obrócił.

- Co o nim wiesz?

- Najwyraźniej więcej niż ty. A tak przy okazji, przypomniałem sobie, gdzie cię widziałem. Na splotwie kajakowym. Śledziłeś nas. Chodzi wam o Wallera, tak?

- Nie wiem, o czym mówisz.
- To niebezpieczny facet.
- Naprawdę?

Shaw wiedział, że nie powinien tego robić, ale troska o Janie kazała mu zapomnieć o zachowaniu dyskrecji.

- Waller rządzi wielkim gangiem zajmującym się prostytutką. Porywa kobiety z Azji i Afryki i sprzedaje je na Zachód.

Ponieważ te rewelacje nie wzbudziły specjalnego zainteresowania Whita, dodał:

- Próbował też sprzedać uran fundamentalistom muzułmańskim, a kiedy nie doszli do porozumienia, zabił ich.

- Terrorystom?! - wykrzyknął Whit.

- Musieli go oszukać, więc im odpłacił. Waller to chodzące zło. Na dodatek wpadła mu w oko Janie, chociaż teraz jestem już pewny, że to nie jest jej prawdziwe imię. Cokolwiek planujecie, liczcie się z tym, że Waller może przejrzeć wasze zamiary. A ty lepiej martw się, czy Janie nie zniknie, zanim się do niego dobierzecie.

- Dlaczego mi to wszystko mówisz?

- Chyba wiesz dlaczego. Jeśli on dopadnie Janie, będzie po wszystkim.

Whit zatrzaskał za sobą drzwi i przekręcił klucz w zamku. Shaw słyszał, jak mężczyźni chwilę rozmawiają, a potem odchodzą od drzwi.

Usiadł na krześle. Jego pierwsze podejrzenia były zarazem słuszne i nie. Janie Collins nie była tą, za którą się podawała. Ale nie przyjechała tu, żeby przeszkodzić mu w wypełnieniu misji; najprawdopodobniej nawet o niej nie wiedziała. Mieli wobec niego jakieś podejrzenia, ale nie wiedzieli, po co się pojawił w Gordes. Działali w sposób nieskoordynowany. Pozostawało tylko jedno pytanie. Dlaczego ścigali Wallera i co zamierzali zrobić?

Omiotł wzrokiem cztery ściany swojego więzienia. Teraz bardziej niż kiedykolwiek musiał się stąd wydostać. Miał przeczucie, że ich plan nie był odpowiednio dobry i to Waller ich zabije, a nie oni jego.

51.

Reggie liczyła wymachy ramion, zawracała i płynęła w przeciwnym kierunku. Płynęła szybciej niż zwykle, a właściwie tak szybko, że pomyliła się w liczeniu i uderzyła głową w brzeg basenu. Wynurzyła się, rozmasowała głowę i rozejrzała się wokół. W willi Wallera panowały ciemności. Przyjrzała się murowi dzielącemu obie posiadłości, ale nie dostrzegła żadnego podglądacza. Chwilę pływała w miejscu, a następnie podpłynęła do drabinki i wyszła z wody. Wytarła się, wzięła telefon i skierowała się do

domu. Kiedy spojrzała na wyświetlacz telefonu, jej oddech gwałtownie przyspieszył. Dostała wiadomość. Było to tylko jedno słowo. TERAZ. To słowo oznaczało alarm najwyższego stopnia.

Weszła szybko do środka, skierowała się do sypialni i stamtąd zadzwoniła.

- Musimy się spotkać - powiedział Whit.
- Spotkać? Kiedy?
- Natychmiast.
- Jest pierwsza w nocy.
- Natychmiast, Reg.
- Coś się stało?
- Nowy problem. Musisz o tym wiedzieć.
- Jezu, Whit...
- Tam gdzie zwykle. - Rozłączył się.

Ubrała się i pogasiła wszystkie światła, jakby kładła się spać. Zeszła na niższy poziom domu, otworzyła tylne drzwi, upewniła się, że nikogo w pobliżu nie ma i pobiegła spowitą ciemnościami ścieżką.

Kilka minut później, sprawdzając starannie, czy nikt jej nie śledzi, dotarła na miejsce spotkania. O mało nie krzyknęła, gdy poczuła na ramieniu dłoń.

Z mroku wyłonił się Whit.

- O co, do cholery, chodzi? - zapytała Reggie, chwytając się za serce. - Mogą nabrać podejrzeń, jeśli zauważą, że wymykam się ukradkiem z domu.

- To było konieczne - odpowiedział, siadając na kamiennej ławce.
- No dobrze, to na pewno jest ważna sprawa, więc mów.
- Przyszły nowe rozkazy od profesora.
- Co takiego?
- Ujmę to inaczej. To ja dostałem nowe rozkazy i już je wykonałem.

Reggie patrzyła na niego ze zdumieniem.

- O czym ty mówisz?
- Profesor kazał usunąć z drogi twojego chłopaka.
- Mojego chłopaka?
- Bilia Younga.
- Co?! Chyba nie...
- Nic mu nie jest. Po prostu go zdjęliśmy. Teraz sobie wygodnie wy-

poczywa.

- Oszalałeś? Przecież on...

- To nie był mój pomysł. Profesor nie chciał, żebyś o tym wiedziała. Ale ponieważ to mi się nie spodobało, więc ci o tym mówię.

- Dlaczego Mallory kazał porwać Billa? Przecież on właśnie wyjeżdżał z Francji.

Whit sprawiał wrażenie dotkniętego.

- Nic o tym nie wiedziałem.

- Bo nie miałam okazji ci o tym powiedzieć.

- To pewnie i tak bez znaczenia. Profesor chciał go usunąć z drogi, a biorąc pod uwagę to, czego się właśnie dowiedziałem, chyba miał rację.

- Co masz na myśli? - wycedziła Reggie.

- Twój chłopak nie jest tym, za kogo się podaje. - Whit zrobił pauzę. - Myślę, że to gliniarz albo ktoś w tym rodzaju. Może pracuje w kontrwywiadzie albo w Interpolu.

Teraz Reggie usiadła obok Whita na ławce.

- Skąd takie przypuszczenie?

- Z tego, co powiedział.

Reggie uciekła spojrzeniem w bok.

- Nie wydajesz się specjalnie zdziwiona.

- Wiedziałam, że Bill zniknął z hotelu. Kiedy poszłam to sprawdzić, zobaczyłam kilku mężczyzn, którzy zabierają jego rzeczy. Recepcjonista powiedział mi później, że mieli broń.

- Dzięki, że mi to mówisz.

- Opowiedz mi wszystko od momentu, kiedy go złapaliście.

Whit zdał jej szczegółową relację. Zakończył ją słowami:

- Powiedział, żebyśmy byli ostrożni niezależnie od tego, co planujemy. Że Kuczyn kieruje międzynarodowym gangiem zajmującym się handlem kobietami. Porywa dziewczyny z Azji i Afryki i sprzedaje je na Zachodzie. Próbował też robić interesy z muzułmańskimi terrorystami, chciał sprzedać im materiały rozszczepialne.

- Zaczekaj chwilę. Czy on wie, że Waller naprawdę nazywa się Kuczyn?

- Nie sądzę. A przynajmniej nie użył tego nazwiska. W każdym razie

Young twierdzi, że Kuczina pozabijał muzułmanów. Podejrzał, że próbowali wyprowadzić go w pole czy coś w tym rodzaju. Dodał też, że Kuczina ma na ciebie oko, i martwi się, że znikniesz, zanim wykonamy jakiś ruch. Mówił jeszcze, że być może Kuczina domyśla się, choćby częściowo, co zamierzamy zrobić. - Whit przerwał i usiadł wygodniej. - Chyba nie doceniałem tego gościa. Wychodzi na to, że byliśmy po tej samej stronie, nie wiedząc o tym.

- Skoro Bill nie zna przeszłości Kuczina, dlaczego go ściga?
- Może chodzi o terrorizm albo handel kobietami.
- Billowi nic się nie stało?
- Jeśli nie liczyć niewielkiego guza na głowie, ma się dobrze. Prawdziwy z niego twardziel, ale o tym wiedzieliśmy już dawno.
- Dziękuję, że mi to wszystko powiedziałeś, Whit.
- Żadnych sekretów, taka była umowa, prawda? Ale to, co powiedział Young, podsunęło mi pewien pomysł.
- Słucham.
- Kuczina zabił tamtych terrorystów, a my możemy ten fakt wykorzystać.
- W jaki sposób?
- Zaraz ci wytłumaczę.

52.

Shaw z rozczarowaniem odsunął się od drzwi. Próba osiągnięcia zamka zasuwki w prawie całkowitych ciemnościach, przy użyciu kawałków wyciągniętych z rezerwuaru, mogła się zakończyć tylko rozczarowaniem, tłumaczył sobie. Dzień składa się z osiemdziesięciu sześciu tysięcy czterystu sekund. Po odliczeniu ponad stu tysięcy sekund wiedział tylko, że jest środek nocy albo środek dnia. Podszedł do drzwi i nasłuchiwał. Żadnych kroków, żadnego oddechu. Od wolności odgradzały go solidne drzwi. Jeśli spróbuje je sforsować siłą, będą na niego czekali z bronią gotową do strzału. Opadł na krzesło i zaczął szukać innego rozwiązania.

Jego motywacją do wydostania się na wolność uległa zmianie, ale nie-

wielkiej. Jeśli ci ludzie współpracowali z Janie Collins, oznaczało to, że nie jest osamotniona w polowaniu na Wallera. Jeśli Waller spróbuje jej zrobić coś złego, będzie miała wsparcie. Ale Shaw przeczuwał, że oni nie są policjantami. Facet, z którym rozmawiał, wydawał się zaskoczony informacjami o handlu kobietami i terrorystach. Jeśli zatem nic nie wiedzieli o nielegalnych interesach Wallera, dlaczego chcieli go dopaść? A jeśli nie są przedstawicielami władzy, to dlaczego jeszcze żyję? Rozsądniejszym rozwiązaniem byłaby kula w łeb i płytki grób gdzieś na pustkowiu.

Kompletnie zdezorientowany Shaw siedział na krześle i obracał w palcach dwa kawałki metalu. Dwa bezużyteczne kawałki wyciągnięte z rezerwuaru. Dobrze, że nie widział go teraz Frank. Spojrzał na toaletę i przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Rzucił okiem na drzwi, i jeszcze raz na toaletę, a potem na trzymane w dłoniach narzędzie i pomyślał, że to może się udać.

- Jak się pływało? - zapytał Waller. Było popołudnie następnego dnia i szli razem do Gordes.

- Odświeżyłam się. A jak się podglądało?

- *Pardon?* - Waller wydawał się zaskoczony.

- Wydawało mi się, że widzę, jak ktoś zagląda przez mur. Myślałam, że to ty, ale to pewnie któryś z twoich ludzi. - Zerknęła przez ramię na idących za nimi dwóch ochroniarzy.

- To nie byłem ja - odparł chłodno Waller - ani żaden z moich ludzi.

- W takim razie musiało mi się zdawać.

- Z pewnością.

Reggie sama nie wiedziała, dlaczego sprowokowała Wallera. A właściwie wiedziała. To było lepsze niż wydrapanie mu oczu. Handlarz żywym towarem. Terrorysta. Odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić, i zmusiła się do uśmiechu, kiedy dotarli do miasteczka.

- Jutro będzie targ. Jest naprawdę cudowny.

- Nie mogę się doczekać - odparł Waller.

Wracając po skończonych zakupach, przeszli obok kościoła.

- Byłeś w środku? - zapytała Reggie.

- Jeszcze nie. Pójdę na mszę w niedzielę.

- Ja już byłem. Jest uroczy. Chcesz zobaczyć?

Waller zerknął niepewnie na swoich ochroniarzy.

- Zgoda. Wejdźmy na pięć minut. Potem musimy coś zjeść. Jestem głodny. A jutro po odwiedzeniu targu chcę cię zabrać do Pont du Gard i pokazać ci akwedukt. Potem możemy tam zjeść obiad w pewnej naprawdę wspaniałej restauracji. A pojutrze jedziemy do Gigondes.

- Zdążyłeś wszystko zaplanować?

- Oczywiście. - Złagodził obcesowość swoich słów uśmiechem.

Skręcili w wąską uliczkę i otworzyli drzwi kościoła. W środku było zdecydowanie chłodniej. Zauważyli schody prowadzące na dzwonnice - najwyższą budowlę w miasteczku. Obaj ochroniarze, a jednym z nich był Pascal, czekali w kruście.

Kiedy podeszli do ołtarza, Reggie przyklękła i przeżegnała się; Waller poszedł w jej ślady. Pojawił się skądś ksiądz w starszym wieku. Zwrócił się do nich po francusku, a Reggie natychmiast mu odpowiedziała.

- Poprosił... - zwróciła się do Wallera.

- Tak, wiem. Znam francuski może nawet lepiej niż angielski. Kościół jest zamknięty, ale zostaniemy tu tylko kilka minut.

Reggie rozejrzała się dookoła.

- Wierni przychodzą tu od stuleci. To niezwykle.

- Obecność takiej potęgi dodaje sił - szepnął Waller.

- Potęgi dobra - dodała Reggie, patrząc na krzyż na ołtarzu.

- A jaka inna mogłaby być w kościele?

- Nie chodzę regularnie do kościoła.

- Pójdziemy razem w niedzielę.

- To niemożliwe, ponieważ w sobotę wyjeżdżam.

Waller sprawiał wrażenie zaszokowanego.

- A dokąd jedziesz?

- Wracam do domu, do Stanów.

- Mogłabyś zmienić plany?

- Dlaczego?

- Ponieważ cię o to proszę. Chcę spędzić z tobą tutaj więcej czasu.

- Ale kończy się okres wynajmu mojej willi.

- Zajmę się tym. Albo przedłużę wynajem, albo zatrzymasz się u mnie.

- Evan, nie wydaje mi się...

Uściskał jej ramię.

- Zajmę się tym.

Skrzywiła się, czując mocny uścisk.

Powoli rozluźnił palce.

- Oczarowałaś mnie. Przystając przy tobie racjonalnie myśleć. Powiniennem się mieć na baczności.

- Ja chyba też powinnam mieć się na baczności - powiedziała z wymuszonym uśmiechem.

- Musimy spędzać więcej czasu razem. Kiedy wrócę do Kanady, do Stanów nie będę miał daleko. Będziemy mogli się widywać.

- Ledwo mnie znasz.

- Potrafię szybko oceniać ludzi. Co więcej, potrafię ich przejrzeć na wylot. - Roześmiał się w taki sposób, że Reggie zaschło w gardle. Pamiętała jednak, że ma jeszcze coś do zrobienia. Właśnie dlatego przyprowadziła tu Wallera.

- Pora wracać. Mam do załatwienia kilka spraw - powiedziała.

Waller odwrócił się w stronę drzwi wyjściowych.

- Nie. - Zatrzymała go. Zrobiła figlarną, kokieterijną minę, którą przećwiczyła wcześniej przed lustrem. - Znalazłam skrót.

- Co takiego?

- Chodź. - Ruszyła w stronę schodów prowadzących na niższy poziom.

- Dokąd idziesz? - zapytał.

Odwróciła się.

- Już mówiłam, na skróty. - Obejrzała się na przyglądającego się jej uważnie Pascala. - On też może iść - powiedziała ze śmiechem. - Nie zastawiam na was pułapki, chodźcie.

Waller skinął na Pascala i ruszyli za nią. Reggie czekała na nich na dole. Poprowadziła ich w czeluści świętego miejsca. Spojrzała jeszcze raz na Pascala. Dłoń trzymał blisko broni. Minutę później popchnęła drzwi i wyszła na światło słoneczne. Wskazała ręką na lewo.

- Widzisz? To skrót na dół urwiska. Tunel został wykuty w litej skale. Nasze willę są tam, trochę niżej.

Waller wyglądał na zaskoczonego, ale był pod wrażeniem.

- Przechodziłem wcześniej obok tych drzwi i zastanawiałem się, do-

kąd prowadzą.

- Teraz już wiesz - powiedziała.

Teraz już wiesz.

53.

- **C**hcę się z nim zobaczyć - powiedziała Reggie.

- To nie jest dobry pomysł - odparł Whit.

Spotkali się ponownie przy księgarni Abbaye de Senanque.

- Nie obchodzi mnie, czy twoim zdaniem to dobry, czy zły pomysł.

Chcę, żebyś mnie do niego zaprowadził.

- Czy profesor wie...

- Nie jestem już do niego tak życzliwie nastawiona, więc zaprowadź mnie do Billa.

Kiedy rozległo się walenie do drzwi, Shaw siedział na krześle.

- Cofnij się od drzwi! - usłyszał.

Drzwi otworzyły się i zmrużył oczy. Po chwili zobaczył w progu ją.

- Przykro mi - odezwała się. - Nie wiedziałam, co się z tobą stało.

- W takim razie uwolnij mnie.

- Nie ma mowy, przyjacielu - wtrącił się Whit, wchodząc za Reggie do środka.

Shaw dostrzegł pod drzwiami jeszcze dwóch mężczyzn. Nie mieli w dłoniach broni, pewnie za sprawę Reggie. Choć przypuszczalnie trzymali ją za pazuchą.

- W takim razie powiedz mi, o co tu chodzi - zwrócił się do Reggie. - Może zdołam pomóc.

- Odpowiedź brzmi tak samo jak wcześniej - rzucił Whit.

Shaw posłał mu krótkie spojrzenie.

- Poinformowałaś ją, czym się zajmuje Waller?

- Tak - odezwała się Reggie. - I to, co powiedziałaś, rzeczywiście może nam pomóc.

- Co takiego?
- Nie mogę wyjawić.
- Dlaczego go ścigacie?
- Dlaczego ty go ścigałeś? - odpowiedziała pytaniem Reggie.

Shaw się nie odezwał.

- Chodzi o terroryzm? - drażyła.
- To zły człowiek. Trzeba go było zdjąć. Tylko tyle mogę powiedzieć.
- W takim razie dlaczego zamierzałeś wyjechać z miasteczka? - zapytała Reggie. - Dlaczego go nie zdjąłeś?

Shaw spojrzał na Whita.

- Kim jesteście? Interpol? Mosad? Może MI6? Co, przyjacielu?

Reggie chciała coś powiedzieć, ale przerwało jej głośnie chrząknięcie Whita.

- Nie zgadłeś - odparła w końcu. - No więc, dlaczego zamierzałeś wyjechać?

- Operacja została odwołana - wyjaśnił Shaw.
- Dlatego że zabił terrorystów? To nie znaczy, że nie spróbuje ponownie.
- Ja nie wydaję rozkazów, ja je wykonuję.
- Podobnie jak my - warknął Whit.
- Jak się domyśliłeś mojej roli w tym wszystkim? - zapytała Reggie.
- Tuż przed tym, jak rozwalili mi głowę, wszystko mi się w niej poukładało. Ostatnim brakującym elementem było poinformowanie człowieka Wallera, że wyjeżdżam i nie będę już stanowił konkurencji.

- Nie chciałam, żeby coś ci się stało.
- Kiedy zamierzacie to zrobić? - zapytał Shaw.
- No dobra, koniec widzenia - wtrącił się Whit.

Shaw zignorował go i wpatrywał się w Reggie.

- Dlaczego tu przyszedłeś?
- Żeby powiedzieć ci, że jest mi przykro.
- Posłuchaj, jeśli Waller osiągnie przewagę...

Przerwała mu.

- Bez wątpienia jest dobry. Ale my też. To nasza praca.
- To znaczy?
- Kiedy będzie po wszystkim, zostaniesz uwolniony - zapewniła go Re-

ggie. - Widziałam, jak kilku mężczyzn wychodzi z hotelu z twoimi rzeczami. Jeden z nich miał na głowie kapelusz i nie wyglądał na zadowolonego.

- Jestem pewny, że nie jest ze mnie zadowolony.

- Możemy się z nim skontaktować i przekazać mu, że jesteś cały i zdrowy. I że to nie twoja wina.

- Dam sobie radę. Ale pozwól, że zapytam. Co będzie, jeśli wam się nie uda i Waller was wszystkich zabije?

Whit uśmiechnął się znacząco.

- Wtedy będziesz musiał się stąd sam wydostać. Przecież to nic trudnego dla takiego twardziela, prawda?

Shaw nie ustępował.

- Powiedzcie, jaki macie plan, a ja postaram się uzupełnić braki.

Whit potrząsnął przecząco głową.

- A jeśli uciekniesz i nas wydasz? Nie ma mowy.

- Ale... - zaczęła Reggie.

- Nie, Reg - warknął Whit i skrzywił się, widząc, że popełnił błąd.

Shaw spojrzał na nią.

- Reg jak Reggie?

- Jeszcze raz dziękuję. - Wyciągnęła do niego dłoń. Whit chciał ją postrzymać, ale Shaw już uściśnął jej rękę. Czuł, jakby włożył palce do ognia. Spojrzał na nią i już wiedział, że zareagowała podobnie.

- Mam nadzieję, że dopadniecie sukinsyna! - zawołał, nim zamknęły się drzwi.

Ostatnie, co zobaczył, to jej oczy patrzące na niego.

Podbiegł do drzwi i nasłuchiwał. Jedno słowo usłyszał wyraźnie.

„Targ”.

Jęknął i uderzył pięścią w drzwi.

54.

- **E**van nie jest z tobą?

Reggie odwróciła się i ujrzała Alana Rice'a. Szedł główną ulicą Gordes i

dołączył do niej.

- Myślałem, że jego głównym celem jest zajęcie każdej minuty twojego czasu. A tymczasem widzę cię tutaj wolną i samotną.

- Widocznie miał teraz coś lepszego do roboty. Zresztą ja też miałam kilka spraw do załatwienia. A tu przyszedłam, żeby kupić parę rzeczy.

- Znajdziesz czas na filiżankę kawy? Słońce skryło się za chmurami i zrobiło się rześko. Proponuję pójść tam. - Wskazał ręką kawiarnię w bocznej uliczce obok muzeum Pol Para.

Usiedli w środku i złożyli zamówienie. Alan Rice milczał, póki na stole nie pojawiły się filiżanki.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że Evan się w tobie zadurzył?

- Lubię jego towarzystwo. To miły mężczyzna.

- Nie, panno Collins, on wcale nie jest miły.

- Słucham? - zareagowała zaskoczona Reggie. - Wydawało mi się, że pracujesz dla niego.

- Owszem, i dlatego znam go dobrze. Jest biznesmenem, który odnosi niesamowite sukcesy. Ale określenie „miły” zupełnie do niego nie pasuje.

- Dlaczego mi to mówisz?

- Bo chcę, żebyś wiedziała, w co się pakujesz.

- Nie wiedziałam, że się w cokolwiek pakuję.

- Zapewniam cię, że Evan ma na ten temat inne zdanie.

- Co twoim zdaniem powinnam zrobić?

- Wyjechać z Prowansji.

- Rzeczywiście planuję wyjechać w sobotę. A jeśli wyjadę, to sądzisz, że biznesmen odnoszący niesamowite sukcesy tak zwyczajnie sobie odpuszczy?

Rice wziął łyk kawy i zaczął obracać w palcach łyżeczkę.

- Być może.

- Wcześniej już zdarzały się takie rzeczy?

- Chodzi ci o inne kobiety? Owszem, zdarzały się.

- I co się dalej działo z tamtymi kobietami?

- Nie mam pojęcia.

- Twoje słowa nie brzmią zbyt przekonująco.

- Jak na ironię, bo mówię prawdę.

- Kogo właściwie próbujesz chronić? Mnie czy swojego szefa?
- Wydawało mi się, że to oczywiste. Chronię Evana. Ciebie prawie nie znam.

- Doceniam twoją szczerość. Więc chronisz go przed nim samym?
- Można to tak ująć.
- Tylko tak można to ująć.
- Więc wyjedziesz? Teraz? Nie czekaj do soboty.

Reggie wstała i położyła na stole kilka euro za kawę.

- Raczej nie.

Rice również się podniósł.

- Zaufaj mi, natychmiastowy wyjazd stąd będzie najrozsądniejszą rzeczą, jaką możesz zrobić.

- W tym cała trudność, Alanie, że trudno mi teraz komukolwiek zaufać.

Kilka minut później Alan Rice stał obok bieżni, na której jego szef ćwiczył. Waller wytarł rękami twarz, napił się wody z butelki i zwiększył nachylenie bieżni.

- Wyglądasz na zmartwionego, Alanie.
- Właśnie skończyłem rozmawiać z naszą przyjaciółką.
- Z naszą przyjaciółką?
- Z Jane Collins.

Waller zwolnił prędkość i zmniejszył kąt nachylenia.

- Dlaczego to zrobiłeś?
- Martwię się.
- Czym się martwisz? Przecież została sprawdzona, zgadza się?
- Oczywiście, sam widziałeś raport.
- W takim razie w czym tkwi problem?
- Widzę, jak na nią patrzysz.

Waller zwolnił do spokojnego marszu.

- Widzisz, jak na nią patrzę? - powtórzył zdziwiony.
- Nie złość się, Evan. Chodzi o to, że w przeszłości...

Chwilę później Alan leżał na podłodze, a z jego ust ciekła krew. Waller stał nad nim z rozciętą od uderzenia dłonią. Schylił się i postawił Rice'a na nogi.

- Przyłóż lód, zanim pojawi się opuchlizna - poradził łagodnym tonem.

- Ja tylko próbowałem cię chronić - wyjąkał Rice, rozmasowując szczękę.

- To byłoby godne pochwały pod warunkiem, że potrzebowałbym ochrony. Ale nie potrzebuję. - Waller patrzył ze złością na Alana. - Jesteś moim współnikiem. Jesteś moim podwładnym. Pamiętaj o swojej pozycji w szeregu. Nie jesteś i nigdy nie będziesz mi równy. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

- Rozumiem.

Waller objął go ramieniem.

- To dobrze. Nie mówmy już o tym.

Rice poszedł przyłożyć sobie lód, zostawiając Wallera smętnie wyglądającego przez okno. Waller nigdy nikomu nie pozwalał kwestionować swoich decyzji i swojej władzy. Rice próbował zrobić jedno i drugie. Gdyby w pokoju był ktoś, komu Waller mógłby wydać rozkaz, pewnie kazałby zabić swoją prawą rękę. Rice wykazał się niepokojąco dużą niezależnością.

Czy w jego słowach tkwiło ziarno prawdy? Czy Waller rzeczywiście wymagał ochrony przed sobą samym? Tak, zadurzył się w Jane Collins; wielu mężczyzn mogłoby się w niej zadurzyć. Jej bliskość sprzyjała temu zauroczeniu. Ale było to też coś więcej. Ta kobieta mu się opierała i stała się dla niego wyzwaniem. Była niezależna, szczerza do bólu, uparta i nie pozwalała sobą manipulować. Waller zrozumiał, że bardzo pragnie ją zdobyć.

I zdobędzie. Na pewno.

55.

Reggie wstała wcześniej i wskoczyła do basenu, nim nastał świt.

Zwykle tak robiła ostatniego dnia operacji. Na ogół zajmowała się czymś przyjemnym, jakby miał to być ostatni dzień jej życia. Czuła na skórze chłód wody, kiedy cięła taflę silnymi ramionami. Nie zamierzała

przejmować się, czy ktoś z sąsiedniej willi ją podgląda. Teraz nie miało to już żadnego znaczenia.

Po przepłynięciu kilku basenów wróciła do domu, weszła do łazienki i zdjęła kostium. W następnej chwili obróciła się gwałtownie i spojrzała w przeciwny kąt pomieszczenia.

Była pewna, że coś słyszała, że widziała jakiś cień... Ale niczego tam nie dostrzegła.

Zamknęła drzwi na klucz i weszła pod prysznic. Ciepła woda spływała po jej ciele, łagodząc drżenie. Reggie denerwowała się przed zakończeniem każdej operacji, kiedy wiedziała już, że ten, na którego wydano wyrok, dowie się, kim ona jest naprawdę.

Rozmyślała o Billu Youngu. Zdawała sobie sprawę, że nie powinna go odwiedzać. A jednak coś głęboko skrytego w sercu kazało jej to zrobić. To też nie miało już teraz znaczenia. Jutro nic nie będzie miało znaczenia. Ani to, co ona czuła, ani to, co czuł on. Nigdy więcej się nie zobaczą. Dostrzegła w lustrze swój wzrok, kiedy wspominała, jak między nimi zaiskrzyło, gdy ściskali sobie dłonie. Jak wtedy na nią patrzył. Jak trudno jej było zapanować nad sobą w jego obecności.

Dość, Reggie. Przestań wreszcie.

Wysuszyła włosy, włożyła spodnie, tenisówki i bluzkę bez rękawów i na nią luźną koszulę. Włosy osłoniła chustką. Buty były praktyczne, na wypadek gdyby musiała biec. Chustki można użyć jako garoty. Jeśli jednak będzie musiała uciec się do takiej metody, jej szanse na przeżycie drastycznie zmaleją. Przed oczami przesuwały się jej teraz sylwetki ofiar Fedira Kuczina.

To wszystko dla was, pomyślała.

Spojrzała przez okno na brukowaną uliczkę. Ludzie podążali nią w górę, na targ. Wyglądali na szczęśliwych, pełnych życia, podekscytowanych. Podobnie jak ona, choć trudno było uznać, że jest szczęśliwa. Przechodniów mijały z warkotem silników samochody osobowe i furgonetki. Wśród ciągnącego na targ tłumu dostrzegła najpierw Whita, a potem Doma, dźwigających wielkie worki marynarskie. Ani jeden, ani drugi nie spojrzał w jej okno. Po chwili zniknęli jej z oczu. Nowy pomysł Whita był świetny, musiała tylko we właściwy sposób wprowadzić go w życie.

Zamknęła okno, zeszła po schodach i zaparzyła sobie kawę. Niespiesznie zjadła jajecznicę i tosty. Oddychała równomiernie, starając się uspokoić nerwy. Musiała zrealizować plan bez popełniania niepotrzebnych błędów. Wcześniej spotkała się po raz ostatni z Whitem i Domem i omówiła wszystkie szczegóły. Sprzęt, który Dom kupił w Awinionie, działał bez zarzutu. Wszystko było gotowe.

„Zrobimy Kucziniowi niezłe przedstawienie” - powiedział wtedy Whit.

- Niezłe przedstawienie - powtórzyła teraz Reggie, myjąc filiżankę i naczynia i odkładając je do szafki.

Wyszła na taras i zapatrzyła się na wspinające się ku górze, rozświetlające niebo słońce. Grzbiety gór i znajdująca się poniżej dolina zaczęły ożywać, jakby wtłoczono w nie świeżą krew. Zdenerwowanie ustąpiło, oddech wrócił do normy, a wyraz twarzy stał się najpierw pełen determinacji, a później kamienny. Już czas.

Jeśli to miał być ostatni dzień jej życia, to przysięgła sobie, że niezależnie od wszystkiego, będzie to też ostatni dzień życia Fedira Kuczina.

Są w końcu rzeczy warte takiej ceny.

Tymczasem w Harrowsfield Miles Mallory rozmawiał przez telefon. Dzwoniono do niego z miejsca odległego zaledwie o parę kilometrów od Gordes. Nie był to ani Whit, ani Dom. Dzwonił Niles Jansen i mówił Mallory'emu rzeczy, których ten wolałby nie słyszeć.

- Zobaczyła cię z tym człowiekiem? - warknął Mallory do słuchawki. - On wie, że ścigamy Kuczina? - Jansen coś odpowiedział Mallory'emu, na co ten zawołał: - I pracuje dla jakiejś organizacji?! - Jansen znów coś powiedział. - Czekaj, aż oddzwonię - polecił Mallory. - Muszę to przemyśleć.

Odłożył słuchawkę i rozsiadł się w fotelu. Whit zachował się niewiarygodnie lekkomyślnie, mówiąc Reggie o porwaniu Billa Younga. Plan zakładał puszczenie go wolno po zakończeniu operacji, ale Mallory nie był pewny, czy rzeczywiście tak należy postąpić. Co będzie, jeśli to, co robią, stanie się publiczną tajemnicą? Bezwiednie sięgnął do kieszeni po fajkę, nabił ją tytoniem, a następnie rzucił nią w drugi koniec pokoju. Cybuch roztrzaskał się o gzyms kominka.

Oddzwonił do Jansena. Treść była zwięzła.

- Niezależnie od tego, czy operacja się uda, czy nie, on musi umrzeć.

Zrób to. - Odłożył słuchawkę, pochylił się i ukrył twarz w dłoniach.

- Miles? - Podniósł wzrok na Lizę. - Co się dzieje?

Potrząsnął głową, zaczął mówić, ale zaraz spuścił wzrok i wbił go w podłogę. Jego ręce zwisały bezwładnie, jakby przed chwilą dostał udaru.

- Miles?!

- Nie teraz, Lizo, proszę, nie teraz.

56.

Niles Jansen sprawdził magazynek w swoim Glocku 17. W dwóch rzędach mieściło się w nim dziewiętnaście nabożów. Jansen był w grupie wsparcia w trzech operacjach przeprowadzanych przez Whita i Reggie, ale nigdy dotąd nie kazano mu zrobić czegoś takiego. Był zdenerwowany, ale i zdecydowany. Wprowadził nabój do komory, a z kieszeni wyjął strzykawkę z nalepką przedstawiającą trupa czaszkę z puszczelami. Jansen był sam, więc należało zmusić więźnia, żeby przykuł się kajdankami do krzesła, a potem wstrzyknąć mu truciznę. Więzień, jak przypuszczał, będzie myślał, że to środek nasenny. To powinno być łatwe.

Tymczasem okazało się, że wcale takie nie jest.

Ruszył powoli korytarzem i nagle się zatrzymał. Nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Przez szpary w zamkniętych drzwiach lała się woda.

- Co się stało, do cholery?! - zawołał i podbiegł bliżej.

- Pękła rura w toalecie i wszystko tu w środku pływa. Wody mam po dupę! - krzyknął Shaw. - Gdzie jest zawór?

- Odsuń się od drzwi.

- Mam się odsunąć? Jestem przygnieciony do ściany. Zaraz się zawali cały budynek. Wołam o pomoc już od godziny.

Jansen dopadł drzwi i wyjął z kieszeni klucze. Zamierzał otworzyć drzwi i szybko odskoczyć w bok, kiedy woda zacznie się wylewać. A jednak nie wszystko poszło zgodnie z planem.

Pierwszą oznaką, że coś idzie nie tak, były wyrwane z zawiasów drzwi. Drugą, skrzydło drzwi, które wylądowało na Jansenie. Shaw rzucił ciężką

muszlą klozetową, utorował sobie drogę ku wolności, zabrał oszołomionemu mężczyźnie broń i postawił go na nogi. Na podłogę upadł jakiś przedmiot. Shaw schylił się i podniósł go. To była strzykawka. Spojrzał na Jansena.

- To było przeznaczone dla mnie?

Jansen nie odpowiedział. Shaw potrząsnął nim.

- Jeszcze chwila i wpakuję ci kulę w łeb. Czy to było dla mnie? - Przystawił lufę do czoła Jansena. - Mów.

- Wykonywałem tylko rozkazy - odpowiedział Jansen.

- Czyje? Jednego z tych facetów? A może kobiety?

- Nie. Oni nic nie wiedzą.

Shaw jednym szybkim uderzeniem, w którym skumulowała się cała jego złość, pozbawił Jansena przytomności. Schował strzykawkę do kieszeni, wrócił do celi, zakręcił wodę i ponownie wybiegł na korytarz. Woda wcale nie sięgała jego pośladków, ale było jej na tyle dużo, że wylewała się przez otwór w drzwiach.

Shaw zarzucił sobie Jansena na ramię i trzymał broń wyciągniętą przed siebie, na wypadek gdyby pojawił się kolejny przeciwnik. Kablem od lampy związał Jansena, zabrał jego telefon komórkowy i kluczyki od samochodu, otworzył kopniakiem drzwi zewnętrzne, przebiegł kilka kroków i wsiadł do stojącego pod domem dwudrzwiowego szarego hatchbacka.

Dziesięć sekund później jechał już drogą. Samochód był wyposażony w GPS i Shaw wklepał cel podróży.

Gordes.

Spojrzał na zegar na tablicy rozdzielczej. Prócz godziny była tam także data.

Dzień targowy.

Może jeszcze zdąży. Wcisnął pedał gazu i skręcił w główną drogę.

Na klawiaturze telefonu wystukał numer. Odebrał Frank. Kiedy usłyszał głos Shawa, zaczął się wydzierać.

- Zamknij się, Frank, i posłuchaj.

- To ty posłuchaj! Jak cię dopadnę, to...

- Zamierzają załatwić Wallera.

- Co? Kto? - zainteresował się Frank.

Shaw zdał Frankowi relację z tego, co się wydarzyło.

- Jestem pewny, że to stanie się dzisiaj. Potrzebuję wsparcia.
- Nie ma szans. Wszystkich stamtąd wycofaliśmy.
- Nie ma nikogo?
- Przez cały czas kryłem cię przed szefami. Oni myślą, że straciłeś głowę dla tej cizi. Są okropnie wkurzeni.
- Nie dam rady zrobić tego sam. Potrzebuję pomocy. Waller ma od cholery ochroniarzy.

Frank milczał.

- Halo! - zawołał Shaw. - Odezwij się!
- W okolicy jest tylko jedna osoba.
- Kto?
- Ja.
- Co ty tutaj robisz?
- Nie twoja sprawa, Shaw. Jestem i już.
- Dlaczego?
- Dlatego, że cię szukałem. Zadowolony? A teraz mów, co chcesz zrobić.

Zaczął szybko wtajemniczać Franka w swój plan. Kiedy skończył, Frank zapytał:

- Ufasz tej kobiecie?
- W takim samym stopniu jak każdej innej osobie.
- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

Shaw rozłączył się i wcisnął mocniej pedał gazu. Silnik zawył na maksymalnych obrotach, krajobrazy Prowansji zaczęły się szybciej przesuwać. Dotarł do zjazdu do Gordes, zobaczył przed sobą korek, wyskoczył z samochodu i pobiegł brukowaną ulicą do miasteczka. Przebiegając obok uliczki prowadzącej do dwóch willi, nie zauważył ochroniarzy, więc Wallera pewnie nie było w domu. Przyjrzał się tłumowi ludzi i kolumnie samochodów wypełnionych towarami na sprzedaż. Podeszedł do jednej z powoli jadących furgonetek z koszami ubrań i kapeluszy i za kilka euro kupił kolorowe poncho i płócienny kapelusz z szerokim rondem, tandetne okulary przeciwsłoneczne sprzedawca dorzucił mu gratis.

Wskoczył na tył furgonetki i dojechał do miasteczka. Zaczął krążyć w

tłumie ludzi, garbiąc się, by nie zwracać na siebie uwagi swoim wzrostem. Zaglądał w każdy zakamarek w poszukiwaniu Reggie, Wallera lub innej znajomej osoby. Poszukiwania okazały się owocne, kiedy mijając boczną uliczkę, zerknął w jej głąb. Ukrył się za rogiem, odczekał chwilę, a następnie wyjął telefon i zadzwonił do Franka, mówiąc mu, co ma robić.

Schował telefon i sprawdził odebraną Jansenowi broń. Nie można ruszyć do boju bez wykonania tak podstawowej czynności. Glock 17 został skonstruowany w latach osiemdziesiątych przez Gastona Glocka, Austriaka, który nigdy wcześniej nie zajmował się bronią, za to wiedział dużo o polimerach. Dzięki temu udało mu się zbudować, pierwszemu na świecie, plastikowy pistolet. Glock w przetargu na uzbrojenie austriackiej armii pokonał takie marki jak H&K, SIG Sauer, Beretta, Browning, a nawet ulubioną broń sił specjalnych, pierwszorzędnego steyra. Pistolet stał się bardzo popularny na całym świecie. W Ameryce nosi go w swoich kaburach siedmiu na dziesięciu gliniarzy. Mimo to, jak każda inna broń, glock też czasem zawodził. Shaw był zaskoczony, że nie zauważył tego wcześniej.

Lufa była uszkodzona. Musiało się to stać, kiedy ciężkie drzwi i muszla klozetowa uderzyły w plastikową obudowę. Całe szczęście, że nie próbował strzelać, gdyż pistolet mógłby mu eksplodować w dłoni. Z glocka można strzelać, nawet gdy jest zupełnie przemoczony, ale na pewno nie wtedy, gdy ma uszkodzoną lufę. Tak więc pozostał bez broni i bez żadnych widoków na zdobycie innej. Frank znajdował się trzydzieści minut drogi od niego, a nie było już czasu.

Nie pozostawało mu nic innego, jak radzić sobie bez broni.

57.

- **T**en targ cieszy się wyjątkową popularnością - zauważył Waller idący obok Reggie zatłoczonymi, wąskimi uliczkami Gordes. - Można się tu nabawić klaustrofobii. - Obejrzał się za siebie. Dwaj muskularni ochroniarze z trudem przeciskali się przez tłum sprzedawców i kupujących, starając się nie stracić z oczu szefa. Reggie trzymała w prawej ręce kosz na

zakupy i szła rażno przed siebie. Zdążyła już kupić kilka rzeczy, w tym sześć ręcznie haftowanych serwetek na stół od człowieka sprzedającego swoje towary wprost ze starego gruchota na zdartych oponach. Zaoferował jej dobrą cenę, a nawet wręczył bonus, który teraz spoczywał na dnie koszyka - beretę.

- Targ w soboty jest największy.
- Właśnie widzę. Może ponieść twój koszyk? - zaoferował się Waller.
- Nigdy nie proponuj tego kobiecie, która jest w szale zakupów - odparła Reggie, rozbawiając swojego towarzysza. Podniósł ręce.

- Skoro tak twierdzisz.
- Dziękuję.

Reggie spojrzała Wallerowi przez ramię i dostrzegła sygnał. Na dany znak rozklekotany samochód zaczął przeciskać się przez niechętnie ustępujący tłum ludzi. Reggie odliczała sekundy. Akcja musiała się rozpocząć w odpowiednim momencie.

- To dziwne - powiedziała, zatrzymując się przy straganie z sandałami.
- Co takiego? - zapytał Waller.

Wskazała na kogoś za jego plecami.

- Nigdy wcześniej nie widziałam tu żadnego muzułmanina.

Waller obejrzał się gwałtownie za siebie na ulicę, gdzie dwóch brodatych mężczyzn w wykrochmalonych galabijach i turbanach na głowie wysiadło z samochodu, który pojechał dalej.

- O Boże, czy to broń?! - wykrzyknęła Reggie.

Waller zerknął na swoich ochroniarzy, ale w tym samym momencie rozległa się seria głośnych strzałów i ulicę wypełnił gęsty dym. Ludzie zaczęli krzyczeć i biec na oślep, przewracając stragany, wpadając na siebie i potykając się. Waller nie widział ochroniarzy. Nie widział ich, ponieważ leżeli na ziemi z dziurami po kulach w tyle głowy. Jakaś młoda kobieta minęła ich z krzykiem, gubiąc zakupy wypadające z koszyka wprost na ulicę. Ze wsząd dochodziły krzyki i tupot nóg. Rozległy się kolejne dwa strzały i dym spowijający ulicę jeszcze bardziej zgęstniał.

Z jego obłoków wyłoniło się dwóch mężczyzn w turbanach. W dłoniach trzymali pistolety, a na twarzach mieli maski.

- Jasna cholera! - wykrzyknął Waller, widząc, jak się zbliżają.

- Znasz tych ludzi?
- Musimy stąd uciekać! Natychmiast!

Chwyliła go za rękę.

- Szybko! Znam drogę!

Pobiegli boczną uliczką odchodzącą od głównego placu. Uliczka kończyła się ślepo. Waller spojrział w górę i dojrzał dzwonnice kościoła.

- Stąd nie ma wyjścia! - zawołał z wściekłością.

- Jest, ale musimy wejść do kościoła. Wyjdziemy po drugiej stronie miasteczka. Pamiętasz, pokazywałam ci to przejście. To jedyna droga ucieczki.

To dlatego pokazała mu wcześniej przejście. Chciała go upewnić, że jest bezpieczne. To był ryzykowny krok, ale gdyby postąpiła inaczej, mógłby jej teraz nie posłuchać.

Żeby nadać ich ucieczce bardziej dramatyczny wymiar, kolejna kula ze świstem przeleciała nad ich głowami. Waller obejrzał się i zobaczył, że jeden z muzułmanów ruszył ich śladem.

- Boże, oni do nas strzelają! - krzyknęła Reggie.
- Biegnij! - popędzał ją Waller, ciągnąc za rękę. - Szybko, do kościoła.

Reggie popchnęła drzwi; Waller wbiegł za nią. Podsunął pod drzwi ciężką szafkę i ruszył w stronę ołtarza.

- Kim są ci ludzie? - wydyszała Reggie.
- Nie wiem. Ruszaj się!

Zbiegli schodami znajdującymi się przy ołtarzu. Przeszli przez kolejne drzwi. Waller zamknął je za nimi. Pokonali jeszcze kilka stopni w dół i znaleźli się w pogrążonym w mroku pomieszczeniu. Nadszedł krytyczny moment. Tunel prowadzący nad urwisko znajdował się na lewo. Reggie liczyła na to, że w tak dramatycznej sytuacji Waller nie będzie tego pamiętał. Ruszyła w prawo. Waller obejrzał się na schody i w tym momencie usłyszeli nad głowami hałas.

- Weszli do kościoła! - zawołał.
- Chodź, Evan. - Pociągnęła go w głąb korytarza.

Znaleźli się w pomieszczeniu, którego ściany, podłoga i sufit rozświetlał jaskrawy blask. Waller osłonił oczy, a kiedy ponownie spojrział na Reggie, dostrzegł, że w dłoni trzyma wycelowany w niego pistolet.

- Witaj w piekle, Kuczyn - powiedziała.

58.

Czyjeś silne ramiona chwyciły Kuczina, zaciągnęły go do krypty i związały. Kuczin rozejrzył się po pomieszczeniu. Otaczali go Whit, Dom i Reggie.

- Kim jesteście? - zapytał spokojnie.

- Czuję się nieco zawiedziony. Myślałem, że zrobimy na facecie większe wrażenie - rzucił Whit.

- Jesteśmy tymi, którzy wiedzą, kim naprawdę jesteś - odpowiedziała Reggie, patrząc Ukraińcowi prosto w oczy. Ton jej głosu i sposób zachowania wskazywał, że nie gra już roli naiwnej Amerykanki Janie Collins. Teraz była Reggie Campion, gotową zabić tego człowieka.

- Nazywasz się Fedir Kuczin - dodał Dominic - i jesteś rzeźnikiem z Ukrainy.

- Jest tu kilka twoich ofiar - uzupełniła Reggie.

- Przypatrz się im, zanim zrobimy z tobą to, co ty zrobiłeś z nimi. Zwykle jesteśmy spokojnymi, miłymi ludźmi, ale dla ciebie postaramy się być okrutni i źli.

Whit rozłożył szeroko ramiona. Kuczin spojrział na sufit i ściany rozświetlone przez lampę projektora. Żaden z obrazów Goi nie mógł się równać z okropieństwem wyświetlanych zdjęć. Ze ścian spoglądały na nich twarze martwych lub umierających mężczyzn, kobiet i dzieci. Na jednej ze ścian było zdjęcie masowego grobu, a w nim kości pochowanych w nim dzieci.

- Jedna potworność za drugą - rzekła Reggie. - Nie spiesz się. Chcemy, żebyś dobrze przypomniał sobie swoją przeszłość.

- Kim jesteście? - powtórzył pytanie Kuczin.

- Czy to ma znaczenie? - odparł Whit.

- Chcę wiedzieć, kogo mam w przyszłości zabić. W niedalekiej przyszłości.

- To się nie wydarzy - powiedział Whit.

- Jeszcze zobaczymy.

Reggie wskazała na ścianę ze zdjęciem przedstawiającym stertę ciał.

- Rzeź w Sewastopolu.

Następnie wskazała na kolejną fotografię, na której zza ogrodzenia z drutu kolczastego spozierały wymizerowane, bliskie śmierci twarze.

- Obóz w Obwodzie Iwano-Frankowskim w zachodniej Ukrainie.

Trzecie zdjęcie przedstawiało wychudzone twarze leżącej w błocie kobiety z dzieckiem.

- Kocury w Obwodzie Wołyńskim - podpowiedział Dominic. - Twój przyczynek do Wielkiego Głodu. Głodziłeś chłopów na wsi.

Kuczyn wpatrywał się w zmieniające się na suficie obrazy. Kiedy przeniósł wzrok na Reggie i jej towarzyszy, na jego twarzy nie było śladu wyrzutów sumienia.

- Nie musicie mi tego wszystkiego pokazywać. Pamiętam dobrze. - Uśmiechnął się. - Pamiętam każdy szkielet, co do jednego.

- Pieprzyć zdjęcia - warknął Whit. - Zróbmy to wreszcie i wrzucmy go tam. - Wskazał ręką kryptę z uchylonym wiekiem pod ścianą. - Tam spocznie twój szkielet, Fed. Mam nadzieję, że będzie ci się dobrze gniło w starym Gordes.

Fedir zignorował jego słowa i wpatrywał się cały czas w Reggie.

- Powinienem być ostrożniejszy. Nie należy ufać pięknej kobiecie, która odgrywa rolę trudnej do zdobycia.

- Patrz na te zdjęcia - odrzekła Reggie. - A jeśli jesteś rzeczywiście tak głęboko wierzący, jak twierdzisz, pogódź się z Bogiem.

- Jak będzie wyglądał ten śmiertelny cios? Kula, nóż? - Kuczyn przekrzywił głowę. - Udusisz mnie gołymi rękami? Ośmielisz się podejść do mnie tak blisko? Mógłbym poczuć zapach strachu. Nie, raczej będziesz się trzymała na dystans.

- Nie jesteś ani pierwszym, ani ostatnim potworem.

- Nie porównuj mnie z innymi. Jestem niepowtarzalny, jedyny w swoim rodzaju.

Whit rzucił okiem na otwartą kryptę.

- Cóż, nie będziesz leżał sam. Jest tam już trochę kości. Mam wyrzuty sumienia, że jakiś biedak będzie musiał znosić towarzystwo kogoś takiego jak ty.

Szczęk odbezpieczanej broni zmroził Whita. Wymruczał tylko pod no-

sem przekleństwo.

Reggie obróciła się powoli i ujrzała mężczyzn z bronią w rękach.

W dwóch z nich rozpoznała ochroniarzy Kuczina.

Na czole Reggie pojawiła się czerwona kropka. To Pascal wziął ją na cel.

- Rzućcie broń! Szybko!

Reggie pochyliła się i położyła swój pistolet na podłodze.

- Kopnij go.

Spełniła jego żądanie.

Z ukrycia wyłonił się Alan Rice. Patrzył na nią nieprzeniknionym wzrokiem.

- Rozwiąż go.

Chciała podejść do Kuczina, ale Whit ją zatrzymał.

- Nie. Ja to zrobię.

Zdjął więzy Kuczinowi. Ukrainiec podniósł się powoli, rozcierając nadgarstki i kostki. Kiedy już stał wyprostowany, skinął Whitowi głową i uderzył go pięścią w brzuch. Whit zgiął się wpół. Kopnięciem w głowę posłał Whita pod kryptę, gdzie jego krew zmieszała się z wiekowym kurzem. Dominic i Reggie rzucili się w stronę Whita, ale kula wystrzelona przez Pascala kazała im się zatrzymać.

Kuczin wyciągnął dłoń, na której Pascal położył zapasowy pistolet.

Podszedł do Reggie.

- Wiesz o mnie niepokojąco dużo. Na tyle dużo, żeby nasłać na mnie dwóch mużułmańskich terrorystów. Jak się domyślam, to była tylko przebieganka.

Reggie nie odezwała się słowem. Oddychała płytko, ale miarowo.

- Nie chcesz odpowiedzieć? - Kuczin wskazał zdjęcia na ścianie. - Przyciągnęłaś mnie tutaj podstępem, żeby mi to pokazać? A potem mnie zabić? I na dodatek nie masz ochoty się wytłumaczyć? - Kiedy ścisnął ją za gardło, z jego twarzy znikł dobrotliwy uśmiech. Reggie zagryzła wargi, ale nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Kuczin wzmocnił uścisk i Reggie poczuła, że zaczyna jej brakować tchu. W końcu złapała go za rękę i uciśnęła nerw, co sprawiło, że uścisk osłabł. Popchnął ją i Reggie z jękiem upadła do tyłu. Przytrzymując się ściany, wstała, nie spuszczając go z oka.

- Godne podziwu - powiedział. - Ale jeśli nie potrafisz znieść nawet takiej małej porcji bólu, to chyba nie nadajesz się do tej roboty. - Przeniósł wzrok na Dominica. - Wspomniałeś coś o potworach? Uważasz, że jestem potworem? Drugim wcieleniem Wielkiego Głodu? Podoba mi się to określenie.

Przyłożył lufę do czoła Dominika i pociągnął za spust. Reggie krzyknęła, a Dominic drgnął i po chwili otworzył oczy. Nie miał dziury w czole. Jego głowa pozostała nienaruszona. Żadnej krwi. Żadnej śmierci. Był oszłamiony.

Kuczin wyglądał na wściekłego.

- Nigdy nie dawaj mi do ręki pistoletu bez naboju w komorze, Pascal.

Kuczin przeładował broń i zamierzał powtórzyć strzał, ale przeliczył się.

Jakiś ledwie zauważalny ruch po prawej stronie kazał Kuczinowi spojrzeć w bok, dając Dominicowi szansę na przeżycie. Shaw wyskoczył z ukrycia z wysuniętymi w przód łokciami. Uderzenie twardych kości w miękką tkankę twarzy odrzuciło jednego z ochroniarzy na ścianę, po której osunął się nieprzytomny na ziemię. Wykorzystując element zaskoczenia, Shaw złapał za gardło Pascala z taką siłą, że drobny mężczyzna sflaczał i zaczął charczeć, a jego pistolet upadł z trzaskiem na posadzkę. Charczenie ustało, kiedy po kopniaku nogą w tył głowy Pascal uderzył czołem w ścianę z kamienia i padł na ziemię.

Alan Rice popełnił błąd, koncentrując uwagę na skutkach ataku, a nie na jego źródle. Krzyknął i strzelił o kilka sekund za późno; wystrzelony na ślepo pocisk minął o centymetry głowę Kuczina i roztrzaskał kość przedramienia Dominica, który jęknął i upadł na podłogę.

Whit poderwał się i trafił Kuczina w okolice mostka, przewracając go i wytrącając mu pistolet z ręki.

Shaw rzucił się na Rice'a, obrócił go i popchnął na kryptę. Nieprzytomny, z zakrwawionym nosem Rice osunął się na ziemię.

Kiedy wszyscy szukali broni lub kryjówki w migocącym blasku wyświetlanych na ścianach zdjęć, Kuczin podniósł się z ziemi. Żywe postacie poruszające się na tle nieruchomych obrazów sprawiały wrażenie jakiegoś perwersyjnego spektaklu. Reggie rzuciła się po pistolet, ale Kuczin kopnął ją w twarz, rozcinając czubkiem buta policzek.

Kiedy Whit rzucił się na Kuczina po raz drugi, ten był już przygotowany. Odskoczył w bok i korzystając z metody Shawa, trafił kościstym łokciem w twarz Whita.

Kuczin podniósł berettę Reggie, odwrócił się, wymierzył i trafiłby kobietę prosto w głowę, gdyby nie celnie wyprowadzony cios Shawa, który posłał ważącego sto dwadzieścia kilogramów Ukraińca na posadzkę. Powalony Kuczin wypluł wybity ząb i zamierzał się podnieść, ale wciąż był oszołomiony. Chciał coś powiedzieć, ale rozbite usta, podobnie jak mózg, odmawiały posłuszeństwa. Umysł nie radził sobie z jednoczesnym odbieraniem bodźców bólowych i formułowaniem myśli.

Shaw wetknął jeden pistolet za pasek, drugi podniósł z ziemi i wręczył go trzymającemu się za twarz Whitowi. Pochylił się, chwycił Reggie za rękę i postawił ją na nogi. Drugą ręką pomógł wstać Dominicowi.

- Musimy stąd wiać!
- Przecież mamy przewagę - zaprotestował Whit.
- Nie mamy - warknął Shaw. - On ma więcej ludzi. Pewnie już są w drodze.
- Tędy! - zawołała Reggie. Poprowadziła ich z powrotem do miejsca, skąd przyszli, i skręciła w tunel prowadzący do willi.

Kiedy znikali za rogiem, po schodach zbiegło trzech uzbrojonych mężczyzn. Zobaczyli uciekających i otworzyli ogień. Senne miasteczko nie przeżyło chyba takiej fali agresji od czasów, gdy przed dwoma tysiącami lat panowali tu Rzymianie.

Kuczin, zapominając o bólu, podniósł się z ziemi i wrzasnął:

- Załatwcie ich, ale nie zabijajcie kobiety!

Shaw odwrócił się i zaczął strzelać do napastników. Kiedy pociski zaczęły się odbijać od ścian, ludzie Kuczina się skryli. Whit wyciągnął z kieszeni wąski pojemnik, pociągnął za zawleczkę i wrzucił go do pomieszczenia. Od napastników oddzieliła ich gęsta ściana dymu.

Pobiegli korytarzem w stronę wyjścia. Ścigał ich grad bezładnie wystrzeliwanych pełnopłaszczowych pocisków.

Jak przystało na takie miejsce jak kościół, biegnąc, szepotali modlitwę.

59.

- **T**ędy! - zawołał Whit. - Tam jest drugie wyjście.

- To, które prowadzi do willi? - zapytał Shaw.

Reggie obrzuciła go szybkim spojrzeniem.

- Skąd wiesz?

- Zrobiłem rozpoznanie. Ale te drzwi wychodzą na ulicę.

- Kuczyn o tym wie - wyjaśniła Reggie. - Musiałam mu pokazać wcześniej przejście, żeby bez oporów wszedł dzisiaj ze mną do kościoła. Tyle że zaprowadziłam go do katakumb.

- To źle, i to z dwóch powodów. - Spojrzał na Dominika, który zgięty wpół ścisnął ranne ramię. - Dasz radę?

Reggie zdjęła z głowy chustkę i owinęła nią ranę.

- Dam - odpowiedział Dominic, krzywiąc się z bólu.

- Co dalej? - Whit wpatrywał się w Shawa. - Nie możemy wrócić, bo nas zastrzela, a mają na pewno więcej amunicji niż my.

- Tędy. - Shaw wskazał na lewo.

Whit złapał go za ramię.

- Tam nic nie ma. Sprawdziłem.

- Na samym końcu korytarza są zamaskowane drzwi. Dalej wykuty w skale tunel prowadzi do starego fortu.

- Skąd to wiesz? - zapytał Whit.

- Warto znać historię.

- Co takiego?

- Księża często musieli ratować życie ucieczką. Tak jak my. Chodźcie!

Dotarli do końca korytarza. Shaw wyciągnął z dolnej części ściany jeden kamień i pojawił się niewielki otwór. Wsunął w niego rękę, pociągnął i drzwi otworzyły się ze skrzypieniem zawiasów. Wbiegli do środka i Shaw z powrotem je zatrzasnął.

Prowadząc ich mrocznym, zatęchłym korytarzem, wysłał wiadomość z telefonu. Przeszli przez kolejne drzwi i dotarli do sali rozświetlonej promieniami słońca wpadającymi przez szpary w kamieniach wysoko nad ich

głowami. Znajdowali się w starym forcie. Podszedł do następnych drzwi, otworzył je i wyszli na dziedziniec. Przed nimi z piskiem opon zatrzymał się samochód. Whit wycelował pistolet w kierowcę.

- On jest ze mną - wyjaśnił Shaw, kładąc rękę na ramieniu Whita.

Frank opuścił szybę w drzwiach pasażera i powiedział:

- W mieście panuje chaos.

Shaw i Reggie pomogli Dominicowi usadowić się z tyłu i usiedli obok niego. Whit zajął miejsce z przodu. Frank wcisnął pedał gazu i samochód ruszył, pozostawiając czarny ślad na kostce brukowej.

- No, Shaw, a teraz mów - odezwał się Frank, manewrując w wąskich uliczkach i kierując się w stronę willi.

- Nazywasz się Shaw? - zapytała Reggie, patrząc mu w oczy.

Spojrzał w lusterko wsteczne, w którym zobaczył przypatrującego mu się Franka.

- Dorwali Wallera, ale jego ludzie zastawili na nich pułapkę. Pojawiłem się na miejscu i pomogłem im.

- Pomogłeś?! - wykrzyknął Whit. - Gdyby nie ty, wszyscy bylibyśmy martwi.

- Nadal nam to grozi - zauważył Frank.

Ledwie wypowiedział te słowa, w drzwiach tunelu prowadzącego z katakumb na ulicę pojawił się jeden z ludzi Wallera. To było to samo przejście, którym Reggie i Kuczynski skrócili sobie za pierwszym razem drogę do domu. Ochroniarz zauważył ich i strzelił. Kiedy przednia szyba rozleciała się w drobny mak, wszyscy pochylili głowy. Rozległ się huk; po zderzeniu z maską samochodu mężczyzna poszybował w górę, a potem runął na ziemię. Frank obejrzał się za siebie.

- Shaw?

- Tak?

- Możesz poprowadzić?

- Dlaczego?

- Bo ten sukinyś mnie trafił.

Shaw zobaczył krew sączącą się z marynarki Franka, przesunął go na bok, przeszedł przed oparcie fotela i chwycił kierownicę. Wcisnął pedał gazu, a potem spojrzał na opartego o Whita Franka.

- Bardzo źle?

Frank szarpał się chwilę z koszulą i obejrzał ranę.

- Ominęła wnętrzności. Chyba przeszła na wylot, trudno powiedzieć.

Whit pomacał oparcie fotela.

- Zgadza się. Mam kulkę.

- Trzymaj się, Frank, i mów mi, dokąd mam jechać - powiedział Shaw.

- Prywatne lotnisko sześćdziesiąt kilometrów stąd na południe. Samolot czeka. - Przekazał dokładne wskazówki, a potem umilkł. Z trudem odychał, miał poszarzałą twarz.

Reggie razem z Whitem zdjęli mu marynarkę, rozdarli koszulę i dokładnie obejrzel ranę.

- Poszukaj w schowku apteczki - zwróciła się Reggie do Whita.

Apteczki nie było, ale Whit znalazł pudełko sterylnych chusteczek. Reggie oczyściła nimi ranę, podarła jego koszulę na paski i użyła jako bandaża.

- Nic więcej nie mogę teraz dla niego zrobić. Musi go obejrzeć lekarz.

- W samolocie czeka lekarz - wymamrotał Frank. Shaw zerknął na niego. Frank się w niego wpatrywał. - Znając ciebie, pomyślałem, że to dobry pomysł. - Shaw podał antyseptyczne chusteczki Reggie. - Przetrzyj twarz. Waller porządnie ci przyłożył czubkiem buta.

Wytarła twarz i zajęła się zranionym ramieniem Dominica.

Na dźwięk syreny wszyscy jak jeden mąż obrócili głowy.

- Gliniarze za nami - zameldował Whit, spoglądając w boczne lustro.

- Jasna cholera. Przecież nie możemy się zatrzymać i wszystkiego im wyjaśnić - powiedział Shaw i przycisnął mocniej gaz.

Po ośmiu kilometrach dźwięk syreny wozu policyjnego oddalił się i zniknął.

- Jesteś całkiem dobrym kierowcą - pochwalił Whit.

- Dziękujemy Bogu, że nie mieli wsparcia i nie ustawili blokady na drodze. Byłbym wtedy całkiem dobrym więźniem.

Dotarli w końcu na lotnisko. Obok samolotu stał połyskujący czarny range rover. Lekarz na pokładzie samolotu oczyścił ranę Franka, a następnie nastawił kość Dominica i unieruchomił jego ramię dwoma kawałkami

drewna i mnóstwem bandaży.

- Trzeba będzie założyć gips - stwierdził doktor. - Nie mam tutaj potrzebnych materiałów.

Shaw pomógł Reggie opatrzyć twarz, a wszystkiemu temu przyglądał się Whit siedzący w kącie luksusowo urządzonej kabiny. Podszedł do nich jeden z pilotów.

- Jesteśmy gotowi do startu, dajcie tylko znać - powiedział do Franka, który powoli podniósł się, rozcierając ramię w miejscu, gdzie lekarz wbił igłę strzykawki ze środkiem przeciwbólowym.

- Tak tego nie zostawimy.

Wszyscy obejrzeni się na stojącego z bronią w ręku Whita.

- Wy dwaj możecie lecieć - powiedział, wskazując Shawa i Franka. - A nasza trójka zabierze ten śliczny wóz i wróci do Gordes.

- To nie jest dobry pomysł - powiedział Shaw.

- Naszym zdaniem jest - odparł Whit. - Nie wiem, kim jesteście, i nie chcę wiedzieć. Dzięki za pomoc, ale teraz wy pójdziecie swoją drogą, a my swoją. Bez urazy.

- Nie pozwolę wam na to. - Frank próbował wstać, ale Shaw powstrzymał go, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Spróbuj.

- Będziecie musieli wziąć zakładnika - odezwał się Shaw. - Bez tego nie macie szans w starciu z tym facetem. - Shaw wskazał na Franka. - On ma większe wpływy, niż potraficie sobie wyobrazić. A z drugiej strony nie chce mnie stracić. Macie kartę przetargową.

Whit przyjął te słowa ze sceptycyzmem.

- Więc chcesz, żebyśmy cię wzięli na zakładnika? Tego jeszcze nie grali.

- W takim razie nie macie szans - warknął Shaw.

- Spieprzaj! - Whit wbił palec w pierś Shawa.

Reggie stanęła pomiędzy Whitem a Shawem,

- On ma rację, Whit.

- Nie zabiorę twojego kochasia na przejażdżkę tylko dlatego, że ty...

Shaw odsunął Reggie na bok i zrobił krok w kierunku Whita.

- Nie zrobiłeś nawet porządnego rozpoznania na miejscu. Dałeś się

wciągnąć w pułapkę i gdyby nie ja, już byś nie żył. Sam to przyznałeś. Musimy jakoś opuścić Francję. Jeśli nie samolotem, to w inny sposób. Ja wiem, jak to zrobić, bo robiłem to setki razy. A ty?

Whit spojrział z zakłopotaniem na Reggie.

- On ma rację, Whit - odezwał się Dominic. - Nie jesteśmy na to przygotowani.

Whit przez chwilę gotował się ze złości.

- Zgoda, ale jak tylko spróbujesz...

- Jasne. - Shaw ominął Whita i ruszył w stronę drzwi wyjściowych.

- Shaw! - zawołał Frank. - Nie możesz tego zrobić. Nie wiesz nawet, co to za ludzie.

- Będziemy w kontakcie, Frank. Mam nadzieję, że szybko wydobrzejesz.

Pozostali wysiedli za nim z samolotu.

Kiedy już usadowili się w samochodzie, Whit zwrócił się do Shawa:

- A jak ci się właściwie udało uciec?

- Z pomocą rezerwuaru, odrobiny wody i wysiłku. Możesz zadzwonić, żeby ktoś rozwiązał twojego kumpla, kiedy już dojdzie do siebie.

- Jasna cholera - powiedział z podziwem Whit.

60.

Willa Fedira Kuczina była pusta. Na zewnątrz nie stał ani jeden samochód, okna były zamknięte, z podwórka na tyłach nie dochodził zapach cygar. Poturbowani mężczyźni spakowali walizki i odjechali. Po krótkiej rozmowie telefonicznej prywatny samolot zabrał Wallera, ale nie ze zwykłego lotniska w Awinionie, tylko z lądowiska dla biznesmenów. Oglądał teraz krajobrazy Francji z wysokości sześciu tysięcy metrów z okna samolotu, który wzbijał się w przestworza, aby osiągnąć właściwy pułap.

Obok niego siedział Alan Rice z pojemnikiem lodu przyłożonym do twarzy i drugim do prawego kolana. Pascal i dwóch pozostałych ochroniarzy znokautowanych przez fałszywych muzułmanów też leczyło rany.

Mężczyzna potrącony przez samochód miał złamaną nogę. Wargi i szczęka Kuczina paskudnie spuchły po ciosie Shawa, a w dziąsłach pozostały dwa puste miejsca. Nie pomógł nawet środek przeciwbólowy.

Siedział cicho i patrzył na szybko znikającą francuską ziemię.

Oni są gdzieś tam w dole. I wiedzą, kim naprawdę jestem.

Rzucił okiem na Rice'a.

- W całym tym zamieszaniu nie zdążyłeś mi wytłumaczyć, w jaki sposób przyszedłeś mi na ratunek - odezwał się z trudem opuchniętymi wargami.

Rice ostrożnie odsunął od twarzy łód i spojrzał na szefa.

- Pewnej nocy poszedłem za tą kobietą do kościoła.

- Po co?

- Ponieważ jej nie ufałem - odparł wprost. - Postanowiłem ją sprawdzić.

- Sprawdzić?

- Kiedy udawałem, że ją ostrzegam. Nakłamałem jej, że w przeszłości często zadurzałeś się w innych kobietach. Chciałem się przekonać, czy postąpi racjonalnie i zostawi cię w spokoju. Nie zrobiła tego. To plus jej nocna eskapada do kościoła sprawiło, że stałem się jeszcze bardziej podejrzliwy. Nie podobało mi się także, jak napuszcza na ciebie tamtego drugiego faceta.

- Więc ją śledziłeś? Ale jak to się stało, że czekałeś na nas w katakumbach?

- Widziałem, z kim się spotkała tamtej nocy. Jego też kazałem śledzić.

- Zrobiłeś to wszystko, nie mówiąc mi ani słowa?

- Musiałem mieć pewność. Wolałem, żeby wszystko to nie okazało się pomyłką. Jestem rozsądny, to znaczy, czuję przed tobą respekt.

Kuczina rozparł się wygodnie w skórzanym fotelu.

- I co było potem?

- Potem zobaczyliśmy, jak wchodzi do kościoła i kierują się w stronę katakumb. Kiedy na chwilę z nich wyszli, my wślizgnęliśmy się do środka i zajęliśmy pozycje. Bałem się, ponieważ oni byli uzbrojeni, a ja nigdy w życiu nie strzelałem. Najlepszy dowód to mój dzisiejszy niecelny strzał.

- Uratowałeś mi życie.

- Cieszę się, że mogłem to dla ciebie zrobić. Gdybym wiedział, co się święci, nigdy nie pozwoliłbym ci pójść z nią na targ. Kiedy zdałem sobie sprawę, co się dzieje, było już za późno. Oni okazali się przebiegli. Myślałem, że dwóch ochroniarzy wystarczy, ale jak widać, myliłem się.

- W takim razie niepotrzebnie cię wcześniej uderzyłem.
- Miałaś prawo. Wyglądało to tak, jakbym posunął się za daleko.
- Bardzo mnie to zaskoczyło.
- Nie wątpię. A ja chciałem cię tylko chronić.

Kuczyn odwrócił się i zapałrzył w chmury za oknem.

- Przepraszam cię, Alan. Źle cię oceniłem. Wcześniej uratowałem ci życie, więc jesteśmy kwita.

- Dziękuję Bogu, wszystko się dobrze skończyło.
- Skończyło? Nie. To jeszcze nie koniec.
- Zamierzasz ich dopaść?
- Miałaś jakieś wątpliwości?
- Nie, skądże - nerwowo zaprzeczył Rice.

- A tamten dryblas? Dlaczego mam wrażenie, że nie jest jednym z nich?

- Przecież tam był.
- Podejrzewam, że on śledził ciebie, kiedy szedłeś do kościoła.
- Mnie?

Kuczyn przeciągnął palcem po posiniaczonej szczęce. Mówienie sprawiało mu ból, ale teraz myśli miał zajęte czymś innym.

- Słyszałeś, jak się do mnie zwracali?
- Chodzi ci o nazwisko?
- Fedir Kuczyn.

- Tak, słyszałem. - Rice przyłożył sobie ponownie lód do twarzy i starał się oddychać normalnie.

- Wiesz, kim jest Fedir Kuczyn?
- Nie, nie wiem.

Kuczyn był jednocześnie zadowolony i rozczarowany. Pochylił się i wyjął coś z walizki. Była to plastikowa torba. A w niej pistolet.

- To pistolet tej kobiety. Zostawiła go w kościele. Chcę sprawdzić odciski palców, chociaż to pewnie nic nie da. Kiedy go podnosiłem, chyba je

przypadkowo startem. Ale to stosunkowo nowy model, więc możemy sprawdzić numery seryjne na zamku i lufie.

- Pewnie je usunęli. Wystarczy wytrawić numery kwasem albo je zeszlifować.

- Wiesz na temat broni więcej, niż dajesz po sobie poznać, Alan. Tak, to prawda, ale jest jeszcze coś takiego jak mikroznakowanie. Wypala się laserowo mikroskopijne cyfry na zamku, iglicy i w jeszcze kilku miejscach. Tych znaków nie da się tak łatwo usunąć. Jeśli dowiemy się, skąd pochodzi pistolet, być może trafimy do tej kobiety.

- Widzę, że naprawdę chcesz ją dopaść.

- Sprawdzenie jej było zbyt powierzchowne. Chcę, żebyś znalazł na jej temat absolutnie wszystko i dowiedział się, kim jest.

Kuczyn przestał pocierać szczękę i wyjął znaleziony w katakumbach laptop, na którym zostały zapisane wyświetlane tam fotografie. Włączył go i wcisnął kilka klawiszy. Chwilę później oglądał fotograficzną dokumentację swojej roboty na Ukrainie. Obrócił głowę i zobaczył, że Rice zagląda mu przez ramię. Rice szybko odwrócił wzrok. Kuczyn odłożył komputer, wyciągnął z torby notatnik i otworzył go. Na jednej ze stron znajdował się rozpoczęty szkic. Wziął do ręki węgiel i zaczął rysować.

Na papierze zaczęła się pojawiać twarz Janie Collins.

61.

- **P**o pierwsze, dokąd chcecie jechać?

Shaw prowadził samochód, a obok niego siedział Whit. Z tyłu była Reggie i Dominic. Dominic przysnął po środkach przeciwbólowych, jakie zaaplikował mu lekarz.

Reggie i Whit spojrzeli na siebie.

- To istotne pytanie - kontynuował Shaw, stukając palcami w kierownicę. - Będę wiedział, w którą stronę skręcić.

- Na północ - odpowiedziała Reggie.

- Na północ? - powtórzył Shaw. - Do Paryża? Normandii? Calais?

- Dalej na północ.

Shaw spojrział na Whita.

- Kanał La Manche? Morze Północne? Mieszkacie na statku?
- Bardzo zabawne.
- Chcecie powiedzieć, że jesteście Brytyjczykami? - zapytał i dodał z sarkazmem: - Jasny gwint.

- Ja jestem Irlandczykiem, nie Angolem - zaprotestował Whit. - Ale daruję ci. Tylko ten jeden raz. Masz pomysł, jak przepłynąć kanał? Może ten wóz to amfibia?

- Macie paszporty?

Whit wskazał ręką za siebie.

- Zostały tam. Ale możemy wykonać telefon i nam je dostarczą. Właściwie nie wiem, dlaczego miałbyś nam się przydać.

- Ponieważ wiem, co robię. Nie lekceważę francuskiej policji.

Whit pokiwał powoli głową.

- Ja nikogo nie lekceważę, a już na pewno nie ciebie.

- Zadzwoń. Powiedz, że spotkamy się w Reims za cztery godziny.

Kiedy będziemy bliżej, zadzwonimy i ustalimy dokładnie miejsce.

- Znasz Francję?
- Nawet nieźle mówię po francusku.
- To ci zuch!

Whit umówił się z jednym z ludzi, którzy mieli ich fałszywe dokumenty potrzebne do opuszczenia kraju.

- Załatwione. Co dalej?
- Siedź i odpręż się.

Whit nie wypuszczał z rąk broni.

- A po Reims? Lotnisko jest zbyt ryzykowne, pozostaje więc pociąg i tunel pod kanałem la Manche. Dlatego potrzebne nam paszporty. Jeśli to nie wypali, skierujemy się na wschód i przepłyniemy kanał statkiem. Z Belgii albo Amsterdamu.

- Na Gare du Nord dokładnie sprawdzają dokumenty - zauważyła Reggie.

- Wiem, ale kontrola na lotnisku jest znacznie dokładniejsza. Poza tym z lotniska jest dużo mniej dróg ucieczki, gdyby coś poszło nie tak. I więk-

szość jest dobrze pilnowana przez uzbrojonych facetów w mundurach.

- Okay, w takim razie pociąg. A co dalej?
- Zobaczymy, jak się rozwinie sytuacja.
- Dla kogo pracujesz? - zapytała Reggie, wychylając się z tylnego siedzenia.

dzenia.

- Dla Franka, tego, który został w samolocie. Tyle powinno ci wystarczyć.
- Jesteście glinami - stwierdził Whit.
- Nie określiłbym tego w ten sposób.
- Szpiegami?
- Bez komentarza.
- Co pozostało?
- Ja.

Whit uśmiechnął się promiennie i spojrzał na Reggie.

- Ten facet coraz bardziej mi się podoba, Reg. Naprawdę. Shaw - jednoosobowa armia. Kiedy dotrzemy bezpiecznie do Anglii, ty pójdziesz swoją drogą, a my swoją.

- A kto was obroni przed, jak mu tam, Kuczinem?
- Chyba nie wiesz, kim jest Kuczin - odezwała się Reggie.
- A powinienem?
- Był taki człowiek, nazywał się Mykoła Szewczenko. Służył w KGB.

Jest znany jako rzeźnik Kijowa. Kuczin był jego asystentem i to właśnie on w bestialski sposób zamordował setki tysięcy niewinnych ludzi. Szewczenko został rozstrzelany po upadku muru berlińskiego, ale Kuczinowi udało się uciec.

- Historia zawsze wspomina o tych na górze, a nie o tych, którzy pociągali za spust - zauważył Shaw. - Więc dlatego chcieliście go dopaść. Jaki macie z tym związek? Ktoś z was jest Ukraińcem?

- Ja, ze strony matki - rzucił kpiąco Whit. - A odpowiadając na twoje poprzednie pytanie, sami potrafimy się obronić.

Shaw spojrzał na niego sceptycznie.

- Na razie kiepsko wam szło.
- Zdarza się, że plan nie wypali, że pojawiają się nieoczekiwane okoliczności.
- Daj spokój! To była od początku do końca wielka obsuwa - odparł

Shaw.

- Wy też chcieliście go dopaść, mądrale, a potem podwinęliście ogon. My przynajmniej spróbowaliśmy.

- To nie była moja decyzja.

- Gdzie zamierzałeś go zdjąć? - zapytała Reggie.

Shaw zawahał się.

- W Le Baux, w jaskiniach.

- To chyba lepsze miejsce od tego, które my wybraliśmy - powiedziała po namyśle.

- Hola! - warknął Whit. - Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy. Nie ma czego porównywać. - Rzucił gniewne spojrzenie Shawowi. - Może nie mamy takich bajeranckich samolotów, ale zwykle kończymy swoją robotę.

- Muszę ci uwierzyć na słowo. Ale jeśli sądzisz, że zdołasz się obronić przed tym człowiekiem bez pomocy, to jesteś w błędzie. Możesz zapytać martwych muzułmanów.

- Nie obchodzi mnie, że wykończył kilku facetów. I wiesz co? Wytropię go. I tym razem dopadnę.

- Wcześniej umrzesz.

- Zamknij się i prowadź. - Whit odwrócił głowę i smętnie wyglądał przez okno.

Shaw spojrział w lusterko wsteczne i napotkał w nim wzrok Reggie.

- Wszystko będzie dobrze - poruszył bezgłośnie ustami.

Mówiąc to, wiedział, że ją okłamuje.

Przeniósł wzrok na jezdnię przed sobą.

62.

Samolot Kuczina był w połowie drogi przez Atlantyk. Rice połączył się z Internetem. Chciał jeszcze raz obejrzeć na Facebooku stronę Reggie podającej się za Jane Collins, a także inne strony zawierające informacje na jej temat. Wszystkie jednak zniknęły.

Wystraszony, powiedział o tym Kuczinowi.

- Nie wydrukowaliśmy wtedy kopii - przyznał drżącym głosem. - Teraz nie mamy nawet jej zdjęcia.

- Ja mam - rzucił niespodziewanie Kuczyn. - Zrobiłem je, kiedy rozmawialiście przed kolacją na tarasie.

- Podejrzywałeś coś?

- Nie, chciałem mieć fotografię pięknej kobiety. Za to teraz mam mnóstwo podejrzeń - odparł sucho.

- Nie mamy niczego na temat Bilia Younga.

Kuczyn zdążył już narysować portrety Reggie, Shawa, Whita i Dominica. Miał doskonałą pamięć do twarzy i szczegółów. Pokazał je Rice'owi, który z aprobatą pokiwał głową.

- Bezbłędnie. Jesteś prawdziwym artystą.

- Zapisz te portrety w formacie cyfrowym czy jak to się tam nazywa. Czy można zrobić to w taki sposób, żeby poszukać ich potem z pomocą baz danych?

- Wydaje mi się, że tak.

- W takim razie zajmij się tym. Sprawdź ich we wszystkich bazach danych, do jakich uda ci się zdobyć dostęp.

- Jasne. Ale po co narysowałeś portret tej kobiety, skoro masz jej zdjęcie?

Kuczyn nie odpowiedział na pytanie. Zmienił temat.

- Żał mi wyjeżdżać z Europy. Ci ludzie mówili z wyraźnym akcentem, zwłaszcza tamten Irlandczyk.

- A lobbysta?

- Nie. Jego to nie dotyczy. - Kuczyn potarł obolałą szczękę. - Niejeden raz w życiu oberwałem, ale nigdy tak mocno. To cud, że nie złamał mi szczęki. Facet jest silny. I niebezpieczny.

- Bez trudu poradził sobie z Manuelem - dodał Rice. - A potem załatwił Pascala, a przecież wiesz, jaki jest Pascal. Mnie podniósł, jakbym był piórkiem. Poczulem, że ma ramiona ze stali.

- Na mnie wrażenie zrobiło coś innego, nie jego siła - rzekł Kuczyn. - Na świecie jest wielu silniejszych od niego. Ale ta jego szybkość i umiejętności. Był sam przeciwko trzem uzbrojonym ludziom. Czterem, jeśli liczyć ciebie, Alan. Przeciwko trzem, którzy potrafiały posługiwać się bronią, a

mimo to dał im radę.

- Miał odrobinę szczęścia.

- Zawsze można liczyć na łut szczęścia. Pozostaje pytanie, czy poszczęściło mu się przypadkowo, czy może pomógł szczęściu. Bardziej jestem skłonny uwierzyć w to drugie. Wyszedł z uniesionymi poziomo łokciami, w klasycznej pozycji walki wręcz. Pozwoliło mu to, wykorzystując ciężar ciała, zadać szybki i mocny cios. A uderzenie zgiętymi łokciami jest skuteczniejsze niż pięścią. W dłoni znajduje się zbyt dużo drobnych kości, które mogą pęknąć. Wystarczy, że uszkodzeniu ulegnie jedna i całe ramię staje się bezużyteczne. Tymczasem łokieć to tylko trzy stosunkowo duże kości połączone stawem. Łokieć najłatwiej złamać, kiedy jest wyprostowany. Przewracasz się, amortyzujesz upadek wyprostowanymi rękami; całą siłę uderzenia przejmuje łokieć. I pęka. - Kuczyn obrazowo zgiął rękę w kształt litery V. - Ale jeśli zegniesz ręce, ryzyko urazu jest minimalne, a zyskujesz większą siłę.

- Sporo na ten temat wiesz.

- Wiem dostatecznie dużo. Poza tym Shaw bez przerwy się poruszał, ani chwili nie stał w miejscu. Trudno było oddać w jego kierunku celny strzał.

- Jeśli jest tak dobry, może powinniśmy dać sobie z nim spokój?

Kuczyn spojrział na niego z niezadowolaniem.

- Wciągnęli mnie w zasadzkę. Chcieli pogrzebać razem z jakimiś starymi kośćcami. Sprofanowali święte mury kościoła katolickiego. Muszę im za to odpłacić dużo mocniej. Tylko to mnie w tej chwili interesuje.

- A interesy?

- Od tego mam ciebie. - Objął współnika ramieniem i mocno uściśnął. Rice jęknął z bólu. Po krótkim, ale bolesnym spotkaniu z Shawem był cały poobijany. - Poradzisz sobie. A jeśli zauważę, że próbujesz przekraczać swoje kompetencje albo zająć moje miejsce w hierarchii, pamiętaj, że wciąż trzymam psy, których użyłem przeciwko Al-Madżidowi.

- A co to za nazwisko, którym się do ciebie zwracali? - zapytał nerwowo Rice.

- Na twoim miejscu nie myślałbym już o tym nigdy więcej.

Samolot nie wylądował w Montrealu. Kuczyn kazał zmienić plan lotu. Samolot dotknął ziemi na długim, równym asfaltowym pasie, który Kuczyn wybudował na dalekim wschodzie Kanady, w prowincji Nowa Fundlandia i Labrador.

Kiedy maszyna się zatrzymała, Rice wyjrzał przez okno.

- Co się dzieje? Dlaczego wylądowaliśmy w takim miejscu?
- Nie wybieram się do Montrealu. Samolot poleci tam beze mnie. -

Wstał i włożył płaszcz.

- Ale dlaczego akurat tutaj? Tu nic nie ma.
- O to właśnie chodzi. Przy okazji, ty też wysiadasz.

Rice zbladł.

- Nie rozumiem.
- Nic na to nie poradzę. Zbyt łatwo wysledzić mój samolot.
- Chcesz powiedzieć, że mam do Montrealu jechać samochodem?

To kawał drogi.

- Z tysiąc sześćset kilometrów. Ale będziesz miał kierowcę i nie musisz całej drogi pokonać samochodem. Z Goose Bay zabierze cię do Montrealu inny samolot. Będziesz na miejscu w porze późnej kolacji. Ale nie możesz wrócić do domu ani do biura. Zatrzymasz się w kryjówce pod miastem. Cały czas będzie z tobą moich dwóch ludzi. Zrozumiałeś?

- Tak, oczywiście. Sądzisz, że te środki bezpieczeństwa są konieczne?
- Biorąc pod uwagę, że o mało mnie nie pogrzebali w krypcie pod kościołem, owszem, uważam, że są konieczne. -

Położył dłoń na ramieniu Rice'a. - Będę śledził twoją drogę. Na razie możesz poczekać w samolocie. Przyślę po ciebie samochód.

Drzwi odrzutowca otworzyły się, Kuczyn przesiadł się do czekającego cadillaca escalade i odjechał.

Kuczyn nie oglądał się na samolot; z determinacją patrzył przed siebie. Skoro tamci wiedzieli, że jest Fedirem Kuczynem, jaki będzie ich następny krok? Byli gotowi go zabić, nie mogli więc mieć związków z żadną oficjalną instytucją w rodzaju Interpolu czy amerykańskiego FBI. Ani nawet z następczynią KGB, rosyjską Federalną Służbą Bezpieczeństwa. FSB wylaływało co prawda radzieckich towarzyszy, ale potem wtrącało ich do więzień albo rozstrzeliwało po publicznym procesie, pokazując światu swoją

dobrą wolę. Robili to, pomyślał z pogardą Kuczin, choć krajem rządzi były oficer KGB. To wstrętne, do czego prowadzi demokracja.

A jeżeli się mylił i ci ludzie działali oficjalnie? Mogli zrobić nalot i zlikwidować całą jego organizację. Mogli czekać na jego samolot w Montrealu. Na szczęście przekonają się, że jest pusty, a był pewien, że piloci na pewno nie zdradzą jego miejsca pobytu. To nie była kwestia wiary. Pracowali dla niego od wielu lat i zdawali sobie sprawę, że Kuczin wie, gdzie mieszkają ich rodziny.

Blisko czterdzieści kilometrów od lądowiska zbudował sobie posiadłość. W ciągu minionych lat zgromadził w swoim ręku tysiące akrów ziemi i postawił dom w samym środku pokrytej lodem tundry. Ziemia tu była bezlitosna, ale Kuczin czuł się tu jak w domu. W ostatnich latach opracowali tu razem z Rice'em wiele udanych przedsięwzięć. Tutaj dobrze mu się myślało. A miał nad czym się zastanawiać, jeśli planował kontratak.

63.

- **M**amy przesrane - mruknął do siebie Shaw, rozglądając się po dworcu kolejowym. W kapeluszu na głowie, przyciemnionych okularach i obszernej bluzie dresowej wszedł do przestronnej, rojącej się od ludzi hali dworca Gare du Nord w Paryżu i od razu zauważył policjantów przechadzających się z jego fotografią w rękach. Reggie, Whit i Dominic, podobnie poprzebierani, weszli za nim i zobaczyli to samo.

Shaw wskazał kręcącą się przy drzwiach wejściowych policjantkę. W dłoni trzymała kolorowe zdjęcie innej osoby.

Reggie bez trudu rozpoznała siebie.

- Cholera - szepnęła.

Sprawdziwszy, że policja nie ma innych fotografii, Shaw odwrócił się i wyszedł. Pozostali dołączyli do niego w pobliżu stanowiska z wózkami bagażowymi.

- Co teraz? - zapytał Dominic.

- Uważam, że nasza trójka powinna spróbować - odezwał się Whit - a

ty - wskazał na Shawa - działaj na własną rękę.

- Nie zgadzam się - odparł Shaw.
- Nie obchodzi mnie, czy się zgadzasz.
- Wysyłaj szare komórki, Whit. Całą czwórkę łatwiej jest złapać. Mają zdjęcia moje i Reggie, waszych nie. Wsiadajcie do pociągu i wracajcie do Londynu. Ja z Reggie wydostaniemy się stąd w inny sposób.

- Nie sądzę - rzekł Whit.
- On ma rację, Whit - odezwała się Reggie. - Lepiej będzie, jeśli się podzielimy. Jeśli nas złapią, trudno. Ale byłoby głupotą pozwolić, żeby za jednym zamachem ujęli nas wszystkich.

Whita nie przekonały jej argumenty.

- Wygląda na to, że próbujesz za wszelką cenę znaleźć pretekst, żeby zostać z tym facetem.

Shaw oparł się o ścianę dworca.

- Pozwolisz tej pani podjąć samodzielną decyzję czy może jest to niezgodne z polityką waszej firmy?

- Zamknij się. Nic o nas nie wiesz.

- Próbuję was zrozumieć.

- Jeśli my pojedziemy pociągiem, jak ty dostaniesz się do Anglii? - Whit zwrócił się do Reggie.

- Przez Amsterdam - wtrącił się Shaw. - Złapiemy prom. Mam tam znajomych, którzy nie zadają zbędnych pytań, a wątpię, żeby policja obstawiła porty.

- Whit, ty z Domem wsiadajcie do tego cholernego pociągu - powiedziała Reggie. - Trzeba jak najszybciej zająć się jego ręką. Lepsze dwie godziny jazdy pociągiem niż kilka dni na kiwającej się łódce.

- Mówisz poważnie? Zamierzasz zostać z tym gościem, chociaż nie wiesz, kim naprawdę jest?

- Wiem, że uratował nam życie. Wiem, że złamał rozkazy, żeby być z nami. Muszę wiedzieć coś więcej?

Whit popatrzył na nią, potem na Shawa, a wreszcie zaczął szukać pomocy u Dominica. Tymczasem Dominic wbił wzrok w chodnik.

- W porządku - odezwał się w końcu. - Wy dwoje róbcie, co chcecie. Może spotkamy się w Londynie, a może nie. Dam ci znać, kiedy załatwię

Kuczina. - Odwrócił się i sztywnym krokiem ruszył w kierunku dworca. Za nim popędził Dominic.

Shaw spojrzał na Reggie.

- On zawsze jest taki przyjacielski?
- Okropny facet, prawda? Nie mieści mu się w głowie, że ktoś chce postąpić inaczej, niż on to sobie zaplanował! - wykrzyknęła za Whitem, ale on i Dominic już zniknęli w hali dworca.

Reggie ruszyła w przeciwnym kierunku.

Pięć minut później jechali ciemnoniebieskim fordem, którego właściciel zostawił, szczęśliwie dla nich, kluczyki na przednim siedzeniu.

Minąwszy trzy przecznice, Shaw zatrzymał się. Przed porzuceniem range rovera zdjął tablice rejestracyjne. Teraz założył je w fordzie.

- Policjanci w pierwszej kolejności zwracają uwagę na markę i model, a dopiero potem na tablice - wyjaśnił. - Range rover, a nie ford. A facet, któremu ukradliśmy wóz...

- Na odwrót. Najpierw tablice, potem marka i model. A więc do Holandii?

- Tak jest. Prześpij się trochę.

- A jak ty zaczniesz przysypiać?

- Nie ma takiej możliwości - odparł Shaw.

64.

Whit właśnie skończył mówić. Dominic, ze świeżym opatrunkiem na rękę, siedział obok niego. Naprzeciwko nich, w bibliotece w Harrowsfield, siedzieli Mallory i Liza. Profesor stukał bezmyślnie fajką w stary stół, a Liza z twarzą wykrzywioną od intensywnego myślenia przyglądała się swoim dłoniom.

- Jesteście pewni, że ten dryblas... jak on się naprawdę nazywa? - zaczął Mallory.

- Shaw - odpowiedział Whit.

- Aha, Shaw. No więc, że to nie ten Shaw was wystawił?

- Dzięki niemu żyjemy, profesorze. Nie rozumiem, dlaczego miałby sabotować naszą operację, a chwilę później ratować nam tyłki.

- Wszystko wskazuje na to, że naprawdę jest tym, za kogo się podaje - wtrąciła Liza. - Czyli agentem innej organizacji, która z jakichś innych powodów tropiła Kuczina.

- Handel materiałami rozszczepialnymi - powiedział Mallory. - Tak, to chyba najbardziej logiczne wytłumaczenie. Cholerny, niekorzystny zbieg okoliczności. Ścigaliśmy tego samego drania z dwóch różnych powodów.

- To nie do końca jest zbieg okoliczności - zauważyła Liza. - Oni doszli do takich samych wniosków jak my. Postanowili zaatakować, kiedy wybrał się na wakacje, bo druga taka szansa mogła się nie trafić.

- Nie ma żadnych wieści od Reginy? - zapytał Mallory.

Whit pokręcił przecząco głową.

- Jeszcze nie. Pewnie się teraz telepią na jakiejś łajbie. Przynajmniej taką mam nadzieję.

- Ale chyba nie do Harrowsfield - zaniepokoił się Mallory. - Nie przyprowadzi go tutaj.

- Nie jest taka głupia - powiedział Whit, uciekając jednocześnie wzrokiem.

- Musisz się z nią skontaktować i powiedzieć, żeby wróciła tu sama - rzekł Mallory. - Nie może tu ściągnąć tego człowieka.

- Próbuję się do niej dodzwonić, ale nie odbiera.

- W takim razie postaraj się bardziej. Jedź tam i ją odzyskaj. - Mallory machnął ręką w stronę okna.

Whit był wściekły.

- Tam? Czyli gdzie? Ma pan na myśli teren Harrowsfield czy cały cholerny świat? Zresztą sama się w to wpackowała, to niech teraz sama sobie radzi.

- Myślę, że to nie jest odpowiednie podejście - upomniał go Mallory.

- W tej chwili naprawdę nie interesuje mnie, co pan myśli, profesorze.

- Proponuję, żebyśmy wszyscy trochę się uspokoili - odezwała się Liza. - Może zrobić herbaty?

- Herbaty? - zachnął się Whit. - Do diabła, Lizo, daj mi ośmioletniej whisky, to może uspokoję się na tyle, żeby wysłuchać do końca tego zra-

molącego dziada.

- Myślę, że powinniśmy zaufać Reggie - przemówił Dominic. Powiódł wzrokiem po pozostałych. - W każdym razie ja jej ufam. - Usiadł wygodniej i zaczął rozcierać zranione ramię, najwyraźniej wyczerpany tym krótkim przemówieniem.

- Uważam, że Dominic ma rację - powiedziała Liza.

- Naprawdę zamierzacie ryzykować? - zapytał Mallory. - Poświęcić wszystko, co udało nam się wypracować? Przypomnij sobie swoje wątpliwości dotyczące Reggie i tego Shawa - dodał, patrząc na Whita. - Może ją przekabacił. Może jest zaślepiona przez... no sami wiecie, co mam na myśli.

Irlandczyk poczuł się głupio.

- Ona już to wszystko wyjaśniła. Chociaż faktem jest, że mieliśmy tego bydlaka na celowniku. Operacja powinna się udać.

- A okazało się, że wpadliście w pułapkę - zauważył Mallory.

- Faktem jest, profesorze, że ci ludzie wiedzieli, gdzie będziemy. Czekali na nas. Chciałbym wiedzieć, jak to możliwe. Nie, ja muszę się tego dowiedzieć.

- Mogliście popełnić błąd - wtrąciła Liza. - Mogli nabrać podejrzeń i śledzić jednego z was. I w ten sposób dowiedzieć się wszystkiego.

- Do dnia akcji nikt nie wiedział, że ja i Dom mamy z tym coś wspólnego. A kiedy Reggie przyjechała do naszego domu, na pewno nikt jej nie śledził.

- Spotkaliście się w nocy w kościele - przypomniał mu Dominic.

- To mógł być słaby punkt - przyznał Whit. - Ale musimy się upewnić.

- A Kuczina pozostaje na wolności - rzucił Mallory.

- Jeszcze nie skończyliśmy, profesorze. Nie mogę się pogodzić z tym, że on wciąż żyje.

- Jestem pewna, że Kuczina to samo myśli o nas - odparła Liza.

- O tym właśnie mówił Shaw - dodał Dominic. - Chciał nas ochronić przed Kuczinem.

- A ja mu odpowiedziałem, że nie potrzebujemy jego ochrony - rzucił ostrym tonem Whit. - Bo nie potrzebujemy.

- I nie wiemy, z kim on współpracuje? - zapytała Liza.

- Mają własny samolot, co oznacza, że nie wiążą ledwo końca z końcem jak my - odpowiedział Whit z nutą zazdrości w głosie.
- Nie podoba mi się to wszystko - stwierdził Mallory po długiej przerwie. - Nie wiem, czy bardziej obawiać się Fedira Kuczina, czy tego Shawa.
- Wiecie co? Moim zdaniem powinniśmy uważać na obu - zakończył Whit.

65.

Ściskając się mocno za brzuch, Reggie stanęła na nabrzeżu, uklękła i ucałowała brudną burtę promu, odbijającego od kei i wypływającego na pełne morze. Statkiem dowodził Duńczyk, którego Shaw znał od wielu lat, choć nie zdradził Reggie okoliczności, w jakich go poznał. Pasażerowie zostali wysadzeni w zapomnianej bazie morskiej z czasów drugiej wojny światowej. Droga do Anglii zajęła blisko trzy dni, z czego większość czasu Shaw i Reggie spędzili na statku przedzierającym się powoli przez wzburzone wody kanału La Manche.

- Dzięki ci, Jezu - wyjęczała Reggie.
- Podróż nie należała do lekkich - przyznał Shaw, pomagając jej wstać.
- Lekkich? - Żołądek podchodził jej do gardła i wydawało się, że za chwilę znów zwymiotuje, ale w końcu stanęła prosto, opierając się na jego ramieniu, i głęboko odetchnęła. - Myślałam już, że pójdziemy na dno.
- Ostatnio płynąłem po Morzu Irlandzkim. Wtedy też wody były wzburzone. Kobieta, która mi towarzyszyła przez całą drogę, wymiotowała jak ty. Widocznie taka wasza natura.
- Kto to był? - zapytała Reggie, ostrożnie krocząc obok Shawa.
- To stara historia.
- Skąd znasz to miejsce?
- Przydawało się kilka razy w przeszłości.
- Słaby punkt naszej obrony wybrzeża.

- W każdym kraju jest przynajmniej jeden taki.

Kiedy dotarli do porośniętego trawą łądu za nabrzeżem, Reggie sprawdziła swój telefon. Bateria była na wyczerpaniu i brakowało zasięgu. Już wcześniej nie mogła się z nikim skontaktować i powiedzieć, co się z nią dzieje, i teraz też nie.

- Jasna cholera. Pięknie.
- Ja mam zasięg. Podaj mi numer, to zadzwonię.
- Raczej nie. Potem numer zostanie w twojej komórce.
- To nie jest mój telefon. Należy do jednego z twoich kolegów. Tego,

którego znokautowałem muszlą klozetową.

- Przejrzałeś listę kontaktów?
- Nie.
- Kłamiesz.
- Może.
- Dasz mi go? Muszę zadzwonić.
- Później.

Ponieważ był od niej o głowę wyższy i o pięćdziesiąt kilogramów cięższy, nie upierała się. Rozejrzała się po pogrążonej w ciemnościach okolicy.

- Gdzie my jesteśmy?
- O cztery godziny drogi od Londynu. Zorganizowałem transport. Do kąd chcesz jechać?

- Myślę, że tu nasze drogi się rozejdą.
- To nie jest dobry pomysł. Kuczyn może...
- Kuczyn może wiele, ale na pewno nie zdoła nas złapać. Whit miał rację. Musimy go znów wytropić.

Shaw chwycił ją za ramiona, jakby zamierzał nią potrząsnąć.

- Zdażyłaś już zapomnieć? O mało was wszystkich nie pozabijał. A teraz, kiedy stał się czujny, nie macie żadnych szans.

- Już raz o mało go nie dopadliśmy.
- Zastanów się, dlaczego wam się nie udało.
- O co ci chodzi?
- Jak to się stało, że zastawili na was pułapkę?

Reggie odepchnęła go od siebie.

- Skąd mam to wiedzieć?

- Musisz to wiedzieć. Byli dobrze poinformowani. Czekali tam na was. Jest wśród was kret.

- To niemożliwe.

- Znasz inne wytłumaczenie?

- Musieliśmy popełnić jakiś błąd. Spotkałam się wcześniej w katakumbach z Whitem, żeby dopracować nasz plan. Ktoś mógł mnie śledzić.

- A dlaczego cię w ogóle podejrzewali?

- Sam mówiłeś, jaki to dobry jest Kuczin. Widocznie podejrzewa wszystkich naokoło.

- Słyszałem, co mówił w krypcie, kiedy był związany. Ty też to słyszałaś. Wrzeszczał, że cię zabije, ale to był głos człowieka, który czuł, że za chwilę zginie. Gdyby cię podejrzewał, po co wchodziłby z tobą do kościoła?

- Wykorzystaliśmy twoją informację na temat muzułmanów, żeby go zapędzić w pułapkę.

- Tak po prostu?

- Tak po prostu - przyznała niechętnie. - Ale podziałało.

- Jeżeli ktoś cię śledził, kiedy wchodziłaś do katakumb, i wiedział, co się święci, to dlaczego rozegrał to w ten sposób? Dlaczego nie wszczął alarmu? Kuczin nie musiałby się narażać na niebezpieczeństwo.

Reggie wpatrywała się długą chwilę w ciemne, spienione wody.

- Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Nie wiem dlaczego.

- Żadna odpowiedź nie będzie dla ciebie oznaczała nic dobrego. Jeśli wśród was jest zdrajca, Kuczin bez trudu natrafi na twój ślad.

Reggie zamknęła na chwilę oczy i roztarła skronie.

- Mówiłeś, że zorganizowałeś pojazd. Możesz mnie podrzucić do Londynu? Jest środek nocy, a ja jestem zbyt zmęczona, brudna i chora, żeby teraz o tym wszystkim myśleć.

Spojrzał na nią i wzruszył ramionami.

- Jasne. Pojazd jest tam.

„Tam” znajdowało się prawie kilometr dalej; wędrowali po nieznanym terenie w absolutnych ciemnościach. Na skraju lasu stał motocykl; kluczyki znajdowały się pod siedzeniem. Shaw wręczył Reggie kask.

- To nie vespa, ale damy radę.

W czasie jazdy przyłgnęła do niego całym ciałem. Gdy dojeżdżali do Londynu, niebo zaczęło przybierać różową barwę, a na ulicach pojawiły się pierwsze samochody - kilka taksówek i przegubowy autobus.

Reggie klepnęła Shawa w ramię i wskazała ręką skrzyżowanie. Zwolnił i zatrzymał się przy wejściu do metra. Zsiadła z motoru i oddała mu kask.

- Na pewno nie chcesz jechać ze mną dalej? - zapytał.
- Na pierwszej stacji benzynowej uciekłabym przez okno w toalecie.

Nie marnujmy czasu.

Shaw wyjął z kieszeni marynarki telefon i wsunął go w jej dłoń.

- Powodzenia.
- Tak po prostu? Nie będziesz próbował mnie przekonać? Życzysz mi tylko szczęścia?

Shaw czuł, że Reggie chętnie by z nim została, ale nie był w pojedynczym nastroju.

- Mam kolejną robotę.

Uruchomił silnik.

- Dzięki za uratowanie naszych tyłków, Shaw.
- Taka praca, Reg.

Zmienił kopnięciem piąty bieg, wcisnął sprzęgło i odjechał. Reggie powlokła się do metra.

66.

Reggie rozejrzała się po swoim obskurnym mieszkanku w Londynie.

Nierówne łóżko z baldachimem, stary kufer odziedziczony po matce, postrzępiony dywan, a na nim stół i dwa krzesła z prostymi oparciami; kuchenka, mała podblatowa lodówka, półka zavalona książkami. Całości dopełniały dwa brudne okna wychodzące na równie obskurny budynek jak jej. Jedyna roślina doniczkowa zdążyła uschnąć, bo w czasie jej nieobecności fala ciepła, jaka dotarła do Londynu, zamieniła mieszkanie w rozgrzany piekarnik, a klimatyzacji tu nie było. Toaleta i łazienka znajdowały się w korytarzu. Sąsiedzi byli rannymi ptaszkami, jeśli więc chciała wykapać się

w cieplej wodzie, musiała wstawać o szóstej rano.

Mam dwadzieścia osiem lat, a wciąż mieszkam jak za studenckich czasów.

Do domu dotarła za późno, więc wykąpała się w zimnej wodzie i przebrała w jedyne czyste ubranie, jakie znalazła w szafie. Spakowała do torby brudne rzeczy, zamierzając wyprać je później w pralni na dole. Ponieważ nie było jej jakiś czas w domu, w lodówce nie znalazła nic, co nadawałoby się do jedzenia. Śniadanie zjadła w pobliskiej kafejce - bez pośpiechu raczyła się jajecznicą, kawą i maślaną bułeczką. Naładowała telefon i wysłała Whitowi wiadomość. Odpowiedź przyszła natychmiast. Jej wszyscy współpracownicy dotarli szczęśliwie. Jeden zakradł się nawet do willi w Gordes, spakował jej rzeczy osobiste i przywiózł do Anglii. Whit chciał wiedzieć, gdzie jest Shaw. Napisał: „Upewnij się, czy nie trafi do Harrowsfield”. Odpisała, że Shaw już nie jest z nią i na pewno jej nie śledzi.

Idąc ulicą, przeciągnęła się, napinając mięśnie ramion i nóg. Podróż była koszmarem; statkiem bez przerwy kołysało. Shaw znosił te męki spokojnie. Ani razu nie wymiotował. Po prostu siedział przy stole, czytał książkę, od czasu do czasu nawet coś jadł i podsuwał jej wiadro, kiedy tego potrzebowała. A potrzebowała dość regularnie.

Spoglądała na niego, szukając w jego oczach współczucia, ale nie go znajdowała. Potem miała poczucie winy, że w ogóle go szukała. To jest bezlitosny biznes i trzeba być twardym. On był. Jej nie udało się przyzwyczaić do kołysania. Ale przynajmniej dotarła szczęśliwie do Anglii, podobnie jak jej cały zespół. Co prawda nie dopadli Kuczina, ale operacja mogła się zakończyć dużo gorzej.

Pojechała metrem do Knightsbridge. Później miała wyruszyć do Harrowsfield, żeby zdać pozostałym relację, ale teraz miała jeszcze coś do załatwienia. W firmie specjalizującej się w przechowywaniu cennych przedmiotów miała sejfową skrytkę depozytową. Firma dbała o bezpieczeństwo - były tu skanery biometryczne, czytniki kart magnetycznych, kamery i czujniki połączone bezpośrednio z najbliższym posterunkiem policji. To poczucie bezpieczeństwa kosztowało blisko sto funtów rocznie, ale nie żałowała wydanych pieniędzy.

Weszła do budynku i gładko przeszła cały proces weryfikacji. Kiedy zo-

stała sama w podziemiach, sięgnęła po swój depozyt, usiadła przy stole, tak by plecami zasłonić jego zawartość przed okiem zawieszzonej pod sufitem kamery, i zaczęła czytać to, co знаła doskonale na pamięć.

To był rytuał. Przychodziła i robiła to po zakończeniu każdej operacji. Do tej pory jej misje kończyły się sukcesem. Teraz po raz pierwszy nie udało się. Ale i tak przyszła. To było dla niej zbyt ważne.

Wycinki z gazet były stare i pożółkłe. Z czasem papier rozpadnie się w pył, ale zawartych na nim informacji nic nie wytrze z jej pamięci. Choć czasem marzyła o tym, by zapomnieć.

Robert O'Donnell, lat trzydzieści sześć. Czarno-biała fotografia mężczyzny wyblakła, ale Reggie rozpoznała go bez trudu. W końcu był jej ojcem. Umarł w jej siódme urodziny. Tytuł artykułu w „Daily Mail” mówił wszystko:

Najsłynniejszy londyński seryjny morderca od czasów Kuby Rozpruwacza nie żyje!

Nie to mała dziewczynka chciała przeczytać o swoim ojcu w dniu urodzin.

Z rąk jej sadystycznego ojca zginęły dwadzieścia cztery ofiary, nastolatki i młode kobiety. Przynajmniej tylu się doliczono. Porównywano go nawet do Teda Bundy'ego, który mniej więcej w tym samym czasie został stracony. Uroczego, przystojnego mężczyzny, który torturował i mordował młode kobiety. Tyle że Bundy był samotnikiem, nie miał żony i dzieci. Tymczasem ojciec Reggie miał dobrą pracę, kochającą żonę, syna i córkę. I mimo to zdołał dwa tuziny ludzi pozbawić życia z taką brutalnością i bestialstwem, że doświadczeni policjanci, którzy odnaleźli ciała ofiar, musieli przejść długą terapię, by poradzić sobie z tym, czego byli świadkami.

Nawet teraz, kiedy nie było już żadnych wątpliwości co do jego winy, Reggie nie mogła pogodzić się z myślą, że człowiek, dzięki któremu pojawiła się na świecie, był bohaterem tych przerażających historii. Spojrzała na kolejny artykuł, napisany w czwartą rocznicę śmierci jej ojca. Było tu wielkie na całą stronę zdjęcie ojca w ostatnich dniach życia. Reggie widziała na nim człowieka owładniętego czymś nieludzkim. Ale widziała też w tej twarzy coś, co wydawało się jej jeszcze straszniejsze.

Moje oczy. Mój nos. Moje usta. Moje policzki.

Fizycznie była dużo bardziej podobna do ojca niż do matki. Fizycznie.

Koniec burzliwego życia jej ojca był tragiczny, naznaczony śmiercią dwóch najbliższych jej osób. Matki. I ukochanego starszego brata.

To jej brat był bohaterem. Lionel O'Donnell w wieku dwunastu lat odkrył, co zrobił jego ojciec, i poszedł na policję. Początkowo nie dano wiary wynurzeniom dziecka. Policjanci mieli mnóstwo tropów, w większości fałszywych, i znajdowali się pod silną presją opinii publicznej i zwierzchników.

Dopiero po pewnym czasie zdali sobie sprawę, że chłopiec mówił prawdę. Ale było już za późno. Jednego dnia cała jej rodzina zginęła. Ojciec zorientował się, że własny syn go zdradził, więc ich zabił. Gdyby policja przyjechała trochę później, Reggie też by nie żyła. Do tej pory dręczą ją koszmary. I pewnie nigdy nie przestaną.

Sięgnęła po kolejny artykuł; na widok zdjęcia i podpisu pod nim zaczęła drzeć. Dziewczynka miała włosy splecione w warkocze. Spojrzenie nieobecne. Wargi tworzyły cienką, niewyrażającą żadnych emocji kreskę. Żadnej radości, żadnego smutku, żadnych uczuć. Po ponad dwudziestu latach Reggie próbowała sobie przypomnieć, co czuła, kiedy robiono jej to zdjęcie. Gdzie była, o czym myślała.

Jej wzrok spoczął na podpisie: *Jedyny ocalały członek rodziny, Jane Regina O'Donnell, lat siedem.*

Kolejne tygodnie, miesiące, nawet lata były istnym kołowrotem zdarzeń. Zabrała ją do siebie rodzina matki. Wyjechali z kraju. Rozpoczęli nowe życie. Nigdy nie wspomniano przeszłości - ani matki, ani brata, ani tym bardziej ojca potwora. Aż wreszcie, z nazwiskiem panięńskim matki, Reggie wróciła do miasta, w którym jej ojciec dokonał tak potwornych zbrodni. Głęboko ukryła swoją prawdziwą tożsamość. Nie miała już siedmiu lat i pustego spojrzenia. Była Reginaldą Campion, dorosłą kobietą, której przyszło odbudować swoje życie z ruin.

Zastanawiała się, zresztą nie po raz pierwszy, czy profesor Miles Malloory wiedział, kim jest naprawdę. I czy właśnie dlatego ją wybrał. Nigdy nie dał po sobie poznać, że zna prawdziwą historię jej życia, ale nawet gdyby tak było, nie przyznałby się do tego.

W kasetce znajdowało się więcej przedmiotów, ale postanowiła spojrzeć jeszcze tylko na dwa. Jednym było zdjęcie jej matki, drobnej blondynki,

którą Reggie zapamiętała jako istotę niewinną, choć nie nadmiernie inteligentną i dociekliwą, ale także jako osobę, która bezgranicznie kochała swoje dzieci. Drugą rzeczą była fotografia brata, Lionela, który za cenę własnego życia ukrócił krwawe rządy ojca-potwora w Londynie. Był wysoki jak na dwunastolatka; po ojcu, który miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ważył blisko sto kilogramów. Po matce Lionel miał nie posturę, lecz wygląd. Jasne włosy, ciemnoniebieskie oczy i wiecznie uśmiechnięte usta. Ale nie na tej fotografii. Tutaj leżał w trumnie. Reggie nie wiedziała, skąd wzięło się to zdjęcie. Znalazła je kilka lat temu i od tamtej pory nie mogła się z nim rozstać. Zdawała sobie sprawę, że to makabryczne, ale przypominało jej o bezgranicznym poświęceniu brata, który chciał uchronić ją przed złem.

Włożyła zdjęcia z powrotem do kasetki i wsunęła ją do schowka w ścianie. Wróciła do swojego mieszkania, spakowała torbę podróżną, wsiadła do smarta i ruszyła w stronę Harrowsfield.

Po drodze zastanawiała się, jak dobrać się do Fedira Kuczina, ale przez cały czas tok jej myśli zakłócał obraz innego wysokiego mężczyzny.

Gdzie podziewał się teraz Shaw?

67.

Kiedy zostawiła za sobą miasto Leavesden i zaczęła kluczyć krętymi drogami do Harrowsfield, słońce skryło się za ciemnymi chmurami. Przynajmniej warunki meteorologiczne pasowały do jej nastroju. „Minęła bramę wjazdową, zatrzymała się, zaczerpnęła głęboko powietrza i weszła do środka.

Ponieważ uprzedziła wcześniej telefonicznie o godzinie swojego przyjazdu, wszyscy czekali na nią w bibliotece - profesor, Whit, Liza i Dominic. W korytarzu zobaczyła Nilesa Jansena, tego, którego Shaw pozbawił przytomności w Prowansji. Oddała mu telefon otrzymany od Shawa.

- Jak tam? - zapytała, wskazując wielki siniak na jego twarzy.
- Czuję się, jakby mnie przejechał czołg - odparł Jansen.

- Nie dziwię się.

Dla uspokojenia wzięła głęboki wdech i otworzyła drzwi biblioteki. Usiadła po jednej stronie długiego stołu; cała reszta siedziała naprzeciwko niej. Drobiazgowo opisała wszystko, co pamiętała z pobytu w Gordes, a następnie zdała skrótową relację z dni spędzonych z Shawem.

- Nie dowiedziałas się o nim niczego więcej? - zapytał Mallory, nie starając się ukryć niedowierzania.

- Trudno profesjonalnie kogoś przesłuchiwać, kiedy cały czas się wymiotuje. A Shaw sam z siebie niechętnie udziela informacji na swój temat. Na pewno jest zawodowcem, wszystko inne to spekulacje.

- Tyle że jego organizacja działa chyba oficjalnie, w przeciwieństwie do naszej - zauważył Mallory.

- A to oznacza, że można nas oskarżyć o usiłowanie zabójstwa - wtrącił Whit. - Kuczyn mógłby nas pozwać do sądu i pewnie wygrałby sprawę. Może już powinniśmy poszukać sobie adwokata.

- To nie jest zabawne, Whit - warknęła Liza. - Zagrożona jest cała operacja.

- Shaw nie wie, gdzie jesteśmy - odezwała się Reggie. - Nie sprowadziłam go tutaj.

- Widzicie, mówiłem wam - powiedział Whit i spojrzał na Reggie. - Dom przypomniał nam wszystkim, że jesteś osobą godną zaufania.

Reggie obrzuciła Dominica pełnym wdzięczności spojrzeniem i zwróciła się do Mallory'ego:

- To niczego nie załatwia. Oni mają takie możliwości, że jeśli zechcą, bez trudu nas namierzą. Przecież doskonale wiedzą, jak wygląda nasza trójka.

- Proponuję, żebyście wszyscy zostali w Harrowsfield - powiedział Mallory.

Whit i Dominic kiwnęli głowami na zgodę, tylko Reggie zaprotestowała.

- Mam do załatwienia kilka spraw, ale potem przyjadę tutaj.

Mallory skinął głową.

- Świetnie, w takim razie to już ustalone. A teraz przejdźmy do ważniejszej kwestii, a mianowicie do Fedira Kuczina i tego, że udało mu się

ujść z życiem.

- Jak już powiedziałem wczoraj, ruszymy za nim ponownie - zadeklarował Whit.

- Po głębszym namyśle muszę przyznać rację panu Shawowi - niespodziewanie rzekł Mallory.

- Przyznać rację w jakiej sprawie? - Reggie nie rozumiała, czego dotyczy rozmowa.

- Profesor ma na myśli słowa twojego kumpla, który uważa, że Kuczyn rozpocznie na nas polowanie - wyjaśnił Whit. - Tak więc zamiast ścigać go, powinniśmy przejść do defensywy.

- Rozmawialiśmy już o tym, nim się rozdzieliliśmy - zauważyła Reggie.

Mallory wstał, podszedł do wygaszonego kominka i wytrząsnął resztki tytoniu z fajki.

- Nie wątpię. Rzeczywiście, tamta organizacja może mieć większe szanse na poradzenie sobie z Kuczynem.

- Ale oni nie kiwną palcem! - wybuchnął Whit. - Już wam to mówiłem. Wycofali się. Widocznie nic ich nie obchodzi, że facet sprzedaje dziewczyny do burdeli. Wystarczyło, że zrezygnował z handlu materiałami rozszczepialnymi i natychmiast przestał być obiektem ich zainteresowania.

- Tak było, zanim dowiedzieli się, kim był w przeszłości. - Mallory spojrzał na Reggie. - Powiedziałaś mu, prawda? Powiedziałaś, że Waller to Fedir Kuczyn.

- Tak, ale on nie wiedział, kto to taki.

Mallory'emu chwilę zajęło rozpalenie fajki.

- Nieważne. Teraz pewnie to sprawdzi. A kiedy zrozumie, że Kuczyn to prawdziwy rzeźnik z Kijowa, są szanse, że jego organizacja go dopadnie albo przynajmniej komuś to zleci.

- I tak po prostu przerzucimy całą robotę na nich? - odezwała się Reggie. - Dlaczego to oni mieliby się zajmować Kuczynem?

Mallory spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- Naprawdę nie chcesz, żeby Shaw zajął się Kuczynem?

Twarz Reggie poczerwieniała.

- Ja tego nie powiedziałam, profesorze.

- Nie ma żadnych gwarancji, że oni się nim zajmą - zaprotestował Whit. - Mogą mieć inne sprawy na głowie.

- W tej robocie nigdy nie ma żadnych gwarancji, Whit - zwrócił się do niego Mallory. - Ale to najlepsze, co możemy zrobić. Przynajmniej na razie.

- Ja się nie zgadzam.

- Nie będę się przejmował brakiem twojej zgody, dopóki nie podejmiesz jakichś działań na własną rękę.

- A jeśli skończy się to tym, że Kuczyn będzie się dalej cieszył wolnością?

- Jest jeszcze dużo takich ludzi jak on. Nie narażę na niepowodzenie wszystkich przyszłych operacji tylko po to, żeby dopaść jednego Kuczyn.

- Przecież już pokazaliśmy mu, co robił w przeszłości - warknął Whit.

- Pozostało tylko zabicie bydlaka. Strzał z dużej odległości. Trucizna w porannej kawie. Albo wzorem Bułgarów ukłucie zatrutym czubkiem parasola na ulicy.

Mallory pokręcił głową.

- Kiedy władze się dowiedzą, kim naprawdę jest Kuczyn, zaczną się śledztwo w sprawie jego śmierci. A upublicznienie wyników śledztwa i podanie do wiadomości publicznej, że zamordowano rzeźnika z Kijowa, będzie sygnałem ostrzegawczym dla wszystkich pozostałych.

- Wszystkich pozostałych? - prychnął Whit. - Myślicie, że te dupki przesyłają sobie wiadomości? Uważajcie, koledzy męty, polują na was sprawiedliwi? To mnie nie przekonuje, profesorze. To, co pan proponuje, oznacza, że darujemy mu zbrodnię.

- Powiedziałem tylko, że może tym zająć się ktoś inny.

- Zgadzam się z Whitem - wtrąciła się Reggie - ale Kuczyn ukryje się tak głęboko, że już nigdy nie zdołamy go znaleźć. W tym tkwi problem. Na pewno ma jakieś bezpieczne schronienia w różnych częściach świata.

- Nasze możliwości są ograniczone, więc jest to kolejny argument za tym, żeby Kuczynem zajął się ktoś inny. Tymczasem teraz powinniście wszyscy wypocząć. Dominic musi wrócić do zdrowia. - Mallory spojrział na Reggie, a potem na Whitę. - Wy też potrzebujecie odpoczynku.

- Ja jestem w znakomitej formie, jak zawsze - mruknął Whit.

- Niekoniecznie miałem na myśli ciebie - odparł Mallory.
 - Więc chodzi o mnie?! - zawołała Reggie i spojrzała złowrogo na profesora.
 - Chcę tylko, żebyście wszyscy trochę odpoczęli - powiedział z lekkim znużeniem Mallory.
 - Nawet jeśli ten Ukrainiec weźmie nas na muszkę? - zapytał Whit.
 - Tak, nawet wtedy - odrzekł stanowczym tonem profesor. Następnie wstał i wyszedł z biblioteki.
 - Jest pod silną presją - próbowała bronić Mallory'ego Liza.
 - Wszyscy jesteśmy pod silną presją - odparła Reggie.
 - Operacja w Prowansji kosztowała mnóstwo pieniędzy - ciągnęła Liza. - A o fundusze coraz trudniej. Milesowi mnóstwo czasu zajmuje szukanie sponsorów.
- Whit się skrzywił.
- Okay, obetnę sobie pensję. Ach, prawda, przecież nie dostałem ani grosza za narażanie życia i zdrowia.
 - Nie to chciałam powiedzieć, Whit - broniła się Liza.
 - Chyba nie myślimy naprawdę tego, co w tej chwili mówimy - wtrącił się do dyskusji Dominic.
 - Mów za siebie, Dom. - Whit wstał. - Ja mówię to, co myślę.
- Zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, Whit zatrzasnął za sobą drzwi biblioteki.

68.

Reggie doszła do wniosku, że nie pójdzie szukać ukojenia na podziemnej strzelnicy. Głównie dlatego, że jej wciąż rozstrojony żołądek nie zniósłby gryzącego zapachu kordytu. Ponieważ jednak nie miała ochoty pozostawać dłużej w lodowatej atmosferze, jaka zapanowała w Harrowsfield, wybrała się na spacer po posiadłości. Nogi poniosły ją oczywiście na cmentarz, przed grób Laury R. Champion. Grób matki i brata odwiedziła tylko raz, rok temu, na grobie ojca nie pojawiła się nigdy. Tymczasem

po raz setny stała tu, w miejscu wiecznego spoczynku obcej osoby.

Wpadasz w obłąd, Reg? Tak to się odczuwa?... Czy coś takiego spotkało mojego... tatę?

Dawno temu uznała, że ojciec musiał być szalony, ponieważ tylko choro-
roba mogła wytłumaczyć to, co zrobił. W głębi duszy wiedziała jednak, że
to nie musi być prawda. Przerazało ją to.

- Czy ty jesteś szalona? - powiedziała na głos. - A może urodziłaś się z
piętnem zła? A może zabijasz, bo historia dała ci tę szansę?

- Na wszystkie trzy pytania odpowiedź brzmi tak - dał się słyszeć jakiś
głos.

Reggie o mało się nie przewróciła, obracając się błyskawicznie. Rozpo-
znała głos, ale nie mogła zrozumieć, jak to możliwe.

- Jak...? - Zamilkła, kiedy Shaw przyłożył palec do ust.

- Miło cię znowu widzieć - powiedział, stając obok niej.

- Skąd się tu wzięłeś?

- Pamiętasz telefon, który ci oddałem? GPS.

- To niemożliwe. Kiedy jedziemy na akcję, wyjmujemy karty GPS ze
wszystkich telefonów właśnie po to, żeby uniknąć takich sytuacji.

- Wiem. Dlatego włożyłem kartę z powrotem, kiedy płynęliśmy łod-
zią.

Reggie przyłożyła dłoń do czoła i jęknęła.

- Jak mogłam być tak beznadziejnie głupia?

- Wcale nie jesteś głupia, przeciwnie, jesteś naprawdę dobra w tym, co
robisz. Ale ja też.

Reggie nerwowo rozejrzała się wokół.

- A jak cię tu znajdują?

- To co? Zabiją mnie?

- My tak nie postępujemy - stwierdziła stanowczo.

- Naprawdę? - Sięgnął do kieszeni marynarki i pokazał jej strzykawkę
zabraną Nilesowi Jansenowi w domu, który był jego więzieniem.

Reggie wpatrywała się na przemian w strzykawkę i w Shawa.

- Po co ci to?

- Oni próbowali mnie tym zabić, Reggie.

- To niemożliwe. Nigdy nikomu nie kazałam...

- Facet, któremu to zabrałem, powiedział, że rozkazy przyszły od kogoś innego. - Zerknął w kierunku domu. - Może od kogoś stamtąd?
- To niemożliwe.
- Czy wy w ogóle panujecie nad sytuacją?
- Ta trucizna była przeznaczona dla Kuczina. Ale mieliśmy przygotowaną strzykawkę.
- W takim razie po co ta druga?
- Pewnie na wypadek, gdyby coś się stało z pierwszą - odparła bez przekonania.
- Albo na wypadek gdyby ktoś wszedł wam w drogę. Na przykład ja.
- To absurd. On naprawdę powiedział, że ktoś kazał mu cię zabić?
- Nie mam zwyczaju wymyślać takich rzeczy. Po co miałbym to robić?

Reggie powoli odsunęła się od niego i usiadła na starej kamiennej ławce na skraju niewielkiego cmentarza. Shaw zajął miejsce obok niej i postawił kołnierz marynarki. Nad Anglię powróciły chmury i chłód.

- Po zakończeniu operacji planowaliśmy puścić cię wolno.
- Plany można zmienić, jeśli zażyczy sobie tego odpowiednio wpływowa osoba. Kto tu jest na tyle ważny?

Reggie bezwiednie spojrzała na dom.

- Więc miałem rację. Oni tu są. Podasz mi nazwiska?
 - Po co? Zamierzasz pójść tam i go aresztować?
 - Więc to jest on? Kłopot polega na tym, że nie mam uprawnień, żeby kogokolwiek aresztować.
 - Co w takim razie chcesz zrobić? Zabić go? Będziesz miał do czynienia z mnóstwem innych ludzi, których też będziesz musiał zabić.
 - Łącznie z tobą?
 - Tak - odparła bez wahania.
 - W takim razie mam związane ręce. - Położył jej na dłoni strzykawkę.
- Zanim wbijesz w kogoś igłę tej strzykawki, zastanów się dobrze, czy to konieczne. Drugiej szansy nie będzie.

Reggie trzymała strzykawkę na wyciągniętej dłoni, wpatrując się w Shawa.

- Po co tu przyjechałeś?

- Chyba chciałem przyjrzeć się konkurencji. Niezła siedziba. Mój gabinet jest albo dwanaście tysięcy metrów nad ziemią, albo na samej ziemi, kiedy wokół dzieje się dużo ciekawych rzeczy.

- To wszystko, co chciałeś mi powiedzieć?

- Jest coś jeszcze. Chciałem wiedzieć, czy przestałaś wreszcie wymiotować. Czuję się za to trochę odpowiedzialny. Chyba za mało było we mnie współczucia dla ciebie tam, na łodzi.

Te słowa przywołały na twarz Reggie mizerny uśmiech.

- Prawdę mówiąc, wciąż jeszcze jestem lekko skołowana, ale powoli wracam do siebie. - Przerwała, chowając strzykawkę. - Twój szef wie, że tu jesteś?

- Nie o wszystkim go informuję.

Zerknęła ponownie w stronę starego domu.

- To mi wystarczy. Jak długo zostaniesz w Anglii?

- To zależy.

- Od czego?

- Od tego, czy zgodzisz się zjeść ze mną dziś kolację. Jeśli tak, zostaną przynajmniej do jutra. Jeśli nie, zaraz wyjeżdżam.

Reggie wbiła wzrok w ziemię.

- Będziesz miała problem z wyjściem stąd? - zapytał Shaw.

- Właściwie mamy teraz wolne. Ale jeśli ktoś cię zauważy, Whit albo...

- Nikt mnie nie zauważy. Wrócę tą samą drogą, którą tu przyszedłem. Skradanie się to mój zawód. Ale żeby było bezpiecznie, spotkajmy się około ósmej w Londynie. - Podał jej nazwę bocznej uliczki niedaleko Trafalgar Square. - Później się zastanowimy, dokąd pójść.

- Mogę ci odpowiedzieć później?

- Teraz albo dziś wieczorem odlatuję. I wątpię, żebym kiedykolwiek wrócił, Reggie.

- Nigdy nie dajesz kobietom czasu na zastanowienie się?

- Nigdy.

- Zgoda. O czym będziemy rozmawiali przy kolacji?

- Och na pewno znajdziemy jakiś wspólny temat. Może nawet przyjemny. - Spojrzał na rozciągający się przed nimi cmentarz. - Może ta kola-

cja poprawi ci trochę humor. Chyba tego potrzebujesz.

- Pewnie wydają ci się stuknięta, bo wpatruję się w groby.
- Wcale nie.
- Dlaczego?
- Ponieważ ja też to robię.

69.

Fedir Kuczin niczego nie znalazł i stawał się z tego powodu coraz bardziej sfrustrowany. Krążył po ogromnym domu stojącym tuż nad oceanem, którego temperatura nigdy, nawet w sierpniu, nie przekraczała dziesięciu stopni. Jego podły nastrój był ściśle związany z niepowodzeniem podwładnego. Alan Rice zdobył dostęp do dziesiątków baz danych, ale w żadnej z nich nie natrafił na twarze narysowane przez Kuczina. Wszystkie inne tropy też prowadziły donikąd. Kuczin zaciskał i rozprostowywał nerwowo dłonie, próbując wymyślić jakiś sposób, który pozwoliłby mu posunąć się naprzód.

W końcu włożył kurtkę i wyszedł na zewnątrz. Zabrał ze sobą karabin i kilka nabojów. Pogoda nie przypominała w niczym lata. Nie było tak zimno, żeby mógł spaść śnieg, ale okolica wyglądała tak jak jego rodzinne strony. Może właśnie dlatego zdecydował się zbudować dom w takim miejscu. Zostało z nim dwóch ochroniarzy, którzy mieszkali w drugim budynku oddalonym o pięćset metrów od jego domu. Tu nie groziło mu żadne większe niebezpieczeństwo. Co najwyżej mógł go ubość lub stratować łoś albo karibu.

Przechadzał się, przywołując z pamięci obraz małego chłopca odprowadzającego krzepkiego ojca do pracy. Ojciec był rybakiem i pływał trawletem na Morzu Azowskim, które miało powierzchnię czterdziestu tysięcy kilometrów kwadratowych, i zaledwie piętnaście metrów głębokości. To było naj płytsze morze świata, a woda nie należała do najczystszych. Miżerne głębiny wypełniały ścieki z fabryk.

Od lat siedemdziesiątych brzegi usłane były tysiącami martwych, zmutowanych ryb - ofiar wytworzonych ludzkimi rękami toksyn i odpadów

radioaktywnych. Pływanie w takiej wodzie graniczyło z samobójstwem. A mimo to wszystkie dzieci z wioski Kuczina spędzały lato nad wodą, której temperatura w lipcu przekraczała trzydzieści stopni Celsjusza. Zimą morze było przez kilka miesięcy skute lodem, a dzieci jeździły na samodzielnie wykonanych łyżwach, póki matki nie zaczęły ich wołać z brzegu na obiad. Kuczina pamiętał nawet, jak w wieku siedmiu lat leżał na lodzie i liżał go.

Teraz podobno Morzu Azowskiemu groziło, że stanie się zupełnie martwe, i na najbliższe dwadzieścia lat zakazano tam połowu. To nie było drańskie posunięcie. I tak w ciągu ostatnich czterdziestu lat połowy spadły niemal do zera, bo wszelkie życie w tamtych wodach wyginęło. Mimo to pamiętał dobrze, jak ojciec patroszył ostrym nożem ryby przeznaczone na stół - okonie, jesiotry i makrele. Matka smażyła je potem na wielkiej żeliwnej patelni, dodając, jak na Francuzkę przystało, mnóstwo tajemniczych przypraw i składników.

Na południe stąd znajdowała się cieśnina Belle Isle, a za nią zaczynała Nowa Fundlandia. Kuczina często się tam wspinał i przyglądał statkom przepływającym przez wąski kanał. Czasem także jego ładunek - ten z ludźmi - tędy płynął. Przed osiągnięciem dorosłości życie Kuczina było nierozdzielnie związane z wodą, jak się okazało z zatrutą. Uznał to za cud, że nie umarł na jakąś straszną chorobę, którą wywołałyby płytkie wody Morza Azowskiego. Z drugiej strony być może w tej chwili rozwijał się podstępnie w jego ciele jakiś guz atakujący wnętrzności, niszczący naczynia krwionośne, wdzierający się do mózgu.

Mimo niebezpieczeństw, jakie stwarzało środowisko, rodziła się w nim stopniowo żądza sukcesu. Wszystko, co zaplanował, udawało się. Dlatego obecna sytuacja wydawała mu się nie do zniesienia.

Doszedł do cieśniny Belle Isle i zapatrzył się w wodę, która dla statków płynących Drogą Wodną Świętego Wawrzyńca lub wypływających z portów Wielkich Jezior była najkrótszą drogą do Europy. Jednak mgły, wichury i utrzymująca się przez dziesięć miesięcy w roku kora lodowa sprawiały, że nawigacja była tu wyjątkowo niebezpieczna. Ale w pamięć zapadały przede wszystkim wspaniałe widoki - rzucające się wieloryby, pływające góry lodowe, które oderwały się od lodowców Grenlandii, niesione przez Prąd Labradorski, zderzające się ze sobą i rozpadające na mniejsze kawał-

ki. Belle Isle, od której wzięła się nazwa cieśniny, oznacza piękną wyspę. Znajdowała się ona na wschodnim skraju cieśniny, w połowie drogi między Labradorem a Nową Fundlandią.

Piękno na odludziu, pomyślał Kuczyn. Przez krótką chwilę sądził, że odnalazł piękno w Prowansji - kobietę, która go zaintrygowała, a nawet oczarowała; kobietę, z którą mógłby spędzić więcej niż jedną noc. I ta piękność o mało go nie zabiła. To był ten rodzaj zdrady, który wywoływał w nim największą wściekłość.

Wspiął się na szczyt niewielkiego pagórka i odwrócił plecami do wód zatoki. Przed nim rozciągał się po horyzont płaski ląd. Nowa Fundlandia była czasem nazywana „skałą”. Jej wschodnia część stanowiła kiedyś część Afryki Północnej. Ostatnie zlodowacenie zabrało ze sobą prawie całą ziemię na południowo-wschodnim wybrzeżu, pozostawiając tylko nagie skały. Labrador, najbardziej na wschód wysunięta część tarczy kanadyjskiej, był trzykrotnie większy od Nowej Fundlandii, ale mieszkało tam zaledwie pięć procent populacji Kanady. Panujący w Labradorze klimat określano jako subarktyczny. Na wybrzeżu można było spotkać niedźwiedzie polarne, a karibu było dwadzieścia razy więcej niż ludzi. To tutaj Kuczyn wspinał się na górskie szczyty, łowił ryby w odludnych zatoczkach, przemierzał na nartach tundrę. Tutaj podziwiał zapierające dech w piersiach, wrzynające się w skały fiordy. Zbocza gór były urwiste, a prąd morski wartki.

Kuczyn przyłożył do ramienia karabin i obserwował okolicę przez wyprodukowaną w zakładach Zeissa lunetę, taką samą, jaka była na uzbrojeniu armii Trzeciej Rzeszy. Luneta miała wszystko, co doświadczony strzelec mógł sobie wymarzyć - odpowiednie uszczelnienie i wypełnienie azotem zapobiegające zamgleniu, a wszystko to w lekkim i zgrabnym opakowaniu.

Przy polowaniu na grubego zwierza energia pocisku musiała wynosić co najmniej tysiąc czterysta dżuli. W przypadku największych zwierząt, na przykład łosi, wartość ta powinna sięgać dwóch tysięcy dżuli przy odległości pięciuset metrów. Kuczyn używał pocisków pełnopłaszczowych ze ścięciem dennym o masie stu czterdziestu granów, które powalały praktycznie wszystko, co poruszało się na czterech i na dwóch nogach.

Jego karabin został zrobiony na zamówienie. Był lekki, więc łatwy w użyciu. Kuczyn zdecydował się na broń o mniejszej sile rażenia, co prze-

kładało się na słabszy odrzut i większą celność. Wydał majątek na najlepszą lufę, bo to od jej jakości głównie zależy, czy cel zostanie trafiony.

Jakieś dwieście metrów od niego włożył się mały kojot. Za wcześnie na szukanie pożywienia, pomyślał Kuczyn. Ale w tak odludnym miejscu sprawdzało się pewnie motto: zabijaj, kiedy tylko masz okazję. Obserwując zwierzę przez lunetę, Kuczyn stwierdził, że to chyba samica.

Położył się na brzuchu i oparł łokciami o ziemię. Znieruchomiał, zacisnął palce na kolbie i łożu i rozluźnił mięśnie. To właśnie była recepta na celny strzał - mocno trzymać broń i być rozluźnionym, oddychać łagodnie, nie spieszyć się. Oparł kolbę o ramię i położył palec na zakrzywionym języku spustowym. Po pociągnięciu za spust pocisk wyleci z wydłużonej lufy i trafi w cel. Pokona odległość dzielącą człowieka od zwierzęcia sześć razy szybciej niż pasażerski odrzutowiec.

Kuczyn nie pociągnął za spust. Opuścił karabin. Zwierzę, nieświadome tego, jak bliskie było śmierci z rąk dużo groźniejszego od siebie drapieznika, podreptało dalej, aż wreszcie zniknęło z pola widzenia, a Kuczyn zawrócił do swojego domu na odludziu. Nie bawiło go zabijanie zwierząt. Łowienie ryb też go nie pociągało, choć było zajęciem jego ojca.

Tylko widok istot podobnych do niego potrafił zmotywować go do pociągnięcia za spust, wrzucenia zapalnika do dołu wypełnionego benzyną, wykopania stołka spod nóg czy wbicia noża w pierś. Taką już miał naturę.

Wrócił do domu, powiesił kurtkę na wieszaku przy drzwiach, schował karabin do szafy pancernej i usiadł za biurkiem. W telefonie mrugała lampka. Wiadomość nagrana na automatycznej sekretarce odgoniła wszystkie złe myśli, które przez cały dzień go trapiły.

To był Alan Rice.

- Znaleźliśmy go.

70.

Reggie uwielbiała Trafalgar Square. W tym jednym miejscu skupiało się wszystko, co naprawdę brytyjskie. Był tu lord Nelson na czterdziesto-

sześciometrowym granitowym postumencie, wybawca Imperium Brytyjskiego, czczony za swą heroiczną śmierć pod Trafalgarem. I choć dzieci w wieku szkolnym nie wiedzą już dokładnie, kim był Nelson, to jego pomnik wciąż tam stoi na pamiątkę niezłomności Brytyjczyków.

Są też okropne gołębie. Choć pomnik dokładnie wyszorowano kilka lat temu, a miasto poczyniło kroki, by pozbyć się stąd gruchających skrzydlatych bestii, nic nie zdołało ptaków powstrzymać i biedny admirał był cały pokryty ptasimi odchodami. Na placu ludzie wszelkich ras i wyznań spacerowali, siedzieli, tańczyli, płakali, jedli, pili, robili zdjęcia, czytali, flirtowali, a czasem późno w nocy uprawiali seks. Mijały ich oklejone reklamami kolorowe taksówki i czerwone przegubowe autobusy. Plac stanowił doskonałą mieszankę statecznej historii i radykalnej współczesności. Reggie zapatrzyła się na to wszystko i na chwilę zapomniała, że miała się tu spotkać z człowiekiem, który mógł ją zniszczyć.

Biorąc pod uwagę to wszystko, co przychodziło jej do głowy, dość absurdalne wydawało się, że najbardziej przejęła się tym, co ma na siebie włożyć. Uprała wszystkie ubrania i wybrała bładozieloną prostą sukienkę zwężaną w talii, pasującą do jej opalenizny i kończącą się kilka centymetrów nad kolanami. Zamierzała nałożyć jedyny biustonosz z poduszczeniami, jaki miała, ale w końcu wybrała skromniejszy. Uznała, że nie musi wkładać na sukienkę swetra. Pogoda w Londynie w niczym nie przypominała tej w Leavesden, gdzie zawsze było chłodno. Niebo przejaśniało, temperatura przekraczała dwadzieścia stopni, a lekki wietrzyk z południa potęgował uczucie ciepła. Włożyła buty na wysokim obcasie, dzięki czemu będzie tylko o dwadzieścia centymetrów niższa od mężczyzny, z którym miała zjeść kolację. Włosy upięła wysoko, pozostawiając kilka kosmyków spadających na ramiona. Całości dopełniały masywne niebieskawozielone kolczyki i podobny naszyjnik, które kupiła kilka lat temu w Tajlandii.

Idąc boczną uliczką, w której mieli się spotkać, ukradkiem sprawdziła makijaż w lusterku stojącego przy chodniku motocykla, udając, że podziwia maszynę, choć Shaw przy swoim wroście byłby widoczny z daleka nawet w tłumie ludzi. Tyle że na ulicy było sporo miejsc, w których można się by ukryć, i pewnie ją teraz skądś obserwował.

Pomyślała chwilę i nagle postanowiła się nie przejmować. Rozkładając

szeroko ramiona, wykręciła na jednej nodze piruet niczym królowa piękności na pokazie. Pozwoliło jej to na chwilę zapomnieć o wszystkich troskach i cieszyć się letnim popołudniem w najukochańszym ze wszystkich miast.

Dotyk czyjejś dłoni na ramieniu sprawił, że podskoczyła. Zatrzymała się w pół obrotu i stanęła twarzą w twarz z Shawem. Od razu zauważyła, że on też starannie ubrał się na ten wieczór. Miał na sobie świeżo odprasowane szare spodnie z kantem, białą koszulę polo i granatową marynarkę. Krótkie włosy połyskiwały po myciu szamponem, a policzki były starannie ogolone. Jego zapach przypominał jej luksusową plażę w Tajlandii, na której kupiła naszyjnik i kolczyki od bladego mężczyzny dźwigającego sfatygowaną walizkę pełną świecidełek. Shaw pachniał balsamem, piaskiem, oceanem, kołyszącymi się na wietrze egzotycznymi drzewami; woń była na tyle silna, że Reggie zakręciło się lekko w głowie.

- Wyglądasz wspaniale - stwierdził.

- Koniec z chorobą morską. - Stuknęła obcasem w chodnik. - Nareszcie jestem na stałym lądzie.

Shaw rozejrzał się dookoła, a potem spojrzął na nią. Reggie wiedziała, że tym samym sprawdził, czy nic im nie grozi.

- Lubisz owoce morza? - zapytał.

- Prawdę mówiąc, uwielbiam.

- Znam pewien lokal w Myfair.

- Brzmi wspaniale.

Przez chwilę wahał się, potem wysunął ramię. Szybko chwyciła go pod rękę, żeby nie zdążył się rozmyślić. Uśmiechnęła się do siebie na myśl o tym zawahaniu. Brak pewności tak cudownie uczłowiecza, pomyślała. Lekko ucisnęła jego ramię, dając mu znak, że podjął właściwą decyzję.

- To niedaleko stąd - powiedział. - Jest ładny wieczór, więc możemy się przejść. - Spojrzął na jej buty. - Dasz radę? Możemy złapać taksówkę, jeśli chcesz.

- Dojdę. Ale nie wiem, czy dam radę w drodze powrotnej.

- Mogę cię nieść.

Ruszyli Haymarket Street, przecięli Piccadilly Circus i dotarli do Mayfair.

- Jeszcze tylko kilka przecznic. Za Grosvenor.

- Dam radę.

Obrzucił ją szybkim spojrzeniem.

- Naprawdę nieźle sobie radzisz.

Spojrzała na inne pary.

- To miłe udawać normalność. Choć pewnie dziwaczne.

- Nieprawda. W naszym fachu rzadko zdarzają się takie chwile.

Restauracja mieściła się między dwiema przecznicami; piękne mahoniowe drzwi wejściowe przesłaniała częściowo zielona markiza. Sala wewnątrz była wysoka, wykończona ciemnym drewnem. Skórzane obicia krzeseł, stoły przykryte wykrochmalonymi obrusami, a na nich kryształowe kieliszki do wody i serwetki. Na półmiskach, w lodzie, leżały poukładane koncentrycznie ogony homarów, krewetki, skorupiaki i pająkowate nogi krabów. Shaw przedstawił się i młoda Hinduska o krągłych kształtach, w czarnej sukience tak ciasno opinającej jej ciało, że widać było fason majtek, zaprowadziła ich do stolika pod ścianą w najdalszej części sali.

Shaw usiadł przodem do mahoniowych drzwi. Reggie od razu to zauważyła.

- Pole strzału odpowiednie? - zapytała szelmowsko.

- Może być. Byle nie przeszkodził mi ten półmisek z gotowanymi na parze kalmarami.

- Odnoszę wrażenie, że nie żartujesz.

Shaw wziął do ręki menu. Reggie poszła w jego ślady.

- Co polecasz?

- Właściwie wszystko, co ma pletwy, skrzela i/lub skorupkę, można śmiało zaliczyć do afrodyzjaków.

Reggie odłożyła kartę.

- Może w takim razie wybierzesz coś dla mnie?

Shaw zatopił wzrok w menu.

- Niezdecydowana?

- Raczej na tyle zaciekawiona, żeby zdać się na opinię eksperta.

- Takie słowa można sobie tłumaczyć na wiele sposobów - powiedział otwarcie.

- Owszem. Ale dzisiaj ograniczmy się do jedzenia.

Shaw odłożył menu.

- W takim razie oboje zjemy Primavera Frutti di Mare.

Dodatkowo zamówili butelkę białego wina. Kelner otworzył ją i nalał odrobinę do kieliszka Shawa, który spróbował i skinął z aprobatą głową. Kelner napełnił oba kieliszki, postawił na stole koszyk z pieczywem i butelkę oliwy z oliwek, wino umieścił w rękawie chłodzącym i odszedł.

Stuknęli się delikatnie kieliszkami.

- Czy udawanie normalności mamy już za sobą? - zapytała z rezygnacją.

- Prawie, ale nie do końca.
- Kocham Londyn - powiedziała Reggie, rozglądając się dokoła.
- Jest tu co kochać - przyznał Shaw.
- Mogę ci zadać pytanie?

Milczał, ale wpatrywał się w nią wyczekująco.

- Na cmentarzu w Harrowsfield wspomniałeś, że też patrzysz na groby. Co miałeś na myśli?

- Nie na groby tylko na grób. Jeden.

- Czyj?

- Jest w Niemczech, w małym miasteczku niecałą godzinę drogi od Frankfurtu.

- Powiedziałeś gdzie, ale czyj to grób?
- Kobiety. - Przez jego twarz przebiegi zauważalny skurcz.
- Domyślałem się, że to ktoś ci bliski.
- Bardzo bliski.
- Możesz mi powiedzieć jej imię?
- Anna. I teraz już chyba czas zakończyć udawanie normalności.

71.

Fedir Kuczyn stawał się niecierpliwy, co oznaczało, że zaczynał się denerwować, a to z kolei oznaczało, że znów krążył po pokoju. Wyczerpany odrzutowiec wylądował czterdzieści kilometrów stąd. Kuczyn widział oczami wyobraźni Alana Rice'a wsiadającego do samochodu i jadą-

cego na spotkanie z nim. Rice miał dla Kuczina cenną informację.

Tymczasem musiał czekać. Czterdzieści kilometrów po marnych drogach. To godzina, może nawet więcej, jeśli pogoda jeszcze się pogorszy.

- Wszystko w porządku, panie Waller?

Zatrzymał się i spojrzął na stojącego w progu Pascala, który miał na sobie dzinsy, flanelową koszulę i skórzaną marynarkę. Zawsze nosił marynarkę, a pod nią broń, Kuczin dobrze o tym wiedział. Pascal nie wrodził się w wysokiego ojca, tylko w drobną, szczupłą matkę. Rysy twarzy też miał jej. Geny greckie pokonały ukraińskie. Teraz tę twarz zdobiły dodatkowo żółtopurpurowe siniaki, dzieło dryblasza, który obił ich obu potężnie w katakumbach kościoła w Gordes.

- Tylko myślę. Pozostali będą tu za jakąś godzinę. Jak się czujesz?

- Nieźle.

Kuczin musiał przyznać, że ten drobny mężczyzna był twardy. Nawet gdyby ręka mu dyndała tylko na skrawku skóry, poprosiłby pewnie co najwyżej o aspirynę, albo i nie.

Jest twardy jak jego ojciec.

Romans był krótki, ale gorący. Kuczin w nagrodę za swoją służbę na Ukrainie został wysłany na urlop do Grecji. W promieniach cudownego słońca, jakiego w Związku Radzieckim nigdy nie widział, zaciągnął do łóżka kobietę, a ona zaszła w ciążę. Kuczin nie był obecny przy narodzinach dziecka, ale to on wybrał mu imię. Pascal to francuskie imię męskie. Po łacinie oznacza ono Wielkanoc, a po hebrajsku - paschę. Kuczin dał synowi imię na cześć matki Francuzki, na dodatek Żydówki, która jako mała dziewczynka przeszła na katolicyzm. Nigdy nikomu nie mówił o jej pochodzeniu ani wierze. W kręgach władzy w Związku Radzieckim mogłoby to zostać źle odebrane.

- Dobrze się spisujesz, Pascal - powiedział Kuczin. Patrząc na jego twarz, odnosił wrażenie, że widzi w niej swoje odbicie. Wysyłał go jako najemnika w różne zakątki świata. Szkolili go najlepsi wojskowi. Walczył w Kosowie i Słowacji, Bośni i Hondurasie, Kolumbii i Somalii. Pascal zawsze wracał do ojca z uśmiechem na twarzy, bogatszy o nowe doświadczenia. Kuczin nauczył go też kilku starych sztuczek, choć z raczej umiarkowaną ojcowską dumą. W końcu to bękart... ale też jego jedyny potomek.

Nie dość bystry, by przejąć interesy, ale wystarczająco sprytny, żeby chronić tych, którzy potrafili pomnażać pieniądze.

- Dziękuję panu. Proszę mnie wezwać, jeśli będzie pan czegoś potrzebował.

Pascal wyszedł, a Kuczin potarł dłonią bliznę na nadgarstku. Był to ślad po żyłce, która wpiła mu się w skórę, kiedy jako dziecko wyłowił pięciokilogramową rybę. Tak właśnie ojciec uczył go posłuszeństwa. Lekcjom tym często towarzyszyły pijackie krzyki i uderzenia pięści. Zdarzało się, że wieszał go za ręce niczym zdobycz, tak że ledwie dotykał palcami nóg lodowatej podłogi. Trwało to godzinami i Kuczin nieraz myślał, że zerwie sobie ścięgna.

Także na plecach miał ślady brutalnego traktowania. Jego skórę znaczyły blizny po klamrze pasa i kołowrotku wędki. Takich lekcji udzielał ojciec swojemu jedynakowi.

Dobra matka zawsze go broniła, a nawet atakowała o wiele silniejszego męża. Za lojalność wobec dziecka spotykało ją jeszcze okrutniejsze traktowanie. Po porządnym laniu często godzinami leżeli na podłodze, tuląc się do siebie, płacząc, szepcząc po francusku, tak by ojciec ich nie usłyszał, bo mógłby znowu dostać ataku szału.

Kuczin nie powiedział prawdy Alanowi Rice'owi ani później Janie Collins, czy jak tam ona się naprawdę nazywała. Jego ojciec nie umarł w wyniku upadku w domu w Roussillion. W tamtych czasach biedna ukraińska rodzina nie miała szans zdobyć dość pieniędzy, ani tym bardziej pozwolenia na podróż za granicę. Nie dotarli nawet nigdy do granicy. Nie mieli odpowiednich dokumentów ani racjonalnego powodu, by wydostać się z radzieckiego imperium. Zostaliby z miejsca rozstrzelani, a ich ciała pozostawiono by w miejscu egzekucji jako ostrzeżenie dla innych nieposłusznych. Zresztą Kuczin musiał przyznać, że takie ostrzeżenie byłoby bardzo skuteczne. Sam później postępował w podobny sposób.

Dopiero kiedy awansował w KGB, jako lojalny funkcjonariusz mógł wyjeżdżać za granicę. Otrzymał specjalne pozwolenie na zabranie matki do miasta, w którym się urodziła. Przedwcześnie się postarzała i nie zostało jej wiele życia. Dom rodzinny stał pusty, a Kuczin, choć nie miał zbyt dużo pieniędzy, odkupił go. Spędziła tam szczęśliwe ostatnie pięć lat życia. Od-

wiedział ją, kiedy tylko mógł. Nazywała go francuskim imieniem, które w jej starczym umyśle wydawało się prawdziwe. Kuczyn, do szpiku kości obywatel radziecki, zabiłby każdego, kto ośmieliłby się w ten sposób do niego zwrócić, ale kiedy robiła to stara, umierająca matka, kiwał tylko głową, ścisnął jej spracowane ręce i odpowiadał, jak przystało na grzecznego francuskiego chłopca.

Spojrzał przez okno na pobliskie wybrzeże. Nasłuchiwał odgłosu opon toczących się po drobnym żwirze, którym wysypane było podwórko po drugiej stronie drogi. Spojrzał na zegarek. Alan Rice powinien się zjawić za niecałe dwadzieścia minut. Wrócił spojrzeniem do wody. Pojawiły się kolejne wspomnienia, tym razem szczęśliwe.

Miał plan, ale Morze Azowskie było za płytkie. Dlatego pewnej bezkسیężycowej, wrześniowej nocy, dorosły już i bardzo silny Kuczyn, ceniony funkcjonariusz Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego, czyli KGB, wyciągnął ojca z chałupy, wsadził do łodzi i wypłynął na głębsze wody. Przez Cieśninę Kerczeńską przepłynęli na Morze Czarne, dziesięciokrotnie większe od Azowskiego. A co ważniejsze, jego głębokość miejscami wynosiła ponad dwa tysiące metrów.

Rzucił kotwicę i z pomocą trzech kolegów, których zabrał na tę wyprawę, związał ojca najmocniejszą żyłką wędkarską. Stary Kuczyn wybałuszał oczy ze strachu, nie wiedząc, co się dzieje. Przytwierdzili do jego ciała dwie metalowe beczki wypełnione piaskiem. To była ulubiona technika służb bezpieczeństwa pozbywania się niewygodnych ludzi. Oficerowie KGB nazywali ją „złotymi kapturami”.

Kuczyn po raz ostatni spojrzał ojcu w oczy. Teraz ich role się odwróciły. Ten dotychczas potężny stał się mały, a dziecko wyrosło na silnego mężczyznę zdolnego pokonać potwora, który przez tyle lat brutalnie go karał. Odezwał się do niego w dwóch językach. Najpierw wypowiedział po francusku kilka słów, które starzec powinien choć z grubsza zrozumieć. A następnie po ukraińsku - w języku doskonale temu bydłakowi znanym.

Beczki poszybowały za burtę i po chwili pociągnęły za sobą krzyczącego z przerażenia starca. Już było po wszystkim. Kuczyn chwycił ster i skierował łódź z powrotem. Tylko raz obejrzał się na miejsce, gdzie wydał z siebie ostatnie technienie człowiek, który uczynił mu tyle złego. Więcej już

o nim nie myślał.

Pojawił się samochód. To przyjechał Alan Rice z obiecanyimi informacjami.

Teraz Fedir Kuczina musiał wytropić i złapać kolejnego przeciwnika, który ośmielił się podnieść na niego rękę.

72.

- **N**ie przyleciałeś firmowym samolotem, prawda? - upewnił się Kuczina.

- Nie. Tak jak kazałeś, wynająłem prywatny samolot. Nikt nie powiąże tego z tobą czy ze mną.

- I siedziałeś w kryjówce za miastem?

- Zgodnie z twoim poleceniem. Prowadziłem interesy przez bezpieczną linię telefoniczną i łącza komputerowe. - Przerwał na chwilę. - Myślisz, że chcą mnie dopaść?

- Nie. To mnie próbują znaleźć, ale w poszukiwaniach mogą się posłużyć tobą. Mogłem cię zabić albo dobrze ukryć. Wybrałem to drugie.

Rice sprawiał wrażenie, jakby mu nagle zrobiło się słabo.

Kuczina ścisnął jego ramię.

- A teraz melduj.

- To niesamowite, że udało nam się tam włamać. Stosują bardzo zaawansowaną technologię. Zaczęliśmy od...

Kuczina uniósł rękę w ostrzegawczym geście.

- Do rzeczy, Alan.

- W bazach danych, do których mieliśmy dostęp, niczego nie znaleźliśmy. Może gdybyśmy mieli dostęp do baz amerykańskich albo Interpolu, to co innego. Dlatego musieliśmy spróbować inaczej. Liczba danych była gigantyczna, a protokoły dostępu skomplikowane, ale...

- Do rzeczy! - warknął Kuczina.

- Skupiliśmy się na kamerach przemysłowych.

- Na kamerach przemysłowych? Możesz to wyjaśnić?

- W dzisiejszych czasach kamery są wszędzie. Nie mówię o ludziach, którzy robią aparatami w telefonach komórkowych zdjęcia i umieszczają je potem w Sieci. Mam na myśli kamery w bankomatach, urzędach, sądach, na ulicach, lotniskach, dworcach kolejowych i w milionach innych miejsc. Londyn to jedna wielka kamera. W rezultacie mamy dosłownie biliony bajtów zdjęć umieszczonych na mnóstwie serwerów. To znacznie ułatwia pracę policji. Jeśli dochodzi do przestępstwa w miejscu publicznym, istnieje duża szansa, że zostało ono uchwycone przez jakąś kamerę.

- W czym to nam może pomóc? Czy w starym Gordes też są kamery?
- zapytał sceptycznie Kuczin.

Rice położył na drewnianym stoliku do kawy laptop i otworzył go.

- Nie. Podeszliśmy do tematu z innej strony. Musisz wiedzieć, że wiele tych danych nie jest przechowywanych. Małych firm i miasteczek nie stać na przechowywanie takiej masy danych. Nawet wielkie korporacje mają z tym problem. Co wtedy robią takie firmy?

- Zlecają przechowywanie danych wyspecjalizowanym firmom.

- Właśnie. Dlatego mnóstwo danych jest przechowywanych na gigantycznych serwerach w różnych częściach świata. Wyobraź sobie wielką szafę na dokumenty, podzieloną na poszczególne kraje, miasta, miasteczka i wsie, albo na budynki rządowe, banki, sklepy, nawet obiekty wojskowe i dziesiątki innych kategorii. Zdjęcia są zwykle przechowywane przez wiele lat. I wszystkie są w postaci cyfrowej. W ten sposób zajmują mało miejsca.

- Nigdy nie wiadomo, kiedy takie zdjęcie może okazać się potrzebne.

- Otóż to. Załóżmy, że mamy zdjęcie pracownika, który tygodniami spotyka się poza firmą z tą samą osobą. W danej chwili może to nie mieć żadnego znaczenia, ale za dwa lata, kiedy skradzione zostaną tajne dokumenty firmy, może się okazać, że maczał w tym palce ten właśnie pracownik.

- Rozumiem. Mów dalej.

- Już wiele lat temu znaleźli się ludzie, którzy dostrzegli sposobność zbicia na tym majątku. Z faktu, że wszyscy żyjemy w domu Wielkiego Brata, stworzyli globalny biznes. Doszli do wniosku, że przechowywane dane mogą być interesujące dla różnych ludzi, nie tylko dla prawowitych właścicieli. A to dlatego, że kamera rejestruje wiele przypadkowych rze-

czy. Jeśli potrzebne ci kompromitujące zdjęcie jakiejś osoby, a wiesz, że znajdowała się w określonym miejscu, jest bardzo prawdopodobne, że jakaś kamera tę osobę uwieczniła.

- Więc ci ludzie sprzedają zdjęcia?

- Właśnie. Za odpowiednią opłatą wyszukują odpowiednie zdjęcia. I z tego właśnie skorzystaliśmy. Wysłaliśmy pewnej dobrze znanej firmie zajmującej się gromadzeniem danych cyfrowe zdjęcia twoich portretów i fotografię kobiety. Oni przeszukali swoje zasoby. Za pierwszym razem wynik był negatywny, ale za drugim się udało.

- I co macie?

Rice wcisnął kilka klawiszy i obrócił laptop monitorem w stronę Kuczina.

- Tylko jedno trafienie, ale lepsze to niż nic. To Zurych. Przed hotelem, siedem miesięcy temu.

Kuczin pochylił się i uważnie studiował zdjęcie. To był ten sam wysoki mężczyzna.

- Ale kim on jest?

- Jeszcze nie wiemy.

Kuczin uderzył otwartą dłońią w stół.

- W takim razie zdjęcie nie ma dla mnie żadnej wartości.

- Zaczekaj, Evan, jest coś jeszcze. Spójrz na kobietę obok niego.

Kuczin ponownie skierował spojrzenie na ekran.

Kobieta była wysoką, szczupłą blondynką. Kuczin zauważył, że dotyka dłońią ręki Shawa.

- Oni są razem? - zapytał.

- Na to wygląda. Sprawdziliśmy w hotelu. Nie mieli na ich temat żadnych informacji, więc daliśmy do porównania z bazą danych jej zdjęcie.

- I macie coś?

- Nawet dużo. - Rice wręczył mu teczkę. - Wiem, że wolisz papiery.

Kuczin wziął teczkę, ale jej nie otworzył.

- Jak ona się nazywa?

- Katie James.

73.

- **M**ożemy zjeść, zanim skończy się czas udawania? - zapytała poważnym tonem Reggie.

- To dla ciebie tyle znaczy?

- Owszem.

Shaw zerknął na kręcącego się w pobliżu kelnera.

- Zgoda, to i tak nie jest odpowiednie miejsce.

Kiedy pojawiły się ich talerze, rozmawiali tak, jak rozmawialiby inni ludzie podczas kolacji. Zamówili kolejną butelkę wina, tym razem czerwonego, i wypili ją. Przyszła kolej na kawę i udekorowany białym lukrem deser kokosowy. Shaw zapłacił rachunek kartą kredytową.

- A. Shaw? - powiedziała na głos Reggie, odczytując ukradkiem nazwisko z karty. - Co oznacza to A?

- Absolutnie nic.

Podpisał się na rachunku, wstali i wyszli z restauracji. Wieczór był ciepły jak na londyńskie warunki, choć Reggie zaczęła żałować, że nie wzięła ze sobą swetra. Shaw zauważył, że drży z zimna, zdjął marynarkę i zarzucił jej na ramiona. Zwisła długa niczym sukienka.

- Rozmiar czterdzieści sześć? - zapytała, biorąc do ręki materiał.

- Coś w tym rodzaju. Jak twoje nogi?

- To zależy, dokąd idziemy.

- Mój hotel jest tam. Dziesięć minut taksówką.

Reggie wyglądała na zaskoczoną.

- Twój hotel?

- Możemy pójść do ciebie.

- Dłaczego mielibyśmy iść do hotelu albo do mnie?

- W takim razie znajdziemy jakiegoś miejsce publiczne i porozmawiajmy.

Miejmy nadzieję, że nikt nas nie będzie podsłuchiwał.

Reggie pomyślała o opętanej seksem parze, która mieszkała nad nią.

- U mnie nie jest dostatecznie cicho - odparła.

- A u mnie tak.

- Gdzie to dokładnie jest?

- Hotel Savoy. Niedawno go otworzyli po remoncie. Z okien mam piękny widok na rzekę.

- Pamiętasz, jak upominałeś mnie, żebym nie była bezczelna? Pójście z tobą do hotelu o tej porze byłoby właśnie takim zachowaniem.

- Co było, to było. Możemy pojechać taksówką. To tam, na Strand Street.

- Wiem, gdzie jest Savoy.

- W takim razie chodźmy.

Rezolutny taksjarsz, mający w głowie całą mapę Londynu, powiózł ich Piccadilly do Haymarket, okrążył lorda Nelsona z jego armią gołębi i skręcił w Strand.

- Zawsze mnie dziwiło, dlaczego jedynym miejscem w Wielkiej Brytanii, gdzie jeździ się po prawej stronie, jest ta mała uliczka prowadząca do hotelu Savoy - odezwał się Shaw.

- To dlatego, że hotelowy podjazd był zbyt wąski dla stangretów - wyjaśniła i Shaw spojrział na nią z lekkim rozbawieniem. - No co? W końcu jestem Angielką.

Minęli recepcję, pokonali kilka stopni schodów i dalej wjechali windą. Kiedy znaleźli się w pokoju, Shaw zamknął drzwi, położył klucz na stole i wskazał Reggie krzesło, a sam usiadł na brzegu łóżka.

- Przekłęte obcasy. - Reggie zdjęła buty i zaczęła masować obolałe stopy. - I co teraz?

- Teraz porozmawiamy o przeżyciu.

- Twoim czy moim?

- Obojga, jeśli nam się poszczęści.

- Może mi się tylko wydawało, ale twój szef nie wydawał się skory do współpracy z nami. Raczej miał ochotę nas aresztować.

- A powinien to zrobić?

Reggie spoważniała.

- Nie mam zamiaru myśleć za niego.

Shaw otworzył znajdujący się w szafie hotelowy sejf i wyjął z niego papierową teczkę. Przerzucił kilka stron.

- Fedir Kuczyn. Poczytałem sobie o nim.

- Mogłam ci zaoszczędzić trudu. Mamy na jego temat mnóstwo do-

kumentów.

- Wszyscy myśleli, że on nie żyje. Miał zginąć w czasie rozruchów na Ukrainie przed upadkiem muru berlińskiego.

- To była starannie zaplanowana ucieczka. Wielu z nich tak zrobiło.

Shaw spojrzął na nią znad papierów.

- Wielu z nich? Ciekawy dobór słów. Czym ty i twoi towarzysze właściwie się zajmujecie w Harrowsfield?

- Czymś, o czym nie mogę ci powiedzieć. Nigdy.

- Chyba będziesz musiała.

- Dlaczego? Już zdążyłeś powiedzieć swojemu szefowi o Harrowsfield?

- Niczego mu nie powiedziałem. Chodzi mi o to, że możesz potrzebować przyjaznej duszy.

- I to ty masz być tą przyjazną duszą? - zadrwiła.

- Nie powiedziałem, że chodzi o mnie. Zbyt mało wiem, by mieć pewność, czy chcę być twoim przyjacielem.

- Czyli możesz stanąć przeciwko nam?

- Po prostu powiedz mi coś.

Reggie podniosła się i zaczęła przechadzać na bosaka po miękkiej wykładzinie, zginając palce, by pozbyć się skurczów.

- To nie takie proste. W tej sprawie nic nie jest proste, Shaw.

- To zależy od ciebie.

- Daj spokój z tą gównianą logiką.

- Trudno cię przekonać, żebyś mi zaufała. Myślałem, że tam, w Gordes, zasłużyłem sobie na twoje zaufanie.

- Co było, to było - powtórzyła jego słowa.

- Widzę, że ryzykowanie życia niewiele dla ciebie znaczy.

Reggie zatrzymała się i usiadła obok niego na skraju łóżka. Wbiła wzrok w podłogę i westchnęła.

- Owszem, znaczy.

- O co w takim razie chodzi? Wiem, że Kuczyn to zły człowiek.

- Ale wiesz także, co zamierzaliśmy z nim zrobić.

- To zupełnie oczywiste.

- Ty się chyba nie kierujesz takimi zasadami.

- Dopóki nie staję przed wyborem: oni albo ja. W takiej sytuacji zrobię wszystko, żeby wyjść z tego cało.

- Różnimy się podejściem.

- Już powiedziałem, że nie mam prawa nikogo aresztować.

- Jasne, oczywiście. - Wstała, podeszła do okna i odsunęła zasłony.

- Najpiękniejszy widok Londynu - powiedział Shaw, stając obok niej.

Reggie, wdzięczna za tę chwilową zmianę tematu, wskazała rześcicie oświetloną konstrukcję w oddali.

- Byłeś kiedyś na Kole Millenijnym?

Konstrukcja wyglądała jak diabelski młyn po zażyciu hormonu wzrostu.

- Tylko raz i to dlatego, że facet, którego śledziłem, miał ochotę się przejechać.

Reggie wskazała kolejną konstrukcję.

- Wiesz, że Claude Monet namalował most Waterloo z balkonu tego hotelu? A Fred Astaire tańczył na jego dachu?

- Tego nie wiedziałem.

Zasunęła zasłony i odwróciła się do niego.

- Ale najdziwniejsza historia na temat hotelu Savoy, jaką kiedykolwiek słyszałam, to opowieść o kocie Kasparze.

- Kocie Kasparze?

- Tak. Kaspar jest najstarszym rezydentem tego hotelu. Kiedy podczas uroczystej kolacji jest trzynastu gości, pojawia się Kaspar i zajmuje czternaste miejsce.

- Czy to wynika z przesądu, że pierwsza z trzynastu osób, które wyjdzie z przyjęcia, umrze?

- Zgadza się. Agatha Christie chyba napisała nawet na ten temat powieść.

- Ale jeść z kotem?

- Kaspar jest wyrzeźbiony z drewna, więc nie przeszkadza w jedzeniu, a służy swoim towarzystwem.

- Ładna historia - podsumował Shaw.

- Prawda?

- Ilu było takich Kuczynów? - zapytał Shaw.

- Wydedukowałeś to z mojego mało precyzyjnego doboru słów? To

daleko posunięte przypuszczenia.

- Nie sędzę.
- Dlaczego?
- Byliście za dobrzy w tym, co robicie, jak na pierwszy raz.
- Nie jestem pewna, czy byliśmy dobrzy. Sam powiedziałaś, że Gordes to była jedna wielka obsuwa.

- W trakcie operacji zdarzają się różne rzeczy, nieważne, jak dobrze ją przygotujesz. Ale widzę, że macie dwa duże problemy i na dodatek mogą one się ze sobą łączyć.

Usiadła na łóżku i spojrzała mu w oczy.

- Dobrze. Mów.
- Po pierwsze, twoi ludzie dali się wciągnąć w pułapkę. A to oznacza, że ktoś was śledził albo że macie w swoich szeregach kreta.
- A drugi?
- Kuczyn wcięż żyje. - Shaw postukał dłonią w tekturową teczkę. - I nie daruje wam tego, chyba że w ostatnich latach zlagodniał. Ale biorąc pod uwagę, co zrobił z muzułmanami, nie zmienił się. Sprawa staje się jeszcze bardziej skomplikowana, jeśli ma u was wtyczkę.

- Gdyby miał, to nie dałby się zaciągnąć do katakumb.
- Nie jestem pewien. Tak czy inaczej, rodzi się pytanie, co dalej zamierzacie.
- Szczerze mówiąc, z taką sytuacją nie mieliśmy nigdy do czynienia.
- Chciałbym wam pomóc.
- Zaufaj mi, nie wiesz, w co się pakujesz.
- To ja cię proszę o to jedno, zaufaj mi.
- Nigdy nikomu nie ufałam. Czasem nie ufam nawet sobie.

Przysiadł obok niej na łóżku.

- Jak się wpakowałaś w coś takiego?
- A jak ty się wpakowałeś w to, co sam robisz? - zapytała ze złością.
- Prawdę mówiąc, stało się trochę wbrew mej woli.
- A ja się zgłosiłam na ochotnika.
- W takim razie ja na ochotnika będę ci towarzyszył.
- Po co? Dlaczego chcesz mi pomagać?
- Rzadko mam szansę komuś pomóc. Kiedy trafia się okazja, staram

się ją wykorzystać.

Jej złość minęła; dotknęła dłonią jego policzka.

- Kim była Anna?
- Kobieta, na której mi zależało. Już ci mówiłem.
- Przykro mi.
- Mnie też.
- Ja nie jestem Anną.

Zamrugał oczami.

- Wiem. Nikt nie może być Anną. - Chciał coś dodać, ale zasłoniła mu usta dłonią.

- Proszę. Nic nie mów.

Patrzył na nią. Jej dłoń ześlizgnęła się z ust na policzek.

- Reggie?

Potrząsnęła głową, wstała, rozpięła sukienkę i zsunęła ją z siebie. Stała teraz przed nim w samych majtkach i biustonoszu.

Zdawało się, że czeka, by Shaw ją powstrzymał. Ale nie odezwał się słowem, tylko patrzył na nią. W końcu położył dłoń na jej biodrze i lekko uściśnął. Popchnęła go na łóżko i usiadła na nim okrakiem.

Wpiła się w jego usta, ugryzła w dolną wargę, zaczęła mu całować szyję i twarz, a potem wróciła do ust. W pośpiechu zrzucił z siebie ubranie, a ona stanik i majtki. W ich ruchach była energia, złość i desperacja, a nawet z trudem hamowana gwałtowność.

Ociekali potem; hotelowa klimatyzacja nie mogła sobie poradzić z ciepłem, jakie wydzielały ich złączone ciała. W końcu opadli bez sił, ona z włosami na jego twarzy, on z kolanem pomiędzy jej udami. Poglądziła go po twarzy i lekko pocałowała.

Shaw leżał z zamkniętymi oczami, jego oddech powoli stawał się regularny.

- Wygląda na to, że robiłeś to tak samo dawno jak ja - wydyszała ciężko.

Wyswobodził się z jej objęć i oparł o wezglowie łóżka.

- Powiedziałaś coś złego?
- Nic złego nie zrobiłaś, Reggie.

Wtuliła się w niego, bawiąc się włosami na jego piersi.

- Moglibyśmy tak pozostać przez jakąś chwilę? Na przykład przez kilka lat?
 - Zestarzelibyśmy się, nie sądzisz?
 - Chciałabym się o tym przekonać.
- Nie przypuszczam, pomyślał Shaw.

74.

Następnego ranka, po godzinach głębokiego snu, obudzili się późno i weszli razem pod prysznic. Namydłali się wzajemnie, a już po chwili znów kochali się w strugach gorącej wody. Kiedy było po wszystkim, ubrana Reggie usiadła na łóżku obok okrytego tylko szlafrokiem Shawa.

- Dokąd nas to wszystko zaprowadzi? - zapytała, próbując uchwycić jego spojrzenie.

- Sam nie wiem. Na razie nie rozwiązaliśmy jeszcze problemu Kuczina. A ty nadal nie pozwalasz sobie pomóc.

- Miałam na myśli ostatnią noc.

Spojrzał na nią z lekkim zakłopotaniem.

- Dziewczyny zawsze mają wątpliwości. Wy, faceci, bierzecie wszystko za dobrą monetę.

- Było cudownie, ale i tak muszę wiedzieć, czemu służyła wasza operacja.

- Cóż za subtelność. Niestety, jeśli zdradzę ci szczegóły, podzielisz się nimi ze swoimi kolegami. A na to nie mogę pozwolić.

- A zaufanie?

- Mówiłem już, nikomu łatwo nie uwierzę.

- Ani ja. Ale do ciebie chyba mam zaufanie.

- Chyba?

- Na pewno większe niż ty do mnie.

- Więc twoim zdaniem Kuczina będzie na nas polował i może mieć w naszych szeregach kreta?

- Będzie na was polował, nawet jeśli nie ma wśród was zdrajcy.

- Nie byłabym taka pewna. Działaliśmy pod doskonałą przykrywką.
- Czy doskonałą, przekonasz się, kiedy on to sprawdzi. A sprawdzi na pewno. Nie posprzątałaś po sobie. Działałaś w pośpiechu. Mogłaś zostawić jakieś ślady. Ktoś mógł coś widzieć lub słyszeć. A on nie spocznie, póki cię nie dopadnie. Będzie o tym myślał non stop.

- Dlaczego tak uważasz?

- Bo ja bym tak postąpił.

- Miło słyszeć, że macie podobny punkt widzenia. Ale ty też jesteś na jego celowniku.

- Zgadza się. Dlatego proponuję współpracę. Może dzięki temu dopadniemy go, zanim on dopadnie nas.

- Jemu nie chodzi konkretnie o ciebie. Chcesz powiedzieć, że jesteś gotów świadomie ściągnąć na siebie jego uwagę?

- Jeśli będzie trzeba...

- Ten twój Frank chyba tego nie zrozumie.

- Owszem.

- Po co w takim razie to robisz?

- Bo nie chcę do końca życia nerwowo się za siebie oglądać.

Spojrzała na niego dociekliwie.

- To jedyny powód?

- Powiedzmy, że jeden z wielu.

- Powiedziałeś, że ktoś od nas był gotów cię zabić. I co w takim razie?

Nie zamierzam ci pomagać w braniu odwetu na moich kolegach.

- Nawet jeśli chcieli mnie zamordować?

- Spokojnie.

- Harrowsfield...

- Co Harrowsfield?

- Zabierz mnie tam.

- Żartujesz? - Reggie była kompletnie zaskoczona.

- Zabierz mnie tam.

- Czyś ty oszalał? Mam tam wejść jak gdyby nigdy nic i powiedzieć: „Cześć, to jest Shaw. Za cholerę nie wiem, kim jest naprawdę, ale może napijemy się wspólnie herbaty i będziemy dla siebie mili?”.

- Wyjaśnienie pozostawiam tobie.

- Chyba nie mówisz poważnie?
- Owszem, jestem bardzo poważny.
- A jeśli odmówię?
- Wtedy zadzwonię i nic już nie będzie zależało ode mnie. A wy pójdziecie na dno.

Podniosła się powoli i spojrzała na niego z góry.

- Naprawdę mógłbyś to zrobić? Po tym, co wydarzyło się w tym łóżku? I pod cholernym prysznicem?

- Zapomniałaś o podstawowej regule w tym fachu? Sprawy osobiste zostawia się za drzwiami. Tylko amator może o tym zapomnieć albo w ogóle tego nie zrozumieć.

- Więc po prostu mnie przeleciałeś, a teraz mi grozisz? Ty draniu! - Chciała go uderzyć, ale chwycił ją za rękę.

- Chyba nie rozumiesz, Reggie, że wystawiam się na strzał, żeby ci pomóc. Przecież łatwiej mu będzie dopaść ciebie i twoich ludzi. A ja chcę go powstrzymać. Musisz mi zaufać. Nie traktuję lekko tego, co zaszło między nami. Jeśli takie tłumaczenie ci nie wystarczy, możesz mnie uderzyć. Ale zrób to z całych sił. Masz jedyną okazję.

Puścił jej rękę i czekał.

Patrzyli sobie w oczy przez kilka długich minut. W końcu odezwała się:

- Ubierz się. Muszę pójść do siebie i przebrać się. Poza tym chyba należy mi się od ciebie porządne angielskie śniadanie, zanim pojedziemy do cholernego Harrowsfield.

75.

Shaw wypił trzy filiżanki kawy, podczas gdy Reggie zjadła chyba największe śniadanie w swoim życiu.

- Seks dodaje ci apetytu? - zapytał Shaw.
- Nie chodzi o seks.
- W takim razie o co?
- O poczucie winy.

- Nie musisz się czuć winna.
- Może twoim zdaniem nie, ale czuję się okropnie.

Pojechali do jej mieszkania metrem. Shaw zaczekał na dole, aż Reggie się przebierze w jasne dżinsy, dżinsową koszulę i buty na płaskim obcasie. Wyprowadzili z garażu jej smarta i ruszyli w kierunku Leavesden. Shaw dotykał głową sufitu i opierał się kolanami o deskę rozdzielczą. Reggie wydawała się zadowolona, widząc, jak się męczą.

- Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł - odezwała się, kiedy skręcili w drogę prowadzącą do starej bramy wjazdowej.

- Weź głęboki oddech i jedź dalej.

Zatrzymali się pod domem i wysiedli z samochodu. Kiedy szli w stronę drzwi wejściowych, Shaw czuł na sobie czyjś wzrok. Drzwi otworzyły się, zanim Reggie zdążyła nacisnąć klamkę.

W progu przywitał ich Whit z bronią gotową do strzału.

- Nie mogę uwierzyć, że przyprowadziłaś tu tego faceta. Oszalałaś?
- Nie miała wyboru - odparł Shaw. - Mogła sprowadzić tu mnie albo gliny.
- Skąd wiesz o tym miejscu? - dociekał Whit.
- Trudno zachować tajemnicę.
- Posłuchaj, Whit - zaczęła Reggie - musimy wszyscy usiąść i porozmawiać.

- Przekroczyłaś wszelkie granice. - Whit wskazał palcem Shawa. - Ten facet sprowadzi na nas nieszczęście.

- Rusz głową, Whit - odparł Shaw. - Gdybym chciał wam zaszkodzić, nie musiałbym się tutaj pojawiać. Wystarczyło nasłać na was policję.

Whit spojrział na niego, potem na Reggie i ponownie na Shawa.

- To czego właściwie chcesz?
- Chcę wam pomóc.
- Jasne, więc to ty jesteś tym dobrym duszkiem, który grzeczne dziewczynki i chłopców posypuje magicznym proszkiem?
- Nie obchodzi mnie, co myślisz. Przyszedłem tu, żeby porozmawiać z ludźmi kierującymi tą „operacją”, więc nie o ciebie mi chodzi. Zejdź z drogi albo spróbuj mnie zatrzymać.

Whit spojrział na barczystego, prawie dwumetrowego Shawa i na jego

doskonale widoczne pod koszulą mięśnie.

- Wchodź, koleś. Ale pamiętaj, że cię ostrzegałem.

Kiedy Shaw się poruszył, Whit wymierzył w niego broń, a właściwie próbował to zrobić. Shaw popchnął go ramieniem na ścianę, wyrwał mu pistolet z dłoni, kopnięciem ściał go z nóg i przycisnął butem jego głowę do podłogi. Wyjął magazynek, cofnął zamek, usunął nabój z komory, magazynek schował do kieszeni, a pistolet rzucił Whitowi. Następnie schylił się, chwycił go za ramię i postawił na nogi.

- Jeśli chcecie dopaść Kuczina, to czas rozpocząć operację.
- Jaką operację?
- Tę, którą wspólnie z nim zaplanujemy - odrzekła ze złością Reggie.
- Chyba niespecjalnie ci się to podoba - zauważył Whit, rozcierając obolałe ramię.

Reggie zerknęła na Shawa.

- Słyszałeś, co powiedział. Nie miałam specjalnego wyboru. Gdzie jest profesor?

- Jestem tutaj.

Spojrzeli w głąb korytarza. Profesor Miles Mallory trzymał w dłoni pistolet wycelowany w Shawa.

- Zechce pan wejść, panie Shaw? - odezwał się Mallory. - Musimy zamienić kilka słów. I jeszcze jedno, broń jest naładowana, a ja całkiem dobrze strzelam.

Shaw nie wahał się ani chwili i ruszył do środka.

- Z przyjemnością, profesorze. Mam nadzieję, że dowiem się, dlaczego uznał pan, że należy wstrzyknąć mi dawkę jadu kielbasianego, która mogłaby powalić nosorożca.

76.

Kuczina spędził cały dzień na czytaniu zebranych dokumentów dotyczących Katie James. Kiedy skończył, wezwał do siebie Rice'a.

- Jest tu mnóstwo informacji, ale w zasadzie żadnych o tym, gdzie ak-

tualnie przebywa.

- Miała apartament w Nowym Jorku, ale straciła pracę, nie była w stanie opłacać czynszu i została z niego wyrzucona. Nie zostawiła żadnego adresu. Z tego, co wiemy, ma zwyczaj zatrzymywać się na kilka dni czy tygodni u dawnych kolegów rozrzuconych po świecie.

- Pamiętam artykuł, nad którym ostatnio pracowała - powiedział Kuczyn.

- Katie James odegrała kluczową rolę w ujawnieniu całego spisku. Choć do tej pory nie wiemy o nim wszystkiego.

- Zatuszowali to - uznał Kuczyn. - Prawda mogłaby być kłopotliwa dla różnych ważnych ludzi. Zawsze tak się dzieje.

Rice poklepał dłonią stertę papierów.

- Katie James jest niewątpliwie świetną dziennikarką, ale wątpię, żeby rozegrała to wszystko sama.

- Myślisz o lobbyście Billu Youngu? Może dlatego spotkali się wkrótce potem w Zurychu?

- To jedna z możliwości.

- Ale mogą też być inne, bardziej prawdopodobne. Dla mnie nie ma to w tej chwili znaczenia. Musimy ją odnaleźć.

- Zaangażuję do tego kilku ludzi. Sprawdzą listy pasażerów, transakcje kartami kredytowymi.

- Ja się tym zajmę.

- Ale...

Kuczyn wstał, trzymając w prawej ręce papiery.

- Mówiłem ci, Alan, że masz się skupić na interesach. Ja jestem teraz zajęty tylko tym. - Spojrzał na swojego asystenta. - Mam nadzieję, że nikt nie wykazywał żadnej niezwykłej aktywności w kwestii interesów.

- Niezwykłej aktywności?

- Nadzwyczajnego zainteresowania.

- Niczego takiego nie zauważyłem ani nikt mi o tym nie doniósł.

Wszystko toczy się normalnym trybem.

- W takim razie być może wrócę samolotem - powiedział Kuczyn bardziej do siebie niż do Rice'a.

- Masz rację, Evan. W końcu płacisz za jego wynajem.

- Wiem. Będę gotowy do podróży za godzinę. Powiadom pilotów.

Kuczin spakował niewielką torbę. Jedną z zalet podróżowania prywatnym samolotem było to, że można wnieść na pokład dosłownie wszystko. Broń, materiały wybuchowe, zakładników.

Zamknął torbę, chwycił telefon i wcisnął guzik.

- Pascal?
- Tak, panie Waller?
- Lecę do Montrealu. Polecisz ze mną.
- Tak jest. Jestem gotowy.
- Skąd wiedziałeś?
- To moja praca.

Zaufany służący.

- Za pięć minut.
- Tak jest.

Kiedy Kuczin wyszedł z walizką i torbą, Rice czekał przy drzwiach.

- Samolot gotowy. Lot do Montrealu potrwa niewiele dłużej niż dojazd samochodem do lądowiska.

- Świetnie. Zadzwoń do ciebie, kiedy wyląduję.

- Zadzwońisz? - zapytał zaskoczony Rice.

- Tak. Ty zostajesz tutaj.

- Myślałem... Przecież interesy...

- Masz dostęp do komputera, niedaleko jest wieża z przekaźnikiem, więc łączność telefoniczna jest dobra. Chyba możesz zarządzać stąd, prawda?

- Tak, ale...

- Będziemy w kontakcie. - Kuczin i Pascal szybko przeszli obok niego.

Nieco ponad godzinę później znajdowali się już w powietrzu. Gdy samolot wzbijał się w niebo, Kuczin usiadł przy biurku i rozłożył na nim papiery dotyczące Katie James. W swojej karierze w KGB często musiał szukać różnych ludzi, którzy nie chcieli, by ich odnaleziono, bo czekały ich tortury i śmierć. Stąd Kuczin znał różne sztuczki, których ludzie używali, żeby „zniknąć”. Tyle że było to dziesiątki lat temu. Teraz wszystko się zmieniło. Istnieje wiele nowych sposobów na zatarcie po sobie śladów. Mimo to

Kuczin uważał, że ma pewną przewagę - Katie James zapewne nie wiedziała, że ktoś jej szuka, więc może się wcale nie ukrywała.

Siedem miesięcy temu widziana w Zurychu. Ostatni adres w Nowym Jorku. Z Nowego Jorku do Szwajcarii udała się pewnie samolotem. Co było dalej, dokąd i jakim środkiem transportu pojechała, Kuczin nie wiedział. Ale wybór był ograniczony: samolot, pociąg, samochód. No, i oczywiście płatności. Transakcje kartą kredytową, wysyłanie e-maili. Wszystko to powinno pozostawić ślad.

Wylądowali; w drodze do miasta Kuczin zadzwonił do mężczyzny, któremu ufał. Na wypadek gdyby był śledzony, nie zamierzał jechać do swojego apartamentu. Miał w mieście inną kryjówkę. Kiedy zakończył rozmowę, zwrócił się do Pascala:

- Będę potrzebował twojej pomocy.
- Wszystko, co pan każe, panie Waller.
- Chodzi o tego dryblasa.
- Tak jest, sir. Przepraszam, że dał mi radę. Powinienem to przewidzieć, ale nie mieliśmy dużo czasu, żeby sobie to wszystko, poukładać.
- To ciekawe. Chciałbym, żebyś mi powiedział, jak to wszystko było „poukładane”.
- Kilka godzin przed tym, jak wyszedł pan z tamtą panią na targ, pan Rice wezwał mnie i Manuela. Powiedział, że spodziewa się kłopotów i chce, żebyśmy się upewnili, czy wszystko jest w porządku.
- Powiedział, dlaczego przewiduje kłopoty?
- Twierdził, że ta kobieta wydaje mu się podejrzana. Ja na to, że w takim razie powinniśmy o tym powiedzieć panu.
- I co odpowiedział?
- Że chce się najpierw upewnić. Wiedział, że pan, no... że pan lubi tę kobietę i nie chciał robić niepotrzebnego zamieszania. Bał się, że pan się rozzłości. Mówił, że już raz pan okazał mu swoje niezadowolenie.
- Rozumiem. Mów dalej.
- Poszliśmy do kościoła. Sprawdziliśmy ołtarz i takie tam. Potem pan Rice powiedział, że powinniśmy sprawdzić podziemia.
- Katakumby?
- Chyba tak. Zeszliśmy tam i początkowo niczego nie znaleźliśmy, ale

pan Rice zauważył, że wieko jednej krypty jest odsunięte. W środku zobaczyliśmy sprzęt, akumulator, jakieś lampy i tym podobne. Pan Rice kazał nam tam zostać i sprawdzić, czy coś się będzie działo.

- No i działo się.

- O tak. Nigdy wcześniej nie widziałem takiego wielkoluda. Pojawił się nie wiadomo skąd. - Pascal potarł głowę. - Mocno mi przywalił. Nie mogę się doczekać, żeby mu oddać.

- Najpierw musimy go znaleźć. - Kuczyn pokazał mu fotografię Katie James. - Ta kobieta to jedyny trop. Jest dziennikarką. Bardzo znaną, choć ostatnio nikt jej nie widział. Jeśli ją odnajdziemy, możemy natrafić na jego ślad.

- Chce pan, żebyśmy zaczął jej szukać?

- Najpierw musimy coś ustalić. Zawęzić obszar poszukiwań. Potem ty wkroczysz do akcji.

- Tak jest, sir.

Kuczyn spojrział na zdjęcie. Urocza kobieta. Zbyt stara i zbyt biała, by zasilić jego armię prostytutek, ale wciąż atrakcyjna. Zastanawiał się, jak bliskie relacje łączyły ją z tym mężczyzną. Miał nadzieję, że bliskie; na tyle bliskie, by dzięki niej do niego dotrzeć.

77.

Shaw usiadł na krześle w bibliotece. W kominku nie płonął ogień; dzień był ciepły, na niebie dopiero zaczynały się gromadzić chmury, zapowiadając późniejszą burzę. Reggie i Whit stali przy drzwiach. Profesor Mallory, wciąż z pistoletem w dłoni, usiadł naprzeciw Shawa. Liza stała obok oparta jedną ręką o stół. Dominic podpierał ścianę w drugim końcu pomieszczenia. Wszyscy wpatrywali się w Shawa.

- Byłbym zobowiązany, gdyby zachciał pan na razie opuścić lufę - odezwał się Shaw. - Ta broń słynie z bardzo czułego języka spustowego.

Mallory opuścił nieco pistolet.

Whit spojrział na profesora.

- Co on miał na myśli, mówiąc o jadzie kiełbasianym?

Nim Mallory zdążył odpowiedzieć, Reggie podeszła do stołu i położyła przed profesorem wyjętą z torebki strzykawkę.

Cofnęła się, a Mallory wbił wzrok w leżący na stole przedmiot.

- Długo była uważana za najsilniejszą truciznę na świecie - powiedział. - Ale ma też szerokie zastosowanie w medycynie, szczególnie kosmetycznej, pod nazwą botoks.

- Umiera się szybko, ale w okrutnych mękach - dodał Shaw, nie spuszczać wzroku z twarzy profesora.

- Nie cierpiałby pan - zapewnił profesor. - Proszę zauważyć, że w strzykawce są dwa składniki oddzielone półprzepuszczalną błoną. Ten drugi składnik to silny środek znieczulający. Straciłby pan przytomność i nic nie czuł.

- Nie czułbym, jak umieram.

- Cóż - przyznał Mallory - taki był cel.

- Miles! - wykrzyknęła Liza. - Coś ty sobie myślał? Nie postępujemy tak wobec niewinnych ludzi.

- No cóż, nie wiedziałem, do jakiego stopnia pan Shaw był, a właściwie jest, niewinny. Wiedziałem tylko, że poznał plany naszej operacji przeciwko Fedorowi Kuczynowi. Puszczanie go wolno było dość ryzykowne.

- Ale od razu zabijać? - powiedziała lodowatym tonem Reggie. - Nie jesteście mordercami... - Urwała, zbladła i uciekła wzrokiem.

Whit, Dominic i Liza nie śmieli spojrzeć sobie w oczy. Ale z wyrazu ich twarzy wynikało, że wszyscy myśleli o tym samym.

Formalnie rzecz biorąc, jesteście mordercami.

- Podjąłem decyzję na gorąco, w ogniu walki - warknął Mallory. - Nie przyszło mi to z łatwością.

- Od razu poczułem się lepiej - rzucił sarkastycznie Shaw. - Na szczęście żyję i mam się dobrze.

- Cóż, czasem plany biorą w łeb.

- Pozwólcie, że powiem, co poprawiłoby mi humor jeszcze bardziej.

Mallory i pozostali spojrzeli po sobie.

- Co takiego?

- Gdyby pan odłożył broń. Zanim będę zmuszony jakoś rozwiązać ten problem.

Obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Reggie miała wrażenie, że patrzy na dwa tryki, które za chwilę zaczną się bóść rogami. W końcu Mallory położył pistolet na stole przed sobą z lufą bezpiecznie skierowaną w ścianę.

- Kuczina - przeszedł do rzeczy Shaw - żyje i poluje na was.
- Mieliśmy bardzo dobrą przykrywkę - stwierdził Mallory.
- Bardzo dobra przykrywka to mało. Czytałem raporty na temat tego

człowieka. Tego rodzaju mentalności zwykle towarzyszą nieprzewidywalne i niemające nic wspólnego ze zdrowym rozsądkiem obsesje. Musimy założyć, że teraz nas wszystkich szuka i w pewnym momencie znajdzie. A kiedy do tego dojdzie, co zamierzacie zrobić?

- Zabić go - odparł Whit. - Powinniśmy byli to zrobić już wcześniej. Prawdę mówiąc, wpakowałbym mu kulkę w łeb, gdybyś mi nie przeszkodził.

- Równie dobrze mogliśmy zginąć, gdyby Shaw nas stamtąd nie wyprowadził - przypomniała mu Reggie.

Whit obrzucił ją ponurym spojrzeniem.

- Takie ryzyko jest wkalkulowane w naszą robotę. Ja się z tym pogodziłem. Myślę, że ty też.

- Rozpamiętywanie przeszłości nie pomoże nam w tym, co niesie przyszłość - zauważył Shaw, nie przestając wpatrywać się w Mallory'ego. - Jesteście gotowi zmierzyć się z przyszłością?

- Co pan sugeruje? - zapytał Mallory.

- Muszę wiedzieć wszystko na temat Kuczina. Najlepiej byłoby dotrzeć do niego, zanim on znajdzie nas.

- Co to ma konkretnie oznaczać? - zapytał Whit.

- Jak rozumiem, macie dowody, że to jest naprawdę Fedir Kuczina i że popełnił wszystkie zarzucane mu zbrodnie?

- Mamy.

- W takim razie facet zostanie osądzony i skazany.

- To nie jest nasz sposób działania, panie Shaw - zauważył Mallory.

- No tak, ja to robię trochę inaczej. Ale założę się, że ukraiński sąd bardzo chętnie zająłby się Kuczinem. Wątpię, żeby udało mu się z tego ująć z życiem.

- Być może to prawda, ale nie jestem pewien, czy nasze dowody były-

by wystarczające dla normalnego sądu. Ale interesuje mnie coś innego. Jeśli stanąby przed sądem, to czy musiałby zostać ujawniony nasz udział w sprawie?

Shaw zerknął na Reggie.

- Nie widzę żadnego powodu.

- W takim razie wszystko sprowadza się do tego, czy możemy panu zaufać.

- Na miłość boską, Miles! - zawołała Liza. - Gdyby ten człowiek chciał nas zdemaskować, już dawno by to zrobił.

- Ona ma rację - wtrąciła się Reggie. - Nie musiał przyjeżdżać tu ze mną. Wiedział wcześniej o Harrowsfield.

Mallory był wyraźnie zaintrygowany.

- Mogę zapytać, dlaczego chce nam pan pomóc?

- To proste. Kuczina zasługuje na to, co powinno go spotkać. Będę szczęśliwy, jeśli pomogę wymierzyć mu sprawiedliwość.

- A co na to ludzie, z którymi pan pracuje?

- Nie pytałem ich o zgodę.

- To nie stanowi żadnego problemu?

- Nie. - Shaw wstał. - Zaczynamy marnować czas. Zawieramy umowę? Dopadamy Kuczina i stawiamy go przed sądem?

Mallory przebiegł wzrokiem po twarzach pozostałych.

- Skoro nikt się nie sprzeciwi, witamy pana w naszym zespole.

Shaw wyjął z kieszeni i oddał Whitowi magazynek, a następnie spojrzął na Reggie.

- Wolę traktować to jako czasowe oddelegowanie.

78.

- **D**ziękuję, że zechciałeś mi pomóc, przyjacielu - powiedział Kuczina, ściskając dłoń drugiego mężczyzny i kładąc mu rękę na ramieniu. Spotkali się w kryjówce Kuczina na przedmieściach Montrealu. Mężczyzna miał posturę i sposób zachowania kogoś, kto bez obaw może włączyć się

po ciemnych zaułkach nieznanymi miast. Piętnaście lat temu zajmował się tym, czym teraz Pascal, ale potem założył własny biznes.

- Słyszę w twoim głosie niecierpliwość, Evan. Wracamy do dawnych czasów.

Kuczyn nalał mu drinka i przesunął szklaneczkę po stole. Mężczyzna upił łyk, zakołysał szklanką i powiedział:

- Zostawiła ślad. Niezbyt czytelny, ale można od niego zacząć.

Kuczyn usiadł i patrzył wyczekująco.

Mężczyzna opróżnił szklanke, otarł usta i otworzył teczkę.

- Płatności kartą kredytową i listy pasażerów. Z Zurychu poleciała Swisair do Frankfurtu. We Frankfurcie wypożyczyła samochód. Z przebiegu wynika, że nie wyjeżdżała dalej niż o godzinę drogi od Frankfurtu. To mimo wszystko spory teren. Zatrzymała się w małym hoteliku w Wisbach. Po co tam pojechała i co tam robiła, nie wiadomo. Będę musiał posłać swoich ludzi, żeby trochę powęszyli na miejscu.

- Najpierw posłuchajmy do końca tego.

- Z Frankfurtu pojechała do Paryża. Tam zatrzymała się cztery dni. Z Paryża pociągiem dotarła do Londynu. Nie jest jasne, gdzie zatrzymała się w Londynie. W tym czasie nie płaciła też kartą kredytową.

- Od czasu do czasu zatrzymuje się w swoich przyjaciół, często pod ich nieobecność w domu.

- To by się zgadzało. W takim wypadku rzeczywiście może nie pozostawiać śladów. Potem wróciła do Stanów. Była w Nowym Jorku, Waszyngtonie, San Francisco. Nawet jeśli dla kogoś w tym czasie pracowała, to nie znaleźliśmy na to żadnych dowodów.

- A jej telefon komórkowy? Można go wysledzić za pomocą GPS.

- Tego też próbowaliśmy. Najwyraźniej wyłączyła funkcję GPS. A wysledzenie jej za pomocą triangulacji nadajników jest nierealne. Co innego, gdybym miał takie możliwości jak CIA czy FBI. Wygląda na to, że ta kobieta nie chce, żeby ją ktoś znalazł.

- A jakieś najświeższe informacje? - zapytał Kuczyn.

- Kilka tygodni temu była w Paryżu.

Kuczyn wyprostował się na krześle.

- Co jeszcze?

- Nic poza tym. Żadnych hoteli. Żadnych zakupów spożywczych płatnych kartą kredytową. Albo płaci gotówką, albo wyjada resztki ze śmietników. W Paryżu nie zabawiła długo. Następnego dnia wróciła do Stanów. Na własne oczy widziałem jej rezerwację. Tego dnia uchwyciła ją też kamera na lotnisku de Gaulle'a.

- Wróciła do San Francisco?

- Nie, do Waszyngtonu. Sprawdziłem wszystkie linie lotnicze, pociągi, autobusy i wypożyczalnie samochodów, ale niczego nie znalazłem. Mogła użyć fałszywych dokumentów, albo wciąż tam jest.

- I znowu nie zamieszkała w hotelu?

- Nie. Widocznie w Waszyngtonie też ma jakiegoś znajomego, który ją przygarnął.

- Niewykluczone - powtórzył w zamyśleniu Kuczin.

- Waszyngton jest stosunkowo małym miastem. Mogę tam posłać ludzi, żeby jej poszukali.

Kuczin pokręcił przecząco głową.

- Nie. To nie będzie konieczne. Mogę jej szukać stąd.

Rozmówca Kuczina wstał.

- Będę cię informował, gdy tylko dowiem się czegoś nowego. Cały czas monitoruję system. Jeśli kupi bilet lotniczy, wypożyczy samochód, zapłaci kartą albo skorzysta z bankomatu, ewentualnie włączy GPS w telefonie, będę o tym wiedział i od razu dam ci znać.

Mężczyzna wyszedł, a Kuczin się zamyślił. Teraz kilka rzeczy wymagało jego uwagi. Był do tego przyzwyczajony, choć wołałby się skoncentrować na jednej.

I rzeczywiście, koncentrował się na Katie James. To był jego jedyny trop. Musiał ją odnaleźć.

79.

Minęły dwa dni. Shaw poznał całe Harrowsfield, obserwował ludzi pracujących nad wytropieniem kolejnego celu i odbył wiele długich, po-

ważnych rozmów z profesorem Mallorym, Lizą, Reggie, Whitem i Dominikiem. Zapisał się nawet z Reggie do podziemnej strzelnicy.

Obserwował, jak dziewczyna, mimo kłębow dymu, trafia z dziewięćdziesięcioprocentową skutecznością w cel.

- Jestem pod wrażeniem - powiedział, kiedy wyszli na świeże powietrze. - Jak ty to robisz?

- Pamiętam, w którym miejscu znajdował się cel.

- W normalnych warunkach cel rzadko pozostaje nieruchomy.

W drodze do domu przechodzili obok cmentarza. Shaw zatrzymał się przed grobem Laury R. Champion.

- Krewna? - zapytał. Reggie niedawno wyjawiała mu swoje prawdziwe nazwisko.

- Wątpię.

- Często tu przychodzisz?

- Chyba częściej, niż powinnam - przyznała.

Usiadła na starej ławce. Shaw stanął obok.

- Przychodzisz i wpatrujesz się w grób kogoś, kto był lub nie twoją krewną i nazywasz to oczyszczaniem umysłu?

- Nie bądź dupkiem. Każdy ma jakieś dziwactwa.

- A co z twoją prawdziwą rodziną?

- O co ci chodzi? - zapytała z niechęcią.

- Żyją?

- Nie. A jak się miewają twoje dzieci? Rozwiązałeś problem z synem?

- Moje pierwsze wspomnienie to gruba, stara opiekunka w sierocińcu.

I nigdy nie byłem żonaty. Nie mam też dzieci.

- Tym razem mówisz prawdę?

- Tak.

- A grób pod Frankfurtem? Anna?

Shaw pochylił głowę.

- Znałem kobietę, która w nim leży.

- Tak jak mówiłam, dziwactwa. Chociaż chciałabym dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

- O kim? O kobiecie w moim grobie czy w twoim?

- O obu.

Shaw spojrzał na szybującego w powietrzu ptaka.

- Więc co się stało z twoją rodziną?

- Umarli - powiedziała ostrym tonem. - Po prostu umarli - dodała już spokojniej i spojrzała mu prosto w oczy. - Ludzie umierają. Co chwila ktoś umiera. - Nagle jej wyraz twarzy się zmienił. - Czego się do tej pory o nas dowiedziałeś?

- Cóż, macie szczęście, że żyjecie.

Reggie zmarszczyła brwi.

- Co masz na myśli?

- Może i jesteście skuteczni, chociaż byłem świadkiem waszej porażki w Gordes. Ale to miejsce nie spełnia wymogów bezpieczeństwa. Jest zbyt słabo chronione, a większość spotykanych tu przeze mnie ludzi nigdy nie przeszła podstawowych testów. Na przykład Whit to wrak człowieka. A wasz nieustraszony wódz, profesor Mallory, wygląda jak nowe wcielenie C. S. Lewisa, tyle że z morderczymi instynktami.

- On rzeczywiście ma słabość do Tolkiena.

- To nie zmienia istoty rzeczy. Twoi ludzie stąpają po kruchym lodzie.

- Wiesz co? - Reggie wstała. - Całkiem dobrze sobie radziliśmy. Dopóki ty się nie pojawiłeś.

- Gdybym się nie pojawił, już byłoby po was - przypomniał jej.

- Świetnie. Chcesz, żebym padła na kolana i wychwalała cię pod niebiosami? Nie dysponujemy ogromnymi pieniędzmi, nie mamy samolotów, ale dobrze wykonujemy swoją robotę.

- Na ogół - poprawił ją.

Odwróciła głowę i poczerwieniała na twarzy. Po chwili ponownie spojrzała mu w oczy.

- Chcesz mi rzucić jeszcze jakąś obelgę, skoro jesteś w takiej znakomitej formie?

- To nie są obelgi. To krytyka. Pytałaś mnie o zdanie, więc ci powiedziałem. Skoro nie chciałaś tego wiedzieć, mogłaś nie pytać.

- Z ciebie jest naprawdę niezły numer - wyrzuciła z siebie.

- Czy jest jakiś problem, którego nie dostrzegam? Traktujesz mnie z wyraźną wrogością.

- Nie ma żadnego problemu. Jak sam powiedziałeś, to tylko robota. Po

to tu jesteś. Cholerna robota, zgadza się? „Czasowe oddelegowanie”, tak to chyba ująłeś, z naciskiem na czasowe.

- Powiedziałem też, że nie wskakuję z kimś tak po prostu do łóżka.
- Tak, powiedziałaś.
- I tak myślałem.
- No jasne.
- Jestem tu, żeby ci pomóc. Czy to nic nie znaczy?
- Jesteś tu też po to, żeby dopaść Kuczina i nie musieć do końca życia oglądać się za siebie. Przestań udawać altruistę.

- Szczerze mówiąc, i tak muszę się za siebie oglądać. A Kuczina wcale nie jest najgorszym bydlakiem, z jakim miałem do czynienia.

- I zawsze ci się udawało?

Shaw rzucił okiem na grób.

- Nie, nie zawsze.

Po długiej minucie milczenia wyraz twarzy Reggie złagodniał.

- Jestem trochę wytrącona z równowagi. Nie wiem, co p tym wszystkim myśleć, i prawdę mówiąc, trochę mnie to przeraża. - Rozejrzała się dookoła. - Harrowsfield i to, co tu robimy, to jedyna rzecz, jaką mam, Shaw. Może to dla ciebie zabrzmieć nieco patetycznie, ale to całe moje życie. Jeśli to stracę, nie wiem, czy pozostanie mi coś jeszcze.

- W takim razie postarajmy się, żebyś nie straciła.

80.

Fedir Kuczina z okna pokoju hotelowego wpatrywał się w światła ulicznych latarni. W myślach dzielił miasto na części. Waszyngton składał się z czterech kwadrantów. Turyści najlepiej znali kwadrant północno-zachodni, w którym znajdował się Biały Dom i większość pomników.

Ten teren był stosunkowo bezpieczny. W pozostałej części miasta zdarzały się miejsca, gdzie częściej pojawiała się przemoc. Kuczina wiedział, że siedemdziesiąt procent przestępstw jest dokonywanych w obszarze obejmującym trzy procent kodów pocztowych. Najczęściej były to przestęp-

stwa narkotykowe i porachunki gangów, dlatego do tych rejonów szef policji wysyłał coraz większe siły.

Kuczyn uważnie studiował mapę. Dystrykt Kolumbii był całkiem spory, ale na pewno nie należał do najliczniej zaludnionych metropolii. Dla sześciuset tysięcy ludzi stanowił dom, a jeszcze więcej przyjeżdżało tu codziennie z przedmieść do pracy. Nie podejrzewał, żeby Katie James zatrzymała się w którymś z niebezpiecznych rejonów miasta, więc już udało mu się nieco zawęzić obszar poszukiwań. W dzielnicy biznesowej znajdowały się głównie hotele. Żeby tam się zatrzymać, musiałaby skorzystać z karty kredytowej, a wtedy wiedziałby o tym. Za to wokół Kapitolu, gdzie zbiegały się wszystkie cztery kwadranty, znajdowały się budynki mieszkalne i niewykluczone, że tam właśnie teraz przebywała. W grę wchodziły też drogie osiedla w Georgetown na zachodzie, domy przy Massachusetts Avenue czy przy tak zwanej Embassy Row, a także przy Connecticut Avenue i Szesnastej ulicy prowadzącej do granicy ze stanem Maryland. Miał do dyspozycji ograniczoną liczbę ludzi i nie zamierzał wykorzystywać ich w nieefektywny sposób.

Zatrzymał się w hotelu Hay-Adams na tyłach Lafayette Park, po przeciwnej stronie Pennsylvania Avenue niż Biały Dom. Do poszukiwań nieuchwytej dziennikarki zabrał ze sobą sześciu ludzi, w tym Pascala. I to, że Katie James była dziennikarką, wydawało mu się teraz najważniejsze. Cóż bowiem robią dziennikarze? Podróżują po świecie, piszą artykuły, przeprowadzają wywiady z różnymi ludźmi i od czasu do czasu meldują się swoim pracodawcom. Problem polegał na tym, że Katie James nie miała chyba w tej chwili pracodawcy.

Spojrzał na swoją listę. Może jednak dla kogoś pracowała. Jeśli tak, to możliwości były ograniczone.

Najbardziej znaną gazetą w mieście był „Washington Post”. James pracowała tam kilka lat temu, a potem pisywała dla nich jako wolny strzelec. Redakcja mieściła się na Piętnastej ulicy w kwadrancie północno-zachodnim. Kuczyn postawił tam na posterunku jednego ze swoich ludzi, uzbrojonego w fotografię dziennikarki. Kolejny człowiek pilnował redakcji „New York Tribune”, która znajdowała się o dwie przecznice od siedziby „Washington Post”. James zdobyła dwukrotnie nagrodę Pulitzera, kiedy

pracowała w „Tribune”, ale Kuczin dowiedział się, że po potężnej kłótni rozstała się z redakcją. Mimo to obstał budynek redakcji.

Biura redakcji „New York Timesa” mieściły się przy Pierwszej ulicy, także w kwadrancie północno-zachodnim. CNN, chociaż nie wydawało niczego drukiem, też było zlokalizowane przy Pierwszej, ale w kwadrancie północno-wschodnim. Zarówno „New York Times”, jak i CNN znajdowały się blisko Kapitolu. Według tego, co znalazł w jej teczce, James pracowała dla „New York Timesa”, a jednocześnie w pierwszych latach wojny w Afganistanie przygotowywała reportaże dla CNN.

W mieście znajdowało się wiele innych redakcji, ale zdaniem Kuczina tylko te największe mogły przyciągnąć uwagę dziennikarki z tak znakomitą reputacją.

Kuczin krążył po hotelowym pokoju. Dał sobie kilka dni na przekonanie się, czyjego strategia jest słuszna. Miał też nadzieję, że Katie James skorzysta wreszcie z karty kredytowej lub bankomatu albo włączy GPS w swoim telefonie. Jeśli tak się stanie, jego „przyjaciół” na pewno zaraz go o tym poinformuje. Kuczin miał jeszcze jedną listę pochodzącą z tego samego źródła. Znajdowały się na niej nazwiska czterech osób - przyjaciół Katie James, związanych z dziennikarstwem i mieszkających w Waszyngtonie. Dwie z nich - Roberta McCormick i Erin Rhodes, były aktualnie w Stanach, więc Kuczin wątpił, żeby Katie zatrzymała się u nich. Dwie pozostałe przebywały za granicą. I dlatego Kuczin posłał tam swoich pozostałych ludzi.

Poukładał sobie jeszcze raz wszystko w głowie. Wszystkie figury były na swoich miejscach na szachownicy. Teraz pozostawało czekać, a Kuczin, mimo wojennych doświadczeń, nie lubił oczekiwania. Postanowił wyjść na spacer. Mijając Biały Dom, zatrzymał się i zaczął mu przyglądać przez ogrodzenie z kutego żelaza. Trzydzieści lat temu wychodził razem ze swoimi radzieckimi towarzyszami ze skóry, żeby obalić człowieka mieszkającego w tym budynku. Kapitalizm był złem, a swobody obywatelskie zupełnie nieprzydatne. Rację miał Marks; Lenin udoskonalił system, a Stalin i jego sukcesorzy doprowadzili go do perfekcji. Tymczasem okazało się, że się mylili. Podstawy komunizmu runęły, Kuczin uciekł i żył teraz jak król w kraju dawnych wrogów, wykorzystując wolnorynkowe mechanizmy,

które kiedyś zwalczał. Cóż, miał do wyboru dostosować się lub umrzeć.

Zauważył ubranego po cywilnemu agenta Secret Service, który zaczął przejawiać niezdrowe zainteresowanie jego osobą. Odsunął się od ogrodzenia i poszedł Piętnastą ulicą, nie zwracając szczególnej uwagi na stada turystów z aparatami fotograficznymi.

Rozległ się dzwonek jego telefonu.

- Tak?

- Właśnie użyła karty do bankomatu - poinformował go przyjaciel. - Na rogu M i Trzydziestej Pierwszej w Georgetown. Czekam na zdjęcie z kamery.

Kuczyn zadzwonił natychmiast do swojego człowieka, który znajdował się najbliżej tamtego miejsca i biegiem wrócił do hotelu. Pięć minut później jechał wypożyczonym SUV-em na zachód, do Georgetown. Na ulicach panował duży ruch, wszystkie przecznice były zakorkowane. Kuczyn nerwowo stukał palcami w szybę. Telefon zadzwonił ponownie. Za dziesięć minut dotrze do bankomatu.

- Tak?

- Nie ma po niej śladu, sir - usłyszał głos Manuela.

- Zwołaj pozostałych. Przeszukajcie wszystko w promieniu dziesięciu przecznic od bankomatu. Czterech ludzi ma sprawdzić każdy centymetr kwadratowy. Dwóch niech objedzie samochodem ulice poza obszarem. Jeden w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara, a drugi w przeciwnym. Będę tam jak najszybciej. Skoro pobrała pieniądze, to pewnie po to, żeby je gdzieś wydać, zaglądnijcie więc do wszystkich sklepów i restauracji.

Wsunął telefon do kieszeni marynarki. Był przekonany, że jej nie znajdą. To byłoby zbyt proste. Takie rzeczy zdarzają się tylko w filmach, a nie w prawdziwym życiu. Ale mieli już przynajmniej wyznaczony obszar poszukiwań. A Kuczyn, jak mało kto na świecie, wiedział, jak to wykorzystać.

81.

- **P**owiedz mi coś o przyjacielu Kuczyna - poprosił Shaw.

- O którym przyjacielu? - zapytała Reggie.

- Tym chudym z jasnymi włosami, który postrzelił Dominica w ramię. Był późny wieczór; siedzieli w małym pomieszczeniu na piętrze, które służyło Reggie i Whitowi za gabinet. Pokój był ciasny i zagracony.

Reggie zajmowała jedyne znajdujące się tu krzesło, a Shaw przysiadł na niewielkim kartonowym pudle. Za oknem siała deszcz.

- To Alan Rice. Jest współnikiem w interesach.
- Co jeszcze?
- Rozmawiałam z nim tylko kilka razy. Ale jedno było dziwne.

Shaw wyprostował się.

- Mów.

- Nie pamiętam dokładnie jego słów, ale ostrzegał mnie przed Kuczinem. Użył oczywiście nazwiska Waller.

- Jak cię ostrzegał?

- Powiedział, że jego szef zachowuje się dziwacznie wobec kobiet. Że to już się zdarzało w przeszłości. Miał obsesję. Radził, żebym dla własnego dobra się usunęła.

- Martwił się o twoje bezpieczeństwo?

- Na to wygląda, chociaż mówił, że robi to, by chronić szefa.

- To interesujące.

- Dlaczego?

- Ponieważ wydaje mi się, że Rice próbował wtedy w katakumbach zabić swojego szefa.

Reggie spojrzała zaskoczona na Shawa.

- Co takiego? Dlaczego tak sądzisz?

- Strzela się najpierw do głównego źródła zagrożenia, a nie do podrzędnego celu.

- Nie nadążam.

- Rice celował do Whita, który stał z dala od Kuczina. Tymczasem Dominica dzieliło od Kuczina może trzydzieści centymetrów. Kiedy załadowałem pierwszego z ochroniarzy, Rice obrócił się i zobaczył mnie. Chwilę później powaliłem na ziemię drugiego, tego mniejszego. Rice mógł mnie wtedy zastrzelić. Dzieliło nas tylko półtora metra. Tymczasem on obrócił się i strzelił do swojego szefa.

- Ale trafił Dominica.

- Trafił Dominica, bo jest kiepskim strzelcem. Wcale nie tak łatwo trafić kogoś z odległości trzech metrów. A pocisk o mały włos nie utkwiał w mózgu Kuczina. Tak więc Rice nie chciał zastrzelić mnie, tylko swojego szefa.

- Przecież to bez sensu. Dlaczego miałyby to robić? Zjawił się tam, żeby go uratować.

- Albo żeby to tak wyglądało.

- Co to za różnica, jak by to wyglądało, gdyby Kuczini byłby martwy?

- Pomyśl tylko. Ochroniarze Kuczina wciąż byliby żywi. Mogliby źle przyjąć fakt, że drugi po Bogu na ich oczach odstrzelił im bossa. To musiało wyglądać na wypadek. A z drugiej strony, co by się działo, gdyby Kuczini przeżył?

- Myślisz, że on wiedział o twojej obecności? I próbował powstrzymać Kuczina przed rozprawieniem się z nami?

- Wątpię. Może faktycznie uważał, że w ten sposób uratuje szefa. Może zobaczył, jak któreś nocy wychodziłaś z kościoła, i dlatego zaczął cię podejrzewać. Potem jest w katakumbach, widzi, jak wyskakuję ze swojej kryjówki, i strzela. W całym tym zamieszaniu Kuczini pada martwy. A on dziedziczy całe imperium.

- To wydaje się możliwe.

- A teraz powiedz mi, jak wpadliście na trop Kuczina.

- Ten gmach jest pełen ludzi, którzy się tym zajmują. Naukowców, językoznawców, historyków.

- Nie chodzi mi o to, jak dowiedzieliście się, że Evan Waller to naprawdę Fedir Kuczini. Interesuje mnie, skąd wiedzieliście, że znajdzie się w Gordes.

- Nasi ludzie dowiedzieli się o tym. Nie wiem, jak zdobyli informacje.

- Zapytam w ten sposób. Czy Alan Rice mógł być waszą wtyczką?

- Już ci mówiłam, nie wiem, jak zostały zdobyte te informacje. A ty skąd wiedziałeś, że będzie w Gordes? Masz jakąś wtyczkę?

- Nie. Cała nasza wiedza pochodziła z satelitarnego namierzania telefonów komórkowych, śledzenia transakcji kartami kredytowymi i wykorzystania różnych innych zaawansowanych technologicznie gadżetów.

- To musi być super. - Reggie poczuła zazdrość.

- Jest super pod warunkiem, że wszystko działa jak należy. Czy Mallory może znać źródło informacji?

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- Pewnie tak, ale wątpię, by ci je zdradził. Tego rodzaju rzeczy zatrzymuje dla siebie.

- Może jednak będzie musiał się otworzyć, jeśli chce nadal robić to, co robi.

- Chcesz powiedzieć, że posadzisz nas na ławie oskarżonych?

- Z uporem maniaka wracam do tego, co najistotniejsze. Jeśli nie dopadniemy Kuczina pierwsi, on dopadnie was.

- W takim razie chodźmy i zapytajmy profesora.

Shaw spojrzał na zegarek.

- Dochodzi pierwsza w nocy. Myślisz, że jeszcze nie śpi?

- Profesor śpi jeszcze mniej niż ja. Znajdziemy go pewnie w bibliotece.

- Cierpi na bezsenność?

- Nie, na przerost prostaty.

Shaw tylko pokręcił głową.

82.

Okazało się, że Mallory'ego nie było w bibliotece. Znaleźli go w jego gabinecie. Siedział ubrany za biurkiem z dłońmi złożonymi jak do modlitwy; ale kiedy Shaw zadał mu pytanie, zaczął nerwowo spoglądać to na Reggie, to na Shawa.

- Nie znam tożsamości tej osoby - odparł zwięźle.

- Ale był ktoś taki? - naciskał Shaw.

- Tak. Czasem musimy zdać się na informatorów.

- Skoro pan nie wiedział, kto to jest, to skąd pewność, że można mu zaufać?

- Byłem wystarczająco przekonany, że można. Poza tym to mogła być jedyna okazja, żeby dopaść Kuczina.

- Wystarczająco przekonany?! - wykrzyknęła Reggie. - Żeby ryzykować nasze życie?

- Ostrzegalam, że to się na tobie zemści, Miles.

Obrócili się; w progu stała Liza. Była w kapciach, na ramiona miała narzucony długi sweter. Obrzuciła go miazdzącym spojrzeniem i usiadła po drugiej stronie biurka. Przeniosła wzrok na Reggie i Shawa.

- Miles i ja nieraz się o to kłóciliśmy.

- Wyrażałaś po prostu swoją opinię - zauważył dyplomatycznie.

- Moja opinia była taka, że wysyłanie ludzi na akcję na podstawie informacji z anonimowego źródła jest bezsensowne.

- Ale to anonimowe źródło mówiło prawdę na temat posunięć Kuczina - zauważył profesor. - Przyjechał do Gordes, zamieszkał w tej willi i miał wokół siebie ochroniarzy, o których wiedzieliśmy wszystko.

- Mimo to, żeby zaufać osobie...

- Po co ten ktoś miałby nas oszukiwać? - przerwał jej Mallory.

- Może po to, żeby zabić was, zanim wy zabijecie jego szefa? - podsunął Shaw.

- To nie tak. Ten człowiek sam się do nas zgłosił.

- Jakim cudem do nas trafił? - zapytała Reggie.

- Istnieją pewne drogi... - odparł Mallory.

- Kto stworzył te drogi? - zapytał Shaw.

- Ja.

- I nie przyszło panu nigdy do głowy, żeby nam o tym powiedzieć? - zapytała zaskoczona Reggie.

- To wydawało się nieistotne. Nigdy nie mieliśmy z tego powodu żadnych kłopotów. Trzeba działać skutecznie. Odkrycie prawdziwej historii życia jakiejś osoby to tylko część roboty. Trzeba jeszcze znaleźć sposób, żeby do tej osoby dotrzeć. I tu przydaje się wywiad.

- Po tym, co stało się w Gordes, wygląda na to, że te metody mogły się jednak obrócić przeciwko nam, Miles - zauważyła Liza.

- Na razie nie ma na to przekonujących dowodów - odparował Mallory.

- Ktoś wiedział, że rozprawimy się z Kuczinem w katakumbach.

- Jeśli pamiętasz, to ty, Reggie, zasugerowałaś mi to dlatego, że

Kuczina jest wierzący. Ale katakumby wybrano dopiero wtedy, gdy już byliście w Gordes. Nasze anonimowe źródło nic o tym nie wiedziało.

- Mogli nas tam śledzić - zauważyła Reggie - jeśli wiedzieli, że polujemy na Kuczina.

- Nie rozumiem, dlaczego ta osoba miałaby nam najpierw pomagać, a potem w ostatniej chwili próbować nas powstrzymać.

- Może było zupełnie inaczej - wtrącił Shaw.

Wszyscy spojrzeli na niego z zaskoczeniem.

- Proszę jaśniej - powiedział Mallory.

- Alan Rice mógł być waszym źródłem. Chciał, żeby Kuczina zginął, ponieważ pragnął przejąć jego przestępcze imperium. Mówiłem wcześniej Reggie, że być może próbował zabić szefa pod wpływem nagłego impulsu, kiedy nieoczekiwanie pojawiłem się w katakumbach i pokrzyżowałem mu szyki. Ale teraz nie jestem już tego taki pewny.

- Dlaczego w takim razie nie pozwilił, żebyśmy zabili Kuczina? - zapytała Liza. - Dlaczego próbował nas powstrzymać?

- Zabilibyście Kuczina i ukrylibyście go w jakiejś krypcie. Nikt nie wiedziałby, co się stało. A to rodzi niepewność. Firma nie może dalej działać, bo wszyscy czekają na powrót szefa. Ale jeśli pojawi się Rice, próbując ratować szefowi życie, bardzo zyskuje w oczach jego ludzi. Sprawa jest zamknięta. Król jest martwy. A Rice występuje jako naturalny następca.

- To nie brzmi zbyt logicznie - prychnął Mallory.

- Byłem w tych katakumbach - powiedział Shaw. - Widziałem, jak Rice mierzy do Kuczina. On naprawdę próbował zabić swojego szefa.

- Czy pana informatorem mógł być Rice? - zapytała Reggie.

Profesor wzruszył ramionami.

- To możliwe. Ale jak już wspomniałem, informator pozostał anonimowy.

- Jeśli pan się nie myli, Shaw - wtrąciła się Liza - co powinniśmy teraz zrobić, żeby dopaść Kuczina?

- Jeśli to Rice był informatorem, możemy to wykorzystać przeciwko niemu i w ten sposób dotrzeć do Kuczina. Rice i tak jest już pewnie kłębkiem nerwów. W końcu Kuczina żyje. - Spojrzał na Reggie. - Tam w katakumbach twoi ludzie wymienili prawdziwe nazwisko szefa. Rice musiał to

słyszeć. Wątpię, żeby Kucziniowi to się podobało. Rice może myśleć, że jego dni i tak są już policzone.

- Ale jak mamy dotrzeć do Alana Rice'a?

- Kuczini prowadzi też legalne interesy. Przypuszczam, że Rice mu w tym pomaga. Siedziba firmy Kuczina znajduje się w Montrealu. Tam też Kuczini ma swój penthouse. Polecę do Kanady i spróbuję coś zdziałać.

- Ty? - zapytała Reggie.

- Tak, ja.

Reggie spojrzała na profesora.

- Co pan o tym myśli?

- Może poleci też Whit? - zaproponował, ale Shaw już przecząco kręcił głową.

- Nie pracuje nam się razem zbyt dobrze. Poza tym jest w gorącej wodzie kąpany i pewnie nie słuchałby moich rozkazów.

- Ja polecę - zgłosiła się Reggie.

- To nie jest dobry pomysł - odparł Shaw.

- Dlaczego?

- Zaufaj mi, wiem, co mówię.

- Nie zgadzam się - powiedział Mallory. - Myślę, że ona powinna lecieć.

- To nie pan dyktuje tu warunki - odparł Shaw.

- Łączy nas chyba wspólny interes - zauważył Mallory. - A poza tym proszę pamiętać, że jeśli zechce nas pan pogrążyć, sobie też pan narobi kłopotów.

- Nie rozumiem.

- Chodzi mi o to, że pracuje pan dla jakiejś tajnej organizacji. Jeśli nasza działalność zostanie ujawniona, to może pan być pewna, że waszą spotka to samo.

Shaw zastanawiał się chwilę, skrywając prawdziwe uczucia pod maską obojętności.

- Zastanowię się.

- Proszę nie myśleć zbyt długo - powiedział Mallory. - Sam pan mówił, że Kuczini na nas poluje.

Shaw i Reggie wracali razem do Londynu. Podwiozła go do Savoya.

- Chcesz, żebym weszła na górę? - zapytała. - Tylko żeby porozmawiać - dodała szybko.

- Nie dzisiaj. Mam dużo do przemyślenia. Może innym razem.

Wyraźnie rozczarowana odjechała.

Shaw wjechał windą na swoje piętro. Otworzył drzwi i włączył światło.

- Jak leci, Shaw?

Na krześle przy biurku siedział Frank. Pod koszulą na brzuchu widoczny był opatrunek.

Shaw nie sprawiał wrażenia zaskoczonego jego widokiem. Zdjął marynarkę i położył na łóżku.

- Może się nie udać, Frank.

- Nie wszystko idzie zgodnie z naszym planem?

Shaw opadł na łóżko.

- Zdecydowanie nie.

83.

Katie James zjadła kilka kęsów chińszczyzny na wynos i straciła apetyt. Zmarnowała tylko dwadzieścia dolarów pobranych z bankomatu. Wrzuciła pojemniki do kosza na śmieci, włożyła widelec do zmywarki, opłukała ręce i przeszła do salonu. W domu panował mrok; w takiej atmosferze czuła się najlepiej w ostatnich dniach.

W ostatnich dniach? Raczej w ostatnich miesiącach.

Usiadła na krześle i smętnie wpatrywała się w ścianę naprzeciwko, na której wisiały zdjęcia jej przyjaciela i rodziny. Wstała, podeszła do ściany i przesunęła palcami po fotografii dzieci. Na kolejnych zdjęciach dzieci przeistaczały się z uroczych bobasów w przedszkolaki o pełnych jak u chomika buziach, nastolatków i wreszcie dorosłych z własnymi dziećmi.

Katie nigdy nie była mężatką; poświęciła się karierze. Nie miała dzieci, nawet z nikim nie była blisko, za to zdobyła dwa Pulitzery, a jej ramię szpeciła blizna po ranie postrzałowej. Widziała świat oczami innych. Pewnie długo ją będą pamiętali jako autorkę reportaży. Rozwinęła się zawodo-

wo, ale przywiedła w życiu prywatnym. A przecież gdy miała trzynaście lat, marzyła o tym, żeby zostać matką i mieszkać w małym domku z zielonym trawnikiem i drzewem, najlepiej jabłonią, bo bardzo lubiła jabłka.

Zamiast tego zajęła się dokumentowaniem kolejnych kryzysów światowych i pokonywaniem samolotem tysięcy kilometrów. Choć był typowy waszyngtoński letni wieczór, ciepły i wilgotny, nagle poczuła chłód. Zrzuciła na ramiona sweter i stała wpatrzona w mrok.

Przynajmniej przestała pić. Od kilku miesięcy nie miała kropli alkoholu w ustach. Nawet tamtego ranka w Zurychu, kiedy opuścił ją bez słowa Shaw. Sama nie mogła się sobie nadziwić. Jeśli odstawiła na dobre alkohol, to właśnie wtedy. Została w Zurychu kolejne dwa dni, wydzwaniała do niego regularnie, a potem dziesiątki razy próbowała się dodzwonić do Franka. Wreszcie jej się udało.

- On cierpi - powiedział jej Frank. - Daj mu trochę czasu.

I Katie dała mu czas. Tygodnie. Wreszcie dwa miesiące. I znów próbowała się dodzwonić, ale zmienił numer telefonu.

Ponownie zwróciła się do Franka. Obiecał pomóc. I rzeczywiście pomógł, przekazał jej kilka informacji na temat Shawa, między innymi to, że wrócił do pracy, więc znów ryzykował życie w jakichś niezwykle niebezpiecznych operacjach w różnych zakątkach świata. Zawsze kiedy dzwonił telefon, Katie obawiała się, że to Frank z wiadomością o śmierci Shawa. Myślała tak, bo dawno już straciła nadzieję, że Shaw do niej zadzwoni.

I wtedy Frank po raz kolejny przyszedł jej z pomocą. Dał Shawowi numer jej nowego telefonu. Shaw zadzwonił! i słysząc jej głos, rozłączył się. Nie zdziwiło jej to zbyt, choć poczuła rozczarowanie. Zadzwonił jeszcze raz. Rozmawiali krótko, ale przynajmniej rozmawiali.

Poleciała do Paryża. Na koszt Franka. Stała w progu i zobaczyła Shawa. Siedział przy stoliku i jeszcze jej nie dostrzegł. Obserwowała go. Patrzyła, jak obserwuje salę, ocenia potencjalne niebezpieczeństwo. To było jego całe życie, jego sposób na życie. Nigdy się nie kochali, choć raz dzielili sypialnię. Nigdy się nawet nie pocałowali. Nigdy się do siebie nie zbliżyli, a przynajmniej nie Shaw. Siebie nie była taka pewna. A może była? Wszystko to wprawiało ją w zakłopotanie.

Prawdę mówiąc, Katie nie była pewna, kiedy się w nim zakochała. Na

pewno, zanim porzucił ją w Zurychu. Może tamtej ostatniej nocy w Wisbach, w Niemczech, nad grobem Anny. Wtedy nie mógł odwzajemnić jej uczucia. Może nigdy nie będzie mógł.

Wróciła spojrzeniem do fotografii na ścianie. A gdyby nie wyszła z restauracji tak nagle? Ale przecież nie próbował jej zatrzymać, nie próbował posadzić z powrotem przy stoliku. Gdyby przynajmniej za nią pobiegł, wróciłaby, przecież tak bardzo chciała z nim porozmawiać.

Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Na ulicy było niewielu przechodniów, raptem kilka par-trzymających się za rękę. Gdzieś w oddali rozległ się głośny śmiech. Z rykiem silnika przejechał samochód, zdecydowanie za szybko jak na wąskie uliczki osiedla. Katie nie miała pojęcia, jak długo tu zostanie ani dokąd pojedzie dalej.

Wyjęła z kieszeni telefon; chciała zadzwonić do Franka i dowiedzieć się, co nowego u Shawa. Jej palec zawisł nad klawiaturą. Nie zdecydowała się.

Na dłuższą metę nie mogła przecież trzymać się kurczowo tego, co było mało prawdopodobne. Położyła się do łóżka z przekonaniem graniczącym z pewnością, że jutrzejszy dzień nie będzie ani odrobinę lepszy.

84.

- Dla mnie sprawa jest jasna - rzekł Frank. - Prócz tego, że do mnie strzelano. Tak jak się umówiliśmy, wysłałem na stację kolejową zdjęcie twoje i tej damy. Dzięki temu rozdzieliliście się i Irlandczyk pozostał sam. Włączyłeś GPS w telefonie, który im zabrałeś, a potem go jej oddałeś. Dotarłeś do ich siedziby. Proste i jasne.

- O wszystkim ci meldowałem.
- Wiem. Spędziłeś tam teraz kilka dni, więc melduj, co nowego.

Shaw zdał relację z tego, co w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin zobaczył i usłyszał.

- Więc oni rzeczywiście od dawna się tym zajmują. - Frank wygładził kilka zmarszczek na swojej wyświechtanej marynarce. - Podejrzewaliśmy, że coś takiego się dzieje.

- Dlaczego? - zapytał Shaw.

Frank otworzył ukryty w hotelowej szafce minibarek i wyjął z niego puszkę coli. Otworzył ją i wypił łyk.

- Chodziło o martwych nazistów.

- Słucham?

- Nigdy nie udało nam się potwierdzić, że to byli naziści, ale jakieś pięć, sześć lat temu zaczęła się seria tajemniczych zgonów dziewięćdziesięcioletnich starszków w różnych częściach świata. Z tego sporo w Południowej Ameryce, a tam najchętniej uciekali po samobójczej śmierci Hitlera.

- Dlaczego was to w ogóle zainteresowało?

- Ponieważ niektórzy z nich byli wplątani w sprawy, które znajdowały się w obszarze naszego zainteresowania. Dwukrotnie prześledziliśmy życiorysy ofiar wstecz aż do Berlina. Ale ponieważ już nie żyli, nie było sensu dalej się tym zajmować. Ale jeśli tak się sprawy mają, to trzeba pomóc tym ludziom w ściganiu drani.

- Chcesz, żebyśmy ich linczowali?

- Raczej wymierzali sprawiedliwość, tam gdzie ona dotąd nie sięgała.

W końcu tym się zajmujemy na co dzień.

- Nigdy nie kazano nam nikogo mordować.

- Nie, ale czy ci, których znajdujemy i przeciągamy na swoją stronę, stają przed sądem?

- Wiem, że nie stają.

- Więc wróćmy do tematu. Jakiś problem?

Shaw powiedział mu o ultimatum Mallory'ego.

- Albo Reggie pojedzie ze mną na poszukiwania Kuczina, albo ujawnię nasze istnienie.

Frank dopił colę.

- Tylko tyle? To żaden problem Zabierz ją ze sobą.

- Nie chcę w pogoni za tym bydlakiem ciągnąć jej ze sobą. To zbyt niebezpieczne.

- Pamiętaj, że jeśli ją zostawisz tu samą, Kuczina może wpaść na jej trop. I tym razem dokończy swoje dzieło. - Frank wrzucił pustą puszkę do kosza, wyjął z kieszeni paczkę solonych migdałów i zaczął je głośno rozgryzać.

Shaw czuł się nieswojo.

- Nie zgadzasz się? - zapytał Frank.
- Niekoniecznie, ale o co w tym wszystkim chodzi?
- Sam mi powiedz, a wtedy ja albo ci przyznam rację, albo nie.
- Dopaść Kuczina? Myślałem, że nasi mocodawcy nie są już tym w najmniejszym stopniu zainteresowani. Kuczin wrócił do swoich zajęć. Zamienia dziewczynki w dziwki dla zysku. Nie ma już mowy o atomowym grzybie. Sam tak mówiłeś.

Frank skończył jedzenie migdałów.

- Szczerze mówiąc, nie wiem, czy ich nastawienie się zmieniło. Ale zaniepokoiła ich ta nowa organizacja w Anglii.

- Dlaczego?

- Dlaczego? - powtórzył z niedowierzaniem Frank. - Przecież oni robią rzeczy, które mogą mieć swoje reperkusje w skali całego świata. Zastanów się.

- Przecież to nie ma nic wspólnego z nami - zaproponował bez przekonania Shaw.

- Czyżby? W takim razie pozwól, że cię oświecę. Nas interesuje przede wszystkim to, że oni polują nie tylko na byłych zbrodniarzy, ale także na obecnych. Sam mówiłeś, że szukają teraz w Afryce, Azji i Ameryce Południowej, chociaż nie powiedzieli ci konkretnie, o kogo chodzi.

- I co z tego?

Frank wrzucił do kosza puste opakowanie po migdałach i wytarł ręce w spodnie.

- Zaraz ci powiem co. Obaleni dyktatorzy czasem sięgają ponownie po władzę. Ci Brytole zabijają jakiegoś obalonego dyktatora i okaże się, że sytuacja geopolityczna nagle uległa pogorszeniu.

- Kto by się martwił śmiercią takich bydlaków? Sam mówiłeś, że to dobry uczynek.

- Mówiłem o nazistach. Oni już nie wrócą do władzy.

- Nie rozumiem, na czym polega różnica.

- Nie udawaj naiwnego. Chcesz, żeby wszystko było czarne albo białe, obejrzyj sobie film z Bogartem. Jeśli ci ludzie zabijają jakiegoś potwora na Bliskim Wschodzie czy w Ameryce Południowej, za chwilę może tam wybuchnąć rewolucja, której wcale nie potrzebujemy. Rozumiesz, o czym mówię?

- Nie, nie rozumiem. Skoro dyktator i tak został już obalony?...

- Przecież ci powiedziałem, obaleni dyktatorzy czasem ponownie sięgają po władzę. I w zależności od tego, kto go obalił, może być w naszym interesie, żeby przejął z powrotem władzę, bo jego następca może się okazać jeszcze gorszy. Mogę ci na to dać dziesiątki przykładów z historii.

- Boże, to jakieś szaleństwo.

Frank podniósł się.

- Może się nawet z tobą zgadzam, ale jakie ma znaczenie, co my na ten temat myślimy? Jesteśmy tylko pionkami. Ruszaj więc za Kuczinem i weź ze sobą tę cizję. Dzięki temu dowiesz się więcej o nich i ich działalności. Od nas otrzymasz pierwszorzędne wsparcie.

- A kiedy go znajdę? - zapytał podejrzliwie Shaw.

- Wtedy spotka go to, co mu pisane.

- Co z Reggie i jej ludźmi?

Frank założył kapelusz i ruszył w stronę drzwi.

- Ich też spotka to, co im pisane.

- Posłuchaj Frank, musi być jakiś inny sposób.

Frank spojrział na niego znacząco.

- Powiedz mi jedną rzecz.

- Co?

- Spałeś z nią, prawda?

- Co takiego? - Shaw miał zdumioną minę.

- Obserwaliśmy hotel, geniuszu. Pojawiliście się tu, obściskując się, i nie wychodziliście z pokoju aż do śniadania. - I dodał z goryczą: - Nie zasługiwaleś na Annę. Zresztą na Katie James też, sukinsynu.

- Frank...

- I tak potraktowałem cię łagodnie. A teraz ruszaj do roboty.

Frank zatrzasnął za sobą z hukiem drzwi.

85.

Osiem godzin później Shaw i Reggie lecieli prywatnym samolotem do Montrealu. Na wysokości dwunastu tysięcy metrów nad ziemią Shaw

wyjął plik dokumentów, rozłożył je na stole i wskazał Reggie miejsce naprzeciwko siebie.

Oboje byli ubrani zwyczajnie, ona w dżinsy i T-shirt z długimi rękawami, a Shaw w spodnie khaki i ciemną koszulę z krótkim rękawem.

- Niezły sposób na podróżowanie - powiedziała, podziwiając wnętrze gulfstreama V.

- Mamy dużo roboty, a mało czasu, więc zaczynajmy - odezwał się, a w zasadzie warknął.

Usiadła.

- O co ci właściwie chodzi?

- Za długo by wymieniać, więc skupmy się może na tym. - Wskazał leżące przed nim plany architektoniczne. - To penthouse Kuczina w centrum Montrealu.

- Mamy tam się włamać? - zapytała żartobliwie.

- Masz opory?

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Wydawało mi się, że mamy znaleźć Alana Rice'a i wydusić z niego, czy to on był tym tajemniczym informatorem. A potem wykorzystać go przeciwko Kucziniowi.

- To jeden z wariantów. A jeżeli Rice nie był informatorem? Co wtedy?

- Musiał być.

- Wcale nie. Jeśli oprzemy cały nasz plan na tym jednym założeniu, będziemy idiotami. Więcej, będziemy martwymi idiotami. Zresztą adres Rice'a też mamy. Problem w tym, czy Rice nie ostrzeże Kuczina.

- Chwileczkę, przecież Kuczina i tak jest już ostrzeżony. Spotkanie w katakumbach sprawiło, że do końca życia będzie się miał na baczności.

- To stanowczo zbyt płytka analiza - powiedział protekcyjnym tonem Shaw.

- Więc może szanowny pan profesor byłby łaskaw mi to wytłumaczyć, bo mój rozum tego nie ogarnia.

- Fakt, że Interpol nie zapukał do tej pory do drzwi Kuczina, upewnił go, że działaliście zupełnie nieoficjalnie. To samo pewnie myśli o mnie. Ludzie z Interpolu czy FBI wpadliby do niego z hukiem, wymachując od-

znakami. My nie mamy ani odznak, ani odpowiednich sił. Dlatego Kuczyn nie obawia się utraty wolności, a co dopiero życia. I to będzie miało decydujący wpływ na jego postępowanie. Ukryje się, ale nie tak głęboko jak w sytuacji, gdyby chodziło o FBI albo pluton egzekucyjny nasłany przez jakąś nieformalną organizację.

- Okay, to rozumiem.
- Świetnie. Mimo to musimy postępować ostrożnie. On szuka nas, ale zdaje sobie sprawę, że my też mu nie odpuścimy.
- Naprawdę tak myślisz?
- Facet taki jak on nie przeżyłby tylu lat, pracując w KGB, gdyby nie wiedział, że trzeba przewidywać następny ruch przeciwnika. W tamtych czasach w Związku Radzieckim dużo łatwiej było zarobić kulę nie od kogoś z Zachodu, a od kolegi z pracy, który chciał zająć twoje stanowisko, przejąć mieszkanie czy samochód. Dlatego na pewno ma już plan uderzenia w nas.

Reggie spojrzała na dokumenty.

- Co w takim razie powinniśmy zrobić?
- Zaatakować z dwóch stron i zacząć od Kuczina.
- Jak?
- Włamiemy się do jego apartamentu, przeszukamy go dokładnie i może znajdziemy jakąś wskazówkę dotyczącą miejsca, gdzie się teraz ukrywa.
- A skąd wiemy, że nie siedzi po prostu w swoim mieszkaniu?
- Ponieważ apartament jest pod obserwacją. Nie pojawił się w nim od czasu wyjazdu do Francji.
- Zaraz, zaraz, skoro wiedzieliście, gdzie on mieszka, dlaczego nie przyskrzyniliście go w Montrealu? Po co jechaliście za nim do Gordes?
- To tajne.
- Gówno prawda. Mówisz o zaufaniu, ale traktujesz je jednostronnie.

Shaw się zamyślił. W tej sytuacji jej pretensje były całkiem uzasadnione.

- W Montrealu miał silniejszą ochronę. A zastrzelenie go na ulicy nie wchodziło w rachubę. Poza tym mieliśmy wcześniej mały zatarg z Kanaadyjczykami, więc nie byli do nas przyjaźnie nastawieni. Dużo lepszym

rozwiązaniem było złapanie go w grotach w Prowansji.

Udobruchana Reggie spojrzała na szkice.

- Musi mieć w domu bardzo skomplikowany system alarmowy.
- Owszem, ma, ale damy sobie z nim radę.
- Jaka będzie moja rola?
- Masz robić dokładnie to, co powiem.
- Okay, będę się trzymała z tyłu. Dasz mi znać, kiedy nabierzesz ochoty, żeby mi zmyć głowę. Przybiegnę posłusznie jak piesek.

Chwycił ją za rękę. Próbowwała się wyrwać i go uderzyć, ale wtedy usłyszała:

- Przepraszam.

Zamarła z pięścią oddaloną kilka centymetrów od jego policzka. Opuściła rękę.

- W porządku - powiedziała, choć ton jej głosu świadczył raczej o wściekłości niż o pojednaniu.

Shaw jakby czytał w jej myślach.

- Posłuchaj, nie chciałem, żebyś się w to pakowała. Uważałem, że to zbyt ryzykowne. Kuczyn już raz o mało cię nie zabił.

- Zgłosiłam się na ochotnika. A skoro nie chciałeś, żebyśmy z tobą leciała, to co ja tu robię?

- Słyszałaś Mallory'ego. Gdybyś nie poleciała, rozgłosiłby wszystko.

- Daj spokój, chyba w to nie uwierzyłeś? Przecież on blefował. - Przyjrzała mu się uważnie. - Wiedziałeś o tym, prawda? Wiedziałeś, że to czcza gadanina. Po prostu nie chciałeś, żeby mi się stała krzywda.

- Ludziom przy mnie często dzieje się krzywda. Straszna krzywda.

- W takim razie co ja tu robię?

- Wydaje mi się, że Frank potraktował tę groźbę poważnie. Nalegał, żebyś poleciała ze mną.

Wróciła do oglądania planów na stole.

- Nie chcę być dla ciebie ciężarem, Shaw. Zrobię wszystko, żeby się przydać.

- Doceniam to, ale...

- Po prostu nie chcę, żeby stała ci się jakaś krzywda.

- Nie powinnaś się o mnie troszczyć.

- Ale się troszczę. Będę cię osłaniać. A ty mnie?
 - Tak.
 - I jeszcze jedno. Jeśli będziesz musiał wybierać moje życie albo śmierć Kuczina, powiedz mu, że czekam na niego w piekle. Nie spudłuj, Shaw. Nawet jeśli musiałbyś mnie poświęcić. Obiecujesz?
- Nie odpowiedział.

86.

Do rampy rozładowniczej wieżowca podjechała tyłem ciężarówka. Po starannym sprawdzeniu dokumentów przewozowych i złożeniu odpowiednich podpisów zdjęto z niej dwie duże skrzynie. Z dokumentów wynikało, że znajdują się w nich jakieś antyki należące do jednego z mieszkańców domu, który przebywał aktualnie na wakacjach. Skrzynie miały zostać przechowane w magazynie do jego powrotu.

Kilka godzin później magazyn został zamknięty, a kierownik i pracownicy rozeszli się do domów. Minęło kolejne trzydzieści minut i bok jednej ze skrzyń odpadł, a ze środka wyłonił się Shaw. Przyświecając sobie małą latarką o skupionej wiązce, podszedł do drugiej skrzyni i pomógł wydostać się Reggie.

Oboje byli ubrani na czarno i obciążeni sprzętem.

- Gotowa? - szepnął Shaw.

Reggie skinęła głową.

Shaw założył na głowę słuchawki.

- Jesteś tam, Frank?
- Potwierdzam. Niech twoja partnerka włączy kamerę.

Frank przyleciał oddzielnie z Anglii i zajął się sprzętem potrzebnym do włamania się do apartamentu Kuczina.

Shaw kiwnęła głową i Reggie założyła pasek opinający klatkę piersiową. Pośrodku znajdowała się tarcza ze szklanymi soczewkami średnicy siedmiu centymetrów. Wcisnęła włącznik z boku i na tarczy zapaliła się czerwona lampka.

- Działa? - zapytał Shaw.
- Tak. Mam obraz. Idźcie do celu.

Shaw przeciągnął przez szczelinę sklonowaną kartę magnetyczną, rozbrajając alarm umieszczony w windzie.

W słuchawkach ponownie rozległ się głos Franka.

- Kamery w całym budynku pracują w pętli, a w tych w windzie towarowej i przed drzwiami apartamentu Kuczina zamroziliśmy obraz. Winda towarowa zwykle nie jest o tej porze używana, więc ochrona nie będzie zdziwiona, że nic się tam nie dzieje. Pamiętajcie jednak, że robią obchód. Następnym będzie za sześćdziesiąt minut. Potem będziecie zdani na siebie.

Wjechali windą na ostatnie piętro. Drzwi otworzyły się, ukazując niewielki korytarz ze stalowymi drzwiami i przymocowaną do ściany klawiaturą alarmu. Shaw spojrzął na znajdującą się w rogu kamerę i pomachał, modląc się jednocześnie po cichu, by Frank rzeczywiście zamroził obraz. Popchnął Reggie w stronę klawiatury alarmu.

- Masz obraz? - zapytał Franka. - Jest tu system rozpoznawania siatkówki. Tak jak się spodziewaliśmy.

- Mam. Niech ona stanie bliżej. Muszę się dobrze przyjrzeć, żeby rozpoznać producenta.

Shaw polecił ruchem głowy, by Reggie stanęła na wprost urządzenia skanującego siatkówkę.

- Dobra, gotowe - powiedział Frank. - Przygotuj laser, Shaw. Za pięć sekund odcinamy zasilanie w budynku. System bezpieczeństwa ma zasilanie awaryjne, ale wyślemy impuls, który zniszczy akumulatory. Pamiętaj, że musimy szybko przywrócić zasilanie, bo włączy się system antysabotażowy.

- Zrozumiałem.

Shaw wyjął zza pasa laser i skierował go prosto w soczewkę skanera.

- Na mój znak - odezwał się Frank. - Pięć... cztery... trzy...

Po odliczeniu do jednego zasilanie zostało odłączone i w małym korytarzu zapanowały całkowite ciemności. Zgasła czerwona lampka na skanerze siatkówki, sygnalizująca gotowość do pracy. Shaw uruchomił laser i skierował go wprost w oko skanera. Promień padł na szklaną soczewkę i wypełnił ją odbitym purpurowym światłem. Chwilę później zasilanie zostało włączone ponownie.

Rozległo się kliknięcie i drzwi stanęły otworem.

Reggie przyglądała się, jak Shaw chowa laser.

- Widziałas przed chwilą drobną wadę tego systemu - tłumaczył Shaw.
- Wyłączamy i włączamy zasilanie, a przez tych kilka milisekund, nim system zacznie działać na nowo, skaner traktuje promień lasera o odpowiedniej częstotliwości jak odbicie siatkówki oka.

- Niesamowite - powiedziała z zachwytem Reggie.

- Prawdę mówiąc, to nie jest wada systemu.

- Co masz na myśli?

- Mamy dobre relacje z niektórymi większymi firmami zajmującymi się systemami bezpieczeństwa. Od czasu do czasu robimy dla nich różne rzeczy, a oni w zamian zostawiają dla nas otwartą boczną furtkę.

Reggie pokręciła tylko głową, a Shaw już otwierał na oścież ciężkie stalowe drzwi.

- Zostało nam pięćdziesiąt dziewięć minut. Do roboty.

Shaw wyjął z kieszeni pomniejszone i zalaminowane plany piętra i przyjrzał się im w świetle miniaturowej latarki.

- Trzymaj się z dala od okien - poradził Reggie - na wypadek gdyby Kuczyn obserwował mieszkanie z drugiego budynku. Jeśli korzystają z odpowiedniego sprzętu, mogą nas zobaczyć nawet przy zgaszonym świetle.

- To fatalnie.

- Dlaczego?

- Bo chciałam zobaczyć widok z okna.

Szybko i metodycznie przeszukali mieszkanie, w okolicy okien czołgając się na brzuchu. Po trzydziestu minutach pracy nie znaleźli niczego interesującego.

Stanęli na środku sypialni Kuczyna. Reggie wyglądała na rozczarowaną, ale Shaw rozglądał się ciekawie.

- Co jest? - zapytała w końcu, widząc jego zaskoczone spojrzenie.

- Zmierzyłem laserem powierzchnię mieszkania i w porównaniu z tymi planami brakuje nam stu czterdziestu metrów kwadratowych.

- Jakim cudem?

Pięć minut zajęło Shawowi ponowne sprawdzenie obliczeń.

- Brakuje centralnej części mieszkania - powiedział w końcu.

- Co to ma znaczyć?
- To znaczy, że w samym środku apartamentu znajduje się jakieś ukryte pomieszczenie, stanowczo za duże na szyb wentylacyjny. Zresztą w tego rodzaju mieszkaniach szyby znajdują się zwykle w suficie.

Szukając wejścia, dotarli do końca korytarza, gdzie znajdowała się bogato zdobiona wbudowana szafa.

- Mam wrażenie, że to coś jest zawieszona na zawiasach - odezwał się Shaw. - Widzisz to, Frank? - rzucił do mikrofonu.

- Tak, widzę. Mamy niecałe trzydzieści minut. Zajmijcie się poszukiwaniami.

Cztery minuty później, kiedy Reggie przekręciła gałkę w drzwiach szafy w lewą stronę, wyłoniła się z ukrycia klawiatura systemu alarmowego. Shaw sięgnął po pojemnik przypominający dezodorant i spryskał ją, a następnie oświetlił niebieskim światłem.

- Mam cztery cyfry - powiedział. Podłączył do klawiatury niewielkie urządzenie elektroniczne. - Fakt, że wiemy, które cyfry składają się na szyfr, znacząco zmniejsza liczbę kombinacji - wyjaśnił.

- Tak, wiem o tym. Teraz wystarczy znaleźć odpowiednią kolejność.

Na ekranie urządzenia pozostały cyfry 4-6-9-7. Ściana szafy otworzyła się, odsłaniając przed nimi mroczną przestrzeń.

- Sprawdźmy, co tam ukrywa pan Kuczyn - zaproponował Shaw.

87.

Kuczyn siedział na krześle w swoim pokoju hotelowym. Jego strategia zawiodła. Przeszukali cały obszar, ale nie natrafili na ślad Katie James. Wszyscy pozostali na swoich posterunkach, ale ostatnia wiadomość od Pascala brzmiała zniechęcająco. Sprawdzili każde miejsce. Kobieta musiała się zapaść pod ziemię albo w jakiś sposób wydostać. Obie te możliwości wydawały się Kuczynowi nie do przyjęcia.

Sięgnął po niewielkie pudełeczko, napełnił strzykawkę swoją specjalną miksturą i wbił igłę w żyłę. W normalnych warunkach powinien poczuć

natychmiastową euforię i poczuć się niezwyciężony. Twierdził ponadto, że po takim zastrzyku ma jaśniejszy umysł, a właśnie jasności umysłu bardzo teraz potrzebował.

Tymczasem nic się nie stało. A właściwie tak, poczuł jeszcze większe przygnębienie. Rzucił pustą strzykawką o ścianę. Fedir Kuczyn czuł się ostatni raz pokonany jeszcze na Ukrainie, kiedy musiał udawać nieboszczyka, a potem uciekać z kraju przed tłumami ludzi, którzy chcieli się na nim zemścić za lata terroru. Oni to nazywali terrorem, a on służbą. Obowiązkiem. Może nawet przeznaczeniem.

I choć wiódł teraz wygodne życie zachodniego kapitalisty w kraju ceniącym swobody obywatelskie, w głębi duszy wciąż żywił przekonanie, że tylko niewielka garstka wybrańców ma prawo rządzić pozostałymi. Aby to osiągnąć, trzeba selektywnie i umiejętnie używać przemocy. Większość ludzi była stworzona do tego, by się podporządkować. Przecież nawet na Zachodzie tylko niewielu cieszyło się bogactwem i władzą. Za jego rządów na Ukrainie już po pięciu minutach wiedział, kto nadaje się na owcę, a kto na pasterza. I nigdy się nie mylił.

Tak, Zachód był takim miejscem, gdzie przed wszystkimi otwierały się nowe możliwości. Na myśl o tym Kuczyn uśmiechał się szyderczo. Był liderem w swojej ojczyźnie i był liderem tutaj. A poddani tam pozostaliby poddanymi także tutaj. Owca nie zmienia się w pasterza tylko dlatego, że zyska nowe możliwości.

A jeżeli teraz też zostanie pokonany?

Nie mógł tu pozostawać w nieskończoność. Nie mógł zostawić na długo swoich ludzi na posterunku bez wzbudzania podejrzeń. Waszyngton był chyba najpilniej strzeżonym miastem świata. Roilo się tu od policjantów, szpiegów, agentów federalnych - węszących, obserwujących, podejrzliwych. Jeśli go szukali, mógł wpaść prosto w ich ręce. A z drugiej strony, jak miał wyjechać z miasta bez Katie James? To byłaby zła wróżba.

Sięgnął po pilota i włączył telewizor. Nadawali właśnie serwis informacyjny. Tematem dnia były kłopoty Amerykanów i ich sojuszników w Afganistanie. Na jego twarzy zagościł uśmiech, ale po chwili zwyciężyły gorzkie wspomnienia druzgocącej klęski, jakiej doznał jego kraj na tamtej ziemi.

Reporterka miała około pięćdziesiątki. Nie żadna młoda, długonoga,

najczęściej tleniona blondynka, która czyta tekst z promptera, a nie ma pojęcia o wojnie, o której opowiada. Ta wyrażała się zwięźle, konkretnie i chyba wiedziała, o czym mówi. Kuczin podejrzewał, że Katie James, choć młodsza i ładniejsza, mówiłaby podobnie. Jak się dowiedział z zebranych materiałów, Katie przez ostatnie piętnaście lat odwiedziła chyba wszystkie zapalne miejsca na świecie. I nigdy nie używała telepromptera.

Skupił się z powrotem na wiadomościach. Chciał wiedzieć dokładnie, jakie kłopoty spotkały Amerykanów. Może chociaż to pozwoli mu na chwilę zapomnieć o własnych problemach. Nie podejrzewał, że pozwoli mu to rozwiązać przynajmniej jeden z nich.

- Na żywo z Kabulu mówiła dla państwa Roberta McCormick - pożegnała się z widzami kobieta na ekranie.

Na dźwięk nazwiska Kuczin zamarł na chwilę.

Roberta McCormick?

Zerwał się z krzesła i popędził do biurka, na którym leżała kartonowa teczka. Otworzył ją i znalazł listę.

Na kartce papieru widniały nazwiska i adresy znajomych Katie James, którzy mieszkali w Waszyngtonie. Kuczin posłał swoich ludzi pod domy dwojga z nich, ponieważ wiedział, że właściciele znajdują się poza granicami Stanów. Pozostałych dwoje przebywało w mieście i ich mieszkań nie kazał obstawiać. Przebiegł wzrokiem listę i zatrzymał się przy ostatnim nazwisku.

Roberta McCormick. Powinna być w domu, a tymczasem znajdowała się tysiące kilometrów stąd, w Kabulu. Widział ją przecież na własne oczy. Mieszkała w Georgetown, w pobliżu R Street, tuż za obszarem wyznaczonym przez niego do poszukiwań. Mąż Roberty nie żył, a dzieci dorosły i opuściły gniazdo. Mieszkała sama.

Być może jednak jej mieszkanie wcale nie było teraz puste.

88.

- **O** Boże! - wykrzyknęła Reggie, kiedy zajrzeli do pomieszczenia.
- Czuję się, jakbym cofnął się w czasie do samego środka zimnej woj-

ny - powiedział Shaw.

Kiedy przekroczyli próg, automatycznie zapaliły się światła.

- Jasna cholera! - zawołał w słuchawce Frank, który widział wszystko dzięki kamerze na piersi Reggie. - Ten facet ma coś z głową!

- Tak myślisz? - odparł Shaw, patrząc na radziecką flagę, stare szafki ubraniowe, zniszczone biurko i regał z segregatorami. - Obróć się, Reggie, żeby Frank mógł to wszystko zobaczyć.

Zatrzymując się co chwila, Reggie obesła pokój.

Shaw otworzył jedną z szafek i zobaczył mundur, który Kuczina nosił w KGB. Następnie przeszukał regały i wyjął kilka dokumentów ukazujących potworności, jakich ten człowiek dopuścił się wobec niewinnych mężczyzn, kobiet i dzieci. Reggie rejestrowała to wszystko kamerą.

Znaleźli też rolkę filmu i projektor. Kilka minut zajęło im przygotowanie urządzenia do pracy. W trakcie filmu Shaw i Reggie nie odezwali się słowem. Nawet Frank milczał. W końcu Reggie wyłączyła projektor.

- Nie mogę dłużej na to patrzeć - powiedziała, gdy twarz martwego dziecka zniknęła z ekranu.

Kiedy Shaw się obrócił, ujrzał w jej oczach łzy. Odstawił projektor na miejsce, ale rolkę filmu schował do swojej torby.

- Potrzebujemy czegoś jeszcze, Frank? - zapytał.

- Nie, pora wracać.

Kilka minut później Shaw i Reggie szli ulicami Montrealu. Wsiadli do czekającego na nich samochodu, który zawiózł ich do oddalonego o niecały kilometr niskiego biurowca. Na miejscu czekał na nich Frank.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu i przypatrywali się swoim dłoniom.

- No, tak - odezwał się w końcu Shaw. - Mamy potwierdzenie. Ten facet to psychol, zresztą chyba nigdy w to nie wątpiliśmy.

- Ale jak to, co znaleźliśmy, może nam pomóc w odnalezieniu go? - zapytała Reggie.

Shaw spojrzał na Franka.

- Alan Rice?

- Samolot wrócił z Francji. Tyle wiemy. Wylądował na lotnisku w Montrealu. Ani Rice'a, ani Kuczina nie było na pokładzie. Rice'a nie ma w

domu ani w biurze, ani w żadnym innym znanym nam miejscu. Albo nie żyje albo, co bardziej prawdopodobne, ukrywa się. Żeby dowiedzieć się więcej, musielibyśmy zaangażować lokalne władze, a tego nie chcemy robić. Przynajmniej nie teraz. To mogłoby tylko pogorszyć sprawę.

- Więc nie możemy wykorzystać Rice'a jako przynęty? - zapytała Reggie.

- Obawiam się, że pozostaje nam sam Kuczyn.

- Gdzie on jest? - zastanawiała się. - Podjęliśmy ryzyko, włamaliśmy się do jego mieszkania i nie znaleźliśmy niczego, co pomogłoby nam go znaleźć.

Shaw i Frank popatrzyli na siebie.

- Od czasu gdy był we Francji, ślad po nim zaginął - powiedział Frank. - To był prywatny samolot, więc kto wie, może Kuczyn wcale stamtąd nie odleciał albo maszyna gdzieś po drodze lądowała. Jego samolot dotarł co prawda do Montrealu, ale przecież Kuczyn mógł wynająć inny pod fałszywym nazwiskiem.

- W takim razie może być gdziekolwiek - stwierdziła Reggie.

- Teraz mamy przynajmniej dowód na jego pracę w KGB na Ukrainie - zauważył Frank.

- To wiedzieliśmy już wcześniej - odparła Reggie. - Nie jestem co prawda prawnikiem, ale wątpię, czy jakikolwiek sąd dopuści taki dowód, bo zdobyliśmy go nielegalnie.

- Ona ma rację - zauważył Shaw.

- Może tak, może nie. - Frank nie wydawał się przekonany. - Moim zdaniem ten bydlak powinien odpowiadać za zbrodnie wojenne przed trybunałem w Hadze, a tam obowiązują trochę inne zasady. Poza tym mnóstwo dokumentów pozostaje wciąż w jego mieszkaniu. Może powinniśmy dać cynk kanadyjskiej policji albo Interpolowi, a wtedy oni zdobędą dowody w oficjalny sposób.

- Wspaniale. I będzie sądzony zaocznie - warknęła Reggie.

- Nikt nie mówił, że będzie łatwo - rzekł Frank. - Myślałaś, że pokręcisz się po mieszkaniu i znajdziesz wskazówkę, jak do niego trafić? Tak po prostu?

- Nie, ale miałam nadzieję, że znajdę coś, co nam pomoże. A skoro nic

nie znaleźliśmy, co teraz robimy? - Spojrzała wyczekująco na obu mężczyzn.

- Pogrzebiemy trochę głębiej - odpowiedział wymijająco Frank.
- Wspaniale! Wiecie co, macie te swoje cudowne zabawki, lasery, potraficie za naciśnięciem jednego guzika wyłączyć prąd w całym wieżowcu, ale coraz częściej odnoszę wrażenie, że nasze proste metody okazują się skuteczniejsze.
- W Gordes tak nie było - zauważył Frank.
- Ale przynajmniej nie zrezygnowaliśmy tak jak wy - wyrzuciła z siebie i wyszła, trzaskając drzwiami.

Frank spojrzał na Shawa.

- Cholera, myślałem, że Brytyjczycy są bardziej wyluzowani.
- Nie ona - odpowiedział Shaw. - Poza tym ma rację. Nie jesteśmy ani o krok bliżej znalezienia Kuczina.
- Za to on nie jest krok bliżej od znalezienia jej czy ciebie.
- Nie liczyłem na to - wycedził Shaw.
- Coś wiesz?

Shaw nie odpowiedział. Nie był niczego pewien. Ale miał przeczucie, a ono nigdy go nie zawiodło.

89.

Katie James budziła się co chwila. Była do tego przyzwyczajona. Na zewnątrz hałas, w głowie kłębiące się myśli, i te koszmary, które ją dręczyły. W końcu wstała, napiła się wody i usiadła w fotelu. Zapaliła lampę i sięgnęła po najnowszy thriller Lee Childa.

Poderwała się na dźwięk dzwonka telefonu. Bezwiednie zerknęła na zegarek. Dochodziła północ. Zastanawiała się chwilę, czy odebrać. W końcu to nie było jej mieszkanie. Jednak to mogła być Roberta. Spojrzała na miniaturowy ekran. Numer dzwoniącego nie wyświetlił się. Zawahała się i w końcu podniosła słuchawkę.

-Tak?

- Czy zastałem Robertę?
- Kto mówi?
- Roberta?

To było dziwne. Jeśli ten ktoś znał Robertę, powinien rozpoznać po głosie, że to nie ona.

- Kto mówi? - powtórzyła, ale tajemniczy rozmówca się rozłączył.

Zdenerwowana sprawdziła, czy frontowe i tylne drzwi są zamknięte. Upewniwszy się, zabrała z kominka pogrzebacz, poszła z nim do sypialni i zamknęła za sobą drzwi na klucz. Odszukała wzrokiem swój telefon komórkowy. Mogła zadzwonić do Shawa, wystarczyło wcisnąć guzik ponownego wybierania. Ale on pewnie znajdował się tysiące kilometrów stąd i nie będzie mógł przyjechać, żeby nad nią czuwać. Inna sprawa, czy w ogóle miałby na to ochotę.

Na jej ustach zacisnęła się dłoń, zanim zdążyła krzyknąć. Ktoś wyrwał jej z ręki pogrzebacz i telefon. Poczowała okropny, zatykający nozdrza zapach.

Chwilę później upadła na podłogę.

Uderzenie w głowę było mocne. Otworzyła oczy i natychmiast je zamknęła oślepiąca blaskiem światła nad głową. Jęknęła; poczuła w żołądku nieprzyjemny ucisk. Otworzyła ponownie oczy i tym razem ich nie zamknęła. Usiadła i zamarła z przerażenia na widok stojącego obok, wpatrującego się w nią mężczyzny.

Wyciągnął do niej rękę.

- Mam nadzieję, że czuje się pani lepiej - powiedział Kuczyn.

Nie podała mu dłoni; pozostała na swoim miejscu. Rozejrzała się wokół siebie. Prócz skierowanego na nią strumienia światła dookoła panowała ciemność. Poczowała pod sobą lekki wstrząs, potem kolejny. Spojrzała w dół. Siedziała na rozłożonym fotelu. Nastąpił kolejny wstrząs i wtedy jej uszu dobiegł znajomy szum.

Była na pokładzie samolotu.

Usiadła i spuściła nogi na ziemię. Mężczyzna nieco się cofnął.

- Mogę zadać oczywiste pytanie? - odezwała się.

Kuczyn usiadł w fotelu naprzeciw niej.

- Proszę.

- Kim pan jest i co ja tu robię?

- Dobre pytania. To, kim jestem, nie ma żadnego znaczenia. Interesująca może być odpowiedź na pytanie, dlaczego się pani tu znalazła.

Wyciągnął w jej stronę rękę z kartką błyszczącego papieru.

Wzięła ją; wyglądała na fotografię. Ona i Shaw w Zurychu. Ona trzyma dłoń na jego ramieniu.

Shaw. To przez niego się tu znalazłam.

Spojrzała na Kuczina i oddała mu zdjęcie.

- Nadal nie rozumiem.

- Pani oczy mówią coś innego. Za późno na takie sztuczki. Pani go zna, on zna panią. Ja też chcę go poznać.

Mogę się założyć.

- Dlaczego?

- To interesujący człowiek.

- Nie wiem, gdzie jest.

Kuczina westchnął. W następnej chwili Katie leżała na podłodze kabiny z zakrwawioną twarzą. Starła się rozpaczliwie pojąć całą tę sytuację, tymczasem Kuczina chwycił ją za włosy, podniósł i popchnął na fotel. Upadła, trzymając się za twarz i starając zatamować krwotok z nosa.

Poczuła, że coś ociera się o jej policzek.

Kuczina podał jej ręcznik.

- Proszę mi wybaczyć. Jestem impulsywny. Widzi pani, muszę koniecznie spotkać się z pani przyjacielem. Jest mi coś winien.

- Co? - wydusiła z siebie Katie.

- To nie powinno pani obchodzić.

- Nie wiem, gdzie on jest. Mówię prawdę.

- Ale może się pani z nim skontaktować.

- Nie mogę. Ja... - Zamarła, widząc w jego dłoni swój telefon.

- To bardzo interesujące. Znaleźliśmy dwa telefony. Jeden trzymała pani w ręce, a drugi był w torebce. Ten w torebce bardziej przypominał zwykły telefon, była tam lista kontaktów, e-maile, kalendarz. Tymczasem w tym telefonie nie było niczego. Lista połączeń to tylko dwie rozmowy przychodzące. Podejrzewam, że dostała pani ten telefon od swojego przyja-

ciela, zgadza się?

- Nie - odparła Katie, wycierając twarz.
- W takim razie nie ma pani nic przeciwko temu, że oddzwonię pod ten numer? Sprawdzę tylko, kto odbierze.

Katie spuściła wzrok, starając się opanować zdenerwowanie.

Co Shaw nabroił, że wkurzył tego typa?

- Przyjmuję pani milczenie za zgodę.
- On nie przyjdzie.
- A ja myślę, że tak.
- Dlaczego? - zapytała żalonym tonem.

Kuczyn zerknął na ich wspólną fotografię.

90.

Shaw leżał na kanapie, kiedy rozległ się dzwonek. Spojrzał na ekran wyświetlacza. Rozpoznał numer. To telefon, który Frank dał Katie. Znów do niego dzwoniła. Opadł z powrotem na kanapę. Nie zamierzał odbierać. Po co miałyby to robić? Czuł się winny, że przespał się z Reggie. Frank oskarżył go o brak szacunku dla pamięci Anny i może miał rację. Shaw nadal nie rozumiał, jak do tego doszło. Wiedział tylko, że chciał, żeby to się zdarzyło. Pragnął tej kobiety jak żadnej innej. Może nawet bardziej niż Anny. Nie potrafił tego wytłumaczyć i nie zamierzał próbować.

Telefon przestał dzwonić. Usiadł i potarł czoło. Teraz, kiedy nie odebrał telefonu, czuł się jeszcze bardziej winny. Telefon rozdzwonił się ponownie. Dostał drugą szansę, by postąpić właściwie.

- Halo?
- Bill Young?

Głos, który słyszał w katakumbach, teraz brzmiał jeszcze wyraźniej niż tam. Shaw prawie nigdy nie odczuwał strachu. To nie znaczy, że był bezymyślny albo uważał się za niepokonanego. Po prostu w procesie przyspieszonej ewolucji wyzbył się poczucia paraliżującego strachu. Co chwila znajdował się w niebezpieczeństwie. Gdyby pozwolił sobie na lęk, już by

nie żył. Przeżyć i stanąć ponownie do walki mogli tylko ci, którzy nie podawali się strachowi. Shaw był takim właśnie człowiekiem.

Tymczasem teraz się bał. Bał się, ale nie o siebie.

- Skąd masz ten numer? - Znał odpowiedź, ale wbrew zdrowemu rozsądkowi miał nadzieję, że się myli.

Drugi głos, który usłyszał w słuchawce, pozbawił go wszelkich złudzeń.

- Zostań, gdzie jesteś, Shaw. Nie rób tego, co on ci każe. Zostań.

W głosie Katie słychać było strach, ale i stanowczość. Tych kilka słów przypomniało Shawowi, jak była odważna. Siedziała obok jednego z najgorszych psychopatów w historii i mówiła, żeby pozwolił jej umrzeć.

Frank miał rację, nie zasługiwał na nią.

- Shaw? - odezwał się Kuczyn.

- Jak do niej dotarłeś?

- To nie ma znaczenia - odparł Kuczyn. - Mam ją. A teraz chcę ciebie i tamtą kobietę.

- Mogę mówić tylko za siebie.

- Ty i kobieta - powtórzył Kuczyn.

- Puścisz Katie? Oczywiście, przyjdę. Ale tylko ja.

- Jeśli masz przyjść sam, nie trudź się. Twoja przyjaciółka cię nie przywita, bo będzie już martwa.

- Przecież ci mówię, że nie wiem, gdzie jest tamta babka.

- W takim razie radzę ci, żebyś jej poszukał.

- A jeśli mi się nie uda?

- Mam taką skrzynkę, panie Shaw. Służyła mi jeszcze w mojej ojczyźnie. A w niej są bardzo przekonujące narzędzia, których od czasu do czasu używam. Niedawno skorzystałem z nich w rozmowie z moim znajomym. Muszę przyznać, że nie był zachwycony. Nieczęsto sięgam po tę skrzynkę, ale skorzystam z niej, jeśli nie zrobisz tego, co każe. Sfilmuję swoją robotę i prześlę ci nagranie.

- A jeśli ją znajdę? Co wtedy?

- Zadzwoń do ciebie pod ten numer za dwie godziny.

- To za mało czasu.

- Za dwie godziny - powtórzył Kuczyn. - Wtedy powiem dokładnie, jak i kiedy się to stanie. I dobrze ci radzę, o tej rozmowie nie może wie-

dzieć nikt prócz ciebie i „Janie”. Jeśli nie posłuchasz, twoja przyjaciółka umrze w potwornych mękach. Widziałeś zdjęcia w podziemiach kościoła. Wiesz, do czego jestem zdolny.

- Posłuchaj...

Ale Kuczin się rozłączył. Shaw wpatrywał się w telefon, jakby to był odbezpieczony granat, który trzeba natychmiast odrzucić, by uratować życie innym. Ale to nie był granat, tylko zwykły telefon. A on nikogo nie ratuje. Co z Reggie? Nie mógł jej prosić, żeby to zrobiła.

Kiedy Kuczin oddzwoni, powie mu, że znalazł Reggie. Umówią się na spotkanie. Pójdzie sam, poszuka jakiejś wymówki i zrobi wszystko, żeby uratować Katie. Nic innego nie przychodziło mu do głowy.

Słyszac walenie do drzwi, podniósł wzrok.

- Tak? - wydusił z siebie tylko to jedno słowo.

- To ja, Reggie. Możemy porozmawiać?

Jasna cholera.

- Kładłem się właśnie spać! - odkrzyknął.

- Proszę.

Zawahał się, ale w końcu otworzył drzwi i zaprosił ją gestem do środka. Patrzyła na niego z zainteresowaniem.

- Dobrze się czujesz? Wyglądasz, jakbyś miał za chwilę zwymiotować.

- Nic mi nie jest.

Usiadła na krześle, on wrócił na kanapę.

- Co się stało?

Reggie zaczęła mówić, ale nie słuchał jej. Zdawał sobie sprawę, że Kuczin jest za sprytny, żeby nabrać się na jego prosty plan. Może chce sprawdzić, czy Reggie przyjdzie z nim na spotkanie. Może chce z nią porozmawiać. Shaw nie będzie miał szansy uratować Katie, chyba że...

- Shaw?... Shaw?

Podniósł głowę. Katie stała nad nim i stuknęła go w ramię.

- Tak? - odezwał się oszołomiony.

- Nie słyszałaś ani jednego słowa z tego, co mówiłam.

- Przepraszam. Pora chyba jest nieodpowiednia.

Zobaczyła telefon, który wciąż ścisnął w dłoni, i rzuciła mu podejrzliwe

spojrzenie.

- Co się dzieje?
- Nic się nie dzieje.

Przyklęknęła przed nim i położyła mu dłonie na kolanach.

- Coś się dzieje, a ty powiesz mi co.

Nie mógł się wysłowić. Przed oczami miał cały czas obraz Katie i Kuczina.

- Nic takiego. Dam sobie radę.
- Z czym dasz sobie radę? - nie ustępowała Reggie.
- Możesz dać sobie spokój?
- To on, prawda?
- Kto?

Chwyliła go za ramiona i potrząsnęła.

- Na miłość boską, mów!

Zerwał się z kanapy, przewracając ją na podłogę.

- Powiedziałem, że dam sobie radę.

Podniosła się i podeszła do niego.

- Jak?
- Coś wymyślę.
- On ma kogoś w garści, tak? Kogoś, na kim ci zależy?

Obrócił się gwałtownie; przez myśl przebiegały mu najgorsze podejrzenia, jedno bardziej bezsensowne od drugiego.

- Skąd...

- Domyśliłam się - odparła Reggie. - O siebie nie martwiłbyś się tak bardzo. Musi chodzić o kogoś innego. Jak do tego doszło?

Shaw opadł na brzeg łóżka.

- Nie wiem.
- Kto to jest?
- Nazywa się Katie James.
- Słyszałam o niej.
- Jest dziennikarką.
- A tak, prawda. On ją ma? Jesteś pewny?
- Bardziej niż pewny.
- Czego on chce?

- Mnie - zawahał się, oblizał wargi. - I ciebie.
- W pakiecie?
- Powiedziałem mu, że nie wiem, gdzie jesteś.
- Ale to nie wystarczyło, prawda?
- A jak myślisz?
- Gdzie i kiedy?
- Nie pójdziesz tam, Reggie.
- Oczywiście, że pójdę.
- Nie pozwolę ci na to.
- Żartujesz? To najlepsze, co mogło się zdarzyć.
- O czym ty mówisz? - zapytał zszokowany.
- Nie miałam na myśli twojej przyjaciółki. Bardzo mi przykro - dodała szybko. - Ale inaczej nigdy nie znaleźlibyśmy Kuczina. A teraz facet sam nas do siebie zaprasza. To niepowtarzalna okazja. Nasz ruch.
- Trudno to nazwać zaproszeniem, Reggie. On nas zabije.
- Nie, on będzie próbował nas zabić - poprawiła go. - A my spróbujemy tego samego.
- Obawiam się, że w tych okolicznościach on ma przewagę.
- Mimo wszystko to nasza jedyna szansa.
- Nie rozumiesz, że jeśli pójdziesz ze mną, możesz zostać w bestialski sposób zamordowana? Mam to powtórzyć głośno i wyraźnie? - Wskazała na drzwi. - Wyjdź stąd i nie wracaj.

Zamiast tego Reggie usiadła obok Shawa.

- Chyba powinnam powiedzieć coś dowcipnego czy nonszalanckiego, żeby pokazać ci, że się nie boję, chociaż boję się strasznie. Zamiast tego powiem ci prawdę.

Te słowa przykuły uwagę Shawa. Przyjrzał się jej uważnie.

- Czasami zdaje mi się, że nie chciałabym już nigdy zobaczyć Kuczina. Ale widzę go cały czas w swoich myślach. Budzę się, a on budzi się razem ze mną. Widzę go za swoimi plecami. Tamtej nocy o mało nie umarłam. Widziałam jego spojrzenie. W tych oczach nie było niczego. Żadna normalna, zdrowa istota tak nie wygląda.
- I mimo to chcesz pójść ze mną?
- Nie mogę normalnie żyć, póki ten człowiek chodzi po ziemi. To po-

stanowione. Musze go dopaść. Jeśli będę musiała, zabiję go gołymi rękami. On musiałby mnie zabić, ponieważ nigdy nie przestanę go ścigać.

- Ten człowiek jest potworem.

- Jest tylko jednym z potworów. Nie pierwszym i nie ostatnim. I musi dostać to, na co zasłużył!

- Dlaczego to właściwie robisz?

Reggie wstała.

- Powiedz mi tylko, kiedy ruszamy. Będę gotowa.

Dokładnie po upływie dwóch godzin zadzwonił telefon. Shaw się nie mylił. Kuczyn chciał rozmawiać z Reggie.

- Witaj, mała Janie. Nasze ostatnie spotkanie zostało nieoczekiwanie przerwane. Nie mogę się doczekać, kiedy mnie znowu odwiedzisz.

Reggie nie odezwała się słowem; po prostu przekazała słuchawkę Shawowi.

Uzgodnienia zostały dokonane. Mieli wyjechać następnego dnia i nikomu nic nie mówić.

- Jeśli złamiecie warunki, ona umrze, zanim dotrzecie na miejsce - ostrzegł Kuczyn.

- A jeśli planujesz i tak ją zabić? - odparł Shaw.

- Daję słowo, że jeśli postąpicie zgodnie z moją instrukcją, uwolnię ją.

- Słowo? - zapytał niedowierzająco Shaw.

- Słowo byłego oficera KGB.

- To dla mnie nic nie znaczy.

- W takim razie przysięgam na grób swojej matki. Nic nie mam do twojej przyjaciółki. Chodzi mi o ciebie i tę kobietę.

- Gdzie i kiedy?

- To zależy, gdzie teraz jesteście.

- Na twoim podwórku. W Montrealu.

Shawowi wydawało się, że usłyszał po drugiej stronie słuchawki ciche stęknienie. Zaskoczenie Kuczyna sprawiło mu przyjemność.

- To ułatwia sprawę - rzekł Kuczyn i przekazał szczegóły.

Shaw rozłączył się i spojrzał na Reggie.

- Nadal chcesz się w to bawić?

- Teraz jeszcze bardziej. Wkurza mnie jego arogancja. Traktuje nas jak nieświadome niczego barany idące na rzeź.

A nie jesteśmy nimi? - pomyślał Shaw.

91.

Następnego popołudnia Reggie i Shaw spotkali się w kawiarni znajdującej się przy tej samej ulicy co ich hotel. Shaw spojrzął na zegarek.

- Mamy godzinę - powiedział. - Miejsce, w którym mamy się spotkać, jest o pięć minut drogi stąd.

- Świetnie. W takim razie możemy nadrobić zaległości, koleś.

Na dźwięk głosu Shaw drgnął.

Obok stolika stał Whit, a za jego plecami Dominic.

- Co wy tutaj, do cholery, robicie?

- Potraktuję to jako zaproszenie - odparł Whit i rozsiadł się na krześle. Dominic usiadł naprzeciwko niego i oparł zagipsowaną rękę o stół.

- Ty to zorganizowałaś? - Shaw spojrzął na Reggie.

- Zadzwoiłam i powiedziałam im, co się dzieje. To był ich pomysł, żeby tu przylecieć.

- Całą drogę przespałem - powiedział Whit, przeciągając się. - Jestem wypoczęty i gotów do wyprawy.

- Nigdzie się nie wybierasz - warknął Shaw.

- Dlaczego?

- Dlatego, że on oczekuje dwóch osób, a nie czterech. Powiedział, że jeśli złamiemy instrukcje, Katie umrze.

- Zastanawialiśmy się nad tym - wtrąciła się Reggie. - Pójdziemy razem, a jeśli Kuczin powie „nie”, Whit i Dominic wycofają się.

- Wycofają się? Raczej zostaną zabici.

- To moje życie - odparł nonszalancko Whit. - Mogę z nim robić, co chcę.

Dominic potwierdził skinieniem głowy.

- Jeśli masz obawy - powiedziała Reggie - zadzwoń do Kuczina i po-

proś go o zgodę. Wystarczy, że wciśniesz ponowne wybieranie numeru.

Shaw wyjął z kieszeni telefon, przyglądał mu się chwilę, a potem przeniósł spojrzenie na Whita.

- Masz świadomość, że jeśli on się zgodzi, to pewnie nie wrócicie stamtąd żywi?

Whit spojrzał na swojego przyjaciela.

- Co ty na to, Dom?

- Nie przylatywałbym tutaj, gdybym miał teraz nie pójść.

- Masz odpowiedź - rzucił Whit.

Shaw wybrał numer. Odpowiedź była zaskakująca. Kuczyn wydawał się zadowolony z dodania dwóch osób do listy.

- Zapraszam was wszystkich - zdążył powiedzieć, nim Shaw się rozłączył.

- Dobrze poszło? - zapytała Reggie.

- O tak. Będą cztery pogrzeby zamiast dwóch. Otwierać szampana.

Na miejsce spotkania pojechali taksówką. Okazało się, że jest to magazyn, choć Shaw nie wydawał się zaskoczony.

- To zwykle jest jakiś cholerny magazyn - powiedział do Reggie.

Drzwi nie były zamknięte. Weszli do środka. Nie było nikogo; stał tylko jasnobrazowy SUV gmc yukon XL z kluczykami na przednim fotelu i zamkniętymi za osłonę przeciwsłoneczną dalszymi instrukcjami.

W pierwszej chwili Shaw wydawał się zaskoczony takim obrotem spraw.

- Jeśli mieliśmy wpaść w pułapkę, to nie wykorzystali okazji. Nie bardzo rozumiem ich posunięcie, w dalszym ciągu panujemy nad sytuacją.

Wyjechali z Montrealu, kierując się na północny wschód. Po dwóch godzinach jazdy zgodnie z instrukcją skręcili w biegnącą przez las wąską zwirową drogę. Nigdzie nie dostrzegli śladów życia. Po dwustu metrach silnik samochodu nagle zgasł. Shaw próbował go ponownie uruchomić, ale bez rezultatu.

- Mamy pół zbiornika paliwa - stwierdziła Reggie, patrząc na wskaźnik na desce rozdzielczej. - Cała reszta też wygląda normalnie.

- To całkiem nowy wóz - zauważył z tylnego siedzenia Whit.

Shaw spojrział na przycisk nad lusterkiem wstecznym.

- I jest wyposażony w system OnStar.

- I co z tego? - zapytała Reggie.

- Dzięki niemu można zdalnie sterować pracą samochodu na wypadek niebezpieczeństwa albo gdybyś zatrasnęła w środku kluczyki. Można też odciąć dopływ paliwa do silnika w razie kradzieży. Jeśli komuś udało się przejąć kontrolę nad systemem, mógł wyłączyć silnik i nic na to nie poradę.

- Chyba masz rację - powiedziała Reggie, patrząc na dwie furgonetki zbliżające się do ich samochodu - jedną z przodu, a drugą z tyłu.

Z samochodów wyskoczyło sześciu mężczyzn uzbrojonych w sig saue-ry, glocki i MP5.

Dwadzieścia minut później stali nadzy pośrodku okrągłego betonowego budynku. Najpierw obszukano ich ręcznie, potem skanerem, a wreszcie oblano silnym strumieniem wody. Na koniec przeczesano im włosy, ręce i nogi twardymi metalowymi grzebieniami, po których zostały na skórze długie czerwone pręgi. Rozciąli też gipsowy opatrunek Dominica i odrzucili go na bok. Zamiast niego dali mu temblak.

Kiedy ich ciała wyschły, otrzymali czyste ubrania - jasnożółte jednocześnie kombinezony, bieliznę, białe skarpetki i tenisówki.

- O co tu chodzi, do diabła? - wściekał się Whit, wkładając buty. - O mało nas nie utopili.

Reggie ubierała się za uchylonymi drzwiami, choć wcześniej wszyscy widzieli się nawzajem nago.

Shaw zapiął guziki kombinezonu; nogawki i rękawy były o kilka centymetrów za krótkie, a tenisówki za ciasne.

- Szukali urządzeń do prowadzenia inwigilacji. Współczesne nadajniki mogą mieć postać fałszywych cebulek włosowych lub pieprzyków. Typowych urządzeń szukali skanerem, a te skomplikowane nie wytrzymałyby kontaktu z wodą.

Whit powąchał swoją skórę.

- W tej wodzie coś było. Pewnie jakaś substancja rakotwórcza.

- Módl się, żebyś pożył tak długo - odpowiedział mu Shaw.

Reggie zapięła kombinezon i dołączyła do nich.

- Widzę, że nadal mamy do czynienia z Panem Optymistą.
- Jestem tylko realistą.
- Jak sądzicie, dlaczego akurat żółte kombinezony? - zastanawiał się Dominic.
- Gdybym miał zgadywać - powiedział Shaw - obstawiałbym, że dzięki nim trudno nas zgubić.
- Zgubić nas?! - wykrzyknął Whit. - Jak mogliby nas zgubić?
- A to już zależy od nas, prawda? - odpowiedziała Reggie.

92.

Po kilku godzinach skuto im kajdankami ręce i nogi, zaklejono usta taśmą, nałożono kaptury na głowy i umieszczono w samochodzie z przyciemnianymi szybami. Podróż trwała długo. Shaw liczył w pamięci sekundy. A ponieważ nie jechali autostradą, a przynajmniej tak mu się wydawało, to z odgłosu silnika i szumu wiatru wywnioskował, że poruszają się z prędkością około stu kilometrów na godzinę.

Kiedy samochód wreszcie się zatrzymał, znał już przybliżony wynik. Dziewięć godzin. Nie był pewien kierunku, ale raczej nie jechali na zachód, z powrotem do Montrealu, ani na południe w kierunku granicy ze Stanami Zjednoczonymi. Granica pomiędzy Kanadą i Stanami nie była szczególnie mocno strzeżona, ale widok czterech zakapturzonych i związanych postaci mógłby wzbudzić czyjeś zainteresowanie po drodze. Nie wspominając już o kontroli granicznej.

Tak więc pojechali na północ albo na wschód. Dziewięć godzin jazdy z prędkością stu kilometrów na godzinę doprowadziłoby ich przez Maine w Stanach Zjednoczonych do Nowego Brunswiku lub dalej, do Nowej Szkocji. Największym mijanym miastem byłby Quebec, ale stamtąd do Halifaxu jest za daleko. Dlatego Shaw uznał, że musieli zmierzać bardziej na północ, okrążając, ale nie przekraczając granicy ze Stanami Zjednoczonymi. Podczas podróży pozwolono im raz załatwić potrzeby fizjologiczne na poboczu drogi.

Później otworzyły się drzwi samochodu i cała czwórka została zmuszona do położenia się na podłodze furgonetki twarzami do dołu. Shaw przez chwilę myślał, że to już koniec. Czas egzekucji. Po przyspieszonych oddechach swoich towarzyszy poznał, że myśleli podobnie.

Tymczasem narzucono na nich ciężki brezent, nakazując zachowanie milczenia.

Drzwi zamknęły się i samochód ruszył dalej. Potem znów się zatrzymał. I ponownie otworzyły się drzwi. Słychać było jakieś rozmowy. Drzwi się zamknęły. Wóz ruszył niepewnie do przodu i stanął. Shaw był przekonany, że nie stoją na twardym gruncie. Samochód poruszał się mimo wyłączzonego silnika. Tyle że był to ruch w górę i w dół oraz na boki.

Kilka minut później Shaw usłyszał inne dźwięki - bicie dzwonu i szybkie kroki. Panowało poruszenie i rozgardiasz, jak na peronie, z którego odjeżdża pociąg. Pierwsze silniejsze szarpnięcie odpowiedziało na wszystkie jego pytania.

Jesteśmy na łodzi. Najprawdopodobniej na promie.

Woda była wzburzona, a podróż niewygodna, szczególnie w pozycji leżącej. Shaw słyszał pojękiwania Reggie i przypuszczał, że znów może cierpieć na chorobę morską, tak samo jak na łodzi, która przyплыnęli do Anglii z Amsterdamu. Na szczęście podróż promem trwała krótko. Potem jechali jeszcze kilka godzin. Wreszcie samochód się zatrzymał, wyciągnięto ich ze środka i kazano iść gęsiego. Posadzono ich na siedzeniach w jakimś ciasnym pomieszczeniu. Shaw uderzył głową w sufit tego czegoś. Rozległ się dźwięk uruchamianego silnika i gwizd łopat wirnika. A kiedy poczuł skurecz żołądka towarzyszący wznoszeniu się, wiedział już, że znaleźli się w kabinie śmigłowca.

W dalszym ciągu liczył sekundy, starając się określić prędkość, z jaką mogli lecieć. Do chwili lądowania minęło osiemnaście tysięcy sekund, czyli pięć godzin. Jeżeli lecieli z prędkością trzystu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę na północ lub wschód, to pokonali ponad tysiąc kilometrów. W grę wchodził więc Nowy Brunzwik albo Nowa Szkocja i mogli się teraz znajdować nad Atlantykiem. Ale Shaw wątpił, czy kierowali się na wschód, głównie z powodu promu.

Skoro dojechali samochodem z Montrealu do Quebecu, musieli dotrzeć

do pasa wody rozdzielającego tę część Kanady i pokonali go na promie. Nikt nie trudziłby się wynajmowaniem łodzi po to, żeby z powrotem polecieć śmigłowcem na południe czy wschód. Do Nowego Brunswiku i Nowej Szkocji można było dotrzeć z południowego brzegu bez korzystania z promu. Przeprawa promem był niezbędna tylko wtedy, gdy ktoś kierował się na północ, w stronę Zatoki Hudsona lub koła podbiegunowego, albo na wschód, do Nowej Fundlandii i Labradoru.

Kiedy śmigłowiec wylądował i wysiedli z kabiny, Shaw wiedział już, że nie dotarli do koła podbiegunowego; lecieli za krótko i nie tankowali po drodze. Nie wiedział, jaki to model helikoptera, ale przy takim obciążeniu pięć godzin lotu to absolutne maksimum. Poza tym było tu zbyt ciepło. Gdyby miał zgadywać, to trafili raczej na wschód niż na północ. Gdy silniki maszyny ucichły, szum oceanicznych fal upewnił go, że znajdują się gdzieś na wybrzeżu prowincji Nowa Fundlandia i Labrador. Tyle że był to ogromny obszar, no i Shaw nie wiedział, w czym ta wiedza mogłaby im pomóc.

Zdjęto im wreszcie kaptury i zerwano taśmę z ust. Zaczęli się rozglądać, mrużąc oczy odwykłe od światła. Wyjechali z Montrealu późnym popołudniem, a teraz zmierzch przechodził w noc. Shaw szybko policzył, że podróżowali ponad dobę. Potwierdzeniem było burczenie w brzuchu.

Kolejna furgonetka powiozła ich od brzegu w głąb lądu.

- Wiesz, gdzie jesteśmy? - szepnęła Reggie.
- Zamknij się! - zawołał mężczyzna siedzący obok kierowcy.

Po dziesięciu minutach podróży w oddali ukazały się światła.

Dom był zbudowany z grubych bali, miał zabudowaną werandę i dach z gontów. Przed domem stały samochody. Kilkaset metrów dalej Shaw dostrzegł drugi dom, w którym panowały ciemności. W oddali widział zarys wzgórz. Najdalej na północ wysunięte grzbiety Appalachów, domyślił się. Znał tę okolicę, surową, odludną, gdzie próżno szukać policjanta. Był tu kilka razy w przeszłości, kiedy wykonywał pewną misję. W takim miejscu jak to prawo stanowił ten, kto miał broń albo silniejszą rękę.

Wysadzono ich z samochodu i zaprowadzono do domu. Pierwszego ujrzeli Pascala; uśmiechnął się od ucha do ucha na ich widok. Drugim mężczyzną był Alan Rice. Trzecia twarz należała do człowieka, z którego po-

wodu się tu znaleźli.

Do pokoju wszedł Fedir Kuczyn. Był ubrany zwyczajnie, w dzinsy i sztruksową koszulę oraz grube buty robocze. Nie uśmiechał się triumfalnie, nie wyglądał też na rozszluszczonego. Miał nieprzenikniony wyraz twarzy i to niepokoiło Shawa bardziej, niż gdyby rzucił się na nich z furią. Potrafił świetnie nad sobą panować, widać było, że wszystko starannie przygotował. Tylko co?

Widok kolejnej osoby kazał mu zapomnieć o Kuczynie.

Wyczerpana Katie James uśmiechnęła się do niego słabo.

93.

Niezależnie od tego, co się jeszcze wydarzy, zabiję go, pomyślał Shaw, patrząc na Katie.

- Nic ci się nie stało, Katie? - zapytał, kiedy ruszyła w jego stronę, nim powstrzymał ją Pascal.

- Nie. Przepraszam.

- Ty przepraszasz? Przecież to przeze mnie zostałeś wplątana w...

Wystrzał był tak niespodziewany, że Rice przykucnął, i nawet Pascal podskoczył.

Pocisk przeleciał tak blisko ucha Shawa, że cudem go nie stracił. Kuczyn opuścił broń. Zmierzył wzrokiem najpierw Reggie, potem Shawa.

- Dziękuję za uwagę - powiedział. - Sprawa jest prosta. - Skierował wylot lufy w stronę Katie. - Ona była przynętą, która miała was tu zwabić. No i jesteście. - Omiótł spojrzeniem Whita i Dominica. - Cała czwórka, włącznie z Irlandczykiem, który chciał mnie zamknąć w pełnym kości sarkofagu.

- Czekam tylko na okazję - odezwał się Whit, siląc się na uśmiech.

Kuczyn odwrócił się w stronę Reggie i przycisnął lufę pistoletu do jej policzka.

- I moja ukochana. Ta, która sprawiła, że stałem się nieostrożny i tak bardzo się starałem o jej względy. Za jednym zamachem zrobiła ze mnie

starca i głupca.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedziała Reggie, patrząc mu hardo w oczy.

Kuczyn wymierzył teraz w jej czoło, a Shaw sprężył się do skoku. Ale po chwili Kuczyn opuścił broń.

- Nie tak szybko - powiedział. - Kazałaś mi cierpieć, odprawiałaś swój mały rytuał. Teraz moja kolej.

Kuczyn przeniósł swoją uwagę na Dominica.

- A to nasz szczęściarz. Człowiek, który przeżył strzał w głowę z wielkokalibrowego półautomatycznego pistoletu tylko dlatego, że mój zaufany przyjaciel Pascal dał mi do ręki nienaładowaną broń.

Kuczyn uniósł pistolet i wymierzył w czoło Dominica, tak jak wcześniej zrobił to z Reggie. Tyle że tym razem nacisnął spust. Tył głowy mężczyzny eksplodował, rozpryskując dookoła krew, tkanki i kości.

- Dominic! - krzyknęła Reggie, kiedy ciało kolegi z szeroko otwartymi oczami i rozchyłonymi wargami runęło na drewnianą podłogę.

Whit próbował z całych sił sięgnąć Kuczina, ale zaplątał się w łańcuch, którym miał skute nogi, i upadł. Kuczyn przygniótł butem jego głowę do posadzki ruchem, jakim rozgniata się robactwo.

Shaw stał nieporuszony. Spoglądał to na martwego Dominica, to na zapłakaną Reggie. Wreszcie jego wzrok spoczął na Katie.

Przepraszam - poruszył bezgłośnie wargami.

Jej oczy powiedziały mu, że rozumiała, ale czy na pewno? Czy ktokolwiek był w stanie to zrozumieć?

Kuczyn wsunął pistolet do kabury. Jego wyraz twarzy pozostał niezmienny. Ten typ człowieka potrafił zabić człowieka strzałem w głowę, by po chwili przejść do rozmowy o pogodzie.

- Za drugim razem nikt nie ma tyle szczęścia - powiedział. Zdjął nogę z głowy Whita i dał znak swoim ludziom. Wykrzykujący przekleństwa pod adresem Kuczina Irlandczyk został postawiony na nogi.

Whit w końcu umilkł i drżąc, wpatrywał się ciało przyjaciela.

- Nie spodziewaliście się chyba niczego innego - odezwał się Kuczyn.
- Przychodząc tutaj, musieliście wiedzieć, że umrzecie. To nie będzie nic wymyślnego. Cenię sobie prostotę.

- Taką jak w twoim ukrytym pokoju? - odezwał się Shaw. - Tam faktycznie panuje prostota. Biurko, regały, szafki ze starymi mundurami. No i archiwum filmowe.

Kuczcin obrócił się, spojrzał Shawowi prosto w twarz i przyłożył mu pistolet do głowy.

- Mam plan - powiedział. - Dobrze przemyślany. Ale w każdej chwili mogę go zmienić. - Odbezpieczył broń.

Nim ktokolwiek zdążył zareagować, Katie złapała Kuczina za rękę.

- Błagam, nie!

Kuczcin spojrzał na nią, potem przeniósł wzrok na Shawa.

- Obiecałem ci, że puszcę ją wolno, jeśli wypełnisz wszystkie moje polecenia.

- Trzymam cię za słowo - odparł Shaw.

- Zabawna uwaga w ustach człowieka z lufą przy skroni.

- Przysięgałeś na grób matki? To, że wszedłem do twojego mieszkania, nie ma tu nic do rzeczy.

Kuczcin wahał się chwilę i opuścił broń.

- Ona tu zostanie. - Wskazał na Katie. - A wasza czwórka będzie tam. - Wskazał za okno.

- Pomyliłeś się w rachunkach - odezwał się Shaw. - Zostało nas troje.

- Nie zrozumiałeś mnie. Właśnie dlatego go zabiłem. Chciałem, żeby było was czworo, a on stanowił niepotrzebny dodatek.

Shaw spojrzał na niego zaskoczony. Kuczcin pstryknął palcami. Jeden z jego ludzi przyniósł żółty kombinezon i tenisówki. Kuczcin zabrał od niego ubranie i podszedł do Rice'a.

- Włóż to, proszę, Alan.

Rice cofnęła się o krok. W pierwszej chwili spurpurowiał na twarzy, ale kiedy pojął sens słów swojego szefa, krew odpłynęła mu z twarzy.

- Evan?

Kuczcin rzucił mu kombinezon i buty. Rice zdołał złapać ubranie, ale buty uderzyły z hukiem o podłogę.

- Evan? - powtórzył drżącymi wargami, chwiejąc się na nogach.

- Powinieneś być lepiej celować tam w podziemiach, Alan. - Kuczcin dotknął swojego ucha. - Niewiele brakowało. Osmaliłeś mi skórę.

- Przecież to był przypadek. Celowałem w niego. - Wskazał na martwego Dominica. - Trafiłem go.

- Postrzeliłeś go przypadkowo. Popeliłeś niewybaczalny błąd, nie zabijając mnie.

- Ja... ja nie potrafię dobrze strzelać. Wiesz o tym.

- Przez ostatnie sześć miesięcy brałeś lekcje. Kazałem Pascalowi cię śledzić. Ze swoją znajomością broni sam się zdradziłeś. Wiesz, na czym polegał twój błąd? Myślałeś, że skoro potrafisz z dwudziestu pięciu metrów trafić w papierową tarczę, to potrafisz też zabić człowieka z sześciu metrów. Ale nie potrafiłeś. I dlatego wciąż żyję.

- Mylisz się, Evan. Brałem lekcje, żeby cię w nieoczekiwanej sytuacji nie zawieść. Przecież uratowałeś mi wcześniej życie.

- Uprowadziłem cię, że przyjrę się naszym interesom.

W Rice'a zdawał się wstępować nowy duch.

- Przecież nie zrobiłem niczego, co mogłoby zaszkodzić interesom. Twoja kontrola nie mogła niczego wykazać.

- Policzyłem każdego centa.

- W takim razie nie rozumiem, o co chodzi.

- Koszty frachtu nie wzrosły, Alan. Przeciwnie, ceny ropy spadły w porównaniu z ubiegłym rokiem o sześćdziesiąt procent. A silniki okrętowe chyba działają na ropę, prawda? Kosztowało mnie to trochę wysiłku, ale znalazłem konto, na które przepłynęły pieniądze.

- Mylisz się. Cena frachtu była wyższa, bo transport płynął dwoma statkami. Mówiłem ci o tym.

- Transport nie płynął dwoma statkami, tylko jednym, a ty zdublowałeś faktury za paliwo. Wiem to od twojego kumpla z doków, który zdążył wszystko wyśpiewać, nim Pascal uciął mu język. A potem próbowałeś mnie zabić, żeby przejąć interes.

- Nie, Evan. Ja...

- Przebieraj się w te ciuchy, Alan. Szybko. W przeciwnym razie będziesz drugim, który dostanie tu kulę w łeb. Masz jeszcze wybór.

Szlochając, Alan zaczął się przebierać, ale dygotał tak strasznie, że Pascal musiał mu pomóc.

Kuczyn przeniósł uwagę na pozostałych.

- Dostaniecie godzinę forów. Radzę nie biec w stronę oceanu. Nawet latem woda ma nie więcej niż dziesięć stopni Celsjusza. - Wskazał za okno na lewo. - Oto droga ucieczki. Pamiętajcie jednak, że tu był kiedyś lodowiec. Napotkacie fiordy, głębokie wąwozy, wartkie strumienie, strome zbocza kończące się urwiskiem. Nie brakuje też zwierząt, które mogą w nocy zrobić wam krzywdę.

- Masz na myśli siebie? - zapytała Reggie.

- W pierwszej kolejności.

- Więc to ma być coś w rodzaju polowania? - zapytał Shaw.

- Nie coś w rodzaju - sprostował Kuczyn. - To będzie prawdziwe polowanie.

- My, bez broni, przeciwko tobie i twoim ludziom? To tylko coś w rodzaju polowania.

- Nie, nie. Wy przeciwko mnie jednemu.

- Ale ty będziesz miał broń.

- To oczywiste.

- A jeśli uda nam się uciec?

- Nie uda wam się. Cała ziemia w promieniu kilku kilometrów należy do mnie. A ta, która do mnie nie należy, jest niczyja. Tutaj nic nie ma. Nic. Tylko wy i ja.

- A co z Katie? - zapytał Shaw.

- Jeśli będziecie wypełniać moje instrukcje, zostanie uwolniona.

- Chcę iść z Shawem - oświadczyła Katie.

Kuczyn zignorował jej deklarację i zerknął na zegarek.

- Macie jeszcze pięćdziesiąt dziewięć minut. - Skinął na swoich ludzi, którzy uwolnili całą trójkę z kajdanek i łańcuchów.

Shaw spojrział na Katie, być może ostatni raz. Chciał coś powiedzieć, ale co tu było do powiedzenia? Widać było, że ona ma ten sam problem. W końcu uśmiechnęli się tylko lekko do siebie.

Reggie pociągnęła Whita, który wciąż wpatrywał się w martwego Dominica, i wybiegła z nim za Shawem z domu. Tylko Alan Rice się nie poruszył.

- A ty, Alan? - zwrócił się do niego Kuczyn.

- Proszę cię Evan, nie rób tego - wyjęczał błagalnie mężczyzna.

- Pamiętaj swoje słowa? Płacę im tysiące, a oni chcą milionów. Chciałeś za dużo, Alan. I nie błagaj mnie. Mężczyzna nie powinien prosić o litość. - Strzelił w podłogę tuż pod nogami Rice'a. Alan wybiegł z domu, A Katie została zaprowadzona do drugiego pokoju i zamknięta.
- Przygotuj psy - polecił Kuczyn Pascalowi.

94.

Alan Rice gonił ich z całych sił, ale szybko zrezygnował, czując bolesne ciągnięcie szwów na boku. Zdecydowanie nie był w formie. Spowałby tylko całą resztę, ułatwiając Kuczynowi zadanie. Shaw chciał go w pierwszym odruchu zostawić, ale zmienił zdanie. Wrócił po Rice'a, chwycił go pod ramię i pomógł mu biec.

- Biegnij swoim rytmem. Nie za szybko i nie za wolno.
- Okay, okay - wysapał Rice. Jego krok stał się bardziej miarowy.

Reggie wyczuła, co Shaw robi, i zaczekała na nich. I tylko Whit biegł przed siebie z pochyloną nisko głową, bezustannie myśląc o Dominicu.

- Co możesz powiedzieć o tej okolicy? - zapytała Reggie. - Chodzi o coś, co da nam przewagę.

- Co masz na myśli? - odpowiedział pytaniem Rice.
- Domyślam się, że jesteśmy w Nowej Fundlandii i Labradorze - odezwał się Shaw.

- To wybrzeże Labradoru.
- Skąd wiedziałeś? - Reggie zwróciła się zaskoczona do Shawa.
- Miałem dużo czasu, żeby liczyć upływające sekundy - odparł.
- Tu nic nie ma - wydyszał Rice. - Już po nas.

Mijali niewielkie bajory brudnej wody. Zanim Shaw zdążył zareagować, Reggie chwyciła Rice'a i wrzuciła go do stawu. Mężczyzna zniknął pod wodą, ale po chwili wypłynął, głośno charcząc. Reggie ponownie wcisnęła mu głowę pod wodę i przytrzymała przez kilka sekund.

- Co ty wyprawiasz?! - wrzasnął, gdy wy dostał się spod wody.
- To na wypadek gdybyś miał przy sobie elektroniczny nadajnik - od-

parła. - Woda szkodzi takim urządzeniom.

Shaw spojrział na nią z podziwem.

- Dobrze posunięcie. Powinienem być o tym pomyśleć.
- Pomyślałam, że umieszczenie wśród nas szpiega pod pozorem ukarania tego człowieka byłoby w stylu Kuczina.
- Ruszajmy - ponaglił ich Shaw.
- Co jeszcze możesz nam powiedzieć? - zapytał Shaw, kiedy już biegli.
- Kuczina ma psy myśliwskie, wytropią nasze ślady.
- Oto kolejny powód, dla którego zabrali nasze ubrania - zauważył Shaw. - Dadzą je do obwąchania psom.
- Kuczina robił to już kiedyś? Polował na ludzi?
- Wiem tylko, że nie strzela do zwierząt. Kiedyś mi powiedział, że nienawidzi tego.

Reggie się skrzywiła.

- No to znamy odpowiedź. Ma psy myśliwskie, a nie poluje na zwierzynę.
- Przynajmniej na czworonożną - dodał Shaw.
- Jest okrutny i nieprzewidywalny - ciągnął Rice.
- Jego okrucieństwo mnie nie martwi. Gorzej z nieprzewidywalnością.
- Shaw rozejrzał się dookoła. - Biegniemy tam, skąd przyjechaliśmy?
- Trudno powiedzieć w tych ciemnościach, ale chyba tak.
- Jest tu coś blisko?
- Nic. Jakies czterdzieści kilometrów stąd znajduje się lądowisko samolotów, ale kiedy tam ostatnio byłem, nie stał żaden samolot. Najbliższe miasto to chyba Goose Bay, ale to bardzo daleko. Samochodem kilka godzin jazdy, pieszo - kilka dni.
- Kuczina ma tu broń?
- Głupie pytanie. W domu ma szafę pancerną pełną broni.
- Znasz szyfr do tej szafy?
- No jasne, mam go w kieszeni.

Shaw szarpnął mocno Rice'a za ramię, o mało go nie przewracając.

- Możemy cię tu zostawić Kucziniowi na pierwsze danie. Chcesz? Jeśli nie, daruj sobie głupie dowcipy i spróbuj nam pomóc.
- Nie wiem niczego, co mogłoby wam pomóc. Bywałem tu wielokrotnie, ale tylko przylatywałem i odlatywałem samolotem. Prawie w ogóle nie

wychodziłem z domu. Waller, czy Kuczyn, zna ten teren lepiej niż ktokolwiek inny.

- To pocieszające - mruknęła ponuro Reggie.
- Musimy zająć się psami - powiedział Shaw. Znow zaczęli biec.
- Jak? - zapytała Reggie.
- Trzeba zmienić zapach.
- W jaki sposób chcesz to zrobić? - wysapał Rice. - Myślałem, że

psów nie da się zmylić.

- Każdego można zmylić, nawet psy tropiące. Poza tym mamy przewagę.

- Słucham? - zdziwiła się Reggie.
- Pociągnij nosem.
- Po co?
- No, pociągnij.

Reggie i Rice jednocześnie wzięli głęboki wdech. Rice o mało nie wymiotował, a Reggie skrzywiła nos.

- Ale smród - powiedziała.
- To dwutlenek siarki - uściślił Shaw. - Musi tu być dużo skał metamorficznych. W takich skałach jest dużo siarki. Mogą się też trafić wody siarczynowe.

- Co zamierzasz?

- Musimy przesiąknąć tym zapachem. Będziemy śmierdzieć tak samo jak wszystko dokoła. Może uda nam się zmylić psy. Musimy też nałożyć kombinezony na drugą stronę. Kolor podszewki dużo mniej rzuca się w oczy niż jaskrawa żółć.

Pobiegł szybciej naprzód, żeby powiedzieć o tym Whitowi. Włożyli kombinezony na lewą stronę i po dwudziestu minutach poszukiwań znaleźli płytki zbiornik wodny wydzielający zapach dwutlenku siarki.

- Mamy do niego wejść?! - wykrzyknęła Reggie.
- Tak, jeśli chcesz jeszcze pożyć - odpowiedział Shaw. - Tylko nie pij

tego.

Drżący z zimna i cuchnący, pobiegli dalej na zachód. Nagle Shaw kazał im się zatrzymać.

- Popelniamy błąd.

- O czym ty mówisz? - zdenerwował się Whit. Mokra grzywka przesłaniała mu oczy. - Staramy się uciekać przed tym facetem. Mamy go za plecami, idzie stamtąd. W takim razie musimy biec tam. - Wskazał przed siebie.

- Tego właśnie Kuczin od nas oczekuje. To on nam powiedział, żebyśmy biegli w tym kierunku. Jak sądzisz, dlaczego?

- Chce nas zwabić w pułapkę? - zastanawiała się Reggie.

- Tak sądzę. Nie wierzę, że będzie nas ścigał samotnie.

- Co w taki razie robimy? - zapytał Whit.

- Zawsze byłem zdania, że kiedy twój przeciwnik spodziewa się, że pójdziesz w lewo, ty powinienes iść w prawo. To najlepsza taktyka.

- A w naszym przypadku?

- A w naszym przypadku obejdziemy dokoła miejsce, skąd przyszliśmy i wrócimy do domu.

- A jeśli Kuczin przewidział nasz ruch i zastawił pułapkę w domu?

- Wtedy należy mu się zwycięstwo.

- On i tak zwycięży - wyjęczał Rice.

Nim Shaw zdążył zareagować, Reggie chwyciła Rice'a za szyję i mocno ścisnęła.

- Powiedz mi, gnojku, rzeczywiście kantowałeś go na kosztach transportu?

Rice nie odezwał się. Reggie ścisnęła mocniej.

- Kantowałeś?!

- Tak.

- I próbowałeś go zastrzelić?

Rice żałośnie pokiwał głową.

- A żeby cię szlag trafił, bydlaku. Dlaczego go nie trafiłeś? Idziemy - dodała po chwili.

95.

Kuczin szedł sam, w prawej ręce trzymał opuszczony karabin. Przed sobą słyszał ujadanie psów. Nie miało dla niego większego znaczenia, czy

zwierzęta zdołają podjąć trop, czy nie. Mogły mieć problem z powodu specyficznego zapachu wydzielanego przez okoliczne skały. Zdawał sobie dobrze sprawę, że ktoś taki jak Shaw musiał mieć doświadczenie w myleniu tropów i nawet dobrze wyszkolone psy nie zdołają go wytropić. Sytuacja przypominała partię szachów - tu trzeba było myśleć co najmniej cztery ruchy naprzód. Na Ukrainie, kiedy służył jeszcze w KGB, tropił zdrajców w błocie, śniegu, lodzie i wodzie. Nie znosił porażek i może dlatego prawie zawsze udawało mu się ich znaleźć. Ta niezłomność sprawiła, że szybko piął się po szczeblach kariery w aparacie bezpieczeństwa. Jego zwierzchnicy lubili i doceniali takich ludzi, ponieważ sami wtedy dobrze wypadali w oczach przełożonych.

Długo zastanawiał się, jak to zorganizować. Miał ochotę przywiązać każdego z nich z osobna nagiego do stołu i sięgnąć po swoją skrzynkę z narzędziami. Marzył o obdzieraniu ze skóry, wypruwaniu wnętrzości i poddaniu ich takim torturom, o jakich nawet umęczonemu Abd al-Madżidowi się nie śniło. W końcu jednak zrezygnował z tego pomysłu, głównie dlatego, że w przeciwieństwie do Abd al-Madżida wykazali się odwagą. Ryzykując życie, stanęli z nim twarzą w twarz. Nie kryli się podstępnie i nie wysłali nafaszerowanego narkotykami pacholka, żeby go zabił. Kuczyn był im winien choć odrobinę szacunku. Z Rice'em było inaczej. Wyrok śmierci na niego i tak już zapadł, a Kuczyn dołączył go do pozostałych wyłącznie dla wygody. Nie zamierzał marnować czasu dla kogoś takiego jak Alan Rice. Ten człowiek na to nie zasługiwał.

Pozostawało samo polowanie. Kuczyn znajdował się na swoim terenie, dał im więc niewielkie, ale jednak fory. Nie był głupcem. On i tak przeżyje, oni nie. Dał im tylko okazję przedłużenia sobie nieco życia. Ale on przecież już nie ucieknie. W pewnym sensie jego życie zatoczyło pełny krąg. Wiedzieli o jego sekretnym pokoju. Teraz pewnie zbierano dowody potrzebne do odesłania go na Ukrainę i oddania w ręce sądu. A rezultat mógł być tylko jeden - wyrok śmierci.

Moi rodacy pewnie rozszarpią mnie na strzępy.

Skończył się czas ukrywania się. Evan Waller już był martwy. Ten kanadyjski biznesmen był tylko nędzną imitacją Fedira Kuczyna. Kiedy to wszystko się skończy, nie będzie uciekał. Miał dosyć ukrywania się. Ale

będą musieli pojmać go tutaj, na jego ziemi. W końcu dzięki przewadze liczebnej uda im się to, ale wcześniej wielu z nich zginie. Tak powinien kończyć wojownik. Na własnych warunkach.

Uśmiechnął się. Może właśnie dzięki temu przejdzie do historii. Prawdziwy rzeźnik Kijowa. Ale jeszcze nie teraz. Dziś miał inne zadanie - zgładzić czworo ludzi. Nie chciał, żeby umarli zbyt łatwo - szczególnie Shaw i ta kobieta. Powinni mieć ciężką śmierć. Kobietę zamierzał zostawić sobie na koniec. Miał wobec niej specjalne plany. Ona będzie umierała najdłużej.

Zatrzymał się, podniósł karabin i przez lunetę obserwował oddalonego od kilkaset metrów karibu. Rosjanie w Afganistanie celowali w zabijaniu przeciwników z dużych odległości. I pewnie wygraliby tę wojnę, gdyby Amerykanie nie uzbroili mudżahedinów w stingery i ręczne granatniki przeciwpancerne. Pocieszeniem był fakt, że teraz ta sama broń zabijała Amerykanów. Ale było to marne pocieszenie. W końcu prostym Afgańczykom udało się pokonać potężną Armię Czerwoną.

Gdyby nacisnął spust, zastrzeliłby zwierzę szukające na jego ziemi pożywienia. Ale nie interesowało go zabijanie zwierząt. Ruszył dalej, czujnie obserwując okolicę.

Alan Rice rozczarował go, ale czy Kuczyn rzeczywiście mógł się spodziewać po nim czegoś innego? Sam przejął interesy swojego szefa w brutalny sposób, dlaczego więc miałby się spodziewać innego traktowania? Ludzie ambitni zdobywali to, czego pragnęli. Różnica pomiędzy Kuczynem a Rice'em polegała na tym, że Kuczyn potrafił osiągnąć swój cel. Miał stalowe nerwy i odpowiednie umiejętności. Rice'owi zabrakło jednego i drugiego. Nie potrafił strącić z piedestału kogoś takiego jak on. To między innymi dlatego go zatrudnił. Nigdy nie należy się zadawać z ludźmi bardziej bezwzględnyymi od siebie.

Wiedział, że biegną gdzieś przed nim. W pewnym momencie zaczną się zastanawiać, czy wybrali odpowiednią taktykę, może nawet dojdzie między nimi do kłótni. Marnując w ten sposób cenny czas, doprowadzą do tego, że dystans między zwierzyną a myśliwym zmaleje. Być może zmienią kierunek ucieczki, podejrzewając, że skierował ich w tamtą stronę celowo. Kuczyn wszystko to wziął pod uwagę.

Spojrzał na fosforyzujące wskazówki zegarka. Było lato, znajdowali się

daleko na północy, więc noc potrwa nie dłużej niż sześć godzin. Przypuszczał, że do tej pory będzie już po wszystkim. Szczątki wylądają w wodach oceanu i zostaną pożarte przez morskie zwierzęta.

Jeszcze raz uniósł karabin i spojrzął na siatkę w celowniku. Kuczkin przez wiele lat używał ulubionej lunety rosyjskich snajperów, będącej na wyposażeniu karabinu SWD, ale dwa lata temu zdobył popularny w amerykańskiej armii celownik teleskopowy ACOG. Strzelec mógł z niego korzystać bez przymykania jednego oka, dzięki czemu miał szersze pole widzenia i pełną głębię ostrości, a więc mógł łatwiej i szybciej namierzyć i zlikwidować przeciwnika.

Kuczkin miał broń, z której mógł zabić człowieka jednym strzałem, ale nie o to mu chodziło. Należało działać powoli. Wszystko w swoim czasie. Miał prawo być wściekły na ludzi, którzy próbowali go zabić, ale wiedział, że nie może traktować tego zbyt osobiście. Łatwo można stracić głowę, gdy człowiekiem rządzą emocje. Zdawał sobie sprawę, że musi polegać tylko na swoich umiejętnościach i zdrowym rozsądku. Na satysfakcję przyjdzie czas później, kiedy cała czwórka będzie leżała pokodem u jego stóp.

96.

Po zatoczeniu szerokiego łuku Shaw i pozostali zdołali wreszcie dotrzeć z powrotem do pogrążonego w ciemnościach domu. Jeszcze godzinę temu słyszeli ujadanie psów, które teraz ucichło. Reggie po drodze wpadła w głęboką szczelinę wyżłobioną przez lodowiec, ale zdołali ją jakoś wyciągnąć. Rice był wyczerpany i Shaw musiał mu pomagać w pokonaniu ostatniego kilometra.

Cała czwórka wpatrywała się w dom, przed którym nie stał żaden samochód.

- Myślisz, że wszyscy ruszyli z Kuczkinem na poszukiwania? - szepnęła Reggie.

- Ten facet służył w KGB. Byłby głupcem, gdyby nie zostawił nikogo

na straży - odparł Shaw.

- Co w takim razie zrobimy?
- Wykorzystamy element zaskoczenia. To wszystko, co mamy. Musimy zdobyć jakąś broń.
- I to wszystko? - zapytała Reggie. - A co z twoją przyjaciółką?
- Jeśli jest tutaj, zabierzemy ją ze sobą. - Zwrócił się do Whita. - Ty idź od tyłu. Ja podejść od frontu. Jeśli kogoś dostrzeżesz, cicho zagwizdź.
- To nas zdradzi - zauważyła Reggie.
- Masz jakiś lepszy pomysł? - warknął Shaw. - Walkie-talkie zostawiłem razem z karabinem.
- Może być gwizdnięcie - zgodził się Whit.
- A co z nami? - zapytała Reggie, wskazując siebie i Rice'a.
- Jeśli nam się nie uda, uciekajcie stąd. Kierujcie się w stronę oceanu i spróbujcie wysłać jakiś sygnał do przepływających statków.

Reggie nie była zadowolona, ale zachowała milczenie. Widać było, że nie podoba jej się komenderowanie Shawa, ale zdawała sobie sprawę, że on ma większe doświadczenie. Zresztą Whit też zdał się na jego zdanie.

Kilka minut później Shaw dotarł do tylnych drzwi i zajrzał przez szybę do środka. Kiedy zobaczył Katie James, zeszywniał. Siedziała mocno przywiązana do krzesła. Zdawała się drzemać. Nacisnął klamkę. Nie był zaskoczony, że drzwi były zamknięte. Za to zaskoczył go widok Whita czołgającego się po podłodze pokoju. Whit dostrzegł Shawa, podniósł się i otworzył zamek w drzwiach.

- Wszedłem przez okno - powiedział. - Dom wygląda na pusty.
- Szybko obudzili i rozwiązali Katie.
- Gdzie się wszyscy podziali? - zapytał Shaw, uściskawszy uprzednio krótko, ale gorąco Katie.
 - Wydaje mi się, że wszyscy poszli was szukać. Wzięli ze sobą psy.
 - Słyszeliśmy.
- Whit rozejrzał się po pokoju, krzywiąc twarz.
- A gdzie jest ciało Dominica?
 - Zabrali je. Nie wiem dokąd. Przykro mi.
 - Taaa...
 - Chyba nie przewidzieli, że zawrócicie i ominiecie ich łukiem - po-

wiedziała Katie.

- Jak widać, nie.
- Co teraz? - zapytał Whit.
- Szafa z bronią.

Znaleźli szafę i stracili cenne dwadzieścia minut, próbując bez pozwolenia ją otworzyć. W końcu Shaw rzucił na ziemię znaleziony w garażu łom. Za ośmiocentymetrowej grubości drzwiami było pewnie dość broni, by wyjść cało z opresji, a on nie mógł tych drzwi otworzyć.

- Chyba przewidzieli, że możemy tu wrócić.
- Myślisz, że to pułapka? - zapytał Whit. - Że dom miał tylko wyglądać na pusty? A kiedy wyjdziemy stąd z Katie, zaatakują nas?
- Nic już mnie nie zaskoczy. Przecież równie dobrze mogli nas zabić, kiedy tu dotarliśmy.

Przeszukali resztę pomieszczeń, ale Shaw znalazł tylko dwa ząbkowane noże w kuchni. Jeden z nich dał Whitowi.

- Noże przeciwko broni palnej?
- Nic lepszego nie mamy. A teraz spróbujmy znaleźć jakiś telefon lub cokolwiek innego, co pozwoli nam wezwać pomoc.

Nie znaleźli niczego. Ani telefonu, ani nawet walkie-talkie czy komputera.

- Shaw!

W progu drzwi wejściowych stała Reggie, a obok niej Rice.

- Nadjeżdżają samochody. Musimy stąd wiać.

Wybiegli z domu tylnymi drzwiami. Ciemności przecięty światła reflektorów. Samochód był jeden, ale nie wiadomo, ilu ludzi znajdowało się w środku. Shaw zawahał się.

- Potrzebny nam samochód - powiedział w końcu.

Reggie rozejrzała się i wskazała na lewo.

- Niech Whit weźmie Rice'a i Katie i ukryje się z nimi za tamtym wałem. My zajdziemy samochód od tyłu. Zabierzemy wóz i broń, jeśli jakąś mają. Potem zgarniemy Whita, Katie i Rice'a i odjedziemy.

- Zgoda - powiedział Shaw.

Whit zaprowadził Katie i Rice'a za ziemny nasyp za domem. Shaw ukrył się za jednym narożnikiem domu, a Reggie za drugim. Z samochodu

wysiadło czterech mężczyzn i ruszyło w stronę drzwi. Za trzydzieści sekund odkryją, że Katie zniknęła.

Podbiegł do samochodu. Z drugiej strony dołączyła do niego Reggie.

- Cholera - mruknął. Samochód był zamknięty. Zajrzał do wnętrza. W stacyjce nie dostrzegł kluczyków. Na fotelach nie leżała broń.

- Jeśli uda nam się dostać do środka, to pewnie go uruchomię, ale nie mamy czasu...

Oboje jednocześnie usłyszeli dobiegające z wnętrza domu krzyki.

Mężczyźni odkryli zniknięcie Katie.

- Dalej, Shaw! - wykrzyknęła Reggie. - Musimy uciekać.

- Prędeż, biegnij! - zawołał, popychając ją.

Obejrzała się za nim i po chwili zniknęła za rogiem chaty.

- Jeśli my nie możemy mieć samochodu, to wy też nie - mruknął Shaw, przecinając nożem obie prawe opony. W ostatniej chwili zdążył uciec. Drzwi domu otworzyły się z hukiem i na zewnątrz wypadło czterech mężczyzn z bronią w rękach. Podbiegli do obu narożników domu i zaczęli na oślep strzelać w mrok. Pociski przelatwały ze świstem nad głową Shawa, który ani na moment nie zwolnił biegu. Przypuszczał, że go nie widzą w ciemnościach, poza tym ryzyko celnego trafienia z tej odległości było minimalne. Dobiegł do pozostałych i wszyscy razem zaczęli z całych sił uciekać jak najdalej od chaty. Wyraźnie słyszeli przekleństwa mężczyzn, kiedy samochód ruszył z miejsca na sflaczałych oponach.

Na przedzie biegł Shaw. Szerokim łukiem okrążyli posiadłość i skierowali się ponownie na zachód. Pięć minut później światła domu zniknęły z ich pola widzenia.

- Spokojnie - powiedział Shaw, kiedy się w końcu zatrzymali - bo zaraz na nich wpadniemy.

- Dokąd teraz? - zapytał Rice.

- Teraz jesteśmy za ich plecami - powiedział Shaw. - Tego się nie będą spodziewać.

- Owszem, będą. Wiedzą, że byliśmy w domu, bo zniknęła Katie - odrzekła Reggie, wskazując palcem stojącą za jej plecami Katie.

Shaw spojrział na Reggie, potem na Katie i znów na Reggie.

- I co, chcesz ją zaprowadzić z powrotem do chaty?

Reggie zbladła.

- Oczywiście, że nie!
- W takim razie musimy sobie jakoś radzić.
- A może powiesz nam jak? - wtrącił się Whit. - Podkradniemy się i zaatakujemy ich nożami kuchennymi?

- Myślałem, że to rozumiesz. Naszym celem nie jest walka z nimi. Musimy stąd uciec i poszukać pomocy. Nie udało nam się zdobyć samochodu, więc musimy się rozejrzeć za czymś innym. Jeśli się nie mylę, to wybrzeże jest tam. Jeśli skierujemy się na południe, dotrzemy do cieśniny Belle Isle. O tej porze roku przepływa nią mnóstwo statków zmierzających do Europy. Jeśli uda nam się przeżyć do rana, może nas zauważą i wyślą po nas łódź.

- To brzmi rozsądnie - uznała Reggie.

Katie spojrzała na Shawa.

- Może bylibyście łaskawi wytłumaczyć mi, o co tu właściwie chodzi?
- Tak, ale nie w tej chwili. - Shaw ujął jej dłoń. - W końcu jestem ci winien wyjaśnienia.

Reggie widziała, jak Katie kładzie drugą dłoń na rękę Shawa, i odwróciła wzrok.

Przeszli ponad kilometr, kiedy nocną ciszę przeszył głośny huk. Ich wszystkie plany wzięły w łeb.

97.

Alan Rice krzyknął i złapał się za nogę, kiedy pocisk rozerwał mięśnie i roztrzaskał kość udową. Runął na ziemię, potoczył się i zatrzymał dopiero na jakimś małym głazie. Shaw złapał Katie i popchnął na ziemię za niewielki pagórek. Whit i Reggie znaleźli kryjówkę sami. Shaw wyjrzał znad pagórka.

- Czy ktoś widział ogień z lufy?! - zawołał.

Nikt nie widział.

- Rice! - krzyknął. - Schowaj się za tamtą skałą.
- Mam pokiereszowaną nogę - odpowiedział Rice.
- Pokiereszują ci drugą, jeśli tam nie zostaniesz.

Rice zaczął czołgać się w kierunku kamienia, kiedy drugi pocisk trafił go w ramię.

- Psiakrew! - Shaw wyskoczył ze swojej kryjówki, podbiegł zygzakiem do Rice'a i zaciągnął go w bezpieczne miejsce. Obie rany obficie krwawiły, a Rice co chwila tracił z bólu przytomność. Kość była potrząskana, jej blade kawałki sterczały z uda. Gdyby pocisk trafił w tętnicę, Rice już by nie żył. Shaw nożem odciął pasek materiału ze swojego kombinezonu i zrobił z niego prowizoryczną opaskę uciskową, obwiązując nogę powyżej rany. Krew płynęła teraz trochę wolniej. Ale tylko trochę.

- Czy ja umieram? - wyszeptał Rice, odzyskawszy przytomność.
- Posłuchaj, postaram się zabrać cię stąd. Możesz wstać?
- On nas pozabija! - wrzasnął Rice. - Zabije nas obu.

Shaw mu się przyjrzał. Mężczyzna był w szoku, a on nie mógł na to nic poradzić. Zamarł w bezruchu kiedy usłyszał psy. Tyle że tym razem było to warczenie i paraliżujący ruchy skowyt. Poczul, że włosy stają mu dęba. Wychylił głowę znad głazu.

- Shaw! - zawołały jednocześnie Reggie i Katie.

W jego kierunku biegly dwa największe i najbardziej wściekłe psy, jakie kiedykolwiek widział. Pokonywały nierówności terenu, jakby to był gładki dywan.

- Shaw, uciekaj! - krzyknęła Reggie.

Shaw ścisnął mocno nóż w dłoni, szukając sposobu wybrnięcia z opresji. Wstał, ale zaraz przykucnął, nie wiedząc, czy psy nie miały za zadanie wywabić go z kryjówki i wystawić na cel. Wyrzał zza skały jeszcze raz w samą porę, by dostrzec skaczącego na niego psa. Zamachnął się nożem, trafiając w pierś blisko stukilogramowej bestii. Drugą ręką złapał w powietrzu zwierzę i rzucił nim o ziemię.

Lekko zraniony i oszołomiony pies z nieludzką prędkością i zajadłością przeokoziółkował, znalazł oparcie na kamienistym podłożu i w jednej chwili rzucił się do skoku na Shawa. Trafiony w klatkę piersiową Shaw stracił równowagę i upadł. Jego krew z rany zadanej kłami bestii zmieszała się z

krwią psa. Shaw zerwał się błyskawicznie na nogi. Gdyby pozostał dłużej na ziemi, nie miałby żadnych szans. Trafił pięścią w nos zwierzęcia i ogłuszył je kolejnymi dwoma ciosami. Wbił nóż raz jeszcze, pies zawył, a Shaw wyskoczył zza skały i zaczął biec, ślizgając się na sypkiej ziemi.

Z napięciem wyczekiwał trafienia kulą karabinową w plecy albo ataku kolejnego psa. Oczami wyobraźni widział siebie powalonego przez bestię na ziemię, jego szczęki, cuchnący oddech na twarzy. Widział, jak wiedzione instynktem zwierzę zatapia w kły w jego szyi. Na szczęście był to tylko koszmarny wytwór wyobraźni. Po chwili zrozumiał, dlaczego wciąż jeszcze żyje.

Rice krzyczał przeraźliwie, zupełnie jakby ktoś obdzierał go ze skóry. Shaw obejrzał się za siebie i natychmiast tego pożałował. Niejedno w życiu widział, zapewne więcej niż większość ludzi, ale z czymś podobnym nie miał nigdy do czynienia.

Jeden z psów trzymał w pysku rękę Rice'a. Drugi właśnie rozszarpał jego pierś. Zewsząd tryskała krew. Shaw przypomniał sobie obraz Goi przedstawiający Saturna pożerającego człowieka. Farby olejne i płótno, nawet wzbogacone wyobraźnią geniusza, nie mogły równać się z przerażającą realnością tego spektaklu. W tym właśnie momencie Alan Rice wyzionął ducha.

Shaw dołączył do pozostałych. Biegli jak najszybciej. Shaw musiał podtrzymywać Katie, która co chwila ślizgała się, potykała, przewracała.

Po przebiegnięciu trzech kilometrów upadli bez tchu na ziemię.

- Jak to się stało? - Whit, ciężko dysząc, uniósł się na rękach.

- Nie wiem - odpowiedział Shaw. - Przechytrzył nas.

Reggie powoli podniosła się z ziemi.

- Musimy biec dalej. Może będziemy musieli nawet wskoczyć do wody i dopłynąć do jakiegoś statku. Jeśli tu zostaniemy, umrzemy na pewno.

Whit wbił w ziemię nóż.

- Zrozum to wreszcie, Reggie. Już jesteśmy martwi. Za chwilę dogonią nas psy. Nie mamy szans.

Teraz wstał Shaw.

- Reggie ma rację. Musimy biec dalej.

Whit uniósł głowę i spojrzał mu w oczy.

- Naprawdę myślisz, że to sprawi jakąś różnicę?
- Nie, ale nie zamierzam ułatwiać temu sukinsynowi zadania. A ty? Czując przyływ energii, Whit schował nóż do kieszeni i poderwał się na nogi. Pobiegli w kierunku wody.

98.

To, co pozostało z Alana Rice'a, zostało zapakowane do plastikowych worków na śmieci i zabrane. Obżarte psy, z pyskami ociekającymi jeszcze krwią, wzięto na smycz i założono im kagańce. Kuczina siedział w kucki z karabinem położonym na udach i przyglądał się porządkom, zastanawiając się jednocześnie gorączkowo nad następnym ruchem.

Spojrzał w dal przed siebie. Woda. Niezbędna do życia. Tam właśnie mogli uciekać. To wydawało się logiczne. Ale to tylko jedno z możliwych rozwiązań. Mógł teraz wszystkich ich z łatwością zabić, ale nie o to mu chodziło. Mógł zabić Shawa, kiedy ten rzucił się na pomoc Rice'owi albo gdy uciekał przed atakiem psów. Ale dla Kuczina nie było ważne, kiedy umrą. Najważniejsze było jak. To on podyktuje warunki. Na szczęście dla niego zrobili coś, czego się spodziewał. Wstał i uśmiechnął się. Teraz jeszcze nie rozumieją znaczenia swojej decyzji. Zamierzał im to wyjaśnić, nim umrą.

Jednego miał już z głowy, pozostało troje. Właściwie dwóch miał z głowy, jeśli liczyć człowieka zastrzelonego w domu, ale tamten go specjalnie nie interesował. Wyrok śmierci zapadł na niego przecież dużo wcześniej. Ostatnia umrze kobieta. Kuczina nie zapomniał o swoim pożądaniu. Najpierw ją posiadzie, a potem zabije. Lepszej zemsty nie potrafił sobie wyobrazić. Na dodatek jej śmierć będzie wyjątkowo bolesna. W plecaku niósł przyrząd do obdzierania ze skóry. Zastanawiał się, czy uda mu się pobić własny rekord i zejść poniżej godziny. Czuł, że zdoła tego dokonać. W wyobraźni już słyszał jej krzyk.

- Pascal? - rzucił i momentalnie obok niego pojawił się niski mężczyzna.

- Tak, panie Waller?
- Chyba już czas ruszać. - Kuczyn spojrział w niebo. Najciemniejszą część nocy już mieli za sobą. Zaczęło szarzeć, niedługo nastanie świt. - Będą uciekać w stronę cieśniny. Tam, gdzie płyną statki.

Pascal zgodził się z nim skinieniem głowy.

- Kanał jest szerszy, niż im się wydaje. Spróbują nadać jakieś sygnały. Szafa z bronią była nietknięta?

- Tak jest. Sprawdziliśmy przed wyjściem. I tak wcześniej zabraliśmy z niej całą broń i amunicję, na wypadek gdyby udało im się sforsować drzwi. Mają tylko noże. Wielkolud jednym z nich zranił psa, ale bydlę się wylizę.

Kuczyn pogładził lufę karabinu.

- Nóż... Kiepska broń przeciwko temu.
- Mogę pobiec skrótem i zagonić ich z powrotem w pana kierunku. Nie będą mieli dokąd uciekać i pozostanie im tylko cieśnina.

- Zrób tak, Pascal. Skieruj ich na mnie. - Wyjął mapę, a Pascal oświetlił ją latarką.

- Zagoń ich tu. - Wskazał miejsca na mapie.
- Dobry wybór. - Pascal z uznaniem pokiwał głową. Obejrzał się na furgonetkę, do której pozostali ludzie pakowali worki ze szczątkami Rice'a.

- Był głupcem.
- Przeciwnie, był bardzo bystry, ale to właśnie bystrzy ludzie czasem robią głupie rzeczy. Inteligencja idzie w parze z ambicją. A ambicje bywają niebezpieczne.

- Oczywiście, panie Waller.

- Sprowadź ich do mnie, Pascal.

99.

Nie było niczego. Ani statków, ani nawet jakichkolwiek świateł na wodzie, które wskazywałyby na ich obecność. Co gorsza, nad wodą snuła się mgła. Shaw spojrział na pozostałych, a potem przeniósł wzrok na skały

w dole.

- Możemy tam zejść i skryć się w oczekiwaniu na jakiś statek.

Cała trójka spojrzała na niego otępiałym wzrokiem.

- Chcesz opóźnić to, co nieuniknione? - zapytał Whit.

- Nazwałbym to raczej zajęciem pozycji obronnych. Przynajmniej będzie musiał zejść na dół, żeby nas złapać.

- Albo zostanie tu na górze i po kolei nas powystrzela - zauważyła Reggie. - Nie widzieliśmy, skąd padł strzał, który trafił Rice'a, ale na pewno z bardzo daleka.

- Masz lepszy pomysł? - zapytała Katie.

Reggie kopnęła skałę, przy której stała.

- Nie mam.

Shaw obejrzał się w stronę, skąd przybiegli.

- O czym myślisz? - zapytała Reggie.

- Raz udało mu się nas przechytryć. Tym razem chcę mu odplacić tym samym.

- Jak? Ma nad nami przewagę. Taktyczną i strategiczną.

- Poza tym ma psy - dodał Whit - przy których pies Baskerville'ów wygląda jak pekińczyk.

Shaw przykucnął i zamyślił się. Spojrzał na jaśniejące niebo.

- Mgła mogłaby nam pomóc.

Reggie skinęła głową.

- Owszem, ale kiedy wstanie słońce, mgła się rozwieje, a wtedy staniemy się widoczni jak na dłoni. Poza tym, jeśli tam zejdziemy, wątpię, czy uda nam się wdrapać z powrotem na górę. Tam nie ma się gdzie ukryć. Kuczyn może nas zaskoczyć, kiedy będziemy w połowie drogi, a wtedy wystrzela nas z łatwością.

- Pociuszając jest to - zauważył Whit - że psy nie zdołają zejść na dół i ominie je smaczne śniadanie.

- Jezu, ludzie! - Katie wstała. - Shaw próbuje wymyślić jakiś sposób na ocalenie nas wszystkich, a wy potraficie tylko...

Shaw zasłonił jej usta dłonią i rozejrzał się wokół. Wszyscy to usłyszeli. Na prawo od nich coś się poruszało. Shaw nakazał im gestem, by poszli za nim. Ruszyli w lewo, oddalając się od źródła hałasu.

- Spójrz, Shaw! - Reggie wskazał za siebie.

Stanęli nieruchomo, patrząc na coś, co zsuwa się znad urwiska. To była lina i doczepiona do niej torba. Torba dotknęła ziemi i przewróciła się na bok.

- Weźcie to - rozległ się czyjś głos.

Spojrzeni w górę.

Na szczycie urwiska stał Pascal.

Shaw i Whit sięgnęli po noże.

Pascal uśmiechnął się szeroko i pokręcił głową. Mgła gęstniała, jego postać stawała się coraz mniej wyraźna.

- Weźcie to. Może wam się przydać.

Nie spuszczać wzroku z Pascala, Shaw podszedł ostrożnie do torby. Kiedy zobaczył, co jest w środku, rozpromienił się. Wyjął broń i telefon komórkowy.

- Telefon jest naładowany - powiedział Pascal. - Macie tu zasięg.

Jakiś kilometr stąd Waller postawił maszt przekaźnikowy. Dzwońcie, do kogo chcecie. GPS w telefonie jest włączony.

- Dlaczego to robisz? - zapytał Shaw.

- Waller chciał, żebym was skierował tam. - Wskazał kierunek, skąd przyszli. - Jakieś półtora kilometra stąd, gdzie zbiegają się dwie drogi. Jest tam taki pagórek. Założę się, że teraz tam na was czeka.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. - Shaw sprawdził, czy magazynek jest pełny, a broń nieuszkodzona.

Pascal przeniósł spojrzenie na Reggie i Whita.

- Miałem nadzieję, że zabijecie go w Gordes. Myślałem, że informacje, które przekazałem waszym kolegom, wystarczą. Ale wszedł mi w paradę Rice. On cię śledził - rzekł do Reggie. - W kościele.

- To ty byłeś naszą wtyczką? - zapytała uradowana Reggie.

- Jasna cholera. - Whit pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Nie wiedziałem, co odkrył Rice, a potem było już za późno. Poszedłem z nim do kościoła, mając nadzieję, że zdołam wam jakoś pomóc. - Spojrzał na Shawa. - A potem pojawił się on i już nie potrzebowaliście mojej pomocy.

- Chciałeś, żeby Waller zginął? - zapytała Reggie.

- Moja matka знаła go jako Fedira Kuczina. Jestem Grekiem, a on

odwiedzał nas w czasie wakacji, kiedy byłem mały.

- Znasz go od dziecka?

- Można to tak określić. Jest moim ojcem, choć trudno go tak nazywać. Zostawił moją matkę. Umarła w nędzy. My, Grecy, nie zapominamy i nie wybaczymy takich rzeczy. Jemu się wydaje, że nie wiem, kim naprawdę jest. Myśli, że nie jestem dość bystry, żeby się domyślić. Myśli, że wierzę w historyjkę, jak to przyjechał do Grecji i uratował biedną sierotkę. To prawda, zapewnił mi wikt, dał schronienie i wyszkolił mnie. Ale to nie zmienia faktu, że przez niego umarła moja matka, i cokolwiek by zrobił, nic tego nie zmieni.

Shaw spojrzał na broń.

- Po co nam to?

- Zwiększa wasze szanse.

- Dlaczego sam go nie zabijesz?! - zawołał Whit.

- Mam swoje powody. Poza tym jest moim ojcem. Zajmę się pozostałymi. Psami też. Wy zróbcie porządek z Kuczinem. Powodzenia.

W następnej chwili Pascal znikł.

Cała czwórka spojrzała po sobie.

- Co o tym myślisz? - zapytała Katie. - Uważasz, że to prawda?

Shaw wskazał pistolet.

- Raczej tak, skoro dał nam broń i telefon. Zajmijmy się łącznością. - Wystukał na klawiaturze numer. W słuchawce odezwał się zaspany głos Franka.

- Mam minutę, żeby ci wszystko wyjaśnić, Frank, a potem zacznij szybko działać.

Shaw przekazał Frankowi wszystkie potrzebne informacje i rozłączył się. Wziął do ręki pistolet i spojrzał na Katie.

- Ty i Reggie zostaniecie z Whitem. Ja idę zabić Kuczina, a potem po was wrócę.

- Tam są też jego ludzie, Shaw - zauważyła Reggie. - Możesz potrzebować pomocy.

- Słyszałaś, co mówił Pascal. Pozostałymi zajmie się on.

Whit pokręcił głową.

- On jest jeden, mogą go zabić. Poza tym Kuczina ma te cholerne psy.

Pójdę z tobą. Panie mogą tu zaczekać na nasz powrót.

- Cały czas trzymaliśmy się razem - powiedziała Reggie. - Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy się teraz rozdzielać.

- Masz rację - przytaknęła jej Katie. - Wszyscy albo nikt.

- Z taktycznego punktu widzenia to bez sensu - sprzeciwił się Shaw. - Jeśli będziemy trzymali się razem, ułatwimy tylko Kucziniowi robotę.

- Albo utrudnimy - odrzekła Reggie. - Zależy, z której strony na to spojrzeć.

- No dobrze, a dlaczego nie możemy zostać tu i poczekać na pojawienie się Franka? - zapytał Whit.

- Ponieważ wcześniej pojawi się tu Kuczini. Frank potrzebuje czasu, żeby tu dotrzeć. Nawet śmigłowcem.

- Możemy go tu wciągnąć w zasadzkę.

- Miejsce nie jest odpowiednie. Siedzimy tu w kucki. Zobacz, jak Pascal nas łatwo namierzył. Jeśli pójdę tam, gdzie na nas czeka, i znajdę go z boku, może uda mi się go zaskoczyć. Poza tym Kuczini nie spodziewa się, że mam broń.

- Nie zostanę na tyłach, Shaw - zaprotestowała Katie. - Skoro cię wreszcie po takich trudach znalazłam, nie pozwolę ci tak po prostu odejść.

Reggie spojrzała na Shawa i dodała:

- Ja też idę z tobą.

Shaw poszukał wzrokiem wsparcia u Whita, ale Irlandczyk bezradnie wzruszył ramionami.

- Nigdy jeszcze nie udało mi się przekrzyknąć żadnej kobiety. A z tymi dwiema to już na pewno sobie nie poradzę.

Shaw westchnął głęboko i z bronią gotową do strzału ruszył przed siebie. Pozostali poszli jego śladem.

100.

Kuczini wybrał miejsce, ale zupełnie inne niż ktokolwiek, nawet Pascal, mógł przypuszczać. Teren położony wyżej prawie zawsze był odpo-

wiedniejszy, kiedy dochodziło do konfliktu. No właśnie, prawie. Uniósł karabin, spojrzął przez celownik i rękawiczką startł okruh z soczewki. Zsunął nieco rękawiczkę i spojrzął na zegarek. Potem położył się na ziemi i żeby nie zasnąć, liczył w myślach mijające sekundy.

Kiedy usłyszał dźwięki, nie poruszył się. Kroki zbliżały się, a on wy-czekał odpowiedni moment i poruszył się dopiero wtedy, gdy zagłuszały one jego ruchy. Uniósł lufę karabinu; przyłożył lunetę do prawego, silniej-szego oka. Cel znalazł się w siatce celownika. Nie było sensu dłużej cze-kać. Strzelił.

- Psiakrew! - wrzasnął Whit, chwytając się za nogę i padając na ziemię tuż za plecami Shawa.

- Wszyscy na ziemię! - wykrzyknął Shaw.

Cała czwórka przywarła do podłoża. Reggie podczołgała się do Whita, żeby zobaczyć, jak poważna jest rana. Whit już zdejmował kombinezon, żeby ją obejrzeć i zatamować krwotok.

- Przeszła na wylot - mruknął. - Chyba nie uszkodziła kości, ale boli jak diabli.

- Wyciągniemy cię stąd - zapewniła go Reggie.

Whit potrząsnął przecząco głową; zbladł na twarzy.

- Będzie tak jak z Rice'em. To metoda tego bydlaka. Najpierw strzela w nogę, potem w tułów. - Jęknął z bólu i zadygotał. - A potem te cholerne psy - dodał drżącymi wargami.

- Nie pozwolę na to.

Chwytał ją mocno za ramię i wcisnął jej do ręki nóż.

- Kiedy usłyszysz zbliżające się psy, dobij mnie, zanim mnie dopadną. Obiecaj!

Nie była w stanie nic powiedzieć, wpatrywała się w niego bezradnie.

Potrząsnął nią.

- Obiecaj mi, Reggie! Nie pozwól, żeby zrobiły ze mną to samo co z Rice'em.

Reggie spuściła wzrok, w kącikach jej oczu pojawiły się łzy.

- Nie mogę, Whit. Nie mogę tego zrobić...

Whit zebrał wszystkie siły i poprosił jeszcze raz:

- Jeśli tego nie zrobisz, to będzie zwycięstwo Kuczina. Przecież taki

cholerny potwór nie może zwyciężyć, prawda? - Położył głowę na ziemi, ciężko dysząc.

Reggie ścisnęła mocniej nóż i otarła łyzy.

- Dobrze, zrobię to, jeśli muszę.

Shaw obserwował uważnie okolice wciąż zasnutą mgłą. Przedmioty rozmywały się, zmieniały kształty, łudziły oko. Kierunek, z którego padł strzał, wskazywał, że Kuczyn jest gdzieś przed nimi, ale to była wciąż mało precyzyjna informacja. Mieli tylko jedną szansę. Kazał Katie pozostać na miejscu, a sam podczołgał się do Reggie i Whita.

Obejrzał jego ranę i wręczył Reggie pistolet. Spojrzała na niego pytająco.

- Jedyńm sposobem na wyjście z tego cała jest wykurzenie go z kryjówek.

- Jak?

- Rozbłysk z lufy. Pierwszego nie widzieliśmy, ale wciąż jest dość ciemno, żeby zobaczyć następny.

- Masz jakiś pomysł?

- Trzeba go zmusić do oddania kolejnego strzału.

- To wiem, ale jak? - zapytała zniecierpliwiona.

Wskazał ruchem głowy przed siebie.

- Przebiegnę przed tobą z prawej strony na lewą. Ty patrz się tam. Tam powinien się pojawić błysk. Kuczyn jest gdzieś blisko. Wiem, bo slyszalem wyraźnie wystrzał.

- Chyba nie zamierzasz...

Spojrzał na jęczącego z bólu Whita.

- Kiedy zobaczysz błysk...

- Ja nie mogę...

Uderzył ją mocno w policzek.

- Nie mów mi, że czegoś nie możesz. Zrobisz to.

Patrzyła na niego oszołomiona, ale jej oczy się nie zaszklily. Przeciwnie, spojrzała na niego hardo. Shaw zauważył to i starał się mówić łagodniej.

- Dasz radę, Reggie. Widziałem, jak sobie radziłaś na strzelnicy. Piętnaście centymetrów poniżej rozbłysku z lufy. Trzy strzały, jeden po drugim. Kuczyn nie będzie miał na sobie kamizelki kuloodpornej, bo nie wie,

że jesteście uzbrojeni. Kiedy będzie po wszystkim, razem z Katie zabierzcie Whita na brzeg cieśniny i czekajcie tam na Franka. - Włożył jej do ręki telefon. - Dzwon do niego co jakiś czas. Dzięki temu będzie mógł namierzyć twoje położenie.

Reggie oblizała wargi.

- Shaw? - zaczęła.

- Zrób to, Reggie. Wykończ go. Zrób to dla mnie.

Skinęła tylko głową, a Shaw poderwał się i nisko pochylony ruszył przed siebie.

- Shaw! - krzyknęła Katie, wstając i biegnąc w jego kierunku. - Uwważaj!

Shaw spojrzał w lewo. Sukinsyn poruszał się jak duch. Zmienił pozycję. I w gęstej mgle rzeczywiście przypominał ducha. Shaw widział go teraz dobrze z karabinem gotowym do strzału. Wiedział, że nie chybi.

Shaw wyrzucił w górę ramiona chwilę przed tym, nim padł strzał. Poczł, jak pocisk parzy skórę prawego ramienia. Opuścił ręce, zastanawiając się, jakim cudem Kuczyn chybił z takiej odległości. I nagle zrozumiał.

- Katie!

Obrócił się i zdążył jeszcze dostrzec, jak Katie James pada na plecy. Pocisk trafił ją w plecy i roztrzaskał się o skałę, która była przed nią. Runęła na ziemię, podskoczyła lekko i znieruchomiała.

Kuczyn stał niecałe dwanaście metrów od niej. Patrzył na leżącą Katie, a następnie przeniósł spojrzenie na Shawa, który nie mógł oderwać od niej oczu.

- Mówiłem ci, że puszcze ją wolno, jeśli wypełnisz dokładnie moje instrukcje - odezwał się Kuczyn. - Ale byłeś nieposłuszny. Wróciłeś do domu i zabrałeś ją stamtąd. Złamałeś naszą umowę. Sam jesteś winny jej śmierci, przyjacielu. - Milimetr po milimetrze Shaw obracał głowę w stronę Ukraińca. Z jego spojrzenia wywnioskował, że wszystko to było zaplanowane. Katie sama w domu, żadnych strażników. W końcu nadjeżdżający samochód i kilka strzałów dla niepoznaki. Kuczyn nie zorganizował w domu zasadzki. Chciał, żeby uwolnił Katie. Żeby złamał umowę. Dał się złapać w pułapkę jak zwykły żółtodziób.

Powodowany wściekłością, jaką w całym dotychczasowym życiu odczu-

wał do tej pory tylko raz, rzucił się do przodu z nożem w ręce i w ciągu czterech sekund pokonał prawie cały dystans dzielący go od Kuczina. Niestety, ten potrzebował mniej czasu, by unieść karabin i wycelować. W celowniku amerykańskiej produkcji, który nigdy go dotąd nie zawiodł, widział wyraźnie głowę Shawa. Nim zdążył strzelić, zasłonił go jednak obłok mgły.

Padł strzał. I jeszcze jeden. I wreszcie ostatni.

Choć Shaw uskokczył w bok, Kuczin opuścił broń. Karabin upadł na ziemię, bo Ukrainiec nie miał już siły go utrzymać w ręku. Na klatce piersiowej w trzech miejscach pojawiły się czerwone plamy. Wszystkie trzy pociski trafiły w serce.

Reggie opuściła rękę z pistoletem. Opłaciły się ćwiczenia w pełnej dymu strzelnicy. Zapamiętała, gdzie stał Kuczina, nim przesłoniła go mgła. I tym razem jej cel się nie poruszył.

Ukrainiec padł na kolana. W szeroko otwartych oczach widać było niedowierzanie, choć z medycznego punktu widzenia ten człowiek już był martwy. Naukowcy określali to mianem „fali śmierci”, ostatniego sygnału wysyłanego przez mózg do martwego już ciała.

Chwilę później Shaw rzucił się na Kuczina, wbijając nóż w jego czaszkę z taką siłą, że złamało się ostrze. Kuczina padł na plecy, Shaw na niego. Thukł go pięścią i przestał dopiero wtedy, gdy twarz martwego Ukraińca zmieniła się w krwawą miazgę.

- On nie żyje, Shaw! Nie żyje!

Reggie próbowała go odciągnąć, ale Shaw jednym wymachem ramienia powalił ją na ziemię. Nagle zdał sobie sprawę, co się dzieje, poderwał się i podbiegł do Katie. Sprawdzał puls, ale nie mógł go odnaleźć. Usiadł na niej okrakiem, zaczął uciskać klatkę piersiową, potem zacisnął jej nos, włączając do ust powietrze. Wypełniał powietrzem płuca i uciskał pierś, która nie chciała się zacząć unosić. Wreszcie z ust Katie wydobył się jęk, jej ciało zadrżało, a z ust uszedł nadmiar powietrza.

Shaw zerknął na stojącą nad nimi Reggie.

- Pomóż mi, proszę.

Shaw tulił głowę Katie, a Reggie rozpięła jej bluzkę i obejrzała ranę.

- Kula przeszła na wylot - powiedziała wreszcie. Opatrzyła ranę i powstrzymała krwawienie. Shaw zadzwonił do Franka i powiedział mu, co się

stało. Frank uspokoił go, że wzięli ze sobą ekipę medyczną.

Katie oddychała samodzielnie. Reggie usiadła na ziemi i spojrzała na Whita, który leżał na ziemi, kurczowo ściskając nogę i cicho pojękując. Następnie przeniosła spojrzenie na zmasakrowane ciało Kuczina.

- Boże, zechciej zrozumieć, dlaczego to robię - wyszeptala.

Kiedy zauważyła, że po ramieniu Shawa płynie krew, podwinęła rękaw jego koszuli i ujrzała ślad pozostawiony na skórze przez pocisk.

- Zmieniłeś tor pocisku - powiedziała.

- Co takiego? - zdziwił się Shaw.

- Kula najpierw otarła się o twoje ramię. Zmieniłeś jej trajektorię. Założę się, że Kuczina celował w jej głowę. Sam powiedział, że to miał być śmiertelny strzał.

Shaw wydawał się jej nie słuchać. Siedział wpatrzony w Katie.

- To przeze mnie została trafiona.

- Zrozum, uratowałeś jej życie.

- Jeszcze nie - wyrzucił z siebie łamiącym się głosem. - Jeszcze nie. -

Zamknął Katie w silnym uścisku, jakby chciał zatrzymać uchodzące z niej życie. I nie pozwolić jej odejść.

101.

Katie i Whitem zajęła się na pokładzie samolotu ekipa medyczna, która przyleciała z Frankiem. Po wylądowaniu w Bostonie oboje trafili do szpitala. Shaw, Reggie i Frank od kilku godzin siedzieli w poczekalni. Frank pił kawę za kawą, wstrętną lurę z automatu, a Shaw wpatrywał się nieruchomo w podłogę. Pojawili się lekarze i oznajmili im, że stan Whita jest dobry i w pełni dojdzie do siebie. Minęło kolejnych kilka godzin.

Kiedy w poczekalni pojawił się wysoki mężczyzna w towarzystwie kobiety, Shaw podniósł głowę. To byli rodzice Katie. Rozpoznał ich ze zdjęcia, które kiedyś mu pokazała. Oboje sprawiali wrażenie wyczerpanych. Widać było, że odchodzą od zmysłów. Spędzili u córki godzinę, a potem wrócili do poczekalni.

Shaw przypomniał sobie, jak Katie mówiła mu, że jej ojciec jest profesorem. Był wysoki, barczysty i miał szpakowate włosy. Matka była podobna do córki, szczupła blondynka. Miała takie same oczy i w taki sam sposób się poruszała.

- Powiedziano nam, że pomógł pan naszej córce - odezwał się ojciec Katie, kierując swoje słowa do Shawa, który ledwie uniósł głowę.

Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Sparaliżowany poczuciem winy ponownie wbił wzrok w podłogę.

- Dziękuję - powiedziała matka Katie.

Nadal nie śmiał spojrzeć im w oczy.

Frank czuł, co przeżywa Shaw, wstał, wyprowadził państwa Jamesów z poczekalni i wdał się z nimi w cichą rozmowę. Po chwili wrócił i przysiadł się do Shawa.

- Posadziłem ich w drugiej poczekalni. Obdzwanają teraz resztę rodziny.

- Co z Katie? - zapytała Reggie.

- Na dwoje babka wróżyła - odpowiedział Frank. - Wciąż nie znają rozmiarów uszkodzeń, jakie spowodował pocisk.

Minęło kolejnych kilka godzin. Frank przyniósł z bufetu jakieś jedzenie, ale tylko on i Reggie byli w stanie coś przełknąć. Potem zauważył, jak rodzice Katie ponownie wychodzą z oddziału intensywnej opieki medycznej.

Z wyrazu ich twarzy wyczytał, że mają dobre wieści. Matka Katie podeszła do Shawa. Tym razem wstał, a ona objęła go i uściśniła.

- Wyjdzie z tego - powiedziała. - Niebezpieczeństwo minęło. - Tym słowom towarzyszyło westchnienie ulgi. Jej mąż uściśnił jego dłoń. - Nie wiem, co się naprawdę tam wydarzyło, ale chcę panu z całego serca podziękować za uratowanie jej życia.

Kilka minut później rodzice wyszli z poczekalni, żeby przekazać dobrą wiadomość krewnym.

Shaw stał bez ruchu ze wzrokiem wbitym w czubki swoich butów.

- Naprawdę pomogłeś ją uratować - odezwał się Frank.

Machnięciem ręki zlekceważył jego słowa.

- Musisz tam pójść i zobaczyć się z nią - powiedziała Reggie.

Pokręcił głową.

- Nie.

- Dlaczego?

- Nie mam prawa - wykrztusił. Zaciskał nerwowo pięści, jakby chciał za chwilę uderzyć nimi w ścianę. - O mało przeze mnie nie zginęła. A jej rodzice dziękują mi za uratowanie jej życia. To nie w porządku. Nic nie jest w porządku.

Reggie ujęła w dłonie jego twarz i zmusiła go, by na nią spojrział.

- Musisz tam pójść i zobaczyć się z nią.

- Po co? - zapytał ostro.

- Ponieważ ona na to zasługuje.

Patrzyli sobie prosto w oczy przez chwilę, która zdawała się wiecznością. Reggie powoli puściła jego głowę i zrobiła krok w tył.

Shaw minął ją bez słowa i wyszedł z poczekalni. Kilka minut później stał przy łóżku Katie. Była otoczona aparaturą i omotana rurkami i przewodami. Pielęgniarka uprzedziła go, że ma tylko minutę, i wyszła, zostawiając ich samych. Delikatnie ujął dłoń Katie.

- Przepraszam cię, Katie. Przepraszam za wiele rzeczy.

Zdawał sobie sprawę, że jest nafaszerowana środkami przeciwbólowymi i nieprzytomna, ale musiał to z siebie wyrzucić.

- Nie powinienem był porzucać cię w Zurychu. Powinienem szybciej odnaleźć cię w Paryżu. Ja... - wykrztusił i umilkł. - Naprawdę mi na tobie zależy. I... - Po policzkach zaczęły mu spływać łzy, czuł ucisk w żołądku, z trudem łapał oddech. Pochylił się i ucałował jej dłoń. W tej samej chwili poczuł, jak jej palce lekko się zaciskają wokół jego dłoni.

Spojrzał na jej twarz. Była wciąż nieprzytomna, a mimo to uściśnęła jego rękę.

Zauważył stojącą w progu pielęgniarkę.

- Do widzenia, Katie - powiedział, puszczać jej dłoń.

102.

- **N**a pewno nie chcesz, żebym to ja prowadził? - zapytał Frank, sadzając się na miejscu pasażera.

- Na pewno. - Shaw jechał na lotnisko szybciej, niż było trzeba.

Frank zerkał na niego co chwila ze zdenerwowaniem, ale nie miał ochoty przerywać panującej ciszy. W końcu nie wytrzymał.

- Znaleźliśmy resztę chłopców Kuczina. Wszyscy byli martwi prócz Pascala. On przepadł jak kamień w wodę.

- To dobrze. - Shaw nie odrywał oczu od jezdni.

- Na pewno nie chcesz tu zostać? Dostaniesz wolne. Możesz tu być, kiedy Katie wyjdzie ze szpitala.

- Zamierzam uciec od niej jak najdalej.

- Ale...

Shaw wdepnął pedał hamulca tak, że samochód zatrzymał się z piskiem opon, a wokół rozległ się dźwięk klaksonów.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz?! - wrzasnął zaskoczony Frank.

Shaw był czerwony na twarzy; trząsał się cały jak narkoman na głodzie.

- O mało przeze mnie nie zginęła. I to nie po raz pierwszy. Dlatego wolę się od niej trzymać z daleka, bo następnym razem może nie mieć tyle szczęścia. Rozumiesz?

- Jasne, rozumiem. - Frank widywał Shawa w różnych sytuacjach, ale w takiej nigdy.

Kilka godzin później Shaw i Frank siedzieli na pokładzie boeinga 777 linii British Airways, który wystartował z lotniska Logana w Bostonie i następnego dnia rano miał wylądować w Londynie. W trakcie podróży Frank obejrzał film, wypił kilka drinków, zjadł kolację, przejrzał jakieś papiery i uciał sobie drzemkę.

Shaw przez całe sześć godzin i dwadzieścia minut lotu patrzył przez okno. Kiedy wylądowali na Heathrow, przeszli kontrolę celną i skierowali się do wyjścia.

- Czeka tu na mnie samochód - powiedział Frank. - Podrzucić cię do miasta?

- Lepiej daj mi kolejne zadanie. I to im prędzej, tym lepiej. - Odszedł ze spuszczoną głową, z ramienia zwisała mu smętnie torba podróżna.

Frank patrzył przez chwilę, jak odchodzi, potem znalazł swój samochód i odjechał.

Godzinę później Shaw dotarł do Londynu autobusem. Nie poszedł do

Savoya. Teraz nie pracował. Nie mógł sobie pozwolić na taki wydatek z własnych pieniędzy. Zameldował się w znacznie skromniejszym hotelu, w dużo mniej reprezentacyjnej części miasta. Ledwie zdążył rzucić na krzesło torbę, kiedy zadzwonił telefon.

Nie spojrzął nawet na wyświetlacz, żeby sprawdzić, kto dzwoni. Nie miał ochoty z nikim rozmawiać. Wyszedł z hotelu, kupił kilka piw, wrócił, otworzył jedno, wypił, potem następne. Zgniół w dłoni puszki i wrzucił je do kosza.

Telefon zadzwonił ponownie. Sięgnął po kolejne piwo, podszedł do okna i wyjrzał na ulicę pełną ludzi, z których nikt nie znał osobiście Katie James i zapewne nie wiedział, że otarła się właśnie o śmierć.

- To wspaniała kobieta - powiedział do swojego odbicia w szybie. - Nie zasługuję na nią. Nie jestem dla niej. - Uniósł puszkę z piwem i stuknął nią w szybę, myśląc o palcach, które uściśniły lekko jego dłoń. To było wspaniałe uczucie, ale wiedział, że nigdy już go nie dozna.

O północy jego telefon przestał wreszcie dzwonić, a on skończył pić ostatnie, ciepłe już piwo. Nie mógł spać; wstał w środku nocy i zwymiotował do toalety wszystko, co w siebie wieczorem wlał. Wziął prysznic, ogolił się, przebrał w czyste ubranie i wyszedł poszukać jakiegoś miejsca, gdzie o czwartej nad ranem można zjeść śniadanie. Ponieważ to był Londyn, znalazł odpowiednie miejsce już dwie przecznice dalej. Usiadł w głębi sali prawie zupełnie opustoszałej kawiarenki i zamówił największy półmisek, jaki oferowała kuchnia. Kiedy danie stało już przed nim, nie tknął go, wypił tylko dwie filiżanki czarnej kawy, rzucił na stół parę funtów i wyszedł.

Szedł brzegiem Tamizy, aż dotarł do miejsca, gdzie kiedyś stał z Katie, gdy padł strzał i jakiś mężczyzna wleciał martwy do wody. Następnie powlókł się ulicą, na której Katie zginęłaby z rąk mężczyzny ze strzykawką, gdyby nie pojawił się w porę. Minął restaurację, w której jedli razem kolację. A potem hotel, w którym rzucił tacą z jej śniadaniem o ścianę, a ona w odpowiedzi spokojnie nalala mu kawy do filiżanki. To wspomnienie przywołało na jego twarz uśmiech, który szybko zamienił się w szloch. Wtedy właśnie pokazała mu bliźnę po postrzale na swoim ramieniu. I opowiedziała o afgańskim chłopcu, który zginął, ponieważ posunęła się za daleko w

poszukiwaniu tematu do reportażu.

Potrafiła pokonać Atlantycką, jeśli tylko wspomniał, że jest mu potrzebna. Była zawsze na zawołanie. A teraz z jego winy leżała w szpitalu z przedziurawioną kulą piersią. Shaw oparł się o brudną ceglana ścianę budynku i zaczął płakać tak mocno, aż wreszcie jego szloch zamienił się w głośne zawodzenie.

Nieco później usiadł pośrodku stada gołębi na Trafalgar Square i wciąż zaczerwienionymi oczami wpatrywał się w pomnik lorda Nelsona. Londyn zaczynał budzić się do życia, słychać było kroki ludzi i szum silników. Wzeszło słońce i zrobiło się cieplej. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, trudno było uwierzyć, że wciąż jeszcze trwa lato. Gordes, nawet Kanada, wszystko to zdarzyło się chyba wieki temu.

Wstał, popatrzył wokół, zastanawiając się, dokąd pójść, i stanął jak wryty. Po drugiej stronie placu dojrzał patrzącą na niego Reggie. Ruszył w przeciwnym kierunku, ale coś kazało mu zawrócić i podejść do niej.

- Skąd wiedziałaś?

- Przypadek - odpowiedziała. - Zadzwoiłam do Franka. Powiedział mi, że wróciliście do Londynu.

- Co z Whitem?

- Na razie ma sztywną nogę, ale będzie dobrze. Cieszę się, że z Katie też jest już lepiej.

Shaw pokiwał z roztargnieniem głową.

Reggie miała na sobie białe dżinsy, te same co w Gordes, czarne pantofle na płaskim obcasie i niebieską bawełnianą bluzkę. Włosy spadały jej swobodnie na ramiona.

Wygląda starzej, pomyślał Shaw. Do diabła, wszyscy wyglądamy starzej. Sam czuł się, jakby miał sto lat.

- Dzwoniłam do ciebie, ale nie odbierałeś.

- Chyba nie włączyłem telefonu - odparł.

Zaczął iść, a ona szła u jego boku.

- Dzięki za załatwienie Kuczina. To był superstrzał.

- Powinnam strzelić szybciej. Wtedy Katie...

Odsunął się od niej trochę.

- Nie, Reggie, nie.

Szli dalej w milczeniu.

- Znalaziono ciało Dominica? - zapytał w końcu.
- Nie. Najgorsze jest to, że jego rodzice nigdy się nie dowiedzą, co się z nim stało.

- To smutne.

Spuściła wzrok, szukając odpowiednich słów.

- Frank przekonuje nas, żebyśmy pracowali z tobą.

Shaw zatrzymał się i spojrzał na nią chłodno.

- Ze mną?

- Nie, to znaczy z nim. Z jego organizacją - rzuciła pospiesznie.

Shaw ruszył dalej.

- Nie widzę takiej możliwości.

- Musimy tylko zmienić trochę nasz sposób działania - zaczęła szybko tłumaczyć. - To znaczy, nie możemy kończyć roboty tak, jak do tej pory. Ale Frank powiedział, że nasza sieć informatorów i wsparcie badaczy mogą się okazać użyteczne...

Shaw uniósł dłoń, nakazując jej milczenie.

- Nie obchodzi mnie to, rozumiesz?

Reggie zdawała się zdruzgotana, ale odpowiedziała mimo to:

- Jasne. W porządku. Rozumiem.

Weszli do parku i Shaw usiadł na ławce. Reggie zawahała się, nie wiedząc, czy ma ochotę na jej towarzystwo. W końcu usiadła w przyzwoitej odległości, co z racji gabarytów Shawa wcale nie było proste.

- Nie podziękowałem ci do tej pory za uratowanie mi życia.
- Nie musisz dziękować, Shaw. To dzięki tobie wciąż żyję.
- Musiałem to powiedzieć.
- Świetnie, powiedziałeś. I wystarczy. - Założyła nogę na nogę i westchnęła z przesadą. - To nie moja sprawa, ale...
- W takim razie nie poruszaj tego tematu - przerwał jej.

Na długa minutę zapadła cisza.

- Byliśmy tylko przyjaciółmi - odezwał się Shaw, przerywając milczenie. - A ona... Ona dużo dla mnie znaczy. Więcej, niż myślałem.

- W porządku. - Po policzku Reggie popłynęła łza.

- A czy możemy być kimś więcej niż przyjaciółmi, to... - Potrząsnął

głową, patrząc na małego chłopca z matką i po chwili spuszczać wzrok na trawę.

- Przecież ona wyzdrowieje. Możesz wrócić tam i...

- Nic z tego - odparł krótko.

Znów zaległa cisza.

- Co zamierzasz teraz robić? - zapytała.

- Mam kilka dni wolnego, powłóczę się tu trochę, a potem Frank znajdzie mi nowe zajęcie.

- Mógłbyś wpaść do Harrowsfield. Zresztą Frank jutro też ma się tam pojawić. A my moglibyśmy... - Urwała, kiedy gwałtownie poderwał się z ławki.

- Nie, Reggie, nie moglibyśmy.

Odwrócił się, zamierzając odejść.

- Proszę cię, Shaw.

Obejrzał się przez ramię.

- Przykro mi.

- Może powinniśmy trochę zwolnić. - W kącikach jej oczu zaczęły się gromadzić łzy i najwyraźniej ją to denerwowało. Wytarła oczy.

Odwrócił się do niej.

- Pochowałem kobietę, która znaczyła dla mnie więcej niż ktokolwiek inny. I o mało nie straciłem kobiety, na której mi bardzo zależy. - Przerwał, by wziąć oddech. - Nie zamierzam trzeci raz powtórzyć tego samego błędu. Uważaj na siebie, Reggie.

Patrzyła za nim, póki jego wysoka postać nie zniknęła w gęstniejącym tłumie londyńczyków.

W końcu ruszyła w przeciwnym kierunku. Nie mogła się zdobyć na obejrzenie się za siebie.

Gdyby to zrobiła, zobaczyłaby, że Shaw zatrzymał się i przez długą chwilę patrzył na nią. Potem powoli odwrócił się i ruszył dalej.

Podziękowania

Dla Michelle, która nadaje sens naszemu życiu. Dla Mitcha Hoffmana, nadzwyczajnego wydawcy. Dla Davida Younga, Jamie Raab, Emi Batta-

glii, Jennifer Romanello, Toma Maciąga, Marthy Otis, Boba Castillo, Anthony'ego Goffa, Kim Hoffman i wszystkich z wydawnictwa Grand Central Publishing, za wszystko co robicie. Dla Aarona i Arleen Priestów, Lucy Childs, Lisy Erbach Vance, Nicole Kenealy, Frances Jalet-Miller i Johna Richmonda, za pomoc udzielaną mi na każdym etapie pracy. Dla Rolanda Ottewella, za czujne oko. Dla Marii Rejt i Katie James z wydawnictwa Pan Macmillan, za wsparcie zza oceanu. Dla Grace McOuade i Lynn Goldberg, za wspianą reklamę. Dla Boba Schule, za najwyższej klasy konsultacje. Dla Lynette, Deborah i Natashy, za to, że tworzyły znakomity zespół.